

Opowieść prawie sensacyjna, momentami romansowa,
częściej zagadkowa, niekiedy erotyczna

The cover features a sepia-toned illustration of a man in a dark suit and hat walking away from the viewer down a cobblestone street. In the background, there is a large, ornate building with a prominent clock tower and a spire. To the left, a tall, slender monument stands on a hill. The sky is filled with several red circles of varying sizes, and a large, dark red splatter is visible on the right side. The overall atmosphere is mysterious and historical.

CARSKA ROSZADA

MELCHIOR MEDARD

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Table of Contents

Strona tytułowa	
Spis treści	
Karta redakcyjna	
Dedykacja	
Prolog	
Rozdział 1. Początek zagadki	
Rozdział 2. Pierwsze kroki...	
Rozdział 3. ...jakby zapadł w letarg	
Rozdział 4. Asa'el - {demon w domu wariatów}	
Rozdział 5. Ofiara! Jeszcze ciepła!	
Rozdział 6. Nigdy nie wiesz, kogo znajdziesz w kostnicy	
Rozdział 7. Rozrywki niegodne i pogodne	
Rozdział 8. Niepokój publiczny	
Rozdział 9. Strohwitwer	
Rozdział 10. Śladami Stanisława Augusta	
Rozdział 11. Bomba!	
Rozdział 12. Policyjny kocioł	
Rozdział 13. Radca czuł się dziwnie	
Rozdział 14. Śmierć urzędnika	
Rozdział 15. Der Tod und das Mädchen	
Rozdział 16. Cebula	
Rozdział 17. Na walizkach	
Epilog	
Aneks	
Przypisy	

Melchior Medard

CARSKA ROSZADA

Opowieść prawie sensacyjna, momentami romansowa,
część zagadkowa, niekiedy erotyczna

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1. Początek zagadki

Rozdział 2. Pierwsze kroki...

Rozdział 3. ...jakby zapadł w letarg

Rozdział 4. Asa'el - {demon w domu wariatów}

Rozdział 5. Ofiara! Jeszcze ciepła!

Rozdział 6. Nigdy nie wiesz, kogo znajdziesz w kostnicy

Rozdział 7. Rozrywki niegodne i pogodne

Rozdział 8. Niepokój publiczny

Rozdział 9. Strohwitwer

Rozdział 10. Śladami Stanisława Augusta

Rozdział 11. Bomba!

Rozdział 12. Policyjny kocioł

Rozdział 13. Radca czuł się dziwnie

Rozdział 14. Śmierć urzędnika

Rozdział 15. Der Tod und das Mädchen

Rozdział 16. Cebula

Rozdział 17. Na walizkach

Epilog

Aneks

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: EWA CIEŚLAK, VIOLA MUSZYŃSKA
Projekt okładki: MARIUSZ BANACHOWICZ
Skład: Studio Kalamarnica

© Copyright by Melchior Medard

Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

978-83-64185-50-2

Instytut Wydawniczy ERICA

e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl

www.WydawnictwoErica.pl

Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Mamie – z miłością



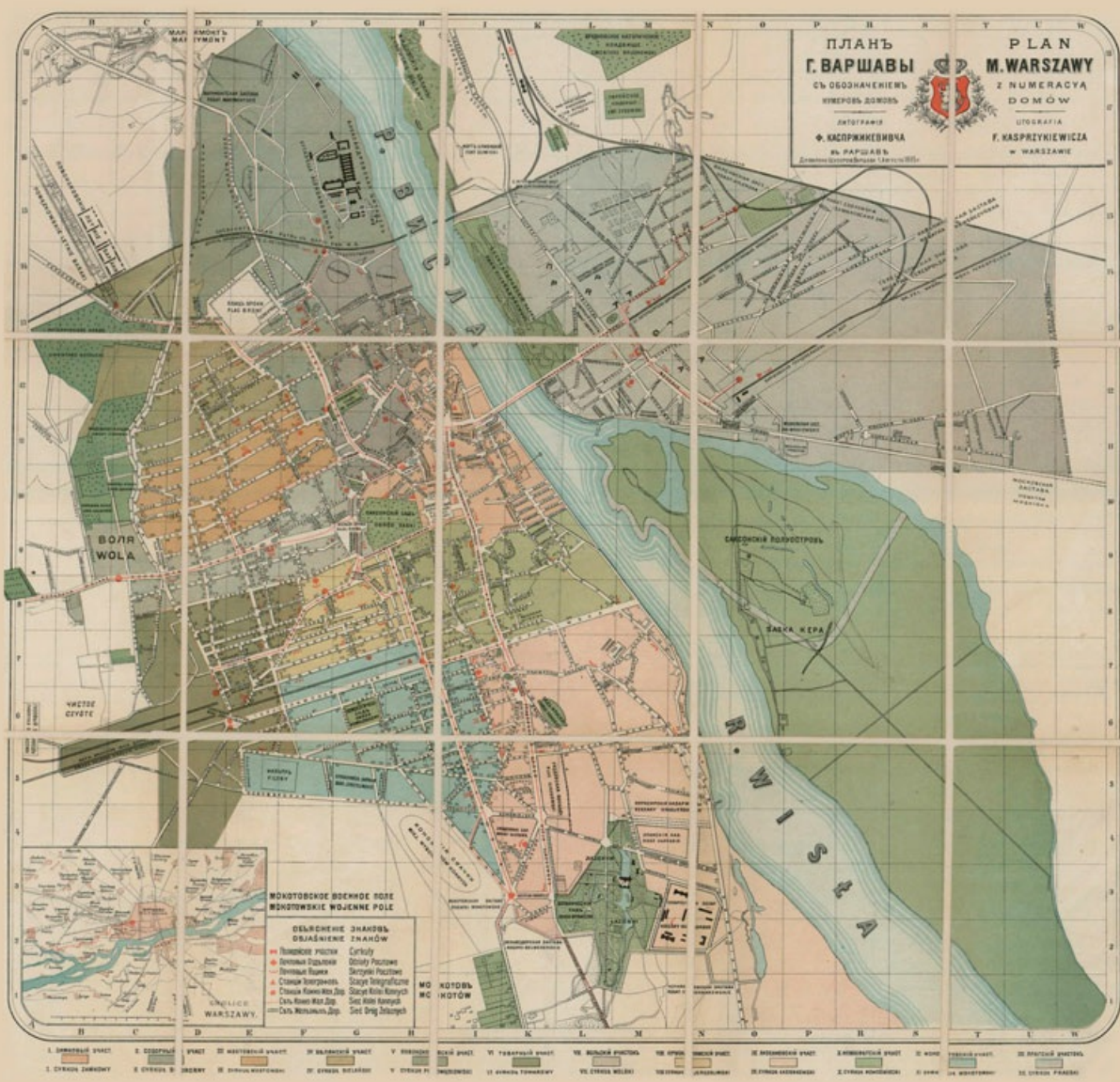
Plac Staszica, Warszawa 1890



Krakowskie Przedmieście, Warszawa 1890



Plac Teatralny, Warszawa 1890



ПЛАНЪ
Г. ВАРШАВЫ
 СЪ ОБОЗНАЧЕНІЕМЪ
 КИМЕРОВЪ ДОМОВЪ
 ІНТЕРВАНІ
 ♦ КАСПРИКЕВИЧА
 ВЪ ВАРШАВѢ
 Державнаго Издательства Свѣтлицы 1914

PLAN
M. WARSZAWY
 Z NUMERACJA
 DOMOW
 INTERWANJA
 F. KASPRZYKIEWICZA
 W WARSZAWIE

МОКОВОЕ ВОЕННОЕ ПОЛЕ
WOJENNE POLA

ОБЪЯСНЕНІЕ ЗНАКОВЪ
OBJASNIENIE ZNAKOW

• Пункты артиллеріи Сигналы артиллеріи
 • Пункты пехоты Сигналы пехоты
 • Станція беспроволочнаго телеграфнаго аппарата Станція беспроволочнаго телеграфнаго аппарата
 • Станція беспроволочнаго телеграфнаго аппарата Станція беспроволочнаго телеграфнаго аппарата

МС КОЛОВЪ
 МС МОКОВО

I. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ II. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ III. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ IV. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ V. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ VI. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ VII. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ VIII. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ IX. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ X. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ XI. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ XII. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ XIII. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ XIV. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ XV. ОБОИДНОЕ ПОЛЕ

PROLOG

Żegnaj mi, Rosjo nieumyta^[1]

23 grudnia na Dworzec Wileński, linią okrężną, powróciła z krótkiego wypadu pod miasto ryża Zofia Maciejewska. Smukła, zgrabna panna miała włosy o jedwabistym połysku, pysznej miedzianej barwy, które zazdrosne paryskie koleżanki określały „rudymi”. Jeszcze latem była we Francji, gdzie obroniła lekarski dyplom i po niedługich wakacjach we Włoszech podjęła pracę w Warszawie. Choć jej rodzina wywodziła się z ziemiaństwa kieleckiego, panna czuła się już jak rodowita warszawianka. Najukochańsze dziecko swego ojca – Józefa – była kobietą bardzo rzeczową i praktyczną, nigdy w życiu nie podejrzewałaby siebie, że niczym pensjonarka może zakochać się od pierwszego wejrzenia.

Dokładnie w miesiąc po swoich cicho obchodzonych imieninach, w przeddzień katolickiej Wigilii, wymuskany galant o zielonych, zimnych niczym nefryt oczach i cienkich, zawadiacko podkreconych wąsikach, wychodził na peron z wagonu pierwszej klasy pociągu Kolei Petersburskiej. Po długiej jeździe przez Psków, Dyneburg, Wilno, Grodno i Białystok z przyjemnością rozprostował nogi, chociaż i tak podróż okazała się wygodniejsza niż na trasie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej: na trasie petersburskiej wagony były szersze i oferowały więcej miejsca dla pasażerów, bo wschodnia droga żelazna miała rosyjski rozstaw szyn.

Tak jak galant się spodziewał, Warszawa przywitała go znacznie łaskawszą aurą niż pożegnał go Petersburg. Słońce świeciło radośnie, starannie odśnieżono deski peronu, powietrze było krystalicznie czyste, lekki mróz szczypał w usta – wszystko to zapraszało stołecznego gościa do odwiedzin prowincjonalnego, polskiego miasta. Kłęby dymu i pary z lokomotywy szybowwały prosto w niebo – widać mróz się nasilał. Pozostawiwszy szubę w *coupé*, wyskoczył raźnie na peron. Skinął na bagażowego ozdobionego blachą z numerem, w marszu wskazał mu też konduktora: jeszcze coś miał w brankardzie, wagonie służbowym.

Na przeciwległym końcu zatłoczonego peronu, tuż pod ścianą dworca, stał oficer, major żandarmerii z dwoma wachmistrzami. Wszyscy w pełnej gali – buty wyglansowane, pasy lśnią, szamerunki i rapcie błyszczą w słońcu niczym jego mniejsze, zwierciadlane odbicia.

Tłum oczekujących na peronie zmieszał się z wysiadającymi pasażerami – oficjaliści, oficerowie, kupcy, tragarze, damy i dzieci, stójkowi i konduktorzy, kwiaciarki i kursistki tak zatłoczyli wąską przestrzeń pomiędzy ścianami Dworca Wileńskiego a wagonami przybyłego pociągu, że trudno było się przecisnąć. Mimo to wysoki, szczupły blondyn w mundurze oficera carskiej policji wojskowej łatwo utorował sobie drogę, idąc na powitanie fircykowatego gościa. Obaj towarzyszący mu wachmistrzowie bez skrępowań i zwracania uwagi na szarżę i status zagradzających im drogę przyjezdnych i witających ich mieszkańców, rozsuwali publikę na boki, tworząc wąski korytarz dla swojego przełożonego. Słowa oraz gesty niezadowolenia i protestu, które pojawiały się u tych, bezceremonialnie zmiotanych z drogi obywateli, od razu zamierały, kiedy dostrzegali niebieski mundur kroczącego, wysokiej rangi sługę tronu. Pamięć o niedawnych krwawych wydarzeniach i ich „bohaterach” była jeszcze świeża, nie tylko w Warszawie z jej Cytadelą, ale i w całej Kongresówce. Jednak obaj mężczyźni, żandarmski oficer i dopiero co przybyły pulmanem gość, nie zwracali uwagi na kwaśne miny i wrogie spojrzenia bez żenady traktowanych podróżnych. Oficer szeroko rozłożył ramiona, aby w uścisku powitać przyjezdnego. Ten z kolei, jakby nieco skrępowany taką wylewnością, nieświadomie wydłużył krok, aby przyspieszyć i skrócić nazbyt kordialne, jak dla niego, powitanie.

Znajdując się tuż przed przybyszem, major z III Wydziału ryknął na pół peronu:

– Drogi E...

Po pierwszym dźwięku jego głos raptownie zamilkł – na ustach płowowłosego zacisnęły się skryte w irchowej

rękawiczce stalowe palce: to gość, *par force*, zagłuszył kolejne słowa gospodarza.

– Ciiiiicho! Jestem tu incognito... Estar Pawłowicz, do usług! – Rozległ się syczący niczym u żmii, przyciszony głos dandysa.

Żandarmski sztabowiec, który został szybko uwolniony z uścisku niezwykle silnej, jak na swoją szczupłość, dłoni, sam zakrył usta rękawiczką.

– Przepraszam, idiota ze mnie!

Wziął po bratersku wysoką, smukłą, ale barczystą sylwetkę gościa w swoje niedźwiedzie objęcia i serdecznie, dwukrotnie uściskał. Odsunął się i z radością popatrzył przybyłemu prosto w oczy.

– Setnie się cieszę! Tyle lat, tyle zim... jak mawiał... jakiś poeta... Zaskoczył mnie ten telegram... Mimo że właściwie... – nie dokończył.

Za plecami jegomościa w błękitnym uniformie rozległo się postukiwanie drobnych kroczków, które – jak mu się wydawało – drobnutkim, gęstym staccato wybijały o deski peronu taneczny rytm rozpustnego, paryskiego kankana.

W korytarzu utworzonym pośród podróżnych przez wachmistrzów pojawiła się sylwetka drobnej, zgrabnej, nieziemsko pięknej kobiety. Wzrostu średniego, o owalu twarzy doskonałym, ustach nieco zbyt szerokich, pełnych wargach, włosach popielatych. Największy urok tkwił w jej oczach o barwie i blasku akwamaryny. Ręce miała zgrabne, choć niemałe, o długich, cienkich palcach – dało się je dostrzec, ponieważ z jednej dłoni zsunęła rękawiczkę. Jej ruchy były miękkie i żywe, ale najważniejszym..., a raczej czymś, co najbardziej zwracało uwagę, był strój. Cechował go dobry smak, choć był bardzo wyzywający, jak można się było domyślić po reakcji obecnych na peronie kobiet. Wyprzedzał o dwie długości fiakra modę panującą w biednej, po klęsce zrywu zepchniętej do roli prowincjonalnego miasta, Warszawie. Paryski szyk poznawało się od razu, nawet po angielskim kroju pantofelków. Chyba nikt nie mógł się tu jednak domyślić, w pracowni którego z wielkich *couturier* nieznamoma zamówiła swój strój. Dalece odbiegał od wszystkiego, co widniało w tutejszych magazynach mód, a co najdziwniejsze, zasadniczo nie odróżniał się od odzieży dla dorastających pańienek!

Tylko świeżo przybyły moskwianin rozpoznał igłę madame Jeanne Lanvin, która w swoim ledwie co otwartym magazynie mód na rue du Faubourg Saint-Honoré w Paryżu zaczęła dyktować nowe trendy. Dostrzeżono je już w Londynie, gdzie niedawno urzędowo przebywał.

Żandarm, usłyszawszy stuk pantofelków, odwrócił się i zamarł, po czym, niezgrabnie ustępując prześlicznej kobiecie z drogi, z konfuzji nastąpił jej na stópkę odzianą w biały bucik.

– Au! – Dźwięcznym, perlistym głosem wykrzyknęła poszkodowana, ale nie zatrzymując się ominęła zdetonowanego blondyna i szybkim, tanecznym krokiem, wyraźnie kołysząc biodrami, których n i e m i a ł a, podbiegła do stojącego nieopodal wysokiego mężczyzny w cylindrze i tabaczkowym palcie. – Jacques! *Mon cher!* – Radośnie krzyknęła.

Fiodor Andreicz Wotcow – bo tak nazywał się niezgrabiasz – spojrział na parkę przeciągle, ale natychmiast odwrócił się do przyjaciela. I tak zbyt długo przypatrywał się nieznamomej damie, co już było niegrzecznością. Podobnie uczynili wszyscy pozostali na peronie mężczyźni (i większość kobiet) – *noblesse oblige*, jesteście wyżsi ponad ciekawość przekupek... Tylko wolni od pracy tragarze i kręcący się bez widocznego celu po dworcu gimnaziści nie odrywali wzroku od modnisi.

– Jak z litografii tego paryskiego Alfonsa... – z westchnieniem szepnęła Fiodor Andreicz.

– Taaak – z wrażenia urzędnik do zadań specjalnych zaczął się jąkać. – Ale raczej praskiego...

– Co? To on warszawiak? – Zdziwił się oficer w błękitach.

– Nie, Austriak. Z czeskiej Pragi...

Przykro rozczarowany oficer dalej już nie słuchał Estara Pawłowicza.

– Ale kobieta! Mucha nie siada!

Pan radca kolejalny^[2], zaintrygowany i zdziwiony, spytał:

– Po co ma siadać? Po prostu rysuje...

Wotcow spojrział na niego zdziwiony i wrócił do powitania:

– Druhu mój! Tak się cieszę... – rzekł.

– I ja się cieszę... – trochę chłodniej odpowiedział na serdeczności przybyły. – Ale raczej chodźmy cieszyć się do hotelu, jestem bardzo zmęczony po podróży. Czuję się nieświeżo i mam wrażenie, że jestem brudny... Potem, kiedy wezmę tusz i przebiorę się – do dzieła! W końcu jestem tutaj służbowo, a to sprawa niecierpiąca zwłoki! Wieczorem zapraszam do mnie, do numeru – wtedy sobie porozmawiamy od duszy.

Ktoś potrącił Estara – za jego plecami rozległo się niewieście „Oj, przepraszam! Taki tu tłok!”, ale radca nie zwrócił uwagi na słowa usprawiedliwienia, spojrzął jedynie ukradkiem przez ramię, dostrzegł rudą główkę i tylko zdawkowo rzucił: – To moja wina. Proszę wybaczyć.

– Ech, tam... mój drogi... – Lekceważąco machnął ręką major. – Właściwie to już rozwiązałem sprawę... Niepotrzebnie ciebie fatygowali... Ale co za spotkanie! Opowiem ci wszystko po drodze!

Odwrócił się do wachmistrzów.

– Zadbajcie o bagaże, a my pójdziemy po fiakra.

Gdy ponownie uczynił zwrot w kierunku swojego gościa, w tłumie rozbrzmiał gromki okrzyk radości – pewnie ktoś dostrzegł wyteśknionego, czy wyteśknioną... Odpieczętowano chyba z tej okazji szampana, bo rozległ się cichy odgłos otwieranej butelki, a wysoki major, podziwiający wesołymi oczyma wyelegantowanego na angielską modłę przyjaciela, nagle zaczął się miękko osuwać na ziemię. W jego krtani ziała wielka dziura, z której tryskała na gors przybyłego z Rosji radcy fontanna krwi. Otwór miał strasznie poszarpane brzegi i zanim fala krwi zasłoniła wnętrze, przez chwilę można było nawet dostrzec kręgi szyjne. Głowa oficera odgięła się do tyłu, krew jeszcze raz chlusnęła na stojącego naprzeciw. Ciało, jakby wbrew prawom fizyki, zaczęło przechylać się do przodu.

Estar Pawłowicz pochwycił upadającego, błyskawicznie rozejrzał się, ale nic podejrzanego nie dostrzegł. Wszyscy dookoła stali odwróceny plecami, zajęci swoimi rozmowami, uściskami, przejmowaniem kufrów, kwiatów, potrząsaniem uniesionych w powietrze małych dzieci, wymianą powitalnych pocałunków...

Niczego nie dostrzegli nawet wachmistrze czuwający tuż za Wotcowem. Mieli jedynie zdziwione miny, widząc, że ich przełożony podczas powitania opada na przyjaciela całym ciężarem. Radca kolegialny spojrział jeszcze raz w twarz przewracającego się żandarma i nieomylnie rozpoznał w gasnących oczach znamię śmierci. Bezwzględny, silnym ruchem odrzucił ciało w ręce wachmistrzów. Ci już zorientowali się, widząc wyraz twarzy Estara Pawłowicza, że coś jest nie tak i bezwiednie podtrzymali nieżywego zwierzchnika.

– Trzymajcie go! Ja zaraz... – nie dokończył Estar Pawłowicz.

Oprócz osłupiałych wachmistrzów, dzierżących zupełnie już bezwładne, miękkie jak z podgrzanej gutaperki ciało dowódcy, nikt jeszcze nie zauważył zdarzenia. Ale kiedy Estar Pawłowicz gwałtownie się odwrócił, wyszarpnął z kieszeni ulubiony rewolwer i zaczął się przedzierać przez tłum z uniesioną w powietrzu bronią, najbliżej stojący, rozpychani jego energicznymi ruchami, próbowali w popłochu umknąć – w epoce anarchizmu wszyscy wiedzieli, co może oznaczać takie zachowanie. Ktoś będzie strzelał, pewnie zamach!

Kiedy widoczny stał się zalany krwią gors eleganta, ludzi ogarnęła panika. Uciekając ze środka zatłoczonego peronu pod ścianę podobnego do pałacyku dworca, tratowali się, przewracając stojące w nieładzie kufry, walizy i pudła na kapelusze.

Piski i krzyki nie powstrzymały Estara Pawłowicza – ponieważ tłum biegł w stronę dworca, od razu opustoszała przed nim krawędź peronu, a właśnie tego oczekiwał. Skoro strzelano zza jego pleców, to znaczy, że zabójca powinien stać obok pociągu lub w jego wnętrzu!

Rzeczywiście, czwarte okno w wagonie trzeciej klasy właśnie się zamykało. Pomknął w kierunku jego drzwi, po drodze niemiłosiernie rozdeptując jaskrawożółtymi angielskimi bucikami pudła i pudełka z damską garderobą. Po deskach rozsypały się wstążki, koronki, pantalonki oraz inne kobiece utensylia. Szarpiąc drzwi, odtrącił próbującego powstrzymać go konduktora, który najwidoczniej wziął go za terrorystę uciekającego z miejsca zamachu.

Wskoczył na stopień. Wtedy jednak mocarna dłoń złapała go za kończynę, którą trzymał się poręczy i unieruchomiła ją w nieludzko silnym uścisku. W drugą rękę detektywa, tę, w której ścisnął rewolwer, uderzono obcasikiem damskiego pantofelka. Od tego łupnięcia – widocznie trafiło w nerw – Estarowi Pawłowiczowi pociemniało przed oczyma i od razu zamarł w bezruchu.

– Powoli, przyjacielu! – Mówił Jacques, który obezwładniająco mocno przytrzymał ramię Estara. – Powoli! Najpierw powiesz nam, co tu robisz...

Dandysowi już wróciła przytomność i dziwnym, jakimś węzowym ruchem ręki wyswobodził ją z uścisku siłacza, ale druga ręka, trafiona flekiem, była jak martwa. Nadal jej nie czuł.

Zrozumiał, że już nie zdąży dogonić zabójcy, który na pewno miał przygotowany odwrót, a pół minuty wystarczyło, by oddalił się wystarczająco daleko. Teraz nie udałoby się go ani rozpoznać, ani ująć.

Na sąsiednim torze, po drugiej stronie pociągu, którym Estar dopiero co przyjechał, stał skład Linii Obwodowej – oznajmiał właśnie głośnym gwizdem, że rusza.

Estar westchnął i przyjrzał się swoim prześladowcom – siłacz, zaskoczony, że ofiara w jakiś niepojęty sposób mu się wymknęła, stał wytrzeszczając oczy. Wbrew oczekiwaniom urzędnika do zadań specjalnych, nie wyróżniał się posturą – był słusznego wzrostu brunetem, ale nie wyglądał na mocno zbudowanego. Cylinder przekrzywił mu się na głowie, a rozpięte, tabakowego koloru lodenowe palto pozwalało dostrzec tej samej barwy, tylko o ton ciemniejszy, surdut oraz kanarkową, wzorzystą kamizelkę. Szyję zasłaniał mu bladocytrynowy fontaż. Twarz miał wąską, długą, oczy wyblakłe i jakby chytre.

Estar przeniósł spojrzenie z lewej strony na prawą i dostrzegł tam, z podniesionym do ponownego uderzenia pantofelkiem w rękę, tę samą oszałamiającą modniśnię, za którą tak się oglądał Fiodor Andreicz Wotcow.

– *Que est–qui ce’ pass?* – Rzuciła niepoprawną francuszczyzną popielatowłosa.

– Och, wszystko w porządku, *madame*. Czy *mademoiselle*? – Rzekł Estar piękną, literacką mową Voltaire’a. – Próbowałem dogonić zabójcę, ale państwo, eee, przeszkodziliście mi. Teraz już jest za późno. Zapewne odjechał tamtym pociągiem. – Spróbował wskazać odrętwiałą ręką na oddalający się kłęb dymu, ale kończyła wciąż, z uporem godnym lepszej sprawy, odmawiała posłuszeństwa.

– Pan być cały we krew! – Wykrzyknęła w swoim łamanym francuskim damulka. I dorzuciła już spokojniejszym, aczkolwiek oburzonym głosem – *Mademoiselle*, rzecz jasna!

– To nie moja krew. Pozwoli pani, że się przedstawię – Estar Pawłowicz Van Houten. Radca kolejalny.

Wtedy rzekł Jacques:

– Pan wybaczy, panie radco kolejalny, ale bardzo się spieszymy. Pozwoli pan, że formalności towarzyskie dopełnimy wieczorem. Zatrzymaliśmy się w „Europejskim”. Pokornie prosimy o wybaczenie za ten incydent. Wzięliśmy pana za anarchistę-zamachowca. Wieczorem zapraszam pana, w ramach przeprosin, na szampana, apartament numer trzy. Czy odpowiada panu dziesiąta? A teraz, pozwolisz, *chérie*... – tu zwrócił się do ślicznotki, energicznie ujął ją pod ramię i szybkim krokiem oddalił się, wlokąc za sobą zaskoczoną, trochę opierającą się osóbkę.

Tragarze już pozbięli rozdeptane przez Estara pudła wraz z ich niedyskretną zawartością. Młoda dama zdążyła im rzucić, teraz niepotrzebny jej, pantofelek.

Estar spojrział w stronę grupki mundurowych: miejsce otaczał gęsty kordon stójkowych i panów w czarnych melonikach, którzy nie wiadomo jak i skąd, ale od razu znaleźli się tam, gdzie trzeba. Podszedł do nich, rozmasowując uparcie oporną, zdrętwiałą rękę.

Przepuścili go bez słowa, najwidoczniej podoficerowie żandarmerii, którzy towarzyszyli majorowi Wotcowowi, zdążyli już uprzedzić policję, kto zacz.

Za plecami mundurowych i panów po cywilnemu – których jednoczyła wspólna cecha: oczy myszkuje po otoczeniu – znalazł tylko jednego z wachmistrzów, pochylał się nad ciałem. Drugi zniknął, pewnie pobiegł do komendanta żandarmerii dworca, telefonicznie złożyć raport dowództwu. Obok żandarma i klęczącego lekarza, który właśnie zamykał

oczy zamordowanemu, stało dwóch mężczyzn. Choć nie mieli mundurów, od razu można było poznać, że tutaj dowodzą. Estar precyzyjnie się do nich. Jeden spojrzął na niego, strzelił palcami na agenta stojącego za jego plecami i ten natychmiast pojął – zdjął z siebie i podał nieładny, staromodny, długi płaszcz, aby pan radca mógł się okryć i zasłonić pokrwawione ubranie. Radca zarzucił okrycie, z ulgą poczuł ciepło – gorączka pościgu już opadła, zaczął marznąć. Otulił się szczelniej.

– Pan radca... – odezwał się wyższy z mężczyzn, ten, który rozkazał podać okrycie.

– Tak. Estar Pawłowicz Van Houten. Urzędnik do zadań specjalnych przy generale-gubernatorze Moskwy. Na urlopie...

– Wiem, wiem. Czekałem na pana. Trochę spóźniłem się na dworzec – zatrzymał mnie kolejny *casus*... A tutaj jeszcze... Wskazał ręką na przykryte szynem przez wachmistrza ciało Wotcowa. – Jestem Iszczajew, Andriej Iwanowicz. Radca dworu. Pełniący obowiązki naczelnika policji kryminalnej miasta Warszawy. A to mój zastępca, Aleksy Iwanycz Kozulin, asesor kolegiálny. Zanim porozmawiamy u mnie, czy może pan mi tylko powiedzieć – zobaczył pan zabójcę? Jak wygląda?

– Nie, nie zdążyłem. Strzelał z pociągu, z czwartego okna wagonu trzeciej klasy. Niech pan pošle tam ludzi, może znajdą jakiś ślad... albo zgłosi się świadek...

Iszczajew machnął od niechcenia ręką i czterech agentów z kordonu otaczającego ciało biegiem rzuciło się w stronę wskazanego wagonu. Dołączyło do nich dwóch stójkowych, ale lukę w murze ciał, odgradzającym miejsce zdarzenia od wzroku postronnych, zaraz zapełniło kilku nowo przybyłych cywilów w melonikach. Zza ich barów wsunęły się nosze, na które ułożono zabitego. W asyście wachmistrza i dwóch agentów odniesiono go do komendantury dworca.

– Powiedział pan: strzelał... – pytająco rzucił naczelnik policji kryminalnej.

– Tak, wystrzału nie było słyhać, ale to musiał być strzał... No, mo-o-o-że... – tutaj radca kolegiálny zaczął się trochę zająkiwać – mo-o-że to był nie on, a ona... Ale tego nie wiem. Nie widziałem.

– Dobrze. Odlóżmy to na potem. Wiem, że pan z podróży, w dodatku musi się przebrać... Mój zastępca odwiezie pana do hotelu, gdzie zarezerwowaliśmy numer, a ja tu jeszcze zostanę... Kiedy skończę, przyjadę do pana. I tak mamy wiele spraw do omówienia. Wyjątkowo pilnych. Razem pojedziemy do... Tak, no właśnie. Za jakąś godzinę będę. Zdąży się pan odświeżyć?

– Tak, oczywiście, panie radco dworu. Muszę tylko zabrać swój bagaż. Do hotelu trafię sam i tak będziecie tu mieli obaj panowie wiele roboty...

Estar rozejrzał się, szukając wzrokiem tragarza, który miał się zaopiekować jego sakwożaczami i resztą manatków. Ten właśnie nadchodził, ciągnąc na sankach dobytek moskwianina – sakwożacz, szubę, dwa pudła na kapelusze, kuferek podróży i walizkę z cielęcej, żółtej skóry. Obok jego kolega popychał dziwny wehikuł – wyglądał jak zwykły „wstrząsacz kości”, ale był ze stali i na obu kołach o tej samej średnicy miał naciągnięte gumowe wálki.

Obaj policjanci spojrzeli z zaciekawieniem – chociaż żelazne *rovery* były znane w Warszawie już od dwóch lat, czyli od kiedy pan Józef Hartmansgruber przejechał na metalowym welocypedzie trasę z Warszawy do Wiednia w 12 dni. To wielkie sportowe wydarzenie pozostało w pamięci wielu warszawiaków, a welocypedy, od czasu jak skonstruowano *bezpieczny* rower, były szalenie modne. Warszawskie Towarzystwo Cyklistów wśród swoich członków miało wielu stróżów prawa, chociaż nie była to rozrywka dla biednych – najtańszy, jeszcze drewniany bocykl kosztował ponad 200 franków!

Przyczyną zaciekawienia policjantów były gumowe *kielbasy* owinięte wokół obręczy kół – tego jeszcze w Warszawie nie widziano!

Asesor kolegiálny Kozulin, widząc z zazdrości (taki stalowy *rover* musiał kosztować fortunę!) wtrącił z przekąsem:

– Trochę się pan spóźnił z tym pojazdem... Mamy zimę!

Van Houten odrzekł z wyższością:

– Prawdziwy sportsmen trenuje przez cały rok!

Aleksy Iwanycz zorientował się, że niezbyt ładnie się zachował wobec gościa, więc, ratując sytuację, zmienił temat.

– Czy to nie te słynne dunlopy?

Estar Pawłowicz z dumą odpowiedział:

– Tak, oryginalne. Prosto z Anglii. Byłem tam niedawno i zafundowałem sobie to cacko. Pneumatyki, wynalazek irlandzkiego weterynarza – Johna Boyda Dunlopa.

I snobistycznie, z wyraźnym zadowoleniem, dodał:

– Wyprodukowane w Belfaście przez Pneumatic Tyre and Booth Cycle Agency. Nawet na najgorszych drogach pozwalają jeździć z komfortem... Teraz rover to już nie „kościółek”!

– Panowie, panowie! – Dwóch amatorów-cyklistów zmitygowała głowa warszawskiej policji kryminalnej. – Nie czas i miejsce na takie rozmowy! Skoro pan nie jedzie, asesorze, proszę dopilnować tu wszystkiego, zebrać i przesłuchać świadków: żandarmów, agentów i stójkowych, zbadać ślady w wagonie, zarządzić jak najszybsze przesłanie wyników sekcji do mnie. Ja, zaraz po wizycie w tutejszej komendanturze, pojedę do oberpolicmajstra, a pan, panie radco kolegiálny...

– A ja, panie naczelniku, już jadę do hotelu. Czekam na panów za... powiedzmy dwie godziny? Wcześniej pan i tak nie zdąży...

– Mam nadzieję, że tyle czasu nam wystarczy. Jeśli miałbym opóźnienie, to zadzwonię do pana przed naszym przyjazdem.

Iszczajew uniósł melonik na pożegnanie i szybkim krokiem, w asyście dwóch agentów po cywilnemu, skierował się do drzwi komendantury dworca. Aleksiej Iwanowicz również uchylił dęciak i pospieszył w stronę wagonu – jemu również towarzyszyło dwóch agentów.

Estar poszedł w stronę wyjścia. Z nim, jak eskorta, udali się obaj bagażowi.

Kiedy rozeszła się grupka agentów i stójkowych, na dworcu życie wróciło do normalności. Panika szybko minęła, nikt już nie pamiętał minionego wydarzenia, zresztą większość pasażerów i witających nawet nie wiedziała, co się stało. Strzału nie było słyhać, obecność policji i żandarmerii, nawet tak licznej, nie była niczym nowym, a ciało usunięto z peronu bardzo szybko. A biegnący, uzbrojony fircyk zniknął bez śladu – trudno było go rozpoznać w smukłym mężczyźnie z chwacko podkreślonymi wąsikami i w zarzuconym na ramiona za wielkim paltocie. Kwiaciarki znowu oferowały kwiaty, a sprzedawcy obwarzanków z koszami towaru czatowali na nabywców u wyjścia z budynku. W trafice dworcowej oprócz papierosów, tytoniu, fajek, gilz i bibulek oferowano nowości – pocztówki dokumentujące rozwój techniki. Dominowały te z ostatniej Wystawy Światowej, a największą popularnością cieszyły się, oczywiście, z widokiem na Wieżę Eiffla oraz z podobizną Wileńskiego Dworca. Peron pustoszał, jedynie przy jednym z wagonów kręciła się grupka zaaferowanych kolejarzy, ożywionych oficjalistów policyjnych i mundurowych.

Tak jak się spodziewała, Warszawa przywitała ją znacznie łaskawszą aurą niż pożegnała. Słońce świeciło radośnie, starannie odśnieżono deski peronu, powietrze było krystalicznie czyste, lekki mróz szczypał w usta – wszystko to zapraszało pannę Maciejewską na spacer ulicami Warszawy po powrocie z prowincjonalnego, polskiego miasta. Kłęby dymu i pary z lokomotywy szybowały prosto w niebo – widać mróz się nasilał. Wyskoczyła raźnie na peron. Skinęła na bagażowego i poszła w kierunku dworca, mijając peron, na którym zatrzymał się właśnie pociąg z Petersburga.

Tuż pod ścianą dworca stał oficer, major żandarmerii z dwoma wachmistrzami. Wszyscy w pełnej gali – buty wyglansowane, pasy lśnią, szamerunki i rapcie błyszczą w słońcu niczym jego mniejsze, zwierciadlane odbicia. Wyraźnie czekali na przyjeźdnego – Zofia nieświadomie skierowała wzrok ku miejscu, gdzie biegły spojrzenia Rosjan. Od petersburskiego składu kroczył młody, choć siwawy, smukły elegancik. Barczysty, świetnie ubrany. Żandarmski oficer wziął gościa w swoje niedźwiedzie objęcia i serdecznie, dwukrotnie uściskał. Za plecami jegomościa w błękitnym uniformie rozległo się postukiwanie drobnych kroczków. Zofia z ciekawością spojrzęła na przyczynę hałasu: pośród podróżnych pojawiła się sylwetka przesadnie wychudzonej, niezbyt zgrabnej, ledwie przeciętnie urodziwej kobiety. Wzrostu średniego, o jajowatej twarzy, miała za szerokie, ordynarne usta o wydętych wargach i mysiego, nijakiego koloru włosy.

Uwagę zwracały jej wytrzeszczone – jako lekarka, Zofia od razu zdiagnozowała przyczynę: choroba Basedowa – wypłowiła, niebieskie oczy Kachny od rzeźnika. Ręce miała niezgrabne, duże i męskie, o koślawych palcach – dało się je dostrzec, ponieważ uwodzicielka celowo z jednej dłoni zsunęła rękawiczkę. Jej ruchy były pełne wyuzdania, ale najważniejsze... a raczej czymś, co najbardziej zwracało uwagę, był strój: bardzo wyzywający, dowód absolutnego bezguścia i braku smaku. Paryski szyk poznaje się od razu, ale nie wszystko, co skroją w stolicy Francji musi być *haute couture*. Nikt nie potrafiłby się domyślić, u której z podrzędnych krawcowych niezajoma go sobie zamówiła. Dalece odbiegał od wszystkiego, co można było uznać za stosowne: jej ubiór zasadniczo nie odróżniał się od odzieży dla dorastających panienek – ta kobieta topornie udawała podlotka!

Żandarm, który odwrócił się ku nadchodzącej – zamarł, widać z przerażenia, bo, niezgrabnie ustępując tej upiornej kobiecie z drogi, nastąpił jej na stopę odzianą w biały trzewik.

– Au! – Złamanym, indyczo gulgoczącym falsetem pisnęła nadepnięta, ale nie zatrzymując się ominęła Rosjanina i szybkim, pewnym krokiem, wyraźnie – niczym kokota – kołysząc biodrami, których nawet nie posiadała, podbiegła do stojącego nieopodal wysokiego, przystojnego obcokrajowca w cylindrze i tabaczkowym palcie. – Jacques! *Mon cher!* – niemal pisnęła.

Przyjezdny elegant – od razu widać było, że sympatyczny mężczyzna – nawet nie zwrócił uwagi na tę pseudo-Francuzkę (Zofia od razu wychwyciła fałszywe nutki w krzykliwym powitaniu cudzoziemki), ponownie zaczął rozmawiać z żandarmem. Panna Maciejewska kątem oka przyglądała się im obu, bo – co tu ukrywać – była pod wrażeniem przystojniaka w podróżniczych kanarkowych bucikach, ale dalej zmierzała w kierunku wyjścia z dworca. Przykro jej było, że – jak się zdaje, zajęci konwersacją nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. „Gdybym się ubrała tak, jak ta aksamitka – z goryczą pomyślała – oczu ode mnie by nie oderwali”. Przyspieszyła kroku, zbliżyła się do przybysza z czarującym wąsikiem i niby niechcący trąciła go biodrem.

– Oj, przepraszam! Taki tu tłok! – słodko wyszeptła, oczekując eskuzów i nawiązania rozmowy. Jednak obiekt jej napaści tylko spojrzał przez ramię i obojętnie rzekł:

– To moja wina. Proszę wybaczyć.

Wściekła na niego, siebie i cały świat, gwałtownie odwróciła główkę i szybkim krokiem, nie oglądając się, ruszyła do wyjścia. Chwilę później za plecami rozległy się krzyki i świsty policyjnych gwizdków, ale naburmuszona panna nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi. Kiedy wyszła przed gmach, okazało się, że wszystkie dorożki już odjechały – bardziej przewidujący podróżni pospieszyli wprost na postój, nie tracąc czasu na próby flirtu. Westchnęła i usiadła na ławce, cierpliwie czekając w ogonku na tramwaj konny. W oddali widać było nadciągający pojazd, ale udawał się w przeciwnym kierunku. Znudzona rozglądała się dookoła i o mało przegapiła obiekt swojej adoracji – niespodzianie wynurzył się z wyjścia w towarzystwie dwóch tragarzy. Ubrany był w wielki, okropny płaszcz. Jeden z bagażowych popychał przed sobą rower. Niechcący Zofia głośno jęknęła: „W dodatku sportowiec...”

Sąsiadka, leciwa matrona o surowej twarzy i w czarnym czepcu na głowie, spojrzała na nią ze zgorzeniem. Dziewczyna rozanielonym wzrokiem patrzyła, jak ten ideał męczyzny – smukły, z chwacko podkręconymi wąsikami i w zarzuconym na ramiona za wielkim paltocie, omija ją, nie zauważając, i idzie na postój konnych dorożek na ulicy Wileńskiej. Posługacz na widok przybysza na moment się zawahał, ale kiedy dostrzegł dwóch numerowych, objuczonych dobytkiem pasażera, wyciągnął gwizdek i głośnym, przeraźliwym świstem wezwał dorożkę. Jedna z pustych zawróciła w miejscu i podjechała. Przybysz usadowił się wygodnie, zdjął pelerynę i otulił się przyniesioną szubą. Jego rzeczy zapakowano do kufra z tyłu pojazdu. W ostatniej chwili, kiedy powóz już ruszał, na kozioł obok dorożkarza wskoczył wachmistrz żandarmerii. Drynda ruszyła, trzęsąc się, ale jej głos stłumił przejeżdżający obok tramwaj konny, który telepiąc się po kocich łbach jezdni, mógłby swoim hałasem zagłuszyć trąby wzywające na Sąd Ostateczny.

Kolejne desperackie westchnienie młodej pani lekarz dało się usłyszeć mimo tych donośnych odgłosów. „Czemu, głupia, po prostu nie zemdląłeś tam na peronie?” – zadała sobie w myśli pytanie.

Przed dworcem, na placu, który rozciągał się wzdłuż ulicy Wileńskiej aż po Zaokopową, na postoju konnych dorożek

nie było już ani jednego wolnego fiakra – większość przyjezdnych wcześniej opuściła peron i rozjechała się do domów, hoteli czy kantorów. Posługacz na widok postawnego przybysza o zawadiacko podkręconych wąsikach, w zbyt dużym i niemodnym palcie na moment się zawahał, ale kiedy dostrzegł dwóch numerowych, objuczonych dobytkiem pasażera, wyciągnął gwizdek i głośnym, przeraźliwym świstem wezwał dorożkę. Jedna z pustych, przejeżdżających Wileńską, zawróciła w miejscu i podjechała na postój. Radca kolegiálny usadowił się wygodnie, zdjął pelerynę i otulił przyniesioną szubą. Jego rzeczy zapakowano do kufra z tyłu pojazdu, a rower trzeba było wepchnąć pomiędzy siedzenie pasażera a kozioł woźnicy – obok bagażu się nie mieścił. Van Houten z niezadowoloną miną musiał podkurzyć nogi, aby jego zbytorny przedmiot męskiej dumy mógł pojechać razem z nim. W ostatniej chwili, kiedy powóz już ruszał, na kozioł obok dorożkarza wskoczył wachmistrz żandarmerii, jeden z tych dwóch, którzy towarzyszyli majorowi Wotcowowi. Rzucił stangretowi krótkie:

– Jechać!

Odwrócił się do detektywa.

– Pan radca dworu kazał panu towarzyszyć. Na wszelki wypadek... W końcu nie wiadomo, dlaczego...

Tu jego głos stłumił przejeżdżający obok tramwaj konny, który telepiąc się po kocich łbach jezdni, mógłby swoim hałasem zagłuszyć trąby wzywające na Sąd Ostateczny.

Estar nie prosił o powtórzenie ostatniej kwestii swojego nowego „anioła stróża” w błękitnym mundurze – nietrudno było się domyślić, że Andriej Iwanowicz Iszczajew obawiał się o jego życie. Albo o swój stołek. Zawsze lepiej wiedzieć, co robi świeżo przybyła konkurencja... A tak za jednym zamachem ustrzelał dwa szaraki: troszczył się o życie gościa i kontrolował, dokąd przyjezdny się uda.

ROZDZIAŁ 1

Początek zagadki

Apel na łowy^[3]

Tymczasem podniecenie nagłym przebiegiem wypadków opadło, Estar Pawłowicz pogrzyżył się w myślach, a jego dłonie – w szarych, irchowych rękawiczkach z perłowymi guziczkami. Palce spokojnie przebierały paciorki nefrytowego różańca. Chłodny, mało sentymentalny, analityczny umysł rozważał kwestie związane z zabójstwem dawnego znajomego, prawie przyjaciela. Nie bez zdziwienia skonstatował fakt, że na tę stratę – zginął przecież oficer żandarmerii Jego Cesarskiej Mości – *tout le monde* nie zwrócił należytej uwagi! A kiedy ciało niegdysiejszego oficera żandarmerii wyniesiono z dworca, nikt – nawet jego asysta, wachmistrzowie – słowem nie wspomniął o zmarłym... I całe to dziwaczne zachowanie naczelnika policji śledczej... sporo daje do myślenia – żadnego protokołu, przesłuchiwanie pasażerów-świadków na peronie, brak fotografa...

„W ogóle, skąd, tak szybko naczelnik znalazł się na miejscu morderstwa? Ale, ale... powiedział, że się spóźnił na moje powitanie... Niby tak, tylko dlaczego miałby mnie witać? Wedle instrukcji przyjechałem incognito, więc po co na peronie miał mnie oczekiwać naczelnik policji kryminalnej? Fiodor Andreicz też przybył z obstawą... Czyżby się czegoś obawiał? Dokąd odesłali zwłoki? Do kostnicy policyjnej? Według regulaminu powinni. Ale wygląda na to, że chcą ukryć fakt morderstwa na dworcu... Dlaczego zainteresowała ta dziwaczna parka obcokrajowców? Myślałby kto, że Francuzi to tacy obrońcy porządku publicznego! Zresztą, ona nie jest Francuzką. Zaraz potem od razu zostawili mnie w spokoju...”

Setki pytań bez odpowiedzi nurtowały biednego urzędnika szóstej rangi. Na dodatek pojawiły się, nie wiadomo skąd, zupełnie niestosowne, sentymentalne wątki: Kto zorganizuje pogrzeb? No, pewnie z urzędu... Ale kto zajmie się stypą i „pominkami”? Przecież był kawalerem, jego rodzice od dawna nie żyli, rodzeństwa nie miał... Tu napłynęły fale wspomnień... Poznali się zaraz po tragicznej śmierci żony radcy... Podówczas młody podporucznik żandarmerii, chyba raczej dla wciągnięcia go do pracy, praktyki czy obycia ze zwykłymi sprawami dotyczącymi terroryzmu, został przydzielony do śledztwa. Szczerze współczuł detektywowi i nie ukrywał tego. Rok później los zetknął ich znowu – podporucznik nadal był młodym idealistą, wierzącym, że głównym zadaniem ich Korpusu jest ochrona społeczeństwa przed „elementem wywrotowym”. Potem kilka miesięcy ciszy i przypadkowe spotkanie na ulicy – nowe pagony, nowa ranga, a człowiek – już nie ten sam. Oczywiście, jak uprzednio, szczerzy, otwarty, ale równocześnie skwaszony, pozbawiony ideałów, rozważający nawet odejście ze służby. Poszli wtedy razem do „Filippowa” – świeżo upieczony oficer zafundował obławanie awansu szampanem i później upili się obaj do nieprzytomności w kawalerskiej oficynie radcy. Ponownie fatum ich rozdzieliło i dopiero dziś się spotkali... po raz ostatni. Tak, stypa...

„Pewnie sam będę musiał się tym zająć... A tu nawet służącego nie mam... O rany boskie! Muszę też dać na *panichidę* ku pamięci mojego ojca! Zbliża się przecie dwudziesta piąta rocznica jego śmierci... I inny, równie smętny jubileusz: srebrne wesele. Ćwierćwiecze mojej pracy w policji! Ładną nagrodę wyszykował mi książę-pryncypał! Zsyłkę do – przez Boga i cara zapomnianej – guberni...”

Zajęty swoimi myślami i głęboko pograżony w zupełnie niewesołych rozważaniach Van Houten nie obserwował ani miasta, w którym był po raz pierwszy, ani jego mieszkańców. Po Paryżu, Berlinie, Londynie czy Petersburgu nie przedstawiało dla niego nic interesującego. Cóż przeludniona, skępowana w swoim przestrzennym rozwoju fortalicjami i Cytadelą, Warszawa mogła mu zaproponować? Po takich cudach, jakie widział w ubiegłym roku na Wystawie Światowej w Paryżu, gdy nawet Londyn wydał mu się brudną, zaniedbaną i obumierającą metropolią? Królowa Wiktoria dbała głównie o rozwój swojego Imperium, zdobycie nowych i utrzymanie starych kolonii, troskę o stolicę pozostawiając samym londyńczykom...

A Warszawa w przeddzień Świąt, jak to malowniczo opisał dziennikarz „Kuriera Warszawskiego” pełną parą

przygotowywała się do grudniowych, katolickich uroczystości Bożego Narodzenia: „(...) Już wszystko w Warszawie inną przybrało postać; całe miasto krząta się, porządkowanie domów skończone, zacne gospodynie w towarzystwie służących i kucharek zapełniają targi, skupując i ryby na Wilię i drób i mięsne potrawy na dwa następne Święta. Po wszystkich ulicach, na targach, szczególnie za Żelazną Bramą, może najwięcej stoi tasów i sklepików z owocami i przysmaczkami, które na Wilię zwykle bywają zastawiane. (...) Indziej, sklepy z zabawkami odwiedzane są przez matki. Gwiazdka, niepospolitą dla nich uroczystością, sprawienie przyjemnej niespodzianki dziełwie, nie najmniejszym staraniem. Do godziny czwartej będzie wszędzie ludno, ale jak skoro zmrok zapadnie, latarnie zabłysną płomieniem, a gwiazda wieczorna na pogodne lub zachmurzone wejdzie niebo, rodziny w licznych gronie, poufali przyjaciele i domownicy zasiądą pospołu stół Wilii. Dotychczas jeszcze we wszystkich domach na pamiątkę ubogich posłania, na którym Dzieciątko Boże złożone zostało, pod obrusem stołu, albo w około onego, rozścielają snopy słomy albo wiązki siana. Przy schyłku biesiady, kiedy kielich węgrzyna kolej starszych obchodzi, młode panienki, zawsze zmyślne i ciekawe, wyciągają po jednej z pod obrusu źdźbła słomy lub siana, i z nich wróżą sobie czy zapust następnych zdarzy się im pójść za męża? (...) Nie wątpim, że niejedna z miłych warszawianek próbująca dzisiaj tym sposobem losu, nie słomianego wywróży sobie męża”.^[4]

Tymczasem drynda posuwała się powoli – droga z Dworca Wileńskiego do centrum miasta, na Trakt Królewski nieopodal Starego Miasta, choć niezbyt długa, była straszliwie zatłoczona: fiakry, powozy, furmanki i tarantasy, konie i tramwaje konne, sanie, karoce na kołach i na płozach... W dodatku tłum pieszych, beztrósko schodzących co chwilę z wąskich i przepełnionych trotuarów na jezdnię, tamował ruch pojazdów.

Dorożka przejechała z trudem most Kierbedzia – trasę pierwszego warszawskiego tramwaju konnego. Trochę luźniej było na Nowym Zjeździe i po chwili znaleźli się na Krakowskim Przedmieściu. Detektyw zatrzymał się w tym samym, renomowanym i eleganckim hotelu, co niedawno poznani na dworcu cudzoziemcy. Przed samym hotelem woźnica musiał raptownie ściągnąć wodze, żeby niespodzianie zatrzymać w miejscu swój wehikuł, gdyż kawalkada huzarów-birbantów, zajmujących trzy powozy, nonszalancko cwałowała aleją, spychając wszystkich jadących na boki drogi. Bezkarne pomknęli dalej, a stójkowi jedynie odwracali głowy – w drugim powozie widać było uzbrojonych po zęby oficerów i agentów policji.

– Oby cię szlag, skubańcu, trafił! – Wyrwało się powożącemu sałaciarzowi.

„Europejski”, pod który podjechali, należał do najstarszych hoteli tej klasy na Starym Kontynencie. Otworzył swe podwoje przed trzydziestoma trzema laty. Gościł najwybitniejszych i najbogatszych, nawet koronowane głowy. Do ich dyspozycji znajdowała się balwiernia, konditornia, perfumeria, trafika i inne przybytki niezbędne dla luksusowego życia i wypoczynku gości oraz mieszkańców miasta. Dyskretny urok życia burżuazji, ukryty za dębowymi, dwuskrzydłowymi drzwiami z kryształowymi szybami oraz za plecami dwóch potężnych, długobrodych szwajcarów w hotelowej liberii, nie rzucał się w oczy przechodniom – luksusy panowały w środku, a z zewnątrz dominowała zaprojektowana przez Henrika Marconiego wytworność i dobry smak.

Estar Pawłowicz poszedł na górę, do swojego numeru. Apartament składał się z pokoju gościnnego i sypialni. Rzucił szubę służącemu.

Radca, pozbawiony swojego butlera, osobiście musiał nadzorować poczynania hotelowego posługacza, który rozpakowywał jego dobytek. Na początek światło dzienne ujrziała słomiana mata, co wielce zadziwiło numerowego. Urzędnik wskazał mu, gdzie w apartamencie należy rozścielić tę wielką wycieraczkę – pod ścianą w sypialni, znajdującą się w amfiladzie za bawialnią. Potem wyłoniły się na światło dzienne: toaletowy przybornik z japońskiej laki, sterta bielutkich jak śnieg półkoszulków oznakowanych monogramem wyszytym wytwornym haftem, sześć par obuwia, trzy pizamy, szlafrok z jedwabiu, welwetowa bonżurka, tuzin nakrochmalonych koszul i stosowna ilość mankietów i kołnierzyków do nich, mundur wyjściowy, dwa garnitury zimowe – brązowy (sportowy) i granatowo-czarny, tużurek, fildekosowe skarpety, ineksprymable bawełniane i wełniane, chusteczki do nosa, fontaż, dwie apaszki, szaliki, krawaty i pozostała drobnica, także galanteryjna: spinki do mankietów i kołnierzyków, szelki na guziki, paski i podwiązki do skarpetek.

Potem pojawiły się przydatne drobiazgi – drewniana kaseta z przyborami do pisania wraz z zapasem prywatnego papieru listowego i wizytownikiem, latarka, dwie laski, pudło na broń krótką, dwa tubusy z bambusowych prętów na broń białą, dwie paczki amunicji do rewolweru. Całość długotrwałej operacji zwięździło rozpakowanie pudeł na kapelusze – na półki wyłożono melonik, kaszkiet, czapkę mundurową, dwie ciepłe futrzane czapki i skórzaną cyklistówkę. Wśród rozpakowanych rzeczy zjawiły się – niczym wspomnienie lata – sportowy komplet do tenisa (miękkie białe spodnie i dwa białe blezery) oraz całkowicie nie na miejscu – letni garnitur z czesuczy... Na jego widok urzędnik głośno westchnął, przeklinając w żywy kamień najętego w Moskwie służącego.

Kiedy posługacz w hotelowej liberii skończył układać, rozstawiać i rozwieszać ten dobytek, dzentelmen w okrwawionej koszuli wskazał mu jeszcze stojący za uchylonymi drzwiami kuferek – tam znajdowały się przybory sportowe: hantle, ekspander gumowy, jakieś dziwne ciężarki z uchwytami i kilka drewnianych pałek różnej długości, połączonych żelaznymi łańcuchami. Na samym dnie leżał komplet izabelinowej, twardej i szorstkiej odzieży: krótkie do pół łydki, szerokie spodnie wiązane z boku na sznurki oraz coś w rodzaju kurty z szerokim wycięciem, bez kołnierzyka. Oba te dziwolągi wzmocnione były wielkimi łatami z tej samej tkaniny, gęsto poprzesywanymi ściegami, a „kołnierz” kurty miał chyba wszytą dookoła linkę!

Służący wielce podejrzliwie obejrzał te części ubioru gościa i po ułożeniu ich w garderobianej szafie sypialnianej, chciał opuścić apartament ze znaczącym, krzywym uśmieszkiem. Jednak w ostatniej chwili grymas zniknął, niczym zwiany przez huragan... Tego cudu dokonał suty napiwek, który wręczył mu na pożegnanie mieszkaniac numeru.

– Czy każe pan sobie przynieść podwieczorek do pokoju, ekscelencjo? – zapytał na odchodnym.

W chwilę później do drzwi ktoś zastukał, a kiedy gospodarz apartamentu otworzył, do pokoju weszło dwóch posługaczy hotelowych, uginających się pod ciężarem wiader – każdy z nich niósł dwa. Estar Pawłowicz odsunął się z przejścia i obaj konwersowie reguły hotelowej udali się prościutko do łazienki. Wsypali zawartość cebrzyków do monstrialnej, emaliowanej na czarno wanny, stojącej na złożonych lwich łapach. Kolejne napiwki i wreszcie radca mógł zamknąć drzwi i poczuć się jak u siebie – szybko zrzucił ubranie, odkręcił kurek zimnej wody nad wanną. Odczekał chwilę, aż woda pokryje przyniesiony w wiadrach lód i napełni do połowy czarne wnętrze, po czym powoli zanurzył się w mrozącą krew w żyłach mieszaninę...

Po dwudziestu minutach skończył te dalekowschodnie ablucje, krzepiące ciało i nerwy niczym metoda doktora Kneippa. Siadł na rozłożonej w alkwie słomianej macie. W bezruchu rozluźnił mięśnie. Uporządkował myśli, chociaż przyszło mu to z wielkim trudem. Tyle podejrzanych wątków, na które natknął się podczas kilku minut pobytu na dworcu. Strata dość bliskiego i lubianego kolegi. Wszystko to nasuwało tysiące natrętnych pytań, podejrzeń i asocjacji, a myśli przebiegały umysł niczym gimnaziści podwórzec szkolny podczas długiej przerwy... zderzając się i wprowadzając w rozmyślenia pełen chaos. Upłynęło parę minut, zanim Estarowi Pawłowiczowi udało się opanować ten rozgardiasz i skoncentrować na sukcesywnym rozważaniu kolejnych problemów. Kilka chwil później już o niczym nie myślał. Siedział, kontemplował istotę bytu i zapadł w trans. Ocknął się dopiero po pół godzinie – świadom, co należy robić i w jakiej kolejności.

Zaproszenie od generała-gubernatora, wszechmocnego gospodarza Moskwy, leżało na tacy z wizytówkami. Spoczywało tam od miesiąca, kiedy japoński przyboczny urzędnika wyjechał do stolicy, pozostawiając swojego pana bez opieki, zaś najęty służący całkowicie bojkotował swoje obowiązki. Poza porannymi przygotowaniami (kąpiel, golenie, śniadanie), przez całą resztę dnia, czyli – pod nieobecność gospodarza – zbijał bąki. Na dodatek często się „urywał” – wiedząc, że pozostanie bezkarny (został przyjęty tylko na trzy miesiące, bez żadnej nadziei na przedłużenie kontraktu). W takich chwilach pan radca przeklinał swoją nadgorliwość – kto mu kazał, podczas urzędowej narady u generała-gubernatora, wspomnieć, że jego służący jest Japończykiem? A później, kiedy narada się zakończyła i rozpoczęto rozmowy na różne, państwowe tematy, przy okazji dyskusji o raptownym wzroście gospodarki Cesarstwa Kwitnącej Wiśni i nastrojów militarystycznych tamże, rzucić uwagę, że warto by otworzyć kursy tłumaczy... oraz kursy japońskiego dla wojskowych szyfrantów?...

Teraz jego skośnooki dręczyciel i opiekun zarazem uczy japońskiego piersiaste telegrafistki i szyfrantki z Ministerstwa Wojny na zakonspirowanych kursach w Carskim Siole. Azjata z początku długo się sprzeciwiał. Powoływał się na kodeks honoru bushi i suponował, że nauki te pachną „zdradą ojczyzny”. Ale kiedy pan radca niebacznie wspomniał, że większość jego studentów będą stanowiły młode kobiety – natychmiast przestał stawiać opór. Kursa były tak sekretne, że zorganizowano je w oddzielnie stojącym budynku na terenie koszar lejbgwardii, a uczestników (i uczestniczki) przewożono z dworca w zamkniętych na głucho karetach, aby nikt nie mógł odgadnąć, o co chodzi.

„ Teraz pewnie czuje się jak w mużułmańskim raju, a ja znajduję ważną korespondencję na tacy z wizytówkami! Dobrze, że nie w wiadrze na węgle!” – pomyślał detektyw.

Zaproszenie zostało wydrukowane na oficjalnym, ozdobnym papierze i zawierało adnotację o obowiązkowym „stroju wyjściowym”. „Czyżby w końcu petersburska kamaryla przyznała mi tak dawno obiecaną przez szefa Annę albo awans?” – przemknęło mu przez myśl.

Następnego poranka, odziany w wicemundur, ale bez orderów i paradnej szpady urzędniczej (nie należy przesadzać, samej dekoracji na pewno nie będzie), wyświeżony tak, że wszystkie elegantki na ulicy oglądały się za nim, wsiadł do wolanta i polecił się zawieźć do pałacu księcia-gubernatora. Z odrobiną wyższości popatrywał na tłumy na Twerskiej – nie każdy z urzędników może bywać w tym pałacu, rzadko który dostaje tam zaproszenie, a już nieliczni – doznają tam honorów!

Ponieważ droga nie była daleka, urzędnik do zadań specjalnych nie zdążył się rozmarzyć, gdy wynajęty powóz już podjeżdżał pod paradne wejście. Wyelegantowany urzędnik szóstej rangi raźnie wyskoczył i biegiem pokonał schody, na szczycie których fagas w mocno napudrowanej peruce otworzył przed nim odrzwia. Kiedy drzwi trzasnęły za plecami gościa, tuman pudru, zwiany przeciągiem z peruki odźwiernego ozdobił kredową bielą ramiona i połowę pleców munduru zaproszonego urzędnika. Klnąc w duchu, pokaszując od pyłu, który wdarł się mu też do gardła i otrzepując się, galant szparkim krokiem zmierzał na pierwsze piętro, do Sali Audiencyjnej, gdzie wyznaczono miejsce spotkania.

Przed podwójnymi, białymi, gęsto zdobionymi połączonym ornamentem drzwiami sali zatrzymał się na sekundę, poprawiając uczesanie i przyglądając wąsiki. Breguet w kieszeni wydzwonił cichutko godzinę dziewiątą. Dwóch służących rozwarło skrzydła wejściowe i radca kolegiálny wkroczył do pomieszczenia.

Obszerna sala była pusta. Rozczarowany rozejrzał się, ale służba zamknęła za nim podwoje i zniknęła bezszelestnie. Czerwony dywanik wiódł przez całą komnatę, a obwieszone zwierciadłami ściany stwarzały złudzenie optyczne, że salon nie ma końca. W głuchoj ciszy radca kolegiálny ruszył przed siebie, ku pustemu fotelowi królującemu na podwyższeniu u przeciwległej ściany pomieszczenia. Kiedy dotarł do połowy drogi, zasłona za siedziskiem drgnęła i zza tej gęsto wyszywanej opony wysunęła się postać chuderlawego starucha z lśniącą, żółtą, łysą czaszką, ogromnymi bakenbardami szympansa, w pasiastej kamizelce i wytartej liberii. Na wielkich stopach miał wojłokowe bambosze. Wyszedł na przygiętych nogach, surowo spojrział na gościa i przyzwał go palcem bliżej siebie. To był osobisty kamerdyner jego ekscelencji, szara eminencja, *alter ego* „Wowki” Andriejewicza. „Mroczna władza” – jak o nim mówił lud w Moskwie. Oczywiście, za jego pochyłymi, ale wyjątkowo giętkimi plecami...

Kiedy urzędnik przybliżył się na tyle, że oddzielał go od żylastego, energicznego matuzalema tylko ustawiony obok fotela stół, kamerdyner nałożył okulary o grubych jak denka od szampana szklach. Karcąco spojrział na radcę, przeżegnał się, zgiął się wpół jak scyzoryk i wyszeptał mu wprost do ucha:

– Polecono mi przekazać panu, że generał-gubernator jest bardzo niezadowolony... Audiencja zostaje odwołana. Jego Ekscelencja... Wystawiłeś go pan na pośmiewisko... swoim tajnym raportem, w którym stwierdziłeś pan, że zabiłeś tego „Kubusia Patroszyciela” czy jak mu tam... A ten nadal działa! Tylko że teraz w Warszawie. Uciekł panu, a pan przypisałeś sobie niesłuszną zasługę.

Tu groźny, acz zupełnie spokojny totumfacki księcia przerwał, rozkaszał się rozpaczliwie i długo. Potem ciągnął dalej, ocierając zaślinione usta wielką, białą chustką do nosa i mamrocząc przez nią:

– Mimo to Jego Wysokość, w swej dobroci serca... daje szansę na rehabilitację... Pojedziesz pan do Warszawy, gdzie

przyjacieli jego książęcej mości... zresztą to teraz nieważne. Udaj się pan na dół, do sekretariatu. Znajdź pan tam zarządcę tajnego oddziału kancelarii generała-gubernatora, Akakija Jegorycza Baszmaczkin i od niego odbierz polecenia i dokumenty podrózne. Książę czuje się urażony... wystawiono go na pośmiewisko, bo przekazał pański raport ministrowi... do Petersburga, a ten teraz... Krótko mówiąc, pojedziesz pan do Warszawy, zachowując ściśle incognito, tam nasza jurysdykcja nie sięga... z przyjacielską wizytą, na własną prośbę, na urlop. Jednak zanim odprawisz się pan w podróż, na żądanie ministra stawisz się pan z karnym raportem w ministerstwie, w stolicy. Książę nie ochronił... to jeszcze nie czas na starcie z kamaryłą. Tam musisz się pan wytłumaczyć z pomyłki. I z zabicia pewnie niewinnego człowieka. Kara nie będzie surowa... chcą przecie dosięgnąć księcia pana, to dopiero początek... Aleć dałeś im, radco, pretekst. Pewnie będą się starali przeciągnąć pana na swoją stronę... Lekki szantażyk? Albo coś podobnego... Smaczny kąsek? Awans? Anna?... Dlatego generał-gubernator polega na panu, że honorowo zakończysz tę sprawę, w powiedzmy... dwa tygodnie? I jeszcze jedno... Acz w Warszawie podlegać pan będziesz jedynie generałowi-gubernatorowi Królestwa, Josifowi Władymirowiczowi Hurko, to zaszyfrowane raporty będziesz pan przysyłać przez naszego... khmmm... khmmm... zaufanego, kancelistę oberpolicmajstra Jefima Semi-Bułatowa. Sam pana tam odnajdzie.

Pogładził lśniące, rozczesane bokobrody starej małpy, przetaił chustką łusą, świecącą czaszkę i rzekł na pożegnanie:

– W imieniu księcia proszę, aby zatuszował pan ten skandal jak się da najszybciej. To jest, złapał mordercę... Nawarzyłeś nam-ć pan piwa, to je wypij...

To pożegnanie i dwuznaczna wypowiedź starego szelmy długo dźwięczała urzędnikowi w głowie, kiedy skonfundowany, powoli, samotnie kroczył przez pustą salę do drzwi wyjściowych. Echo kroków głośno odbijało się od ścian i luster, a pogłos potęgował się pod sufitem: tap-taptap, tap-taptap, tap-taptap...

Następnego ranka odjechał z Dworca Nikołajewskiego do Petersburga porannym pociągiem we własnym przedziale I klasy. W pociągu było pełno Czuchoców, więc szybko zrejterował do swojego *coupé*, gdzie spędził cały czas podróży – spożywając tam nawet posiłki zamówione w wagonie restauracyjnym. Czas zabijał ulubioną lekturą – niedługo przed wyjazdem dostarczono mu właśnie świeżo wydaną, ostatnią część cyklu przygód Tartarena, pióra Prowansalczyka pana Daudeta – *Port Tarascon*. Kiedy skończył, sięgnął po drugą, trochę „starszą” nowość – tym razem przywieziona z ostatniego wojażu do Londynu, arcyzabawną powieść angielskiego humorysty *Trzech panów w łódce*. Doskonała lektura wypełniła mu bez reszty nudną drogę, a kilka rubli asygnatami zapewniło dyskretny i błyskawiczny serwis obsługi kolejowej – wyśmienite cygara, koniak i równie doskonała kawa pomogły mu sprawić się z ciężkimi myślami o tym, co czeka go w ministerstwie.

Kiedy wysiadał w Petersburgu, zauważył, że peron jest zatłoczony żandarmami kolejowymi.

„Pewnie w pociągu przyjechała jakaś szyszka, może ktoś z carskiej rodziny?” – przyszło mu na myśl. Jednak nie, to wśród witających był ktoś książęcej krwi – w paradnym mundurze i z bukietem kwiatów w ręku. Radca nie przyglądał się specjalnie, jedynie kątem oka dostrzegł, że naręcze oszalałymi pięknych, tropikalnych roślin podano damie, która wysiadła z sąsiedniego wagonu. Od razu rozpoznał przybyłą – tancerkę Teatru Maryjskiego z Petersburga, słynną Olgę Priobrażeńską. „Co za czasy! – pomyślał – żeby książę krwi afiszował się ze swoją flamą na dworcu, na oczach publiki i gawiedzi!”

Wyszedł z dworca, niewielki bagaż odprawił dorożką do hotelu, w którym zazwyczaj zatrzymywał się podczas pobytów w mieście stworzonym przez Piotra, a sam poszedł piechotą po Newskim. Nie lubił Petersburga jako stolicy, ale kochał jako miasto. Jego Petersburg był grodem Balmonta, a nie Gogola czy Dostojewskiego. Kiedy odszedł już jakieś sto metrów, środkiem alei przejechał książę ze świtą, odwożąc kochankę. Karoca i jadące za nią wolanty zablokowały całą jezdnię. Książęcy kuczerzy batami bili po głowach woźniców zagradzających swoimi pojazdami drogę i spędzali z trasy inne wehikuły. Któryś z oburzonych przechodniów, jakiś – sądząc po czapce – student, z wypiekami na policzkach zwrócił się do stojącego na krawędzi trotuaru stójkowego:

– Panie posterunkowy, czemu pan nie zwraca uwagi na nieporządek?

Ten odpowiedział:

– Słońce – to nie w moim rewirze.

Estar Pawłowicz uśmiechnął się krzywo i smętnie. Przemknęła mu błyskawicą myśl: W moim też nie. Najpewniej...

Spacerował z godzinę, później odprawił się małym, zwinnym i szybkim okręcikiem wyposażonym w parowy kocioł Szuchowa na Wyspę Wasilewską. Z dumą patrzył, jak maleńki stateczek błyskawicznie nabiera prędkości i wyprzedza swoich kolegów – statki i łodzie parowe poruszane popularnymi jeszcze niemieckimi i angielskimi maszynami na parę.

– Tak, tak... Jeszcze trochę i przegonimy was, synowie Albionu i Germanii!

Na Wasilewskiej spędził kilka godzin w pewnym mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy, po czym udał się w drogę powrotną do centrum, do hotelu. Szybko zapadająca ciemność, zimny i przenikliwy wiatr wydłużały podróż po Newie i jej kanałach, dlatego elegant z ulgą wysiadł przy Fontance. Złapał przejeżdżającego fiakra, szybko znalazł się przed budynkiem hotelu, jaskrawo oświetlonym elektrycznymi lampami Łodygina.

Nazajutrz, rannym świtem, przespacerował się na plac przed Pałacem Zimowym, gdzie w sąsiednim budynku ministerstwa oczekiwano go na długo przed rozpoczęciem oficjalnego urzędowania. W kancelarii generała już pracowano. Radca, w paradnym mundurze ze szpadą, zatrzymał się przed biurkiem siedzącego tam urzędnika – pozostali, zaafelowani, biegali z dokumentami od szaf do pulpitów, od pulpitów do sekretu. Panował kompletny rwetes i krzątanie, obrazowo mówiąc, wyglądało to tak, jakby ktoś wetknął kij w mrowisko. Siedzący – okazały, tęgi człowiek o bardzo dużej głowie – uważnie przyjrzał się stojącej przed nim postaci. Kiedy przybysz chciał się przedstawić, urzędnik powstrzymał go gestem i odezwał się jako pierwszy:

– Oczekujemy lada chwila Jego Wysokości. Uda się pan wprost do niego. Proszę, póki co, spocząć sobie tam, w fotelu.

Przybyły nie zdążył zagłębić się w wygodnym, głębokim wolterze, gdy gwałtownie rozwarło drzwi i do sekretariatu wkroczył, stukając obcasami i dzwoniąc ostrogami, dziarski oficer. Zaraz za nim wszedł minister ze świtą: osobistym adiutantem, dwoma ordynansami i skromnie odzianymi czterema agentami w melonikach. Agenci od razu skierowali się ku kanapom i fotelom w pokoju, ordynansi zajęli miejsce z obu stron drzwi wiodących do gabinetu, adiutant już je otwierał przed generałem. Minister żwawo wstąpił do komnaty, ale zanim zamknięto za nim drzwi, wezwał ruchem dłoni przygiętego w półukłonie radcę. Urzędnik szóstej rangi, podwładny generała-gubernatora Moskwy, wyprostował się i trochę niezgrabnie podreptał za gospodarzem. Zaraz za nim drzwi zamknięto.

Znali się nie od dziś i również nie od dnia dzisiejszego darzyli się wzajemną antypatią. Minister stanął przed biurkiem, bo w ten sposób mógł grzecznie *nie poprosić* gościa o zajęcie miejsca w fotelu.

– Panie radco kolegiatny, wezwałem pana nie po to, aby udzielić reprimendy, ale ze względu na niecodzienny, absolutnie wyjątkowy charakter sprawy. Dlatego też spotykamy się o tej porze – nie chciałem, aby ktokolwiek wiedział o pana misji, a raczej o jej dodatkowym, związanym z dworem, aspekcie. Każda chwila jest droga, toteż natychmiast po skończeniu naszej rozmowy uda się pan na dworzec i odprawi do Warszawy. Bilety i potrzebne dokumenty odbierze pan u mojego sekretarza w poczekalni, a w sedno sprawy wprowadzi pana, no, powiedzmy bardziej szczerze – wtajemniczy – mój starszy oficer ordynansowy, podpułkownik hrabia Nikołaj Andreicz Kapitonow. To jest rzecz wagi państwowej, dlatego zarządzam tajne śledztwo w sprawie tych morderstw. Sprawa ma kryptonim „Gospodyni”. Obowiązuje pana całkowita dyskrecja i bardzo, bardzo proszę działać ostrożnie i bez rozgłosu. I tak rozejdą się plotki. W żaden sposób sprawa nie może dostać się do prasy! Śledztwem oficjalnym, ma się rozumieć, pokieruje urzędnik oberpolicmajstra Warszawy, wspomagać go będzie major Fiodor Andreicz Wotcow z III Wydziału. Już zawiadomiono go o pana przyjeździe do Warszawy. Zdaje się, że się znacie?... Tym lepiej, łatwiej się będzie wam pracowało. Ale nie wolno go wtajemniczać w to, o czym pan się dowie. Tylko pan będzie znał wszystkie szczegóły. I jeszcze jedno – mój adiutant pojedzie tym samym pociągiem. Będzie mu pan codziennie przekazywał kopie wszystkich raportów, w tym także te, które ma pan wysyłać generałowi-gubernatorowi Moskwy. Tak, tak, te zaszyfrowane. Oddzielnie, wyłącznie dla mnie sporządzał pan będzie krótką notatkę, dotyczącą jednego aspektu tego casusu. Aby nie było z tym kłopotów, mój adiutant ma zarezerwowany pokój nieopodal pańskiego w „Europejskim”. W ten sposób nie będziecie musieli się szukać. A teraz

proszę nie tracić czasu, odebrać dokumenty wyjazdowe, bilety i pieniądze u mojego sekretarza, a następnie udać się na dworzec w towarzystwie podpułkownika Kapitonowa, który po drodze wprowadzi pana w sedno sprawy. Życzę sukcesu i żegnam.

Minister skinął na pożegnanie głową i natychmiast odwrócił się plecami, kierując się za biurko. Detektyw chłodno odklonił się dolnej krzyżowej ministra i podszedł ku drzwiom wiodącym do sekretariatu. Kiedy już prawie dotknął klamki, zza biurka dobiegł go jeszcze chłodny głos:

– My dobrze wiemy, żeś pan usunął z tego świata właściwego człowieka, tego Jacka Rippera. Nie chcieliśmy jedynie, aby w Moskwie domyślono się, jaki jest prawdziwy cel pańskiego wyjazdu. W Warszawie grasuje ktoś inny, osobnik podszywający się pod niego. Jeśli pojma go pan – to dobrze, ale proszę pamiętać, że zadanie jest inne! Nie darzę pana sympatią, wiem, że pan też odnosi się do mnie z rezerwą, ale cenię pana, radco, za talent i profesjonalizm, dlatego to zadanie powierzyłem właśnie panu. Jeżeli odniesie pan sukces – nagrodą będzie Anna z rąk Najjaśniejszego Pana. Pierwszego stopnia. Ze wstęgą. Albo – z mieczami.

Urzędnik do zadań specjalnych wysłuchał perory, stojąc twarzą do drzwi i rewanzując się mówcy widokiem swoich pleców wraz z ich nieodłącznym, dolnym fragmentem, po czym w milczeniu wyszedł z gabinetu. W poczekalni, oprócz agentów, którzy zdjęli już meloniki, sekretarza i podpułkownika Nikołaja Andrejewicza nie było nikogo. Zniknęli pozostali urzędnicy i wywiało bez śladu nawet dwóch ordynansów. Radca podszedł do biurka kancelisty, odebrał grubą paczkę asygnat, dokumenty wyjazdowe, bilety, a kiedy chciał pokwitować ich odbiór, usłyszał z tyłu głos adiutanta:

– Żadnych podpisów, panie radco! Spieszmy się, musimy zdążyć dojechać na Dworzec Warszawski. Chodźmy.

Radca wzruszył ramionami i odwrócił się od biurka. Wysoki, bardzo szczupły oficer z niewielką szramką na dolnej wardze wskazał mu drzwi gestem eleganckim, acz niezbyt grzecznym, lekceważącym. Wyszli natychmiast, a sekretarz tylko westchnął, popatrzył za nimi z wyrzutem i zaczął porządkować papiery.

Pojechali dorożką, których przed pałacem nigdy nie brakowało, na plac pomiędzy Kanałem Obwodowym i aleją Izmańską. Most, który mijali po drodze – przerzucony przez kanał – nazywał się tak, jak Dworzec – Warszawski.

ROZDZIAŁ 2

Pierwsze kroki...

Kardynalnym błędem jest teoretyzowanie przed zebraniem wszystkich faktów.^[5]

Porannek zastał radcę w kiepskim nastroju – po wieczornej rozmowie z hrabią Kapitonowem, którą skłonny byłby raczej określić jako „odprawę”, przez całą noc gryzł się z myślami. Podpułkownik zdążył przekazać mu w dorożce ogólnikowe instrukcje i – nie czekając na pytania interlokutora – zaraz po przyjeździe na dworzec zniknął w tłumie pasażerów, zapewne szukając swojego wagonu i przedziału. Nie pojawił się więcej, chociaż urzędnik do specjalnych poleceń oczekiwał go do późnej nocy, chcąc wy badać w czym rzecz, bowiem z niejasnych sformułowań ministra w dalszym ciągu nie mógł domyślić się wagi sprawy. Dlaczego niby miała być „państwowego znaczenia”? Mordercy na tle seksualnym występowali podczas całych dziejów ludzkości, co prawda dopiero od niedawna zaczęto zwracać na nich uwagę, ale nie tylko dlatego, że wcześniej policje były mniej sprawne. Przede wszystkim nie zajmowały się teoretyzowaniem: złapały sprawcę jednej czy dwóch zbrodni, oddawały go w ręce sprawiedliwości (co oznaczało najczęściej topór, stryczek lub gilotynę) i nie przejmowały się, ile rzeczywiście takich przestępstw ów człowiek popełnił oraz z jakich pobudek. Tak... kiedyś życie było prostsze... i piękniejsze.

„O co tu chodzi?” – Westchnął głośno, sięgnął po szklanę gorącej herbaty z samowara (konduktor przyniósł go parę minut wcześniej, kiedy stanęli na stacyjce), a drugą ręką rozsupłał węzeł taśmy opasującej grubą tekę z żółtej skóry. Po kolei wyjmował arkusiki, które dwa dni wcześniej wybrał w swoim moskiewskim domowym archiwum i w niej właśnie zdeponował. Przeczytał je szybko, ponieważ znał ich zawartość na pamięć – sprawa jeszcze nie zdążyła pokryć się kurzem. Chciał się jedynie upewnić, czy nie przeoczył niektórych szczegółów. Na oddzielnej karcie szybko nakreślił listę nazwisk, złożył ją wpół i umieścił na wierzchu akt wsuniętych z powrotem do teki. Potem wyciągnął cienutki skoroszyt, złamał pieczęci i równie szybko go przejrzał. Zrobił kilka dopisków na liście, zamknął i ponownie go zapieczętował, topiąc laseczkę laku (przezornie umieszczoną w tece) nad kominkiem lampy naftowej umocowanej powyżej zagłówka siedzenia w przedziale. Wetknął wszystkie papiery do aktówki, opasał ją na nowo taśmą, zawiązał i umieścił w sakwojażu.

Ledwie osiągnął *kensho*, gdy do drzwi apartamentu hotelowego dyskretnie zastukano – to wrócił posługacz hotelowy z pytaniem, gdzie umieścić „ten dwukołowy wehikuł”, który przywieziono dorożką, ale o którym przy wnoszeniu bagaży obsługa zdążyła zapomnieć. Na szczęście rozmiar tej „sztuki” był na tyle duży, że po chwilowym rozgardiaszu sama się znalazła – welocyped wpadł w oko portierowi. Radca poprosił, aby rower przechowywano w składziku na parterze albo w piwnicy hotelu, ale tak, żeby łatwo można było go stamtąd dwa razy dziennie wydobyć, kiedy przyjdzie pora treningu. Nie obyło się bez kolejnego, tym razem znacznie mniejszego „dowodu pamięci”, po czym lokaj zniknął bezszelestnie niczym uśmiech kota z Cheshire, atoli jego najście zapoczątkowało całą serię kolejnych wizyt. Jeszcze klamka dobrze nie ostygła, a już poruszyła się ponownie – po uprzednim delikatnym skrobaniu do drzwi.

„Pies czy co, do licha?” – zdążył pomyśleć gospodarz, gdy do komnaty wkroczył niski, krępy człowieczek w zielonej jesionce oraz lekko zdeformowanym i silnie przetartym na rondzie nakryciu głowy, kiedyś będącym najpewniej melonikiem. Czerwony nochal zajmujący pół twarzy i świńsko bystre oczka w albinotycznej oprawie bezbarwnych rzęs dopełniały obraz tego przysadzistego indywiduum, którego twarz była tak wysoko obwiązana szalem, a melonik był tak nisko nasunięty na brwi, że nic więcej z lica nie dało się dostrzec. Osoba wtoczyła się na środek pokoju, zatrzymała się u nóg siedzącego moskwianina i wydyszała chryplym szeptem, pośpiesznie galopującym niczym konie pijanego woźnicy:

- Pan radca kolegialny?... Kłaniam się nisko, jestem Semi-Bułatow, Jefim Fomycz. Z kancelarii oberpolicmajstra...
- Aaa – zdążył wydać z siebie zdumiony Estar Pawłowicz, gdy krępy osobnik pochylił się i szepnął mu wprost do

ucha:

– Teraz nie mamy czasu, zaraz przyjadą... Raporciki-rappaporciki, chi, chi, chi... proszę po napisaniu wrzucać do wazy, która stoi w korytarzu na pańskim piętrze, tam, pod lustrem. Gdyby... no, gdyby zaszła absolutna, ale powtarzam ABSOLUTNA konieczność, znajdzie mnie pan w pracy, w pokoju numer 7, na pierwszym piętrze. Albo – ale naprrrrrrawdę tylko w najpoważniejszych przypadkach – w moim domku, na Wiślniej 14. Ale proszę o ścisłą tajemnicę! I pełne incognito! Żeby nikt za panem nie węszył... Teraz uciekam, nie zwlekam... Zaraz pan będzie miał gości, przyjdą ichmości... *Au revoir, merci, bienvenu à Varsovie*, ściskam rączki, padam do nóżek i do zobaczenia!

Przybysz okręcił się na pięcie, wyprostował i wysłiznął się za drzwi, które zamknęły się błyskawicznie i tak cicho, że radca aż przetarł oczy, nie będąc pewny, że to wszystko mu się nie zwidziało.

Jednak ślad brudnych butów na dywanie upewnił go, że nie miał do czynienia z fatamorganą. A widma zazwyczaj – przed pojawieniem się – odwiedzają pucybuta. Otrząsnął się z lekkim obrzydzeniem i zadzwonił po służbę. Lokaj pojawił się tak szparko, że od razu można się było domyślić, iż stał za drzwiami.

– Proszę TO sprzątać! – Rzucił głośno radca, a w myśli zakonotował, że kancelista oberpolicmajstra i zaufany człowiek gubernatora moskiewskiego ma na swoich usługach hotelową liberię.

Ledwie posługaczka wezwana przez piętrowego zdążyła przetrzeć kobierzec, kiedy ponownie zastukano – tym razem władczo i głośno. Estar Pawłowicz nie zdążył powiedzieć „Proszę!”, kiedy drzwi otwarły się i w progu ukazał się dygnitarz pełniący obowiązki naczelnika policji kryminalnej miasta Warszawy, radca dworu Andriej Iwanowicz. Iszczajew trzymał w jednym ręku melonik, a drugą rękę – uwolnioną od rękawiczki – wyciągnął, aby przywitać się z gościem w stolicy Kraju Nadwiślańskiego. Ten uprzejmie wstał, również podał dłoń do uścisku, eleganckim gestem wskazał gościowi miejsce w fotelu naprzeciw. Andriej Iwanowicz rzucił palto i melonik na kanapę i głęboko zanurzył się w fotelu, władczo się rozsiadając. Protekcyjnym wzrokiem popatrzył na Van Houtena i sięgnął do wewnętrznej kieszeni tużurka po papierośnicę, równocześnie grzecznie zapytując:

– Można?...

– Tak, proszę.

– Pozwoli Pan, panie radco kolegiálny – tu głos zabrzmiał wyraźnie nonszalancko – że przejdę od razu do meritum. Za chwilę dołączy do nas mój zastępca, który wprowadzi pana w dalszy tok spraw, a ja będę zmuszony pana opuścić. Obowiązki, sam pan rozumiesz, cóż zrobić... Pańska wizyta u... została odwołana, to zapewne... – głos Andrieja Iwanowicza zabrzmiał lekko tryumfalnie – rezultat dzisiejszego... eee... zajścia. Albo może została przełożona... Nie, nie wiem. W każdym razie dziś się nie odbędzie. Zresztą, samej sprawie to nie przeszkadza... Zatem, jak pan wie, w naszym mieście w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zginęło sześć kobiet. Znalezione ciała zostały... pozbawione wnętrzości. Asesor kolegiálny udostępni panu akta. W naszym biurze policji, ma się rozumieć. Póki co, zamknęliśmy usta pismakom – to nie Moskwa ani stolica, tu nasza władza – głos radcy dworu zabrzmiał majestatycznie – nie jest skrępowana zbędnymi konwenansami... Zwłaszcza po zduszeniu ostatniej rebelii. Wszystkie zamordowane były cichymi lub jawnymi prostytutkami. Niektóre – już w odstawce. Jedna – chyba dopiero debiutowała. Cztery z nich miały zarejestrowane książeczki, co pomogło nam w identyfikacji – ponieważ musiały chodzić do lekarza, znaliśmy niektóre cechy, których nie mógł usunąć kwas. Tak... właśnie, zapomniałem powiedzieć. Twarze ofiar zostały spalone kwasem. Jak wykazały sekcje przeprowadzone przez konsyliarzy – potraktowano je żrącymi substancjami dopiero po ich śmierci. Szczegóły pozna pan z akt. Poproszono władze policyjne z Petersburga o pomoc, ponieważ na tym terenie dotychczas nie zewidencjonowano takich zbrodni. A Ministerstwo przysłało właśnie pana, zapewne z powodu jakichś – głos mówiącego wyraził silne powątpiewanie – doświadczeń w tej dziedzinie. Ponieważ cieszymy się w stolicy poważaniem i nasze sukcesy w pracy policyjnej w tej guberni cenione są wysoko, nawet osobiście przez Najjaśniejszego Pana, powierzono panu tylko doradztwo, stąd ten pański urlop. Innymi słowy, jest pan naszym gościem i chętnie – w razie potrzeby – zasięgniemy pańskiej konsultacji. Cieszę się bardzo z pańskiej wizyty i jak tylko znajdę wolną chwilę, z wielką radością wprowadzę pana na tutejsze rosyjskie salony...

Tu pan radca dworu, napuszony jak indyk i zadowolony z siebie, że tak zgrabnie wskazał przybyłemu przysługujące mu

w szyku miejsce, pozwolił sobie na kilka konwencjonalnych, gładkich, nijakich i oklepanych komplimentów pod adresem gościa, aby złagodzić tym lukrem gorzki wydźwięk poprzednich słów.

Moskwianin siedział w milczeniu, czekając, aż dworny radca dworu zakończy dusery. Kiedy już chciał zabrać głos, od drzwi dobiegł odgłos stukania i do numeru wkroczył oczekiwany Kozulin. Również on trzymał w ręku służbowy melonik, ale zanim zdążył się przywitać, Iszczajew wstał, rzucił panu radcy pogardliwe spojrzenie, podniósł swoją odzież z kanapy i podszedł do asesora.

– Drogi Aleksy Iwanyczu, zechciej, proszę, zaopiekować się naszym drogim radcą w moim zastępstwie... zgodnie z instrukcjami. Pokaż pan naszemu gościowi miasto, itepe, dobrze? Ja muszę już uciekać.

Skłonił się ciągle siedzącemu Van Houtenowi i nie czekając na rewerans, pośpiesznie wyszedł, prawie wypychając sprzed drzwi na środek pokoju swojego pomagiera. Trzasnęły podwoje, dopiero wtedy pan asesor kolegialny zwrócił się do Estara Pawłowicza. Z dwulicowym, jednocześnie pobłażliwym i przymilnym uśmiechem przywitał się i zaproponował, aby dalszą rozmowę przeprowadzić, jak się wyraził, w „stosowniejszym ustroniu”.

– Co-co pan przez to rozumie? W ko-kostnicy? U Zot-tcowa? – Zupełnie serio, zająkując się, rzucił gospodarz apartamentu.

Aleksy Iwanycz wyglądał, jakby ktoś go w twarz uderzył. Opanował się jednak i fałszywie udając, że nie pojął aluzji odrzekł:

– Nie, broń cię, Panie... myślałem o kafenhauzie albo kafeterii. Zdążymy wszystko omówić i pozna pan lokalny koloryt.

Pan radca kolegialny chwilę się zastanawiał, po czym nad wyraz spokojnie rzekł:

– Ciekawy pomysł. Pan pozwoli sobie poczekać... w hallu. A ja się przebiorę.

Kozulin przełknął niegrzeczność jak gęś kluskę – z wielkim wysiłkiem – i godnie wycofał się z pokojów. Estar Pawłowicz szybko rozejrzał się po komnacie, szukając telefonu, ale takowego nie znalazł. Prychnął i poszedł się przebrać. Parę minut później elegancki goguś zamykał drzwi swojego lokum, a potem – ku zdziwieniu piętrowego – nie skorzystał z windy, tylko zszedł schodami. Dla służby. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi prowadzące na „czarną” klatkę schodową, ruszył biegiem, przeskakując po kilka stopni. Zupełnie nieziajany wszedł na parterze przez boczne drzwi do hallu, przecisnął się pomiędzy donicą z palmą a stojakiem z prasą dla wizytujących. Niezauważony dotarł do kabiny z telefonem. Widział przechadzającego się pośrodku hallu asesora, który niecierpliwie spoglądał na kutą kratę wejścia do windy. Kiedy radca zatrzasnął za sobą drzwi kabinki, oparł się plecami o ściankę tak, aby cały czas widzieć środek westybulu. Dwukrotnie postukał w widełki aparatu, aż odezwała się telefonistka z centrali.

– Z pałacem generała-gubernatora, proszę. Z adiutantem Jego Ekscelencji, lejtnantem Fiodorem Fiodorowiczem Bykowem.

– Już łączę.

W tej chwili po głównych schodach do hallu zbiegł lokaj, który skierował się wprost do Kozulina i zaczął nerwowo szeptać mu coś na ucho.

– Bykow, słucham.

– Van Houten, jestem już w Warszawie i, gdyby był pan tak uprzejmy, chciałbym prosić o audiencję u Jego Ekscelencji. W miarę możliwości – dzisiaj. Jego Ekscelencja będzie wiedział, o co chodzi.

– Ach, to pan? Oczywiście, wiemy wszystko. Ale pan przecież odwołał swoje dzisiejsze posłuchanie? Iszczajew dzwonił...

– Bardzo przepraszam za nieporozumienie. Pan radca dworu OPACZNIE pojął moje słowa... Zanim je wyrzekłem.

– Rozumiem... Jednak grafik dzisiejszy jest już bardzo napięty... Generał-gubernator mógłby pana przyjąć dopiero o północy. Może nawet lepiej – kwadrans po północy... Czy to panu odpowiada, panie radco?

– Tak jest. Zwłoki nie cierpią zwłoki. Będę punktualnie. Gdzie mam się stawić?

– Przyjadą po pana do hotelu. Zgoda? Powołają się na mnie.

– Jestem bardzo zobowiązany... Do zobaczenia.

– Do wieczora.

Mówiąc ostatnie słowa, Van Houten siedział w kucki, aby oszklone w połowie drzwi zasłaniały go przed wzrokiem przeszukujących hall Kozulina i lokaja. Odwiesił słuchawkę. Przykucnięty, wychylił się z kabiny i zgięty w pół opuścił ją, kryjąc się za oparciem stojącej o parę kroków przed nim wielkiej, wyściełanej morską trawą skórzanej kanapy. Ukradkiem obserwując poszukujące go postaci, wykorzystał moment, kiedy para gończych ogarów odwrócona była do niego plecami, wyprostował się, szybko wykonał dwa kroki i wziął ze stojaka petersburskie „Nowosti”. Trzymając je pod pachą, podszedł do zaskoczonego jego nagłym pojawieniem się asesora. Równie zdumionym spojrzeniem obdarzył go fagas, ale ten od razu odwrócił się i zniknął w podwojach służbowego wyjścia.

Udając, że nie widzi konsternacji urzędnika, Estar Pawłowicz rzucił gazetę na pobliski stolik i wesoło powiedział:

– No, już jestem. Niech pan prowadzi.

Aleksy Iwanycz podejrzliwie spojrzał na jego konwencjonalnie uśmiechniętą twarz, ale zmusił się w odpowiedzi do podobnego grymasu, wskazał ręką obrotowe wierzaje hotelu.

– Zapraszam. Chodźmy.

Repetier w kieszeni Estara Pawłowicza wybił pół do dziewiątej.

– Hmm, czas się już zbierać! – Niezbyt grzecznie, stanowczo powiedział do swojego sąsiada. Mocno podcięty Kozulin siedział obok na krześle i dojadał węgorza w galarecie. Van Houten trochę się przeliczył, gdyż myślał, że urzędnik po pijanemu się wypapla – już od wczesnego popołudnia „kolędowali” po kafeteriach i restauracyjkach Krakowskiego Przedmieścia, tudzież jego najbliższych okolic, ale Aleksy Iwanycz, chociaż coraz bardziej wstawiony, pary z gęby nie puścił. On też był zawiedziony – przecież miał w „programie”, zgodnie z instrukcjami swojego pryncypała, spoić gościa z Moskwy, a przy okazji wydobyć z niego ile się da niedyskrecji, żalów i pogłosek.

Przy okazji pokazał mu panoramę gastronomiczną miasta, łącznie z lokalnym folklorem – właśnie przed chwilą z zakładu wyleciał na zbity pysk gość, który do kelnera zwrócił się z pytaniem:

– Panie Marianie, bądź pan człowiekiem, wyjaśnij mi: czego nie ma w tem bigosie, a to, co w nim jest – od jak dawna w nim spoczywa? Bo „toto”, o, tutaj, chyba samo do niego wskoczyło... Nie wiedziałem, że wśród insektów też są samobójcy...

Pan radca pił szampana, wódkę, likiery, wina słodkie i półwytrawne – i nic. Nawet nie zaróżowiły się mu policzki. Asesora zaczęło już rozbierać, ale gębę trzymał zamkniętą na kłódkę. Słowa mu się plątały, mylił kelnerki z probantkami, nogi zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa, ale na zawodowe tematy milczał jak grób. Nawet na bezpośrednie pytania, takie jak „Co wykazała sekcja zwłok Wotcowa?” potrafił znaleźć mniej lub bardziej taktowną, dyplomatycznie wykretną odpowiedź lub zmyślnie zmienić temat – udając, że nie dosłyszał, czy nie zrozumiał. Ponieważ Estar był gościem, nie płacił rachunków – pan asesor nie pozwolił na to w ani jednym przybytku gastronomicznym. „Ciekawe, z jakich funduszy pokryje te rachunki?” – przemknęło przez głowę Van Houtena. Wstał, zmuszając w ten sposób Aleksego Iwanycza do porzucenia zwłok ryby i pozbawiając go sadystycznej przyjemności dalszego znęcania się nad nimi. Podtrzymując go podczas przeciskania się pośród gęsto ustawionych stolików, pozęgłował z nim do szatni.

Kiedy wyszli na zewnątrz, rześkie powietrze najpierw trochę otrzeźwiło tubylca, ale zaraz potem – ścięło z nóg. Kozulin czuł się tak błogo, że rad byłby cały świat przycisnąć do piersi i postawić mu wódkę. Estar Pawłowicz machnął ręką na przejeżdżającego fiakra, usadowił w nim urzędnika i kazał zawieźć do domu. Sałaciarz jeszcze zdążył wyciągnąć adres z pasażera, zanim ten, ukołysany jazdą po miękkim śniegu, usnął. Gość ze starej stolicy cesarstwa poszedł do swojego *locum* na piechotę, bo dzieliło go od hotelu – po tej kilkugodzinnej odysei po traktierniach Warszawy – niecałe dwieście metrów.

Kiedy chciał przejść przez jezdnię, o mało nie został bezceremonialnie rozjechany przez jadące szeregiem powozy z huzarami – w ostatniej chwili zdążył cofnąć się na trotuar. W pierwszym pewnie jechała jakaś ważna persona, bo obok

woźnicy siedział uzbrojony szpicel, a w ostatnim – cała ich grupa.

Podczas spaceru wyparowały z niego resztki alkoholu, a kiedy wziął szybki zimny prysznic, ogolił się i wypił gorącą kawę, poczuł się jak nowo narodzony. Siadł przy sekretarce, wziął czyściutką ćwiartkę papieru i napisał lakoniczny i sarkastyczny „raport” dla moskiewskiego gospodarza:

Dzień pierwszy. Na Zachodzie bez zmian.

Niepodpisany arkusik włożył do koperty, zalakował i wsunął do wewnętrznej kieszeni smokingu. Właśnie dobiegała dziesiąta. Podniósł się, przed lustrem przyczesał jak zawsze nieskazitelne wąsiki, po czym wyszedł z pokoju. Schodząc do apartamentu numer trzy – mieszczącego się na najdroższym, pierwszym piętrze, zatrzymał się przed zwierciadłem w korytarzu i nawet nie starając się o dyskrecję ruchów, wrzucił do stojącej przed nim wazy list. Tym razem schodził głównymi schodami. Zastukał do drzwi w chwili, kiedy jego breguet wybijał dokładnie dziesiątą. Otworzyła służąca, odziana w przepiślowe szarości, biały koronkowy fartuszek i też biały, ażurowy czepeczek.

– Estar Pawłowicz Van Houten – oznajmił jej.

Pokojówka wyprzedziła go o trzy kroki w drodze do następnych podwoi, odemknęła je i głośno zaanonsowała. Z wnętrza dobiegło poprzez gwar rozmów szczebiotliwe „Prosić!” po francusku.

Wielki salon pełen był mężczyzn w strojach wieczorowych. Oprócz gospodyni radca nie spostrzegł żadnej innej kobiety. Dama pólżeła na wielkiej, okrągłej sofie pośrodku pokoju, a mężczyźni defilowali dookoła w grupkach, tocząc ożywione rozmowy, od czasu do czasu włączając do nich huryse. Przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju dobiegała wschodnia muzyka. Sofę, na której spoczywała intrygująca piękność, otaczały – niczym girlandy – bukiety egzotycznych kwiatów w wazach, wazonach i nawet wiadrach do szampana. Z sufitu zwisały całe kaskady zielonych, ukwieconych pnączy, które niczym liany opadały w kierunku szelongu. W kątach pokoju, na stojakach, stały metalowe naczynia, w których tliło się „coś”, wydzielając duszący, ale niesłychanie przyjemny dym o zapachu sandałowego drzewa, goździków i innych wschodnich korzeni. Nikt poza gospodynią wieczoru, odzianą w jakieś osobliwe, powiewne i lśniące szaty, nie zwrócił uwagi na nowo przybyłego – zgłęb rozmów prawie zagłuszał muzykę.

Tutejsza atmosfera była aż gęsta od aromatów – i dymnych, i naturalnych – oraz słów typu: akcje, obligacje, dyskonto, ultimatum, awans, profit, nota, weksel. Krótko mówiąc, leksyki i frazeologii tematów zawsze pasjonujących każdą piękną kobietę.

Wyelegantowany radca na tle fraków, smokingów i bogato haftowanych dyplomatycznych uniformów wyglądał zupełnie naturalnie i nie wyróżniał się niczym. Podeszedł do leżącej, szarmancko ucałował jej wyciągniętą i uniesioną ku jego ustom dłoń, przywitał się. Jej oczy, wielkie, o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach, wilgotne i szalenie tajemnicze, wpiły się w jego twarz, ale trwało to sekundę i piękna odaliska ponownie – obdarzywszy gościa czarującym uśmiechem – wróciła do biesiady z zażywnym starszym panem w ambasadorskim fraku. Kokietliwie przy tym poprawiała opadającą z piersi szarfę, pozwalając wszelako, aby przez oblekającą jej ciało tkaninę sukienki można było dostrzec znacznie więcej, niż to przyjęto w dobrym towarzystwie.

Pan radca odszedł na bok, dyskretnie rozglądając się po sali. Nikt w dalszym ciągu nie zwracał na niego uwagi, a on też nie dostrzegł żadnej znanej sobie twarzy. Wziął od lokaja stojącego przy na wpół otwartych drzwiach do sąsiedniej komnaty kieliszek szampana, odpił łyżek i mimowolnie skrzywił się – smak taniego fermentowanego moszczu, namiastki prawdziwego eliksiru z francuskich winnic, podrażnił nawet jego niezbyt wyrafinowane podniebienie. Panowie politykowali głośno we wszystkich językach europejskich, z wyjątkiem rosyjskiego i polskiego. Przyjrawszy się dokładniej zauważył, że wśród licznych gości znajdują się sami obcokrajowcy – nie było ani jednego rosyjskiego oficera czy dyplomaty. Oczywiście, po wieczorowej odzieży cywilów trudno byłoby rozpoznać nację, ale ci stanowili mniejszość. Dopiero w drugiej sali, do której przeszedł, zaciekawiony, skąd dobiega muzyka, dostrzegł kilku zamożnych, tęgich jegomościów, których narodowości nie zdołały ukryć ani ponadnarodowe fraki czy smokingi, ani najmodniejsze

fryzury. Dźwięki orientalnej muzyki dobiegały z niewielkiej skrzynki, do której dołączona była ogromna, metalowa tuba. Jacques z niesłychanie dumną miną kręcił korbką wystającą z boku szkatułki, a na jej wierzchu obracał się woskowy krążek. Zauważywszy zaintrygowaną minę pana radcy, Francuz rzekł:

– To berliner, pierwszy egzemplarz, kupiłem wprost od wynalazcy, zaraz po prezentacji w Paryżu!

Nowinka techniczna wśród gości – co było widać po ich minach – wzbudzała równie wielką uwagę, jak sama gospodyni. Wirtuoz porzucił korbkę instrumentu, a muzyka w zwolnionym tempie przycichła. Podeszedł do Estara Pawłowicza:

– Pan pozwoli, że się przedstawię. Jacques Levieux.

– Miło mi. Estar Pawłowicz Van Houten.

– Chciałem pana jeszcze raz przeprosić – w swoim imieniu i w imieniu mojej towarzyszk, panny Rity Hamy, hinduskiej rani.

– Hinduski? – Zdumiał się Estar mimowolnie.

– Tak, panna Rita jest półkrwi Hinduską.

– Pańskie przeprosiny są zbędne, pewnie nie dogoniłbym tego zabójcy. To z pewnością profesjonalista.

– Pańska grzeczność mnie zawstydza. Czy policji udało się już ująć tego przestępcę? Pewnie pan coś wie na ten temat...

– Nie, skądże. To znaczy – nie, nic nie wiem. Przecie policja nie ma obowiązku mnie o niczym informować – byłem tylko przygodnym świadkiem tego nieszczęsnego wydarzenia na dworcu, to wszystko.

– Ach tak? Może jeszcze szampana?

Jacques lawirował wśród tłumu z wprawą ekwilibrysty i zręcznie poprowadził Estara z powrotem do salonu. Ten, mimo że tak taktownie usuwany z „rosyjskiej” bawialni, zdążył wypatrzeć wśród tamtejszych gości kilka znanych figur pomniejszych cesarskich dygnitarzy i dyplomatów.

– Nie, nie. Wystarczy na dzisiaj. A pan, państwo, pozostajecie w Warszawie na dłużej?

Kiedy wchodzili do salonu, ścichła muzyka. Gwar głosów, widać przekrzykujących ją, też się przytłumił, teraz był to wszędobylski szmerek – i pytanie zadane przez Estara usłyszano w całej komnacie. Wszystkie twarze obróciły się w stronę wchodzących, zapewne oczekując odpowiedzi. Jacques podeszedł do swojej damy i zwrócił się:

– Bébé, co o tym sądzisz? Długo chcesz tutaj zostać?

Ta, kapryśnym tonem i leniwie przeciągając się, zalotnie spojrzała na siedzącego obok niej kolejnego grubasa.

– Nie ode mnie to zależy...

Jacques zwrócił głowę w stronę pana radcy i rozłożył ręce w wymownym geście. Potem przeprosił go, podeszedł do służącego i coś szepnął mu na ucho. Następnie wyszedł na środek sali, głośno klasnął w dłonie i powiedział:

– Szanowni państwo, za chwilę nasza niezmiernie piękna rani rozpocznie swój spektakl. Aby jej to umożliwić, służba musi przygotować salę, dlatego proponuję przybyłym zejść na chwilę do palarni, a za pół godziny serdecznie zapraszamy wszystkich zainteresowanych z powrotem.

Goście pokiwali zgodnie głowami, aprobowując propozycję i gremialnie zaczęli opuszczać pomieszczenie. Van Houten udał się wraz ze wszystkimi, stanął w rogu palarni mieszczącej się na parterze, obok sali bilardowej. Zapalił papierosa. W zadumie obserwował wchodzących. Zauważył, że wszyscy Rosjanie zniknęli. Wyjrzał do westybulu: dostrzegł tylko szubę ostatniego z nich, wychodzącego właśnie z hotelu. Urzędnik wrzucił ledwo zaczęta cygareta do popielniczki i szparkim krokiem wybiegł na ulicę. Właśnie odjeżdżała karoca wieńcząca szereg. Na Krakowskim Przedmieściu widać było cały ich rząd, zmierzający w jednym kierunku. Mróz przeniknął kamizelkę radcy, pewnikiem ku nocy się nasilił. Zwrócił się do szwajcara:

– Dokąd pojechali?

Jednocześnie wyjął z kieszonki kamizelki trzyrublową asygnatę i miał ją w palcach. Brodaty, masywny osobnik

w uniformie hotelowego odźwiernego uśmiechnął się i patrząc na pieniądze, odpowiedział błyskawicznie:

– Do teatru Variété. Na Nowogrodzką. Zjeść kolację i zająć najlepsze miejsca.

Zręcznie chwycił podany banknot i wsunął za pazuchę kożucha. Pan radca wrócił do hotelu. Goście w palarni kończyli dopalać papierosy, cygara i cygaretki, odstawiali na tace wypite i niedopite szklaneczki i kieliszki, a służba natychmiast je usuwała. Całą grupą udali się powoli, statecznie, piechotą, na pierwsze piętro. Przed drzwiami wykwintnego apartamentu stał Jacques – powstrzymał ich gestem. Nagle, niczym u prestidigitatora, w jego dłoni pojawił się zegarek.

– Jeszcze chwilę, panowie. *Mademoiselle* musi się przygotować.

Upłynęła minuta i okazałe osoby, bo tylko takie znajdowały się w tej grupce – Van Houten stanowił wyjątek – pojedynczo zaczęły wchodzić do lokalu przez uchylone skrzydła drzwi. W sieni panował półmrok, zapachy kadzideł były tak silne, że aż kręciły w głowie. Odrzwia do salonu też były tylko uchylone, goście znikali w nich jeden po drugim, a służący, stojący przy wierzejach, kierował kolejką. Pan radca wszedł jako jeden z pierwszych do sieni, ale tam zatrzymał się i przepuszczał następnych – sam zaś obserwował twarze wchodzących, bo przedtem, w palarni, nie miał na to czasu. Kiedy większość gości zniknęła w środku przepastnego salonu, wsunął się za nimi do sali. Tu powietrze było aż zawiesiste od balsamicznego dymu, wyczuł wśród innych woni i nutę specyficznego, niepowtarzalnego zapachu palącego się opium. W półmroku, pod ścianami salonu stali zaproszeni mężczyźni, sam zaś środek pomieszczenia pozostawał w kompletnej ciemności.

Kiedy za ostatnim frakiem zamknięto wejście do pokoju, zapanowała nerwowa cisza i nastrój oczekiwania. Minęła minuta, dwie... a nic się nie działo. Goście zaczęli przestępować z nogi na nogę, pochrząkiwać, rozległ się nawet jakiś – zaraz stłumiony kułakiem – śmieszek. I wtedy... wtedy niespodzianie zapłonął olejowy reflektorek, rzucający mętny, chwiejny, zielony krąg światła na środek pokoju. Za otwartymi drzwiami zaciemnionej bawialni zabrzmiała z początku cicha, ale potem coraz bardziej głośniejsza dziwna muzyka. Obce dla ucha Europejczyka dźwięki i rytm wzmagały narkotyczny klimat wywołany aromatycznymi oparami. Minęła jeszcze sekunda i... fala jednoczesnych, głośnych westchnień przetoczyła się przez salę: z bawialni, wysoko unosząc kolana, powolnym krokiem wyszedł hinduski bożek! Atlasowe, lśniące spodnie z rozcięciami z boków ukazującymi gołe nóżki, jedwabny kubraczek ściśle przylegający do piersi, ale odsłaniający cały brzuch, głęboki dekolt tegoż kubraczka i przedziwne nakrycie głowy – coś jakby tiara, obszyta kosztownymi świecidełkami. Ten ubiór okrywał ciało wkraczającego powolnym krokiem żywego posągu orientального bóstwa. Jego ręce kreśliły w powietrzu dziwne figury, podobne do magicznych passów, a paznokcie na palcach dłoni, widać czymś sztucznie wydłużone i wymalowane na diabolicznie jodeitowy kolor, wiły się niczym cienkie żmije. Całą sylwetkę otaczał obłoczek welonów, szarf, tiuli czy woali – w tym półmroku trudno było orzec.

Niewysoka, foremna, toczona figurka dotarła już do kręgu szmaragdowego światła, wtedy pojawił się nowy promień – purpurowa plama prześliznęła się po ciele tancerki, a muzyka przyspieszyła tempo. Egzotyczne dźwięki, niepokojące rytmy i fantazyjne ruchy tańczącej zahipnotyzowały widzów, a kiedy po kilku minutach zaczęła odrzucać po kolei warstwy zasłon spowijających jej powabne ciało, oddechy mężczyzn zaczęły stawać się szybsze i płytsze. Zdejmowane po kolei gazy utworzyły już małą stertkę, a melodia i ruchy danserki stawały się coraz bardziej wyuzdane. W końcu, po jakichś dwudziestu minutach, ostatnia draperia spadła z jej ciała – kobieta o posągowo pięknej figurze stanęła przed widzami w bezruchu. Ściszony okrzyk zachwytu widzów natychmiast zamarł. Światła zgasły, ale po chwili zapaliły się znowu, wszystkie od razu – to służba włączyła elektryczne oświetlenie. Teraz publiczność dostrzegła swą pomyłkę – *mademoiselle* wcale nie miała na sobie wyłącznie biżuterii... i nie była naga.

Nosiła cielisty trykot.

Głośny jęk niezadowolenia przeleciał jak poryw burzy przez salon, a kobieta jednym eleganckim ruchem owinęła się szalem i chyżo wybiegła do bawialni. Rozczarowani widzowie o rozgorączkowanych twarzach patrzyli na siebie z faryzeuszowskimi, krzywymi uśmieszkami – każdy w drugim widział rywala! Jacques stał w rogu salonu i przyglądał się ze sztucznie obojętną miną opustoszałemu środkowi pokoju. Zaraz wokół niego pojawił się kłęb spoconych, zażywnych postaci, a on uspokajającymi gestami ustawiał ich w szereg, po czym z każdym zamienił dwa, trzy słowa... W ciągu piętnastu minut sala opustoszała – po rozmowie z Jacquesem goście śpiesznie wychodzili. Pozostał tylko Van

Houten.

– A szanowny pan jak znalazł występ? – Zapytał Levieux.

– Inthrrygujący... – odrzekł pan radca, żartobliwie grasejując.

– Och, to tylko wstęp do właściwego... – Dwuznacznie albo raczej zupełnie jednoznacznie dopowiedział Francuz.

Urzędnik spytał ze skrytą kąśliwością:

– A z ilu aktów składa się całe przedstawienie?

– Nawet ze wszystkich. I postepilogu. To zależy tylko od widza – rzucił już zupełnie otwarcie gospodarz salonu.

– Tak, to był zajmujący wieczór – usłyszał w odpowiedzi. – Pozwoli pan, że się już pożegnam.

– Ależ oczywiście, gdyby pan jednak zmienił zdanie... W każdej chwili może pan zejść do nas na lampkę szampana – zakończył zręcznie.

Van Houten skinął głową na pożegnanie i wyszedł. Zanim udał się do swojego pokoju, zszedł jeszcze na dół, wstąpił do baru, zamówił Perriera i z zamyśloną miną usiadł przy wolnym stoliku, skąd mógł obserwować paradne wejście do hotelu. Nie zdążył dopić szklaneczki, kiedy zobaczył wychodzącego śpiesznie z budynku Francuza. W tej samej chwili radca ze zdziwieniem usłyszał wybijany przez naścienny zegar trzeci kwadrans. Nadchodziła północ – nawet nie zauważył, jak szybko minął czas. Podniósł się z krzesła i udał się do swojego numeru, aby odświeżyć się i przebrać.

ROZDZIAŁ 3

...jakby zapadł w letarg.

*Jeśli nagrodą za milczenie jest złoto,
to marazm zasługuje na diamenty.*^[6]

Podróż karocą z zasłoniętymi skórzanymi fartuchami nie trwała długo, nawet nie zdążył zmarznąć. Kiedy pojazd zatrzymał się, ktoś ze służby otworzył drzwiczki i radca wprost z kolasy wszedł na niewielki ganek przy bocznych drzwiach jakiegoś rozległego budynku. Sączyło się przez nie nikłe światło. Wszedł, zaś famulus zatrzasnął drzwiczki kolasy, a następnie wejściowe wierzeje. W sieni, w której znalazł się Van Houten, stał średnio wysoki, młody, niezbyt przystojny oficer w mundurze lejtnanta. Trzymał lampę naftową – to ona rzucała tak wątle promienie na krużganek.

– Serdecznie witam, Fiodor Fiodorowicz Bykow.

– E...

– Dobrze, dobrze, panie radco kolegiálny, niech pan sobie daruje te wszystkie pseudonimy. Doskonale wiemy, kim pan jest, po co i dlaczego pan się tu znalazł. Ponieważ jest późno, a Jego Ekscelencja lubi wcześniej poczywać, prosimy od razu do gabinetu. Proszę za mną.

Prowadził gościa bocznymi schodkami, wąskimi i krętymi, równocześnie perorując:

– Proszę wybaczyć nam wszystkie te ostrożności, ale przedsięwzięliśmy je dla pańskiego dobra. Jak pan widział po incydencie na dworcu – chyba najzupełniej słusznie. Ktoś, jak lis ogonem, zaczyna zamiatać ślady. Lepiej, żeby przy okazji tych porządków nie spadła pańska szanowna głowa.

Na drugim piętrze skręcili w korytarzyk i od razu weszli w pierwsze drzwi po prawej stronie. Mały pokój robił wrażenie gabinetu gimnazjalisty niż Jego Ekscelencji generała-gubernatora Królestwa, Josifa Władymirowicza Hurko. Pewnie tak było w rzeczywistości, bo na półce leżał komplet niemieckich podręczników do fizyki. Jedyne małe okienko zasłonięte było grubą kotarą, a na drzwiach wisiała mięsista portiera, którą adiutant – zaraz po wejściu do pokoju – dokładnie zasunął. Za niewielkim stołem, na którym stał tylko lichtarz z niepokazną świecą, siedział nasepiony, ciężki mąż w sile wieku. Siwizna we włosach, wysokie zakola, obwisłe policzki, wyblakłe szaro-niebieskie oczy i nos pokryty spękanyymi żyłkami znajdowały swoje udatne odbicie w portrecie wiszącym na ścianie. Gdyby nie wizytowy mundur na obrazie, można by sądzić, że to zwierciadło. Wzrok spod na wpół zamkniętych oczu bystro zmierzył wchodzących, po czym siedzący jakby zapadł w letarg. Ciepły szlafrok, bambosze, rozchełstany fontaż wyraźnie okazywały gościowi, że trzeba się streszczać. Zanim pan radca zdążył się przedstawić, znowu odezwał się adiutant. Podsunął Van Houtenowi miękki taborecik, a sam stanął u krzesła generała.

– Chcieliśmy podziękować panu za tak szybkie przybycie na naszą prośbę do Warszawy. Wiemy, że podąża pan już we właściwym kierunku, co potwierdza pochlebne referencje naszego moskiewskiego przyjaciela. Prosimy nie zwracać uwagi na rozmowę z ministrem w Petersburgu – to tylko wybieg kamaryli, aby odwrócić pańską uwagę. Jednocześnie podkreślamy, że powinien pan się bacznie strzec wysłanego za panem ich oka i ucha. Głównie przed nim zachowaliśmy te dziwaczne środki ostrożności. Ale nie tylko dlatego, jak pan się już domyślił. Opory urzędników tutejszego oberpolicmajstra, ich zabiegi, aby uniemożliwić panu sukces, zostaną unieszkodliwione w sposób niezwracający na pana uwagi, do prowadzenia śledztwa zostały dziś – decyzją Jego Ekscelencji – przydzielone dwie osoby: prokurator piątego okręgu sądów warszawskich, pan tajny radca Tymoteusz Von Brugge i śledczy, asesor kolegiálny Adam Puławski. Obaj otrzymali stosowne pełnomocnictwa, tak więc znane już panu osoby nie będą w stanie im, tudzież panu, wadzić ani sabotować dochodzenia. Obaj ci zaufani urzędnicy, już zostali w sekrecie poinformowani o pana prawdziwej roli oraz zobowiązani do udzielenia każdej niezbędnej pomocy. Ręczymy, że wywiążą się ze swoich obowiązków. Więcej nie napotka pan formalnych przeszkód ani przeszkodników w swoich poczynaniach. Jeśli będzie pan potrzebował dalej idących prerogatyw – proszę przekazać nam informację przez pana prokuratora. Aby uniknąć resortowych kontestacji

i dekonspiracji, oficjalnie będziesz pan tylko towarzyszył asesorowi Puławskiemu, chociaż jemu już wiadomo, że ma wykonywać pańskie rozkazy. Będzie też na bieżąco informował nas o postępach śledztwa. Oznacza to, że jest to nasze pierwsze i ostatnie robocze spotkanie. Nie wolno o nim panu wspominać w żadnym z raportów. To wszystko... Ach, naturalnie – spotkasz się pan rano z tajnym radcą, który przybędzie do waszności o dziewiątej. Asesor kolegialny czeka już w karecie, która odwiezie was do hotelu, jeżeli pan, rzecz jasna, tam zechce się udać po tym spotkaniu. Proszę pamiętać – nigdy się nie widzieliśmy, nie rozmawialiśmy i nie zostaliśmy sobie nawet przedstawieni.

Generał Hurko wstał, skłonił głowę w kierunku gościa i podszedł do bocznych, niewielkich, ukrytych za portierą drzwi.

Radca, zdetonowany takim przyjęciem, chciał o coś zapytać, ale jeden ruch ręki fiszy powstrzymał niewypowiedziane pytanie.

Adiutant znowu zabrał głos.

– Wiemy, wiemy. O wszystko proszę pytać wskazane osoby. A to dla pana.

Mówiąc te słowa, wyciągnął zza gorsu złożoną na cztery kartkę i podał przez stół przybyłemu. Estar Pawłowicz podniósł się, wziął kartkę, z wyraźnym szacunkiem ukłonił się odchodzącemu namiestnikowi i, poczekawszy chwilę, aż ten zniknie za kotarą, sam też się odwrócił, chcąc wyjść.

– Jedną chwileczkę – rzekł adiutant. – Proszę sobie teraz przestudiować ten arkusik, zapamiętać i zwrócić mi, kiedy za parę minut znów się pojawię, aby sprowadzić pana na dół, do karocy.

I zniknął za tą samą oponą, co gubernator.

Urzędnik rozłożył kartkę i czytał:

Margareta Gertruda Maria Zellen, urodzona 7 sierpnia 1856 roku w Leeuwarden w Niderlandach. Matka była Jawajką. Mając 13 lat, została wyrzucona ze szkoły pod zarzutem utrzymywania intymnych stosunków z dyrektorem. Poprzez anonse matrymonialne poznała Rudolfa Mac Leoreda, kapitana wojsk kolonialnych w Holenderskich Indiach Wschodnich i mając 14 lat wyszła za niego za mąż. Mąż był od niej o 20 lat starszy. Szybko doprowadziła go do ruiny, więc wyjechali na Celebes. Tam urodziła dwoje dzieci, które w niejasnych okolicznościach otruto – jedno zmarło, drugie zostało kaleką. Ponieważ prowadziła rozwiązły styl życia, a mąż popadł w alkoholizm, w 1879 doszło do separacji. Wróciła do Europy, wyjechała do Paryża, gdzie zajęła się prostytutką. Ze względu na niskie dochody postanowiła wykonywać profesję tancerki egzotycznej. Przybrała pseudonim Rita Hama – clou jej programu stanowi stopniowe obnażanie się oraz nieskrywana prostytutka po spektaklach. Umiejętnie, wykorzystując słabości mężczyzn, zadbała o reklamę i gazety zaczęły pisać z entuzjazmem o jej występach. Tworzy o sobie legendę dla prasy i widzów – udaje hinduską rani lub księżniczkę z Bali, która nieszczęśliwie zakochawszy się w Angliku, wyjechała z nim do Europy. Ukochany porzucił ją, dlatego, aby móc utrzymać się przy życiu, występuje ukazując święte tańce braminów... Legenda rozpowszechniana we francuskich, a później angielskich, niemieckich i włoskich gazetach oraz jej „benefisy” odniosły europejski sukces – wystąpiła nawet w „La Scali” w Mediolanie. Luksusowa prostytutka, często występuje dla bogatych klientów na zamkniętych seansach, za odpowiednią opłatą. Kiedy jej popularność zaczęła spadać, zainteresował się nią najpierw wywiad francuski, później angielski i niemiecki. Istnieją poszlaki, że pracuje również dla Włochów. Za sowitym wynagrodzeniem obce agendy podsuwają jej konkretnych, wpływowych klientów, szczególnie dyplomatów, oficerów sztabowych i arystokratów zajmujących się polityką, z których wydobywa potrzebne informacje. Jest w tym niesłychanie sprawna i jej honoraria są astronomiczne. Ostatnio poznała w Paryżu – najprawdopodobniej na zlecenie wywiadu z Berlina – rosyjskiego oficera, rotmistrza lejbgwardii, adiutanta Naczelnego Wodza, księcia Wadima Pietrowicza Masłowskiego. Kiedy oficer został miesiąc temu pilnie wezwany do Petersburga, ruszyła jego śladem, zatrzymując się po drodze na występy w Amsterdamie, Berlinie, Poznaniu, Bydgoszczy, Królewcu, Narwie i teraz – w drodze powrotnej – w Warszawie. Ponieważ pracuje dla kilku wywiadów, używa wielu kryptonimów – np. w Prusiech jej imię kodowe brzmi H-21. Wiadomości przekazuje używając atramentu sympatycznego, którego recepturę rozpracowały nasze laboratoria. W nagłych przypadkach korzysta z telegrafu, przekazując zaszyfrowane depesze. Tego szyfru jeszcze nie złamano. Towarzyszy jej mężczyzna, niejaki Jacques

Levieux, właściwie Henri Pierre de Rochefaucould, lejtnant francuskiego Sztabu Generalnego, adiutant generała Armanda Malpierre'a, jego oficer do specjalnych poleceń. Niejasna jest jego funkcja – czy pozostaje tylko oficerem łącznikowym, czy też wypełnia własne zadanie pod przykryciem legendy Rity Hamy.

Gdy Van Houten doczytywał wyciąg z akt na temat *mademoiselle* Rity, do niewielkiego alkierzyka w pałacu generała-gubernatora Hurko, zdążył powrócić pomocnik Jego Ekscelencji. Począł, aż urzędnik zwróci mu arkusz, schował go do szuflady stołu i rzekł:

– Proszę nam wybaczyć, ale nasze stanowisko, wiek i pokrewieństwo... a raczej jego brak... z osobami najbliższymi głowie państwa... Jesteśmy z Białorusi. My tylko byliśmy w Korpusie Paziów, później – Kadetów, następnie w Wyższej Akademii Wojskowej z księciem... Walczyliśmy na froncie kaukaskim, w nagrodę przeszliśmy – jako oficer służby czynnej armii Najjaśniejszego Pana – do służby dyplomatycznej. Pełniliśmy i pełni ją w Paryżu, namiestnikujemy w Warszawie... ale ciągle czujemy się jako obywatel drugiej kategorii w Imperium Romanowych... Poza tym pora późna, głowa nam już nie pracuje, przysypia, a i strach przed jakąkolwiek odpowiedzialnością...

– Rozumiem, rozumiem. Pojąłem od razu.

– Właśnie, właśnie... Wiedzieliśmy, że pan to dostrzeże. Gdyby okazało się, że plenipotencje okazane pana przyszłym współpracownikom – przecież nigdy nie da się wszystkiego przewidzieć – są niewystarczające, PROSZĘ o telefon do mnie. Wtedy zastanowimy się, jak dopomóc. Teraz pozwoli pan, że pana sprowadzę – *monsieur* Puławski oczekuje w karocy i pewnie się niecierpliwi. To nader żywy, energiczny i zdolny pracownik. Prawdziwy detektyw, będzie panu wielką pomocą.

– Dziękuję za okazane zaufanie – ironicznie rzucił radca i skierował się śladem wychodzącego z gabinetu oficera, który tylko wymownie wzruszył ramionami na niezbyt lotną i mało ciętą ripostę Estara. Zeszli w milczeniu na parter, przekroczyli te same boczne drzwiczki prowadzące pod kolumnadę i bez długich pożegnań uściśli sobie dłonie. Przy tym adiutant porozumiewawczo spojrzał panu radcy w oczy i ponownie bezsilnie wzruszając ramionami, uśmiechnął się.

Czyjaś dłoń w rękawicze otworzyła drzwiczki kolasy od środka, Estar Pawłowicz wsiadł, drzwi się zatrzasnęły i kobyły ciągnące pojazd ruszyły z kopyta, powolne głośnym trzaskom bata.

W nieoświetlonym wnętrzu radca z trudem wypatrzył jeszcze głębszy cień kogoś siedzącego naprzeciw. Okutana w cienki paltocik, szczelnie owinięta szalikiem, z naciągniętą głęboko na uszy urzędniczą czapką, osoba ta była szczupłej postury i – zdaje się – wysoka.

– Witam pana serdecznie – odezwał się żywy, miły i młody głos. – Zaraz odjedziemy na tyle daleko, że przekonamy się, czy nie mamy „ogona” i można będzie odsłonić okna.

I rzeczywiście, po paru minutach w dach karocy zastukano – woźnica dawał znać, że wszystko w porządku, nikt nie jedzie śladem.

– Nazywam się, jak pan już wie, Adam Puławski. Jestem asesorem kolegiąlnym w urzędzie oberpolicmajstra, ale ponieważ pełnię funkcję urzędnika do specjalnych poleceń, nie mam tam biura i najczęściej pracuję w oddzielnym pokoju w cyrkule na Koziej. Tam taki ruch, że nie zwracam niczyjej uwagi – mogę spokojnie wypełniać swoje obowiązki. Jestem głęboko zaszczycony, że mam pracować pod pana kierownictwem – wiele o panu słyszałem. I o pańskich sukcesach. Teraz, jeżeli nie będzie miał pan nic przeciw temu, chciałbym zamienić, mimo tak późnej pory, parę słów. Gdzie panu będzie to odpowiadało? W hotelu? W cyrkule u mnie?

– Nie przedstawiam się, bo już pan mnie zna. Dziękuję za komplementy, acz są przesadzone – nie tak wiele na mym koncie sukcesów, a te, które odniosłem, nie zawsze były moją zasługą. W hotelu nie uda się nam rzeczowo porozmawiać bez dostępu do akt, dlatego lepszy byłby cyrkuł. Chciałbym jednak zabrać ze swojego pokoju pewne dokumenty, które będą nam potrzebne do pracy, dlatego podjedźmy pod hotel, wezmę tylko teczkę i odjedziemy na pańskie włości.

– Znakomicie. W takim razie pod hotelem odpuścimy karocę – zbyt zwraca na siebie uwagę. Pan pójdzie po swoje papiery, a ja złapię na ulicy fiakra i będę na pana czekał poniżej hotelu, na Karowej.

Kolasa zatrzymała się pięćdziesiąt metrów przed hotelem, radca co żywo ruszył w jego kierunku. Kiedy wchodził do

swojego pokoju, zegar wybijał już drugą. Zmienił frak na surdut, zabrał łaskę ze srebrną rączką ze swojej „zbrojowni”, złapał żółtą tekę, wysliznął się z hotelu bocznym wejściem, doszedł na Karową. Jakies dwadzieścia metrów dalej dostrzegł dorożkę, przed którą stał wysoki, młody mężczyzna w paltocie i przytupywał dla rozgrzewki nogami. Van Houten ruszył ku niemu, razem wsiedli i odjechali w noc trzęsącą się niemilosiernie dryndą.

Kiedy pan radca kolegiálny wrócił po tej morderczej nocy do swojego pokoju, zupełnie odechciało mu się spać. Zresztą, jaki miałyby sens jedna godzina snu? Przecież ma przyjść prokurator... Postanowił, zanim weźmie szybką kąpiel, zrobić przejażdżkę rowerem, aby nie wyjść z formy. Pół godzinki, orzeźwi się mroźnym powietrzem, lepiej pozna topografię centrum miasta, a – po drodze – kupi talk. Szybko założył pumpy, skórzaną cyklistówkę, okulary, futrzaną, krótką kurtkę i zszedł do recepcji. Odebrał wehikuł i – z początku trochę chwiejnie, bo było bardzo ślisko – pojechał krętą Karową w kierunku Wisły. Szus był bardzo ryzykowny, koleiny uniemożliwiały kierowanie stalowym rumakiem, wiatr świszczwał i mocno szczypał w twarz. Wystraszeni woźnice i dorożkarze gwałtownie szarpali cugle swoich koni, kiedy nagle, cicho niczym duch, pojawiał się obok nich, doganiając i wyprzedzając, dziwaczny dzygit w imponujących binoklach zasłaniających pół twarzy. Doprowadziło to do kilku niebezpiecznych sytuacji, kiedy szkapy pociągowe czy dyszłowa, usiłując nie pośliznąć się, zabiegały welocypedziście drogę, ale rowerzysta w dziarsko powiewającym na wietrze i łopoczącym szaliku w szkocką kratę zawsze potrafił je ominąć i gnał dalej na złamanie karku. Sypały się za nim przekleństwa, niejeden bat starał się ukradkiem, niby przypadkiem, dosięgnąć pleców w futrzanej kurcie... Ale rower pędził tak szybko i brawurowo, że nikomu z powożących się to nie udało, a zachwycone damy z podziwem patrzyły na męską, odważną sylwetkę, w duchu zapytując się, kim jest ten szalony śmiałek i... gdzie można go poznać?

Van Houten wrócił na Starówkę ostrym podjazdem przy Zamku Królewskim, który swoją stromizną i wyslizganym śniegiem wyparł z jego piersi ostatni dech. Zatrzymał się na chwilę przy murku, otaczającym kolumnę Zygmunta, łapiąc powietrze gwałtownymi ruchami płuc, a jego roześmiane usta i zaczerwienione od mrozu policzki aż tryskały męskim animuszem i werwą. Rachityczne drzewka, obsadzające Krakowskie Przedmieście aż po plac Zamkowy, nie stanowiły dostatecznie pewnej podpory, aby postawić przy nich jednośląd. Postawił bocykl obok sklepu Wokulskiego, wszedł do środka i poprosił o francuski talk Michauneta. Zanim ekspedient zdążył podać żądany towar, radca dostrzegł przez rozmrożone specjalnie lampami okno wystawowe, że ktoś dosiada jego wehikuł! I usiłuje nim odjechać! Wybiegł przed sklep, u drzwi potrącając jakąś usiłującą wejść pannę i złapał ruszającego powoli – ze względu na ślizgawicę – intruza. Szalik złodzieja owinął sobie dookoła ręki i mocno pociągnął – mężczyzna, który naciskał na pedały kradzionego pojazdu ile sił, zleciał z roweru na trotuar z desek – widać nie skończono jesienią remontu – z takim trzaskiem, iż wydawało się, że wiecznie biadolący rajcy miejscy znowu będą musieli wysupłać kolejną sumkę na remont chodnika... Obok leżącego na jezdni roweru, gramolącego się z trotuaru osobnika i dziarskiego pana radcy od razu pojawiła się groźna, okutana w kozuch osoba stójkowego. Gwiżdżąc, co tchu, złapał złodzieja za kark, pozwalając urzędnikowi oswobodzić rękę i podnieść metalowy welocyped.

– Klimek! Wiedziałem! – Ryknął stójkowy, zdejmując z omotanej twarzy osobnika zwoje szala. – Ty szubrawcu, w ząbek chesany, mówiłem ci, że w moim dystrykcie... – Wrzask stójkowego, który porzucił gwizdek i ciągnął po ziemi niewysokiego złodzieja za kołnierz w stronę Koziej, przeszedł w mamrotanie, zduszone futrzanym kołnierzem służbowego kozucha. Ale wtedy wtrącił się do tego monologu cyklista. Widząc umorusaną, zabiedzoną twarz złodziejaska, rzekł do policjanta:

– Stójkowy, nie wnoszę skargi.

Wsiadł na pojazd i nie wracając po puder do sklepu, odjechał w kierunku hotelu, pozostawiając na oblodzonej jezdni osłupiałego stróża porządku publicznego i jego naruszydciela.

Pokoik, czysty, niewielki, mieścił się na antresoli cyrkułu. Obaj panowie siedzieli przy stole, na którym leżały zszywki akt. Lampa gazowa oświeślała pomieszczenie ostrym, trupim światłem.

Puławski, siorbiąc ze spodka herbatę, mówił, a radca, paląc ulubione papierosy, słuchoł w milczeniu.

– Tak naprawdę, ciągle jeszcze nie wiemy, kiedy się to wszystko zaczęło – nadal gromadzimy dane, odtwarzamy historię. Nie mamy zebranych informacji z wszystkich podmiejskich rewirów, a przecież te przedmieścia zamieszkuje drugie tyle ludzi, co samo miasto. Policyjne kostnice Warszawy już przesłały swoje wyciągi z rejestrów, przejrzałem większość z nich, zarządziłem ekshumacje w wątpliwych przypadkach i oto, proszę, rezultaty.

Podsunał w stronę Estara Pawłowicza skoroszyt i grubą paczkę dokumentów. Ten przysunął je ku sobie, ale nie czytał – słuchał dalej.

– Staralem się wyłowić wszystkie przypadki zabójstw kobiet, których ciała zostały zbezczeszczone. Nie było łatwo znaleźć jakiś porządek. Jak pan wie, w półświatku najczęściej używają noża – w bójkach często dochodzi do ciosów w tułów, rozcięcia jamy brzusznej, czyli – jakby „przypadkowego” – masakrowania ciała. W dodatku prostytutki i ich „opiekunowie”, chcąc się mścić, równie często zadają ciosy w twarz, szpecą je brzytwą czy też oblewając kwasem. Jednak udało mi się ustalić, że jest pewna grupa przypadków, które łączą cechy wspólne. Po pierwsze, twarze zostały spalone kwasem dopiero po śmierci ofiary, po drugie, rany tułowia zostały zadane narzędziem ostrzejszym i węższym od noża, po trzecie, śmierć nastąpiła w wyniku podcięcia gardła, a dopiero później doszło do masakrowania zwłok. Pan niewątpliwie orientuje się, że podcięcie gardła, nawet najbardziej głębokie, nie powoduje śmierci natychmiastowej, więc zadawane następnie obrażenia nie są tylko znęcaniem się nad zwłokami. Napadnięty, czy też raczej napadnięta, najczęściej jeszcze żyje, jedynie nie może wzywać pomocy. Umiera zazwyczaj dosyć szybko przez wykrwawienie, ale cierpi straszliwe męki, bowiem dodatkowo odczuwa jeszcze tortury...

– Niech pan sobie zaoszczędzi tych lekcji medycyny sądowej i przejdzie do podsumowania. Wiem o tym wszystkim dobrze, ale ciarki mnie przechodzą, kiedy pan o tym tak rozwleknie opowiada – rzucił z nieukrywanym wstrętem Van Houten.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Zazwyczaj naszym przełożonym trzeba wszystko dokładnie klarować... – wstydlawy rumieniec pokrył lico młodego asesora. Ciągnął dalej:

– Tak więc... Te zabójstwa, jak należy przypuszczać, rozpoczęły się niedawno – z miesiąc temu. Poprzednie wypadki, moim zdaniem, do nich nie należą. Dotyczy to, jak sądzę, następujących ofiar... – sięgnął na półeczkę sekretarzyka, zdjął arkusik i położył przed sobą. – Aniela Nowacka, lat 23, praczka. Zginęła na Nalewkach, 22 listopada tego roku. Miała poderżnięte gardło, jamę brzuszną rozprutą w kilku miejscach, wnętrzności rozwieszzone na parkanie. Twarz spalona kwasem. Siarkowym. Potem, 24 listopada, zginęła Nastasja Semionowna Liwszyc, lat 67, kupcowa. Bezdzienna wdowa. Zwłoki znaleziono nad ranem, pod murem cmentarza powązkowskiego. Nie wiadomo, co tam mogła robić. Śmierć poniosła jak poprzedniczka, tylko odcięto jej jeszcze język, uszy i zabrano oko. Rozpruta jama brzuszna pozostała – rzecz jasna, poza obrażeniami nożem – nienaruszona. Kwas siarkowy. 27 listopada zginęły w tajemniczych okolicznościach od razu trzy kobiety – czternastoletnia gimnazistka Nadia Pawłowna Roztopczyna, siedemdziesięcioletnia krawcowa Rebeka Rozencwajgowa i dwudziestoletnia prostytutka Maria Konopniczyńska. Wszystkie trzy zginęły w rejonie warszawskiej Pragi. Dziewczynce po śmierci obcięto warkocze i wycięto genitalia, które sprawca zabrał ze sobą. Krawcowej wyłupiono oboje oczu, a prostytutkę... no, potwornie to zabrzmi... opraviono tak, jak... robi się to ze świnia. Podwieszono za nogi, rozpruto i wypatroszono. Wszystkie wnętrzności zniknęły. Nadia i Konopniczyńska miały twarze spalone kwasem azotowym, Rozencwajgowa – siarkowym. I ostatnia ofiara – 14 grudnia zginęła w okrutny sposób dwudziestopięcioletnia prostytutka, pijaczka Zofia Stanisławowna Rembek. Oparzona kwasem azotowym. Znaleziono ją na podwórzu kamienicy numer 14 na Mazowieckiej. Tę pocięto na paseczki. Ściślej mówiąc – jej trzewia pocięto w paski. Jak na flaki...

– Nie rozumiem? Jakie flaki?

– Ach. Przepraszam. Patrochy. To takie danie... Zupa...

– Aaa, już pamiętam, jasne. Proszę dalej.

– Wszystkie zamordowane zostały przed śmiercią obnażone, prawdopodobnie doszło do aktów płciowych. Teraz trudno to stwierdzić, nawet podczas sekcji, bo genitalia – jeśli nie zniknęły – najczęściej zostały uszkodzone. Jednak prawdopodobnie nie chodzi o gwałt. Na tym kończą się podobieństwa – tylko w dwóch przypadkach jesteśmy pewni, że

ofiary zginęły w miejscu znalezienia zwłok – mowa o pracze, tej, która zginęła jako pierwsza, i o Marii Konopniczyńskiej, prostytutce. W pozostałych przypadkach jest wysoce prawdopodobne, że zabite zostały gdzie indziej, a dopiero potem ciało porzucono na miejscu znalezienia. Świadczą o tym ślady krwi, a raczej ich niedostatek. Najgorsze, że sekcja potwierdza, iż wszystkie trzy ofiary z 27 listopada zginęły prawie w tym samym czasie! Lub w niewielkim odstępie. Biorąc pod uwagę czas mąk, którym je poddawano – nic się nie zgadza! W dodatku – w jednych przypadkach sprawca zabierał jakieś fragmenty ciała ze sobą, w innych nie. Za każdym razem sprawca miał dosyć czasu, aby spokojnie dokończyć swoje dzieło – nikt go nie płoszył, nikt nie widział, nikt nic nie słyszał. W trzech przypadkach użyto kwasu azotowego, w kolejnych trzech – wotriolu. Również rany cięte mają różny charakter – Roztopczyna, Konopniczyńska i Rembek mają rany zadane jakby brzytwami, pozostałe – albo nożem do papieru, albo skalpelem. Już od samego początku w tej sprawie coś się zaczęło nie sztykować...

– Czyli mamy pewnikiem dwóch sprawców – zdecydowanie rzekł Estar Pawłowicz. – Co najmniej dwóch... – dodał po sekundzie wahania.

– Że co? Skąd pan... Ach tak! No rzeczywiście! Przecież to takie proste! Ma pan rację! Te od wotriolu mają inny typ ran – zginęły od innego narzędzia! Coś mi chodziło po głowie...

– No, no. To tylko hipoteza. Ale wygląda na to – że mamy dwóch sprawców, stąd i dwa typy zbrodni. Jednak trzeba sprawdzić wszystkie szczegóły. Niech mi pan da czas zapoznać się z aktami, a potem... Może dziś po południu? Pojadę... to jest pojedziemy do kostnicy. Czy wszystkie zwłoki są w jednym prosektorium?

– Już nie. Do połowy grudnia nie było mrozów, a rozprute ciała szybko się rozkładały... Pozostały jednak jakieś preparaty. No i leży w kostnicy jeszcze ta Roztopczyna. Pozostałe już pogrzebano. Kto mógł przypuścić, że pojawi się specjalista... To co, zarządzić ekshumację?

– Nie, nie, niech pan poczeka, najpierw przestudiuję akta. Może to wystarczy. Obejrzę też tę, która spoczywa w kostnicy. Czy wszystkie ofiary coś łączyło? Nie znam tutejszej jeografii ani stosunków...

– Nie wydaje się. Mieszkały w różnych częściach miasta, pochodziły z różnych kręgów społecznych, nawet obie prostytutki były z innej kasty tego zawodu. Rembek była pijaczką, ale należała do wyższej kategorii, a Nowacka to zdążyła – mimo wieku – utracić książeczkę. Prawdę mówiąc, lada dzień miała być deportowana z miasta...

– Czy ma pan jeszcze jakieś swoje spostrzeżenia? Takie, których nie umieszcza się w raportach i protokołach, słabo lub wcale nieudokumentowane?...

– Właściwie to nie... Teraz, kiedy pan stwierdził, że pewnie mamy do czynienia z dwoma sprawcami, wszystko się wyklarowało – przedtem coś krążyło mi po głowie, miałem pewne podejrzenia, ale... sam siebie przekonywałem, że przecie niemożliwe, aby od razu DWÓCH podobnych zabójców krążyło w tym samym czasie po jednym niezbyt wielkim mieście! A to wszystko tłumaczy! I rozbieżności, i kwestię chronologiczną...

– O, jak rozumiem, pan chyba studiuje?

Asesor zapłonił się jak panienka – aczkolwiek był młody, jednak dawno wyszedł z wieku studenckiego – i odważnie się przyznał:

– No nie, jestem już za stary... Ale chodzę, w wolnych chwilach, na zajęcia z anatomii i na prawo. To tak, aby lepiej...

– Czegóż się pan wstydzi? Toż to pochwalne! Ale dobrze. Pozwoli pan, że posiedzę sobie tutaj i gruntownie zapoznam się z dokumentami, a panu też dam porcję akt – proszę – do przejrzania.

Tu pan radca sięgnął po żółtą tekę, wyjął z niej i odłożył na bok listę złożoną na pół, potem wyciągnął ryzę pozostałych arkuszy. Podsunął je Puławskiemu.

– Zanim pan zaczniesz to przeglądać, dobrze by było, aby tę listę – tu podał odłożoną wcześniej na bok złożoną kartę – sprawdziła kancelaria policji. Czy osób z tego spisu nie ma czasem w Warszawie. Albo w Królestwie. Może znajdą się jakieś dane na ich temat... Na przykład z działu paszportów... albo hoteli?...

Pan Adam rozłożył spis zaciekawiony, szybko go przeczytał i trzymając w ręku, od razu wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił.

– Już wydałem rozporządzenie. Kiedy tylko kopiści przyjdą o ósmej do pracy, przepiszą listę i roześlą do stosownych urzędów i wszystkich cyrkułów. Wieczorem będziemy mieli informacje z Warszawy, a jutro, pojutrze – z Królestwa. Póki co, te oficjalne, z akt, ale od jutra będą ich szukać wszędzie.

Teraz obaj siedzieli – po obu stronach stołu – przewracając kolejne strony w teczkach, przekładając raporty i akta, zagłębieli w lekturze. Znikały kolejne szklanki herbaty, którą nalewali sobie ze stojącego w kącie pokoju służbowego samowara. Estar Pawłowicz palił papierosa, pan asesor – obgryzał paznokcie. Za okienkiem zaczęło szarzeć.

Kiedy asesor skończył lekturę, zszedł na dół, do cyrkułu, pozostawiając radcę sam na sam ze skatologicznymi detalami zbrodni. Wrócił o pół do szóstej, przynosząc ciepłe rogaliki, ale jego gość odmówił – po takich świadectwach z obrzydzeniem myślał o jedzeniu. Estar Pawłowicz zwinął w rulonik notatki, które zapisywał podczas czytania, przewiązał go kawałkiem sznurka i wsunął do kieszeni okrycia. Jeszcze raz wymówił się od posiłku, ustalił godzinę popołudniowego spotkania z panem Adamem i udał się do hotelu. Dzień już wstał, śnieg skrzył się świątecznie – nazajutrz było katolickie Boże Narodzenie – stróże ze zmierzwionymi brodami podmiatali rozczochranymi miotłami śmieci, śnieg, siano i końskie odchody. Ostatni mleczarze zjeżdżali z wachty – mleko rozwieziono, czas na powrót do podwarszawskich wsi. Zaczynano otwierać podwoje niektórych sklepów, działały już wszystkie, liczne herbaciarnie, gdzie śpieszący do pracy biuraliści wypijali wczesną herbatkę, przegryzając nieśmiertelnym obwarzankiem. Czasami tylko na ulicy mignął jakiś zapóźniony birbant, często gęsto w huzarskim mundurze, wracający dopiero do domu albo idący wprost na służbę. Z bram i trotuarów zniknęły wszystkie „ptaki nocy” – ulicznice udały się na spoczynek, odpracowały swoją zmianę. Ulice, które jeszcze przed dwiema godzinami aż roiły się od prostytutek, teraz opustoszały. W taką rychłą godzinę żadna dama czy nawet urzędniczka nie wysuwała nosa poza dom, jedynie pomoce domowe, panny służące, kuchty, praczki i kucharki przebiegały uliczki i zaułki, wpadając do skromnych sklepików po zapomniane, a ważne zakupy – zapalki, sól, sodę. Gdy moskwianin dotarł do hotelu, odźwierny szeroko ziewał – dobiegał końca jego dyżur, za chwilę przyjdzie zmiennik. Wcale nie zdziwił się na widok powracającego na piechotę wytwornego gościa – mało to panów pieszo „z nocnej wraca wycieczki”, aby ostatnie opary trunków wywietrzały z głowy?

ROZDZIAŁ 4

Asa'el – {demon w domu wariatów}

*Gdy rozum śpi,
budzą się demony.*^[1]

Mroźny, rześki poranek zachęcał do spaceru na świeżym powietrzu, a nadchodząca Wigilia i związana z nią konieczność przygotowania podarków dla całej rodziny skierowały kroki panny Zofii na Starówkę. Rzecz jasna nie spodziewała się znaleźć niczego ciekawego na Rynku – tamtejsze stragany kupczyły głównie żywnością i tanimi towarami. Targowisko przy moście, nad samą Wisłą, specjalizowało się w produktach rolnych i rybach, więc także nie interesowało lekarki. Zamierzała przespacerować się wśród malowniczych starych kamieniczek i dotrzeć na Krakowskie Przedmieście, gdzie mieściło się kilka renomowanych sklepów z galanterią w sam raz nadającą się na darunki.

Mróz przyspieszył chód młodej kobiety, szparko przemierzała plac przed Zamkiem, ale w połowie drogi musiała zwolnić – śliskie kocie łby nawierzchni uniemożliwiały szybkie przemieszczanie się w pantoflach na podwyższonym obcasiku. Dzięki temu mogła nasycić swój wzrok podziwianiem wysiłków cyklisty odzianego w pumpy i futrzaną krótką kurtkę, który forsownie zdobywał ostry podjazd przy Zamku Królewskim. Twarz zasłaniały mu okulary, ale serce młodej panny i tak przyspieszyło rytm – tak zgrabna była ta męska, odważna sylwetka w skórzanej cyklistówce, że był to chyba... ten sam osobnik, którego spotkała na dworcu.

Nie tylko panna Zosia przypatrywała się szalonemu śmiałkowi – zachwytem pałały lica wszystkich obecnych dam. Podziwiały tężyznę sportsmena, który nie dość, że wyjechał na trasę w taką pogodę i potrafił zdobyć stromą i śliską drogę przy Zamku, ale w dodatku ubrany był jak dandys i posiadał kosztowny wehikuł. Kiedy zatrzymał się na chwilę przy murku, otaczającym kolumnę Zygmunta i łapał powietrze gwałtownymi ruchami płuc, jego roześmiane usta i zaczerwienione od mrozu policzki, uwolnione od zasłony binokli, aż tryskały męskim animuszem i werwą.

Dyskretne spojrzenia dam nie uchodziły jego uwadze i w swej męskiej próżności z dumą podkręcał wążki. Panna Maciejewska ukradkiem przyglądała się licu galanta, patrząc na jego odbicie w szybie okna wystawowego sklepu w narożnej kamienicy. W duchu zapytywała się, kim jest ten obcokrajowiec i... gdzie by go można poznać?

Rachityczne drzewka, obsadzające Krakowskie Przedmieście aż po plac Zamkowy, nie stanowiły dostatecznie pewnej podpory, aby oprzeć o nie bicykl, dlatego młody mężczyzna postawił go obok sklepu Wokulskiego i wszedł do środka. Panna Zofia, która pozostała trochę z tyłu, przyspieszyła kroku. „Teraz, albo nigdy! Taka okazja się nie powtórzy!” – powiedziała sobie w duchu i zbliżyła się do drzwi sklepu, aby wejść doń. W tym samym momencie jakiś drobny, niechlujnie ubrany mężczyzna podbiegł do pozostawionego pojazdu i usiłował go dosiąść. Panna wyciągnęła rękę, aby powstrzymać złodzieja, ale wołanie zamarło jej na ustach, gdy nagle szarpnięte od środka odrzwia sklepu rozwarły się i wypadł z nich elegancik. Niechcący odtrącił wyciągniętą rękę dziewczyny, wprawiając ją samą w półobrót i pozbawiając tym samym równowagi. Zanim ją odzyskała, złapał złodzieja za szal i zatrzymał.

Mężczyzna, który ile sił naciskał na pedały kradzionego pojazdu, zleciał z siodełka. Obok leżącego na jezdni roweru, gramolącego się z trotuaru osobnika i dziarskiego pana radcy jak spod ziemi pojawił się gwizdzący co tchu stójkowy. Złapał złodzieja za kark.

– Klimek! Wiedziałem! – Ryknął stójkowy, zdejmując z omotanej twarzy osobnika zwoje szala. Pociągnął go za sobą w stronę Koziej, ale wtedy cyklista rzekł do policjanta:

– Stójkowy, nie wnoszę skargi.

Wsiadł na pojazd i nie odwracając się, odjechał w kierunku centrum, pozostawiając na oblodzonej jezdni osłupiałego stróża porządku publicznego, jego naruszydca, tłumek zachwyconych dam i oburzoną brakiem przeprosin młodą pannę doktor. Została dosłownie na lodzie.

Z raportu agenta policyjnego [...]:

...Poniższe fragmenty znaleziono w zniszczonych (na szczęście szybko ugaszony pożar nie uszkodził wszystkich dokumentów!) archiwach dra Ktonopki za rok bieżący. Niektóre z arkusików poważnie się nadpaliły i nie wszystkie słowa udało się odtworzyć, ale tekst zachował sens... Dzienniki za lata wcześniejsze zaginęły w zgliszczach, prawdopodobnie spopielone.

„Dziennik dra Ktonopki za Rok Pański [...].”

[... (data)...]. Pacjent długo milczał, ale przyjął papier i ołówek. Dzisiaj rano siostra Małgorzata znalazła podczas porannego obchodu plik ukrytych pod materacem kartek. Kiedy chory odbywał spacer na dziedzińcu, siostra Małgorzata wraz z siostrą przełożoną pospiesznie skopiowały ich zawartość...

Pamiętnik szaleńca

[...] skończył się ten koszmar... niemożliwe już są najgorsze przypadki... ani chwile szczęścia. Wróciłem do domu [...] Doktor prosił mnie, abym opowiedział mu historię swojego życia...[...] Człowieku, czemu miałbym to zrobić? Zresztą nie umiem mówić. I boję się mówić. I tak stąd nie wyjdę...[...] Wiem, wiem to z pewnością. Zabiją mnie. Tu się urodziłem, tu i skonom. Nie chcę umierać! Ale nie boję się. Nie mam już możliwości ucieczki – ani stąd, ani przed śmiercią...[...] otrują pewnie... Jednak będę milczał, może to jedno mnie uratuje, że nic nie powiem. Mamusiu! Ja chcę żyć! Nikogo nie wsypię! Coś mnie korci, aby zapisać swoje losy... Ukryję to dobrze, ale... nie wiem, może to przecucie? Że i tak mnie zabiją, czy będę milczał czy też nie? Spróbuję...

Pamiętam, to był taki sam stary szpital psychiatryczny – tam się urodziłem, w mieście N... w Prusiech, tam zmarła moja mama, lekarze mówili, że była schizofreniczką. Powiedziała mi o tym siostra Dominanta – jedyna osoba, która w całym moim życiu o mnie się troszczyła... Mamusia była kiedyś z nią razem, w nowicjacie... Mama zmarła przy porodzie, a ojca nie mam. To znaczy, ktoś jest nim, któryś z pacjentów tamtejszego domu wariatów, ale nie wiadomo który. Albo – którzy. Mamusię zgwałciła grupa pacjentów na spacerunku. Nawet nie mogłem sprawdzić, kto mógłby być ojcem – archiwum spaliło się, kiedy miałem siedem lat. Sfajczył się cały budynek, zginęło wielu chorych, a nawet kilka sióstr pełniących nocny dyżur. Ja sam, ciężko poparzony, przeżyłem tylko dlatego, że uciekając z płonącej sali, wpadłem do sali łazienkowej – ściany z kafli oparły się płomieniom, jedynie gorący dym i para poparzyły mi twarz i całe ciało. Ale jestem wytrzymały, wylizałem się wbrew prognozom lekarzy. Siostra Dominanta nie. Oddała swojego bogobojnego i miłosiernego ducha. I siostra Nuncjata, i siostra Oktawiana... Wiele osób zginęło, a sprawca pożaru pozostał niewykryty.

Wiele lat później doszły mnie słuchy, że to kwesor szpitala pod wezwaniem świętej Petroneli, aby ukryć swoje machinacje, podpalił magazynowane w piwnicy zapasowe sienniki. Ale nie wiem... Odszukałem go, kiedy miałem już trzydzieści lat. Nie przyznał się... Nawet wtedy, kiedy go wypatroszyłem, nie chciał się przyznać. Uparty jakiś... Wczoraj deszcz padał za oknem, dzień był taki smętny i ponury... Szkoda, że nie mogłem się jakoś rozerwać... Nie dało się. Mój kaftan (wraz z jego zawartością) przymocowali do stojaka, a stojak jest wmurowany w ścianę. A na twarz założyli mi coś w rodzaju kagańca, tak, że jedynie mogłem myczeć: Mu-u-u-mu-muuuuu... Pech. Pewnie był piątek, trzynastego. Sam nie wiem, po co to wszystko piszę... Może dlatego, że teraz siedzę w pojedynkę – sam jak palec. Nie mam do kogo zagadać, ani kogo nastraszyć. Przedwczoraj byłem jeszcze w zbiorówce, ale jak tylko zaprowadziłem tam porządek, to mnie przenieśli – za karę. Wczoraj cały dzień trzymali mnie związanego. Głupcy! Przecież po raz pierwszy, pewnie w całej historii szpitala, w zbiorówce była cisza i spokój. W końcu, czy to ważne, że dwóch czubków straciło jęzory? Za to reszta siedziała cicho. A ci dwaj – już zawsze będą jak trusie. Odechciało się im wrzasków... Powinni mnie nagrodzić. Zawsze odwalam brudną robotę, a nagrodę dostaje ktoś inny... Ech, przez całe życie tak było.

Po pożarze, kiedy wypisali mnie ze szpitala, oddano mnie do terminu. Żebym nauczył się fachu. Wtedy do szpitali zgłaszali się różni miastowi i brali dzieci niby do terminu – a tak naprawdę jako darmową siłę roboczą. Niektórzy z nas byli popychadłami, „przynieś-wynieś-pozamiataj”, inni ciężko pracowali w polu (bo któż z mieszczan nie miał

swego pola za miastem?) albo w warsztatach. Za kawałek chleba. W święta. Na co dzień – dzielono żarcie dla psów na dwie części – $\frac{3}{4}$ dla psów, $\frac{1}{4}$ dla „podrzutków”, jak nas nazywano. Jak na swój wiek byłem rośli i krzepki, zabrał mnie ze sobą „kupiec”. Kupiec był kawał chłopca, nazywali go „Kozik”. Jak miał naprawdę na imię, nigdy się nie dowiedziałem – może dlatego, że nikogo nie pytałem... Krótko mówiąc, kupczył – cudzymi ciałami. Był „opiekunem” grupki dziewczyn. A jego kozik często był w robocie, bo nie gardził – przy okazji – rozbojem na klientach swoich „dziewczynek”.

Nie zdążyłem się z nim dobrze poznać, bo kiedy pijany, na trzeci dzień mojego pobytu w jego izbie, znowu nie dał mi jeść i zbił mnie knutem, w nocy podkradłem się do śpiącego i jego własnym kozikiem podciąłem mu gardło. Jak to się mówi – od ucha do ucha. Potem zwałem, zabierając z szafki ser, chleb i – spod poduszki – sakiewkę wraz z pugilaresem nieboszczyka. Pugilares z banknotami musiałem wyrzucić, bo zlepiała je krew. To był ostatni raz, kiedy popełniłem taki głupi błąd. Pieniądze może śmierdzą, ale nie mogą być we krwi. Inaczej od razu cię przyskrzynią. Uciekłem na sąsiednią ulicę, zamieszkałem w wozowni, w karczmie. Pomagałem kowalowi. Nawet mnie nie szukali – w tej dzielnicy codziennie znajdowano pozarzynane dziwki, ich opiekunów czy klientów. Kto by się tym przejmował. Do piętnastego roku życia często zmieniałem pracę, ale mieszkiałem stale w jednym miejscu – w piecu starej cegielni, tuż za miastem. Dobrze się ukrywałem, zawsze wracałem do siebie tylko w nocy, aby nikt mnie nie wysłodził. Przez te prawie osiem lat parę razy wpadłem w łapy policjantów, ale przymykali oko na kradzieże, bo zacząłem im donosić. Podśluchiwałem w knajpach miejscowych złodziei i włamywaczy, po skoku okradałem ich i zaraz donosiłem na policję. Ta ich zwijała, część fantów (nigdy nie okradałem przestępców z wszystkiego) chowała do swoich kieszeni, pisała raport, że złodziej zdążył upłynąć łupy i po krzyku. Jeszcze dostawali nagrody. Łatwizna – nie było okazji, żeby po udanym skoku łachudry się nie popiły, a okraść w sztok pijanych to nawet niemowlę potrafi.

Jednak kiedy – będąc już prawie dorosły, bo po ukończeniu piętnastu lat – zażądałem od policjantów, aby w nagrodę pozwolili mi zająć się sutenerstwem, ci – zaśmiewając się – powiedzieli, że muszę jeszcze parę lat kapować. Nie wiem, co mi się stało, ale krew zalała mi oczy, ogarnęła mnie wściekłość. Opanowałem się na tyle, że wyszedłem z posterunku, ale wróciłem tam nocą. Wiedziałem, że potem przyjedzie któryś z wyższych urzędników policyjnych po swoją działkę. Przygotowałem gwoździe, deski, topór i uzbroiłem się w cierpliwość. Kiedy o wpół do jedenastej (był listopad, deszcz, ciemno, choć oko wykol) podjechała drynda i wysiadający, chroniąc się przed deszczem wbiegł na posterunek, odczekałem chwilę, po czym zabiłem deskami drzwi i okiennice okien na parterze – wszystkie otwierały się na zewnątrz. Potem pod ściany podsunąłem bele siana z pobliskiej wozowni, oblałem naftą do lamp i podpaliłem. Najpierw, cholera, kiepsko się paliły, przez ten deszcz, i już bałem się, że policjanci dobijający się od wewnątrz do drzwi i okien zdążą się wydostać, ale w końcu siano się zajęło i buchnęło takim ogniem, że w środku wszyscy ucichli. Zanim płomienie objęły cały drewniany budynek, jeden z policjantów wyskoczył z pierwszego piętra przez okno. Ale spotkał się z moim toporem. Później już musiałem odejść, bo zaczęli się zbiegać ludzie, ale i tak nikt ze środka nie uciekł – budynek spłonął całkowicie. Nawet trupów nie mogli się doliczyć. A mnie na dzielnicy otoczył szacunek. Nikt mnie nie zakapował – strach dał mi niesamowitą władzę. To przez ten topór. Nowi policjanci od razu wyczuli pismo nosem, ale układ im odpowiadał. Ja rządziłem dzielnicą i ja płaciłem im haracz. Za wszystkich. A wszyscy – dziwki, sutenerzy, kieszonkowcy, pajęczarze, złodzieje i złodziejaszki, oszuści i nabieracze, karczmarze i sklepikarze – płacili mnie. Nie będę ukrywał – aby wszystkie kółka kręciły się dobrze, nieraz musiałem je oliwić. Topór nie rdzewiał. Poczuję się wszechmocny – to był mój błąd. W jeden dzień straciłem wszystko. Nawet topór.

Myliłem się, sądząc, że policji ten układ odpowiada. Nie pasował też dzielnicy. Zmówili się za moimi plecami i którejś nocy, kiedy leżałem w łóżku z czterema dziewczynkami, wpadli do pokoju, związali mnie (dwóch, co prawda, nigdy już nie podniosło się z podłogi) i wywieźli za miasto. To była spółta – złapali mnie policjanci, ale oddali bandytom. Nie chcieli, aby doszło do sądu, za dużo wiedziałem. Kolesie, którzy mnie wywieźli za miasto, nienawidzili mnie od zawsze – za fart w interesach – ale dopiero teraz mogli się zemścić. Zawieźli do tej starej cegielni, gdzie się kiedyś ukrywałem. Torturowali, popijając, całą noc. Nad ranem rzucili łachman mojego wymęczonego ciała do piwnicy, a sami legli spać. Kiedy wpadłem do wody – bo na podłodze piwnicy było na pół metra wody – ocuciłem się. Przez godzinę dochodziłem do siebie, w końcu zebrałem siły na tyle, że wydostałem się stamtąd i podkradłem do schowka,

gdzie – jeszcze z zamierzchłych czasów – leżało chłopięce ubranie, brzytwa i trochę monet. Przebrałem się, zabrałem pieniądze i brzytwę, i uciekłem przez pole. Byłem za słaby, aby od razu się mścić. Zmaltretowany, kupiłem za garstkę monet od jakiegoś wieśniaka normalną odzież i milczenie.

Ukryłem się w stogu na polu, leczyłem się tam przez trzy dni. Wiedziałem, że do miasta nie mam po co wracać – znał mnie każdy burek. Nie przestąpiłbym nawet rogatek, a już by mnie mieli. Przeniósłem się do małej miejsciny, położonej trzydzieści kilometrów dalej. Ponieważ – mimo mąk – był ze mnie już wtedy kawał chłopca, zatrudnili mnie jako palacza przy maszynie parowej w tamtejszym tartaku. Pracowałem, nieźle zarabiałem, mieszkalem w stodole u kowala – za pomoc. A w sobotnie noce wyprawiłem się piechotą na stację kolejową i jechałem do SWOJEGO miasta. Po każdej wizycie mogłem zakreślić jeszcze jeden krzyżyk na wezłowie barłogu – trzebiłem prześladowców. Niektórych dosłownie – zanim pozbawiłem ich życia. W pół roku uporałem się ze wszystkimi. I nikt nie mógł mnie odkryć, bowiem wracałem zawsze przygodnymi, przejezdnymi furami – nie zostawiałem żadnych śladów. No, poza jednym – na koniec wszystkim ofiarom podrzyłem gardło brzytwą. I zabierałem jedno ucho. Na wieczną pamiątkę. Upłynęło jeszcze pół roku, już nie jeździłem do miasta – nie było po co. A raczej – po kogo. Wszystkie ich parszywe dusze diabli wzięli. A ja – uszy. Uspokoilem się, ciężko pracowałem. Wydawałoby się, że wszystko, co złe, minęło. Ale nie – któregoś dnia dzieci kowala przeszukały moje rzeczy w stodole, kiedy byłem w pracy. Znalazły uwędzone w kuźni uszy. Kiedy wróciłem, już czekało czterech policjantów. Mieli pistolety w rękach, nie mogłem stawiać oporu.

Zawieźli mnie do miasta, które kiedyś opuściłem. Policjanci byli obcy – nie wiedzieli, że powinni byli mnie zastrzelić „podczas próby ucieczki”. Ci miejscowi chcieli naprawić błąd – wrzucili mnie do ogólnej celi, gdzie za towarzyszy dostałem najgorszych zakapiorów. „Przypadkiem” uzbrojonych w noże i brzytwy. W walce o mało straciłem prawą dłoń, ale przeżyłem, a nawet – kiedy jeden z policjantów przyszedł sprawdzić, czy już nie żyję, zdążyłem go przebić nożem odebrany moim niedoszłym zabójcom i zbiec z więzienia. Nie było to trudne, bo widać umowa policji z rzeźmieszkami była taka, że po zabiciu mnie „uciekną sobie” – strażnicy siedzieli w swoim pokoju, zupełnie nie pilnując ani krat, ani bramy. Później ukryłem się w piwnicy na warzywa w czymś ogrodzie. Przesiedziałem tam cały tydzień – jadłem rzepę i marchew, piłem wodę z kałuży, jaka utworzyła się na podłodze pod drzwiami. Po tygodniu, kiedy zdecydowałem się wyjść, będąc pewny, że już o mnie wszyscy zapomnieli, nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł zamożnie wyglądający mężczyzna w meloniku. W ręku trzymał pistolet, więc nie mogłem mu nic zrobić. Zaproponował mi rozmowę...

[brak kilkunastu stron, ocalały tylko nieczytelne strzępki]...

Od czasu, kiedy zamieszkałem w stolicy, powodziło mi się nieźle. Umieszczono mnie w jednej pracowni fotograficznej, abym wyuczył się zawodu. Lubię swój nowy zawód, bo tak mnie wciąga...[...]

– Niemożliwe! – Hrabianka Wera Zwolska mimowolnie podniosła głos. Siedzący w kawiarni z wyrzutem spoglądali na obie młode panny zajmujące stolik pod oknem. Zofia opowiadała dalej... O spotkaniu na dworcu, o dzisiejszym *qui pro quo*... Zaintrygowana brunetka aż na wpół uniosła się z krzesła, by lepiej dosłyszeć słowa interlokutorki.

Panna Zosia spotkała na Krakowskim Przedmieściu swoją koleżankę z pensji, kiedy oszołomiona odtrąceniem jej ręki przez obcokrajowca-dandysa, szła na wpół przytomna przed siebie. Zwolska zaprosiła ją do pobliskiej kawiarni „Kawa u Brzezińskiej” na ulicy Koziej, gdzie niegdyś często koncertował Fryderyk Chopin. Usiadły, zamówiły kawę i ptifurki, by – po wstępnych achach i ochach (Jak ty, och, świetnie wyglądasz! Ach, jak wypiękniałaś...) – Zofia jako pierwsza relacjonowała swoje ostatnie przygody. Obie piękne niczym poranek i zgrabne niczym łanie reprezentowały odmienne typy urody – Zofia, miedzianowłosa, o białej cerze, pokropkowanej mikroskopijnymi piegami, wielkich, szarych oczach i szlachetnych, bardzo kobiecych rysach twarzy, była stuprocentową kobietą. Wygięta kibić, zaokrąglone pięknym łukiem biodra, stojąca pierś i łabędzia szyja zwracały uwagę każdego mężczyzny. I nie tylko mężczyzn... Wera była jej całkowitym przeciwieństwem – wysoka, szczupła brunetka o greckim profilu, lekkim wąsiku i ciemnych jak węgle oczach, miała włosy gładko ułożone wokół zgrabnej, wysoko sklepionej czaszki. Owalna twarz o trochę ostrych rysach wyrażała nieprzeciętną inteligencję, a ciągle uśmiechnięte, pełne usta zdradzały poczucie humoru. Mimo swej budowy była silna fizycznie. Byłe szkolne koleżanki, a później – studentki, nie widziały się prawie od roku – Wera na ostatnim

kursie porzuciła studia i opuściła Paryż. Jej wyjazd otaczała atmosfera skandalu, jednak nie bulwersował on zbyt Zofii: doskonale znała upodobania hrabianki i rozumiała jej postępek.

– Niemożliwe! – Ponownie wyrzekła Zwolska, tym razem scenicznym szeptem i tak doskonale słyszalnym w całej kafeterii.

Dziesięć lat wcześniej na pensję, w której uczyła się – podówczas dla wszystkich – Zosieńka, została „zesłana” hrabianka. Za karę, bo źle się sprawowała w wykwintnej wiedeńskiej przydworskiej szkole dla szlachetnie urodzonych dam. Umieszczenie jej tam kosztowało rodziców wiele trudu i pieniędzy, chociaż arystokratyczny rodowód rodziny nie podlegał żadnym wątpliwościom, a znaczny majątek pozwalał na pewne finansowanie edukacji. W Polsce nie wiedziano, co austriacka dyrektorka rozumiała pod określeniem „złego” sprawowania się.

Nowa koleżanka dosyć szybko wywarła wrażenie na spokojnej panience, córce byłego ziemianina z kielecczyny. Jej odwaga, bezkompromisowość, stanowczość i „męski” styl zachowania zaimponowały „hreczkosiejównie”. Najpierw zaprzyjaźniły się, później pogłębiły swój związek i stały się partnerkami. Chociaż Zwolska była rówieśniczką Maciejewskiej, to zawsze sprawiała wrażenie starszej czy też może – dojrzalszej. Pod wpływem Wery Zosieńka wyrosła na Zofię – wyzbyła się nieśmiałości, nabrała zdecydowania, a jej pogląd na świat stał się realistyczny. Dzięki temu później mogła zostać kobietą silną i odważnie wkraczającą w dorosłe życie. Obie zaczęły dzielić pokój na pensji, co przyspieszyło rozwój ich uczuć i utratę niewinności przez Zosieńkę. W gruncie rzeczy wcale nie opierała się, nie próbowała wypierać się uczucia i głębokie więzi emocjonalne, które łączyły dziewczęta powoli – wraz z transformacją charakteru przyszłej lekarki – przekształciły się, a intymny aspekt ich związku, który najpierw go scementował, później przestał odgrywać ważną rolę: głównie dzięki Werze, a raczej jej niestałości. Lubiła przeskakiwać z kwiatka na kwiatek, a zawsze najwyżej ceniła dziewicze lilie. Ich relacje nie były niczym nowym na tej pensji, jak i w większości żeńskich szkół z internatem – dziewczęta były niejako skazane na własne towarzystwo. Przebywając w szkołach same, oddawały się romansom. Pewne homoerotyczne zachowania wśród pań na pensji były na porządku dziennym, taką sytuację tolerowano, oczywiście udając, że problem nie istnieje: wiedziano, że prędzej czy później przynajmniej jedna z „pary” pań zostanie zaślubiona mężczyźnie i wszystko wróci do normy. Miłość lesbijska traktowana była za ledwie jako „nieczystość”, nie jako grzech śmiertelny. Takie relacje łączące dwie kobiety były podówczas zjawiskiem nagminnym, ich ofiarą najpierw padła w Wiedniu Wera – zakochała się ze wzajemnością w młodej nauczycielce, a kiedy ich intymny związek się wydał, została wyrzucona ze szkoły. Nauczycielka – pozostała. Nadal pisywały do siebie wiersze, ale platoniczny poziom uczucia hrabiance już nie wystarczał.

Bez większych problemów uwiodła i rozkochała w sobie młodą warszawiankę. Oczywiście, sama też ją miłowała – tylko że jej uczucia były już jakby płytsze i miały bardziej erotyczną naturę. Nie była zdolna do długotrwałych, czysto platonicznych uczuć do koleżanki ze szkolnej ławy. Odkrywanie własnej seksualności zaowocowało miłością między dziewczętami, która zrodziła się z przyjaźni. Obie piękne, były obiektami uwielbienia ze strony pozostałych dziewcząt, ale Zosia nie chciała poznawać bliżej innych koleżanek. Wpływ na to miała jej sytuacja rodzinna – porzucona przez matkę, wychowywana przez macochę, ostatecznie trafiła do bursy, ale w głębi duszy czuła się samotna i zagubiona. Początkowo nie uświadamiała sobie w ogóle pragnień seksualnych, odczuwała tylko pragnienie przyjaźni i czułości, przywiązanie, dopiero później pojawił się głód bliskości cielesnej. Co innego Wera, wulkan energii. Od początku nie pozostawiała swej przyjaciółce złudzeń co do swojej wierności. Dodawało to pewnego pieprzyku ich związkowi, – w sensie erotycznym właściwie podobało się Zofii. Podniecało ją to. Szybko okazało się, że ich alians będzie burzliwy, bowiem Wera nie stroniła także od licznych kontaktów z mężczyznami. Jej opowieści przywróciły Zofii wiarę w „mężczyzn”, chociaż – będąc pensjonarką – nie sypiała z nimi. W trakcie studiów sytuacja zmieniła się. W Paryżu, poza Wera, warszawianka nie miała bliskich przyjaciółek, ale za to dwukrotnie zakochała się w mężczyznach. Jeden z nich – artysta-malarz – uwiodł ją, ale szybko, po „konsumpcji”, porzucił, stwierdzając, że nie była dziewczicą.

Po okresie pewnego fizycznego znudzenia, roczne oddalenie spotęgowało u obu młodych kobiet potrzebę kontaktu fizycznego. Znowu siebie pociągały. Zofia wiedziała, że Wera uciekła z Paryża z kochanką, ale nie wiedziała, co się później z nią działo, bo obrona dyplomu, poszukiwanie pracy i powrót do Polski na jakiś czas odwróciły jej uwagę od

śledzenia losów – niegdyś tak bliskiej – przyjaciółki. Dotychczasowy spokój w życiu uczuciowym zburzyło przypadkowe „poznanie” nieznanego eleganta na dworcu. Wbrew woli i ku pełnemu swojemu zaskoczeniu, panna doktor zakochała się od pierwszego wejrzenia. Zwolską tym bardziej ekscytowała możliwość „odbicia” przyjaciółki mężczyźnie, nieistotne, że ten nawet nie wiedział o ich istnieniu. Wróciła ciekawość siebie nawzajem i... podniecenie. Bardzo chciała ją pocałować. Obie zauważyły rosnące pożądanie. Hrabianka, dominująca partnerka w związku, co chwilę zwilżała usta czubkiem języka, a Zofia ścisnęła pod stolikiem jej dłoń nogami. Oczywiście trwało to sekundy, by nikt nie mógł nic dostrzec.

ROZDZIAŁ 5

Ofiara! Jeszcze ciepła!

*Gdzie dwóch się dogaduje,
Tam trzeci oberwie.*^[8]

Prokurator piątego okręgu sądów miasta Warszawy, popularnie zwanego Judeą, pan Tymoteusz von Brugge (który od lat starał się wyrzeć wrażenie, że ma flamandzkie pochodzenie, choć jego korzenie sięgały tak naprawdę jedynie ziemczonemu ziemiaństwa Wielkopolski) stał przed lustrem w sypialni swojej żony, Iriny Aleksandrowny z domu Sołouchowej, w rozpiętym szlafroku, szlafmicy oraz długich, ciepłych ineksprymablach z rozwiązanymi tasiemkami.

Jego połówica leżała w fotelu naprzeciw i płakała.

Płakała ze śmiechu, ale to nie jego codzienny, poranny wygląd pobudzał ją do spazmów radości, a czynności, które właśnie nieudolnie próbował wykonać – mianowicie zapudrowywał sobie, żoninym pędzelkiem ze strusiego pierza wielki, krwawy siniak pod okiem.

No cóż, nie da się ukryć, że ten postawny, masywny brunet, wzbudzający paniczny strach w kryminalnym światku i półświatku swojego dystryktu i całego okręgu oraz wśród kancelistów i pisarczyków prokuratorii, bywał bijany.

Regularnie, przynajmniej raz na dwa tygodnie.

Tym razem jednak żona przesadziła...

– Nie po twarzy, nie po twarzy – krzyczał nad ranem, po powrocie z nocnej bibki z kolegami z palestry. Irina Aleksandrowna zaś waliła go zawzięcie po głowie, tułowiu i poniżej, piskliwie i z satysfakcją cedząc przez zęby (żeby sąsiedzi nie słyszeli):

– Masz, draniu, bibki! Masz, łajzo, dziwki! A masz! Te swoje putyfary i midinetki! I jeszcze za kursantki i loretki! A masz!

Trzepaczka w jej dłoni wiła się jak błyskawica – albo niczym miecz w karzącym ręku Nike – i warszawska syrena-Irena (ze względu na szacunek nie wolno było nikomu nazywać żony jego tajnej radcowskiej mości „syrenką-Irenką”) uderzała, gdzie popadło.

Traf chciał, że jegomość zarobił też po buzi. Stąd dzisiaj rano pod okiem pojawiła się wielka, krwawa, już siniejąca, pieczęć. Von Brugge podczas kosmetyczno-restauratorskich zabiegów upaprał się pudrem cały – miał go na uszach, nocnej koszuli, połach powiewającego szlafroka i nawet na ineksprymablach. W tym też winna była żona, która złośliwie nie dała mu wcześniej wypić klina, bo schowała klucz od kredensu. Ręce drżały, a trafić tym cholernie chybotliwym pędzelkiem tam, gdzie zamierzył – nie udawało się... Prokurator z konfuzją i irytacją popatrzył na połówicę.

W końcu kapłanka domowego ogniska zlitowała się i pomogła mu zretuszować ślady nocnego zajścia. Nie upłynęło pięć minut, kiedy – uprzejmie i przepraszająco ucałowawszy dłoń już uspokojonej wybuchem śmiechu małżonki – Von Brugge łyknął upragnione antidotum i poczuł, że wraca do życia. Chociaż rzycia – po trzepaczce – jeszcze go pobolewała.

Ciężka, artystyczna praca żony prawie całkowicie zamaskowała śliwkę pod okiem pana Tymoteusza. Na śniadanie zeszli razem, pod rękę. Kiedy imć Van Houten walczył ze złodziejem bicykli, państwo prokuratorostwo wspólnie spożywali rogaliki od Menzla, popijając kawą od Hinza, ze śmietanką od mniej snobistycznej, ale wysoko wykwalifikowanej krowy Mućki rasy polskiej. Krówka, stojąca w obórcie w prywatnym mająteczku pod Warszawą, rzecz jasna była własnością państwa von Brugge – ponieważ, jak mawiała żona pana Tymoteusza, miał on „buchalterską” głowę, co oznaczało, że po latach ciężkiej pracy w labiryntach sądów warszawskich, stał się właścicielem kilku kamieniczek, jednej restauracyjki, czternastu składów przy kolei żelaznej i pewnego przybytku rozkoszy, do którego własności zresztą oficjalnie niechętnie się przyznawał. Najwyżej po pijanemu, a i to tylko swoim najbliższym przyjacielom, udzielając im „pańskiego” rabatu na usługi tamtejszych „szwaczek”.

Po śniadaniu, ciepło się odziewszy, prokurator pożegnał się z „szyją rodziny” (szybko poprawiła mu sztukaterię mistrzowskim pociągnięciem pędzelka ze świeżą porcją pudru) i dorożką pojechał do hotelu na spotkanie z gościem z Moskwy. Zanim wsiadł do bryki, dopadł go „kurier carski”, jak warszawka żartobliwie nazywała szyldwachów-pościańców, przenoszących pilną i ważną pocztę urzędową. Prokurator pokwitował odbiór przesyłki od pana asesora kolegijskiego, siedząc w powozie złamał jej pieczęć i szybko przeczytał.

Wbrew pozorom – czytając: posiadany kamieniczkom, czy składom – pan Tymoteusz był rzeczywiście uczciwym człowiekiem i chyba jedynym, który w całym swoim resorcie nie tylko nie brał łapówek, ale nawet nie pozwalał brać ich podwładnym. Po prostu umiał inwestować, wiedział, co w trawie piszczy i która krowa lepsze mleko daje, umiejętnie lokował każdy grosz, cierpliwie czekał. Jako człowiek bardzo rozsądny, doskonale zdawał sobie sprawę, że łaska pańska na pstrym koniu hasa, dlatego też postarał się uniezależnić finansowo. Stąd jego odwaga, nieprzekupność, zdecydowany charakter oraz kompletny brak serwilizmu, lokajstwa i służalczości. Nie podlizywał się wyżej stojącym, nie znosił lizusów w swoich „urzędach” i włościach – wytepił ich tam całkowicie. Szybko został zaufanym człowiekiem najwyższej władzy Królestwa, która potrzebowała pomocy obiektywnego, nieprzekupnego urzędnika na tak wysokim stanowisku. Jednak ponosił wysokie koszty tak dobrej reputacji – większość kolegów po fachu nienawidziła go, a wszyscy zazdrościli. Zawiść to najczęstsza z epidemicznych chorób wśród nieudaczników, karierowiczów, trutniów i złodziei.

Pan tajny radca miał jedną jedyną słabość – uwielbiał podziwiać wdzięki niewieście i chociaż, tak naprawdę, prawie nie zdradzał żony, to kręcił głową za każdą spódnicą. Jednak interesowały go tylko posagowe kobiety, a te wszystkie chude i płaskie „Angielki” i wiotkie, fertyczne „Francuzki” nie pociągały go wcale. Był wybitnym znawcą i koneserem damskiej mody, znał nie tylko najnowsze „tendencje”, „nurty” i największych krawców Paryża, Wiednia, Londynu czy Petersburga, ale potrafił o niej rozmawiać, co czyniło z niego pożądanego partnera do pogaduszek w każdym salonie, a damy Warszawy uważały go za najbardziej czarującego mężczyznę tej „metropolii”. Zazdrosna małżonka, widząc go otoczonego wianuszkami ślicznotek, perorującego ze swadą z najpiękniejszymi kobietami, ostrzyła w duchu szpic parasolki i tylko czekała powrotu do domu, aby „dać lekcję moralności” swojemu podtataślowi lowelasowi.

Drynda dowiozła pana von Brugge przed czasem, zasiadł więc w westybulu na sofie, wziął pierwszą lepszą gazetę ze stojaka i zagłębił się w jej lekturze. Najpierw przejrzał „Kurier Warszawski”, który zaraz na pierwszej stronie podawał najważniejsze dla mieszkańców miasta informacje: „Dzień wigilijny:

– Poczta warszawska będzie jutro czynna przez cały dzień.

– Tramwaje przestaną dziś kursować o godz. 7-ej wieczorem, jutro przez cały dzień będą nieczynne, a wznowią ruch w drugie święto od rana.

– Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, iż zakłady golarskie w naszym mieście będą czynne dziś do godz. 7-ej wieczorem, jutro przez cały dzień zamknięte, a w drugie święto będą otwarte do południa”.^[9]

Ziewnął znudzony, ponieważ te „nowiny” powtarzały się co roku o tej samej świątecznej porze. Odłożył „Kuriera”, spojrzął na zegarek – zostało mu jeszcze dziesięć minut, więc wyciągnął kolejną gazetę – tym razem los padł na „Kraj”, który donosił: „Na porządku dziennym mamy obecnie kwestię szopkową. Policja zakazała obnoszenia po mieście szopek ze względu na to, iż proceder ten jest pewną formą zebrania i następcza dogodną sposobnością do kradzieży. Nikt pewnie przeczyć nie zechce, iż względy te są słuszne i mają pewne znaczenie, ale nie są one jedyne i wcale nie najważniejsze. Cała też prasa warszawska ujęła się za szopkami, wyraziła swój żal, a razem nadzieję, iż zakaz zostanie cofnięty. Polskiemu czytelnikowi tłumaczyć nie trzeba, co szopka znaczy. W latach dziecinnych wszyscyśmy oczekiwali jej przyścia z biciem serca, urządzaliśmy sami szopki, powtarzaliśmy piosenki. Czem byłyby święta Bożego Narodzenia bez szopek, bez króla Heroda?”^[10]

„I szopki są, i Herod tutaj z wizytą przyjechał...” – zażartował w duchu Tymoteusz, podniósł się z sofy, rzucił gazetę na stół i poszedł do windy. Z ostatnim uderzeniem zegara wybijającego dziewiątą zastukał do apartamentu Van Houtena.

– Proszę! – Rozległo się ze środka.

Po oficjalnej wzajemnej prezentacji i zdawkowych komplementach, podczas których obaj obserwowali się wzajemnie, pan prokurator pierwszy przeszedł do tematu.

– Otrzymałem od asesora Puławskiego notatkę, a że podejrzewa pan obecność dwóch sprawców zbrodni... Sądzę, że ma pan rację. Od początku tak uważałem, ale nie chciałem narzucać swojego zdania policji – dzięki temu mogli bardziej obiektywnie pracować. Teraz pan potwierdził moją perspektywę, ponieważ wiele słyszałem o panu dobrego, przekonuje mnie to, że moje podejrzenie było właściwe. Jednak – konsekwencje tego założenia są zatrważające i, z kolei, rodzą nowe niejasności... W gruncie rzeczy – też nie nowe. I nam tutaj, i tam, w stolicy, wszystkim przyszło do głowy, że mamy do czynienia ze sprawą państwową.

Van Houten przychylnie potaknął głową:

– Tak. Dwóch maniaków, stosujących podobną metodę, działa w tym samym czasie, na tym samym terenie. To przeczy prawdopodobieństwu. Zatem – to zorganizowana, przygotowana akcja. Prowokacja.

Opuchnięta, choć zakryta pudrem fizjonomia nie mogła żywą mimiką podkreślić słów prokuratora, więc tylko szeroko gestykulował, wypowiadając kwestię:

– Właśnie. Tylko – po co? Kogo i do czego ma doprowadzić? Podejrzewamy naszych najbliższych, zachodnich sąsiadów – stale czyhają, aby oderwać tę niespokojną, buntowniczą część Imperium. A przynajmniej osłabić państwo przez wzniecanie niepokojów. To nie nowina. I wszystko w ich stylu – grubymi, ordynarnymi nićmi szyte. Ale nie rozumiem po co? Destabilizacja? Phi! Tym się do następnego buntu nie doprowadzi. Zastraszenie? Kogo? Praczek? Kucht? I czym?

Radca ponownie potaknął głową:

– Istotnie. To najważniejsze. Też się jeszcze nie domyślam, o co chodzi. Przypuszczam, że wykrycie przyczyny śmierci Wotcowa pomoże wyjaśnić całą tajemnicę. Albo – choć to mniej prawdopodobne – wyłapanie żywcem morderców i przesłuchanie ich.

Prokurator był mniej optymistycznie nastawiony do tego wątku:

– Będą milczeć jak grób. Zresztą, z pewnością nic ważnego nie wiedzą. To pionki w cudzych rękach. Marionetki. Poza tym, po co tutaj pojawiła się ta Holenderka? Czy pracuje teraz dla Berlina, czy dla Paryża? Jeżeli dla Berlina – czy to trzeci fałszywy trop? A jeśli dla Paryża – czego Francuzi tutaj szukają? Właśnie teraz?

Podopieczny generała-gubernatora Moskwy zaryzykował:

– Taaak. Sprawa się coraz bardziej komplikuje. I wie pan co? Najbardziej mnie niepokoi wcale nie dama ani maniacy. Nie, nie, to są tylko – może ważne, ale nie najważniejsze – tropy. Najbardziej mnie zadziwia niezwłoczna reakcja Petersburga. N a t y c h m i a s t o w e zrozumienie władz, że chodzi o sprawę najwyższej wagi. To bardzo zastanawiające...

Uśmiech aprobaty, który pojawił się na licu warszawskiego prokuratora, naruszył całość arcydzieła rąk jego żony – odpadł spory, pierwszy kawałek pudru. Wprost do filiżanki, z której ucharakteryzowany prawnik właśnie popijał.

– Idziemy, jak słyszę, tym samym tropem. Mnie też gryzie świadomość, że mam zostać narzędziem... Wiem, że zaplanowano użyć mnie w jakiejś grze, tylko nie wiem jako kogo. Przynęty? A może dla odwrócenia uwagi?

Goguś, sączący z porcelany bladezielony napój, dołączył się:

– A mnie już dawno odsunięto od spraw dyplomatycznych, przez ostatnie lata zajmuję się głównie problemami kryminalnymi. Wielkiej wagi, ale kryminalnymi. Dlaczego Petersburg nagle sobie o mnie przypomniał? *A propos*, co się dzieje z dodanym mi jako eskorta adiutantem ministra, hrabią podpułkownikiem Nikołajem Andrejewiczem Kapitonowem? Nie widziałem go, ani nie słyszałem od chwili wyjazdu z Pitra... Co prawda, od mojego przyjazdu do Warszawy nie upłynęła nawet doba, ale to osobliwe.

Życie nie jest fair – kac właśnie łupnął prokuratora boleśnie w ciemność, więc skrzywiona bólem twarz – odkruszył się następny kawałek szkatuły – nie odpowiadała słowom, które padły z jego ust:

– Hmm. Z tego, co wiem, nie wysiadł z pańskiego pociągu. Nie widział go nikt ze szpicli dworcowych. A w hotelu pojawił się jakaś godzinę po panu. Do tej pory wychodził tylko raz, zameldował się u pełniącego obowiązki oberpolicmajstra, poczem wrócił do hotelu i na razie go nie opuszczał. To jakaś chytra sztuka – domyślił się, że tu na

niego czekamy – pewnie wysiadł stację lub dwie przed Warszawą. Potem dojechał ekstrapocztą, dlatego przybył niewiele później od pana. Moi ludzie sprawdzają, skąd i jak przyjechał. Wieczorem powinniśmy wiedzieć. Ale czy uda się nam ustalić, po co przedsięwziął takie kroki, z kim się spotykał i gdzie – w to wątpię. Szpakami karmiony.

Zapalając cienką cygaretkę, przybysz powiedział:

– Tak. Myślę, że chyba trzeba rozdzielić te wszystkie dochodzenia. Za duża gmatwanina... Celowo splątano różne wątki, trzeba je rozplątać i każdy obejrzeć oddzielnie...

Prokurator Judei, zapominając się i energicznie kiwając głową, przez co utracił resztę malunku, zaproponował:

– Ma pan rację. Proponuję, aby pan wraz z asesorem zajęli się – póki co – dochodzeniami kryminalnymi: śledztwami w sprawie tych wszystkich zbrodni i zabójstwa Fiodora Andrejewicza Wotcowa. Coś tu brzydko pachnie... Ja z kolei skoncentruję się na zebraniu informacji z wywiadu, no i postaram się rozgryźć sekrety posłańca z Petersburga. Te rzeczy pewnie są ze sobą powiązane. Jednak, przy okazji, miałbym do pana prośbę – będę musiał przyjrzeć się tej rani. Czy nie zechciałby mnie pan wprowadzić w jej towarzystwo? Już się znacie, więc wyjdzie to naturalnie...

Van Houten powstrzymując lekki uśmieszek i udając całkowitą powagę odrzekł:

– Bez żadnej subiekcji. Umówmy się na dziś, na wieczór. Zdaje się, że jej „szopka” zaczyna się o jedenastej?

Von Brugge, niby lekceważąc swe słowa, ukrył nos w filiżance, ale nie siorbał i całkiem wyraźnie powiedział:

– Nie, o dziesiątej. Tylko wczoraj odbyła się później. Od dziś do Nowego Roku występy mają się odbywać o dziesiątej. W teatryku Variété.

Uśmiechając się w duchu, bo zwierzyzna wpadła w zastawioną pułapkę – prokurator wygadał się, że o rani wie już wszystko – gospodarz zapytał:

– To może teraz wypijemy spokojnie następną herbatę?

Propozycja spotkała się z raptownym sprzeciwem:

– O nie, dziękuję. Ja, jeżeli pan pozwoli, zamówię sobie kawę. Z koniakiem.

Van Houten sięgnął po dzwoneczek – zza drzwi szybko i bezszelestnie ukazał się lokaj.

– Dwie duże czarne, butelkę koniaku, limonę... i może trochę wędzonego jesiotra? I... jeszcze jedną butelkę koniaku.

– Tak, tak, niegorszy concept... – rzucił w powietrze całkiem już pozbawiony pudru jegomość.

Po niedługiej chwili, gdy prokurator dolewał sobie do kawy trzeci kieliszek koniaku, a miszkulancja w porcelanowej czarce przybrała barwę słabobursztynową, uśmiech wrócił na jego, tak uprzednio stroskaną, fizjonomię. Chciał zabrać głos, kiedy przez drzwi, zaraz po dosadnym pukaniu, wbiegł jakiś urzędnik w dęciaku.

– Panie prokuratorze, panie tajny radco... – wydyszał, zatykając się z pośpiechu.

– Co się stało, Nowikow, coś pan tak, jak ordynus... – Zagrzniał falsetem jego wielmożność.

– Siódma! Siódma! – Znowu zatkało Nowikowa.

– Jaka siódma, już dawno po dziesiątej! – Wydusił czerwony z wściekłości gubernialny dygnitarz z resortu sprawiedliwości.

– Siódma ofiara! Jeszcze ciepła! – Wyrzekł w końcu mężczyzna w służbowym nakryciu głowy.

Obaj siedzący raptownie wstali, zastawa na stoliczku niebezpiecznie zadrżała na tacy, ale prokuratorska, już pewna, ręka w ostatniej sekundzie złapała przewracającą się pełną flaszkę. Dzbanuszki, cukiernica i pozostałe nakrycia, łącznie z półmiskiem pełnym wędzonej, grubej i tłustej ryby poleciały na podłogę. Pusta butelka po koniaku – też.

Gospodarz pokoju pocwałował do garderoby, zapewne, aby się przebrać, zaś von Brugge szybko podniósł jedną z filiżanek, nalał do niej do pełna destylatu słońca, duchem wypił, butlę oddał Nowikowi, który – nie tracąc kontenansu i nie zmuszając się do *bon tonu*, wytrąbił, głośno gulgocząc, solidny łyk wprost z flaszki, zanim odstawił ją na okap kominka. Prokurator złapał swój przyodziewek oraz oddech – twarz mu poczerwieniała od przyjętej za jednym zamachem „dozy” alkoholu. Zabrał jakieś papiery ze stolika, upchał je do aktówki i ruszył ku wyjściu. W tym samym momencie w drzwiach ubieralni ukazał się radca: w lodenie, czapce i halsztuku, z laską oraz niewielką sakwą z kozłej skóry

w dłoni. Wszyscy trzej ruszyli z kopyta przez drzwi na korytarz, pogalopowali paradnymi schodami, w westybule o mało nie stratowali jakiegoś staruszka, który zaplątał się w obrotowe drzwi w tej samej chwili, kiedy ekipa śledcza w pełnym składzie usiłowała się przez nie cwałem wydostać. W końcu w skok wypadli na ulicę. Fiakier, którym przykłusował Nowikow, stał przed głównym wejściem. Prokurator i pan radca wzięli przeszkodę – schodek bryki – z biegu i znaleźli się w budce. Agent wspiął się na kozioł obok sałaciarza, a ten – wzięty przez filera do galopu – strzelił z bata. Konie ruszyły, najpierw stępa, potem wyciągniętą rysią, aż przeszły do gorączkowego, najszybszego biegu. Nowikow odwrócił się do przełożonego i krzyknął przez okienko:

– Na Senatorskiej! W podwórzu! Pół godziny temu znaleźli! Kobieta! Młoda!

Fiakier gnał po Krakowskim niczym rydwan, wyprzedzając wszystkie powozy, kabrioleciki, karoce i egoistki. Skręcili w Miodową, potem jeszcze raz i jeszcze – nieznający miasta Van Houten już się zgubił, nie wiedział, gdzie są, gdy głośnie „Prrrrrrrrrrrrr!” i szarpnięcie cugli zatrzymało konie i wytrząsnęło pasażerów na ulicę. Stali przed niewielką kamieniczką, dwupiętrową, wymalowaną na różowo. W bramie czekali stójkowi, panowie w melonikach, a kilka metrów dalej stały dwie dorożki. Z jednej wysiadał lekarz – od razu można było poznać jego profesję po walizeczce, którą pieścił w ramionach.

Wszyscy razem – von Brugge, Van Houten, Nowikow i lekarz przebiegli bramę, pierwsze podwórze, kolejną bramę, znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu. Tam, przy stajni, stał kolejny posterunkowy, który odsunął się, ustępując im miejsca.

– Stop! – Wykrzyknął Estar Pawłowicz, powstrzymując bieg całej trzódki. Szybko dodał:

– Ślady! Uwaga na ślady!

Medyk poszedł przodem, pozostali zatrzymali się. Za stodołę prowadziły tylko trzy tropy obuwia, dwa były zdeptane – widać przechodziło tymi „ścieżkami” więcej osób. Jeden, zupełnie czytelny, wiódł oddzielnie. W rogu podwórca, po przeciwnej stronie spichrza, stały łkające dwie posługaczki, stróż i jakiś filer, który głośno wycierał nos faceletą. Prokurator i radca podreptali gęsiego za doktorem. Nowikow zaś pozostał i odrysowywał ślady kamaszy z pojedynczego tropu na papierze umocowanym na tabliczce, którą podsunął mu jeden z tajniaków z bramy. W tej samej chwili na podwórzu, w przejściowej bramie zaroilo się od świeżo przybyłych – przyjechał agent policyjny z psem tropiącym, fotograf z pomocnikiem, ktoś z cyrkułu i dwóch panów po cywilnemu z policji kryminalnej od oberpolicmajstra.

Przepuszczono naprzód, przed detektywów i prokuratora, przewodnika z psem. Lekarz schylony nad zwłokami już skończył swoją pracę, właśnie chował termometr do walizeczki. Wycofał się śladem własnych kroków i stanął obok generalicji – tajnego radcy i panów z urzędu oberpolicmajstra. Cwajnos poszedł przed agentem, węszył, obniuchał zwłoki i bez chwili namysłu rzucił się do muru zaślepiającego z tej strony podwórze. Miedzowy mur, najeżony kawałkami tłuczy szklanej, wznosił się wysoko – miał ze cztery i pół arszyna. Mimo to pies uparcie węszył, a nawet usiłował się wspiąć na niego.

– Co jest z drugiej strony? – Spytał pan radca.

– Diabli wiedzą, trzeba pójść zobaczyć... – odrzekł von Brugge.

Nowikow ruszył wraz z jednym szpiclem, przewodnikiem psa i samym dubeltowym nosem na czterech łapach, szukać drugiej strony ogrodzenia. Tymczasem moskwianin wyjął z sakwy niewielki przedmiot: pudełeczko z czymś w rodzaju parasolki, tylko bez tkaniny. Zanim obecni zorientowali się, co robi – rozłożył stelaż „parasola” i ustawił nieopodal, na ziemi. Okazało się, że to bardzo delikatny, wątki, ale nieruchomo stojący statyw z bambusowych kijków, chowających się jeden w drugi. Przyczepił pudełeczko u góry, odsunął pokrywkę – puzderko przekształciło się w niewielki aparat fotograficzny. Policyjny fotograf aż zamrugał oczyma – takiego cuda jeszcze nie widział! Mało tego, Van Houten nachylił się nad aparatem i nie wyjmując, ani nie wsadzając żadnych ramek z płytami światłoczułymi, zrobił od razu kilka zdjęć! Po czym zwinął niewielki przyrządek i z powrotem schował do torby. Wszystko nie zajęło mu nawet pięciu minut...

Wszyscy osłupieli... Zauważywszy ich wytrzeszczone oczy, radca rzucił krótko:

– To Kodak, najnowszy amerykański wynalazek – robi zdjęcia na rolkach Eastmana, można nawet ze sto ujęć na jedną rolkę zapisać...

Panowie spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i przystąpili do dzieła. Kiedy lekarz policyjny składał wstępny raport prokuratorowi i panom z policji kryminalnej, przysłuchiwał mu się również moskiewski fotoamator. Tymczasem zawodowy fotograf rozstawiał swój sprzęt przy pomocy asystenta. Rozczapierzyły się posrebrzane parasole, kierujące światło smrodliwie i wybuchowo palącej się magnezji. Pod bramą policjanci przesłuchiwali już świadków.

– Nie żyje ze dwie godziny. Może krócej, dopiero po sekcji będę mógł więcej powiedzieć. Zginęła najpewniej od podcięcia gardła, ciała nie zmasakrowano, jedynie na twarz wylano kwas. Sądząc po zapachu – azotowy. Chyba ktoś spłoszył sprawcę...

– Wreszcie. Może pies złapie trop z drugiej strony muru... – rzekł jeden z panów w meloniku.

– Jak on tam się wdrapał? Żadnej drabiny, skrzyń czy beczek... nic nie ma – dodał drugi.

– Trzeba dokładnie zbadać ślady na ogrodzeniu. Jeśli jakieś są. Może leży tam naczynie, butelka w której przyniósł kwas? – Wtrącił się prokurator.

Wszyscy obrócili się ku zwłokom, lustrując okolice leżącego z zadartą spódnicą ciała.

– Czy wiadomo już, kto to jest? – Von Brugge spytał stojących nieopodal konfidentów. Ci zwrócili się z pytaniem do rewirowego, który najwidoczniej przybył jako pierwszy. Ten podszedł do prokuratora, zameldował się przepisowo i odpowiedział:

– Tak, to Sofija Anatoliewna Ałmazowa, pokojówka z mieszkania na trzecim piętrze. U kupca Dymitrija Stiepanowicza Obuchowa służy.

– Czy ktoś widział to zdarzenie? Kto was zawiadomił? O której? Są świadkowie? – Biednego rewirowego zasypała lawina pytań.

Prokurator odwrócił się, skinął ręką na pana radcę i rzekł do niego:

– Nic tu po nas. Doskonale poradzą sobie bez nadzoru.

I rzucił w stronę policjantów:

– Przesłuchać wszystkich mieszkańców, szczególnie służbę. Dokładnie przeegzaminować tych, których okna mieszkań wychodzą na podwórze. Do cyrkułu wziąć stróża. Kiedy zabiorą ciało – na sekcję. Zbadać potem dokładnie oba podwórza i mur. Opisać i sfotografować każdy przedmiot tam znalezione. Przepytać mieszkańców – który do kogo należy. Każdy niezidentyfikowany zabrać do cyrkułu. Sporządzić listę świadków i przesłuchać ich jeszcze raz, już w cyrkule. Porównać oba protokoły przesłuchań. Przyjadę do was, do rewiru, za... powiedzmy półtorej godziny. Wszystko ma tam być gotowe. Zdjęcia dać do natychmiastowego wywołania, a kiedy tylko będą – też do komisariatu.

Kiedy skończył wydawać polecenia, skinął na pożegnanie głową panom z policji kryminalnej, jednemu nawet podał rękę i zwrócił się do Van Houtena:

– Chodźmy. Pójdziemy za psem. To jedyna szansa na szybkie rozwiązanie.

Wyszli przez obie bramy i podwórza na ulicę. Stojący tam policjant wskazał im kierunek, w którym poszli Nowikow i agent-przewodnik. Uliczka była już zatłoczona – stało pięć dorożek, kryta fura, którą przysłano po zwłoki, kłębił się tłum ciekawskich – głównie służby, cieciorów, ale nie tylko – pośród morza płóciennych czepeczków i sukiennych kaszkietów dało się dostrzec frymuśne damskie kapelusiki, męskie cylindry i meloniki... Gapie rozstąpili się przed groźnym, zażywnym prokuratorem, a za nim przecisnął się smukły elegancik z sakwojażykiem i laseczką.

Dwie bramy dalej skręcili w podwórze. Tam stał filer i wskazał im dalszą drogę. Przeciskali się przez labirynt korytarzyków pomiędzy przybudówkami, składzikami, magazynkami, stertami pustych i pełnych beczek, górami wyrzuconych, rozbitych skrzyń, spiętrzonymi kopcami siana i słomy dla koni, wśród parkanów i parkaników, dzielących ten Klondike na „strefy interesów”; wśród ciągłego ujadania różnych burków, azorów i innych uwiązanych u budy kundli, strzegących drogocennego mienia obywateli. W prawie wszystkich oknach od podwórzy widać było wysunięte głowy w czepcach, chustach i przepaskach – chyba cała armia posługi wyległa na galerie, aby podglądać działania policji. Po kilku minutach – nie z powodu wielkiej odległości, ale niezgrabności ruchów korpulentnego przedstawiciela organów ścigania, który z trudem przeciskał masywne ciało pośród wąskich przesmyków – dotarli do czegoś w rodzaju korytarza.

Z obu stron ciągnęły się mury, pozostawiając pomiędzy nimi niewielką, wąską i wolną ziemię niczyją. Tworzyła wijący się zygzakami korytarz, którego obu końców nie było widać. Stały w nim porzucone paki, leżały dziurawe kotły i sagany, nawet wyrzucone, zdezelowane meble. Zdezorientowani urzędnicy spojrzeli na siebie: w którą stronę teraz? W lewo czy w prawo?

Pan von Brugge, zmachany, ale pełen wigoru pierwszy zagadnął z lekką ironią:

– Panie detektywie, czy pański znakomity niuch podpowie nam to, co nasz nie mniej wyborny cwajnos wcześniej wywąchał?

Estar Pawłowicz, niezrażony złośliwością, po prostu wzruszył ramionami.

W decyzji pomógł im świst policyjnego gwizdka – w lewo! Ruszyli w tamtym kierunku. Od czasu do czasu ściany przełazu zwęzły się tak, że przejść było trudno, chwilami porzucony dobytek i kłamoty całkowicie zagraadzały drogę. Zdarzało się też, że idąc, znikali niczym w tunelu: widać ktoś przykrył deskami przechód dla swojej wygody, tworząc coś w rodzaju sufitu. Gdyby nie furty i dziury w murach, które nieregularnie pojawiały się po obu stronach, można by odnieść wrażenie, że to ukryta droga łupieżców – miejsce ewakuacji ze złodziejskich eskapad.

Nieźle zasapany i umazany kredą ze ścian von Brugge wraz z – jak zawsze sprawiającym wrażenie, że wyszedł prosto z salonu męskich mód – Van Houtenem dotarli w końcu do miejsca, z którego mogli dostrzec agenta czekającego najwidoczniej właśnie po to, aby wskazać przybyłym drogę. To on, od czasu do czasu, gwizdał w policyjną świstawkę. Przepuścił ich obok siebie. W tym miejscu najwidoczniej znajdowało się, po drugiej stronie ściany, podwórze, gdzie zabito dziewczynę. Sterta pak i skrzyń, stabilnie ustawionych jedna na drugiej, dochodziła prawie do samego wierzchu murowanej z kamienia ściany. Na ostatniej skrzyni, przywiązana do jej okutej „rączki” – uchwytu do przenoszenia – leżała zwinięta drabinka linowa.

– Ach, gagatek! Dobrze przygotował się do wyprawy! – Zagrzmiął pan Tymoteusz. – A gdzie kundys? – Zwrócił się do szpicla. Ten wskazał ręką dalej, w głąb przejścia. – Chodźmy, teraz, kiedy kundel mógł złapać pewny i czysty trop, może znajdziemy kanał!

Ruszyli dalej w labirynt w poszukiwaniu Minotaura. Pościg trwał. Niestety, już po dwudziestu krokach ujrzeni zaślepiony ścianą koniec ścieżki, a obok, w dziurze wybitej w bocznej ścianie, widniał wypięty zad policjanta-przewodnika. Widać było tylko szamoczące się nogi – asystent nosa, okutany w grube, zimowe palto, utknął w otworze.

Estar Pawłowicz porzucił sakwojaż i laskę, z kilku skrzyń i stoliczka szybko skonstruował chybrotliwe schodki i wdrapał się po nich na górę. Tam chwilę pokołysał się na krawędzi muru i zeskoczył na drugą stronę. Teraz zaczął ujadać policyjny bryś, ale po chwili ucichł. Prokurator popatrzył z powątpiewaniem na światopoglądowo niepewne rusztowanie i sam do siebie, przecząco, pokiwał głową. Słyszał za murem warczenie, szmery i posapywanie uwięzionego policjanta, ale nic – poza wypiętym tyłkiem w granatowych, skarbowych spodniach, nie widział. Agent szamotał się i kręcił, ale tkwił widać ciasno w dziurze jak korek w butelce – nie mógł się wydobyć ani na zewnątrz, ani wrócić do przesmyku.

Prokurator poczekał jeszcze chwilę, ale w końcu się znudził. Podniósł sakwojażyk moskwianina, wpakował sobie pod pachę, potem uniósł jego laseczkę, zważył ją dobrze w dłoni i – wprawnym, doświadczonego ruchem – przyłał cienkim kijaszkiem w przysłonięte suknem pośladki podwładnego. Zaraz poprawił...

Chłostany mundurowy wrzasnął jak oparzony, ale... po drugim ciosie wyskoczył z drugiej strony muru jak korek z szampana! Zanim zdążył coś powiedzieć, jego pies rzucił się na eleganckiego radcę, uznając go za bezpośredniego sprawcę bólu swego pana. Gdyby nie niesłychany refleks urzędnika, który ocalił mu golenie, ale nie nogawki spodni, Estar Pawłowicz pewnie kulałby do końca życia. Nic nie pomógł dyplomatyczny talent negocjacyjny Van Houtena – białokływy pies po rozerwaniu pierwszej nogawicy zbierał się do ponownego ataku, gdy na szczęście, kiedy już wczepił się w drugą nogawkę radcowskich pantalonów, przewodnik odzyskał głos i gromkim „Siad!” odesłał psa – za karę – do kąta.

Adwersarz kauzyperdów, słysząc jazgotliwe ujadanie, ostrożnie wsadził głowę w oswobodzony otwór, ale nauczony doświadczeniem poprzednika, nawet nie zamierzał się przezeń przeciskać. Po przeciwnej stronie ujrzał przestronne

podwórze zajazdu, gdzie kręciły się konie, woźnice i stały fury z ładunkami. Obok wjazdu zauważył Estara Pawłowicza w postrzępionych portkach i – widocznych na ciepłych, jegierowskich kalesonach – podwiązkach. Koło niego stał – pocierający pod paltem swoje ineksprimable poprzez wełnę spodni – agent-przewodnik czworonożnego agresora. Sam pies siedział w rogu, u stóp przełożonego. Obrażony na psi świat Van Houten schylił się do prokuratorskiej głowy:

– Stracony trop. Za dużo ludzi. Zdeptany. Pójdziemy z filerem dookoła, do cyrkułu, tam się z panem spotkamy. Ze chce pan podać mój sakwojazyk i... eee... edukacyjne narzędzie kar cielesnych?...

Von Brugge potaknął, wypchnął poprzez dziurę w murze walizeczkę laską, a potem ją samą tam wrzucił. Odwrócił się na pięcie i zaczął przeciskać się z powrotem korytarzem. Kiedy dotarł do agenta, wciąż stojącego przy miejscu, gdzie leżała drabinka linowa, polecił mu ją zabrać i razem ruszyli ku wyjściu.

– Tu zdjęcia nie będą potrzebne – rzekł. – A ślad i tak zgubiony – dodał.

Po kwadransie, ubłocony, umorusany, z wielkim, zielonym siniakiem pod okiem – bo przy wszystkich tych ewolucjach już śladu nie zostało po pudrze – wyszedł na podwórze, gdzie rozpoczął swoje peregrynacje.

Dwadzieścia minut później, umyty i uczesany, ale bez wierzchniej odzieży, którą oddano do oczyszczenia, siedział w cyrkułe, pił herbatę za herbatą, obficie dolewając do niej rumu i równie solidnie ją słodząc. Obok kręciło się mnóstwo ludzi – policjanci wprowadzali i wyprowadzali świadków na przesłuchania i z przesłuchań, filerzy pisali raporty, agenci robili notatki, rewirovi przynosili jakieś rzeczy, stójkowi wynosili już zbędne.

– Jednego nie rozumiem – wysapał zmęczony von Brugge – oddaliśmy się od miejsca zbrodni o dwie kamienice, potem wróciliśmy na nie z drugiej strony, później poszliśmy dalej – znowu o dwie, trzy kamienice i stamtąd cofnęliśmy się. Razem nie będzie nawet kilometra, no licząc z zaułkami, zakrętami... niech będzie z półtora... a czuję się, jakbym doszedł do Częstochowy i z powrotem... Czary czy co?

W tłumie słychać było cichutki chichot, niski niczym dźwięk basetli, widać któryś z funkcjonariuszy szeptem rzucił jakiś żart. Zaraz wszyscy zamilkli, bo persona siedząca przy rumie rzuciła im spojrzenie pełne takiej abominacji, że uśmieszki zamarły na wszystkich twarzach. Chichy jakby zamarły w locie, w powietrzu i posypały się gradem lodowych okruchów na podłogę...

Urzędnik do specjalnych poleceń siedział owinięty kraciastym pledem niczym w kilcie. Twarz pokrywał mu gęsty rumieniec, bo dawno już w takim nieprzystojnym negliżu nie pojawiał się w miejscu publicznym.

Estar Pawłowicz w milczeniu oglądał zgromadzone na stole przedmioty, które właśnie przyniesiono z miejsca przestępstwa. Drabinka sznurowa, obrywki papieru, stary but, zgnieciona i umazana w dziegciu czapka, szklana, nadłuczona ampułka, brudny tłumoczek... Na stole leżały też inne trofea. Wszystko, co znaleziono, a do czego nie przyznał się nikt z lokatorów, wylądowało w cyrkułe. Na centralnym miejscu znajdowało się ostrze brzytwy: wyszczerbione, ubrudzone wapnem i z cząsteczkami cegły wbitymi jeszcze w metal. Na jednym końcu miało – widać wywiercone diamentem – trzy otworki, układające się jakby w trójkąt. Otworki były zaślepione nitami, pod którymi, z jednej strony, widać było wyrwane strzępki garbowanej skóry.

Prokurator przechylił się przez stół, bacznie przyglądając się temu przedmiotowi:

– Lupa! – Rzucił. Czyjaś usługna ręka podsunęła mu pod nos żądany przedmiot. Delikatnie złapał szczypcami ostrze i obejrzał przez szkło powiększające. – Krew... – szepnął.

– Tak – potwierdził pan radca. – Narzędzie zbrodni. A raczej jego część. Jeden pazur...

– Pazur? – Zdziwił się pan Tymoteusz.

W pokoju zapadła cisza, wszyscy z zaciekawieniem przyglądali się dziwacznemu przedmiotowi. Oraz mówiącemu nonsensy przybyszowi w szkockiej spódnicy.

– Tak, pazur. Z Solingen, jak świadczy napis. Zbrodniarz zrobił sobie rękawicę. Skórzaną, stąd te kawałki skóry pod nitami. Przymocował do niej ostrza brzytwy. Niemiecka, niezawodna stal. Trzeba sprawdzić na sekcji, ile tam było takich ostrzy. Wydaje mi się, że pewnie ze trzy, ale może i więcej. Dlatego mógł jednym ruchem dokonać tak wielkich spustoszeń. I nie potrzebował dużo czasu, aby... aby zmasakrować ciało. Za jednym zamachem ciął kilka razy. Widziałem

kiedyś coś podobnego, na japońskiej rycinie. Tym razem sprawca miał pecha – ktoś go spłoszył. Przestraszony, nie trafił wyłącznie w ciało, ale i w mur. Brzytwa wcięła się w ścianę, a on, chcąc się szybko uwolnić – wyłamał ją, wrywając jedno z ostrzy z umocowania. Teraz pozostaje tylko znaleźć tę rękawicę.

– Tak, tylko tyle – gorzko westchnął von Brugge i na pociechę pociągnął głęboki łyk ze szklanki.

Pozostałe rzeczy, wielce uważnie przejrzone przez agentów, prokuratora i radcę, chyba nie miały nic wspólnego z prześladowcą niewiast, w każdym razie nie znaleziono wśród nich nic interesującego. Drabinka była sporządzona bardzo fachowo i starannie, ale nie było pewności czy rzeczywiście jest dziełem rąk zabójcy – mógł wykorzystać znaną cudzą, bo dla nikogo z tu obecnych nie było tajemnicą, że ukryty pomiędzy kamienicami korytarzyk z pewnością wykorzystywały dla swoich niecznych celów podejrzane typy. Prokurator – przy okazji – zarządził likwidację tego „szlaku gołębiarzy, włamywaczy i innych złoczyńców”. Zaraz po świętach miano go zamurować.

ROZDZIAŁ 6

Nigdy nie wiesz, kogo znajdziesz w kostnicy

*W Wigilię jakby łuski
spadły mu z oczu.^[111]*

Kiedy radca wrócił do hotelu, nie obyło się bez lekkiej sensacji – wszak – rączo pomykał przez westybul w ciepłych kalesonach, dookoła których zalotnie powiewały strzępki spodni, kiepsko przysłoniętych kocykiem. Było dopiero wpół do drugiej – pora obiadowa. W hallu znajdowało się pełno gości, nawet spoza hotelu. Van Houten tradycyjnie wzbudził zachwyt damskiej części widowni (udającej konsternację) i niechęć męskiej (nieudającej niczego). Kolejny raz nie zwrócił uwagi na wlepione w siebie uważne spojrzenie rudowłosej panny, która właśnie wychodziła z hotelowej restauracji, trzymając pod rękę leciwą damę, pewnikiem zamożną ciotunię. Uśmiech na jej pełnych ustach był raczej pochlebnej natury – najwidoczniej jego dolne kończyny przypadły jej do gustu. Ukradkiem pomachała mu na pożegnanie rączką.

Po zmianie odzienia Estar Pawłowicz, ponieważ miał jeszcze czas do wyznaczonego spotkania z asesorem, zszedł do restauracji. Czekał na podanie przystawek i zupy, siedząc samotnie przy stoliku. Cała sala była zatłoczona – na święta do Warszawy zjeżdżało sporo ziemianstwa z prowincji, poza tym świetna lokalizacja hotelu i renoma jego restauracji ściągała bogatszych kupców, no i lokatorów hotelowych, zazwyczaj arystokrację. Chcąc nie chcąc, moskwianin musiał wysłuchać kilku brodatych dowcipów, które jednak – mimo swojego matuzalemowego wieku – wzbudzały śmiech słuchaczy...

– Przypomina mi to pewne zdarzenie. Podczas cholery wystawiono u nas za miastem barak, w którym składano umarłych podejrzanych o śmierć pozorną. Pilnował go sztyldwach. Raz obudził się jeden z letargicznych i wołał do sztyldwacha przez okienko: – Hej, przyjacielu, otwórz drzwi i wypuść mnie! – Milcz i siedź na miejscu – odpowiedział żołnierz – gdybym ciebie jednego wypuścił, zaraz by wszyscy wyleźć chcieli...

Gromki wybuch śmiechu przy pobliskim stoliku zagłuszył inną opowieść, a kiedy kelner przyniósł zamówione dania, Van Houten mógł się wyłączyć i skoncentrować na jedzeniu. Nie całkiem mu się to jednak udało – dowcipy i anegdoty sypały się wokół jak z rękawa...

– Panie – pisał chory do lekarza domu obłąkanych – jeśli mnie stąd jutro nie wypiszesz, mój sąsiad-krawiec nie będzie mógł wziąć miary na moje spodnie, a przecie nie mogę bez nowego munduru dowodzić pod Waterloo...

Za plecami detektywa usiedli dziennikarze albo właściciele pism, bo stale słychać było wyłącznie nazwy różnych periodyków: „Kurier Warszawski”... „Mucha”... „Kolce”... oraz plotki na temat różnych felietonistów i dyskusje literackie: *Gdzie jest teraz literatura? No gdzie? Same seriale... Tak, tak – Sienkiewicz swoje dzieła w częściach drukuje, toż samo Prus i inni... Tylko patrzeć, a wiersze w kawałkach będą drukować! I co teraz czytać? Żadne dobre książki się nie ukazują, zastój w interesach i handlu, tylko dzienniki się sprzedają...*

Nie mogąc znaleźć spokoju, urzędnik zamówił kawę już do numeru i szybko zrejterował z sali ogólnej. Siedząc nad moccą i paląc papierosa (spory zapas ulubionych przemycił do Kraju Nadwiślańskiego) sprokurował kolejne raporty – jeden dla Moskwy, a drugi dla Ministerstwa Policji. Pierwszy był kolejnym arcydziełem zwięzłości i złego stylu („Promyk nadziei przebija się przez chmury mej ignorancji”), a drugi – wzorcem noty dyplomatycznej – zajął sześć kartek, ale nie pozwalał wyciągnąć żadnego wniosku, poza tym, że autor bardzo się starał... List dla gubernatora Moskwy wylądował w wazie na korytarzu, a drugi pozostał w zapieczętowanej kopercie na kominku. Radca nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że nie odniósł go do pokoju, gdzie przebywał jego „hrabia-kurator”. Niech sam się zgłosi...

Pan asesor kolegialny dotarł zziajany jak pies, wiedział już o wszystkich przedpołudniowych wydarzeniach i mógł, przed wyjazdem do policyjnej kostnicy, zreferować radcy osiągnięte przez ostatnie godziny postępy:

– Pan to ma talent! I szczęście... Nie minęły jeszcze dobrze dwadzieścia cztery godziny od przyjazdu waszmości, a śledztwo posunęło się znacznie! Wiemy, że sprawców jest przynajmniej dwóch. Dziś, z zeznań służącej, poznaliśmy rysopis jednego z nędzników, znamy także jego narzędzie zbrodni. Do wszystkich cyrkułów wysłano już portret słowny mordercy: wysoki, bardzo szczupły mężczyzna, brunet, o twarzy pokrytej bliznami, ubrany w dość znoszony makintosz czarny z wyłysiałym bobrowym kołnierzem, na głowie miał czapkę z opuszczanymi klapkami na uszy... Całe szczęście, że dostrzegła go kobieta – gdyby to był, na przykład, stróż, nic by nam o jego odzieży nie powiedział... Pies stracił ślad na placu przed składami i wozownią, ale nie jest źle – tam większość pracujących się zna i już wiemy, że dwóch woźniców opowiadało o jakimś obcym. Teraz szukają tych furmanów, do rana będziemy wiedzieć, co widzieli. Sprawa ruszyła galopem! Na nieszczęście, już zaczynają się święta, czas ogórkowy, najbliższe dwa dni grożą pauzą...

Dzięki tej drabince – złapał oddech – zaraz po pana wyjściu zidentyfikowano tłumoczek, widział go pan na pewno, leżał na stole. Pies po powąchaniu drabinki wskazał go jako należący do tego samego właściciela... No, być może producent drabinki i właściciel tłumoczka to nie ta sama osoba, co zabójca, ale kto wie? W tłumoczku – bo przejrano go powtórnie, pod lupą, – znaleziono okruchy srebra. Nie, nie srebra, związków srebra. A ciemne plamy na nim pachną kwasem azotowym. Najprawdopodobniej niósł w nim owiniętą butelkę z kwasem.. Albo inne naczynie. Jednak najważniejsze są te drobiny srebra... Do owinięcia butelki niechybnie wziął pierwszą lepszą szmatę, która leżała pod ręką. Ekspert ma jeszcze dziś zbadać, co to za związki srebra i do czego się ich używa – może będziemy mogli określić, czym się zajmuje! Ale wyniki pewnie przyśle nam po przerwie świątecznej... To samo z sekcją ciała ofiary. Ekspertyzy będą dopiero za 3-4 dni... Zmarła to dziewiętnastoletnia Sofija Anatoliewna Ałmazowa. Wzięła dzisiaj wolne, bo jak mówiła swojej pani, jej narzeczony przyjechał do Warszawy. Szli do jej rodziców, miał się oświadczyć o jej rękę... Co prawda sekcja pewnie niewiele nowego wniesie – jak zabił już wiemy, kiedy też... Nawet mamy z grubsza rysopis absztyfikanta... Ach, jeszcze jedno – ślady na śniegu, te odrysowane, to były rewirowego. Tropy mordercy obok ciała – zdeptano.

Radca słuchał uważnie, przy uwadze o związkach srebra stuknął się otwartą dłońią w czoło:

– Zupełnie zapomniałem! Gdzie w Warszawie jest ekspozytura syndykatu Eastmana? Przecie muszę wywołać film!

– O, to już pan nie zdąży. Dziś Wilia. Wszystkie kantory szybciej się zamykają. A nawet jeśli nie, to przez te dwa dni nic nie robią. Ich sklep firmowy i przedstawicielstwo jest przy Miodowej, naprzeciw kościoła. A... robi dla nich też zakład takiego Niemca, Frischa, na Freta 14. Max Frisch.

– Masz pan rację, nawet nie warto tam jechać. To co, pan pewnie spieszy się na rodzinne święto? Może sam pojedę do kostnicy?

Asesor zaróżowił się, wciągnął powietrze i rzekł:

– Szczerze mówiąc – tak. Jeszcze trzeba ustroić... Ale chciałem o czym innym. Pan tu sam jak palec... dlatego chciałem pana zaprosić. Do nas, do domu, na Wilię... Będzie skromna, ale zawsze – wśród bliskich. Tylko mam jedną prośbę... Widzi pan... Jak by to powiedzieć... Jestem urzędnikiem i służę państwu rosyjskiemu... Ale ja jestem Polak. Po stłumieniu spisku,...i po Cytadeli... No, krótko mówiąc, w polskich domach nie przyjmuje się Rosjan. Przede wszystkim urzędników, a już w żadnym przypadku żandarmów czy policjantów. Chciałem prosić o dyskrecję. Żeby pan nikomu nie mówił, że był na naszej Wilii. Ja wiem, że pan nie jest taki... jak wileński Wieszatiel.

Van Houten na początku przemowy przypatrywał się mówiącemu ze zdziwieniem, potem krew buchnęła mu na policzki, a jeszcze później zbladł. Kiedy pan Adam skończył, Estar Pawłowicz wstał, wyciągnął dłoń ku niemu, a potem, łamiąc swój chłodny obyczaj, oburącz go do piersi przycisnął i z rosyjska ucałował w oba policzki. I rzekł:

– Czuję się bardziej niż zaszczycony pańską, a może państwa, propozycją. To olbrzymi honor dla mnie i potwierdza, że my, Słowianie, nigdy nie będziemy sobie naprawdę wrogami mimo krzywd, krwi i łez. Pan pewnie mnie zrozumie – jestem Rosjaninem i siła, potęga mojej ojczyzny są dla mnie bardzo ważne. Ale nie za każdą cenę. Polityka ma zawsze brudne ręce, lecz nie powinny one być okrwawione. Polityk może być przestępcą, jednak nie wolno mu zostać

zbrodniarzem. Serdecznie dziękuję za zaproszenie i równocześnie proszę o wybaczenie. Nie mogę z niego skorzystać, nie ze względu na jakieś uprzedzenia czy politykę – po prostu mam na dzisiejszy wieczór już zaplanowane zajęcia. Służbowe, bo gdyby było inaczej, z pewnością odwołałbym je i skorzystał z pańskiej, państwa gościnności.

– Szkoda... Atoli gdyby panu plany się zmieniły... Wspólna 16, mieszkanie numer 9, na trzecim piętrze. Wilię rozpoczynamy o ósmej, więc gdyby... proszę przyjechać bez krępacji.

– Obawiam się, że mi się nie uda. Niemniej dziękuję. W takim razie, panie Adamie, niech pan jedzie rychło do domu. Ja zaś udam się do kostnicy.

– Podwiozę pana i wprowadzę, żeby nie było jakichś kłopotów. Mało to formalistów? Szczególnie tam, gdzie nie trzeba? Ale na Oczki zostawię pana samego, dobrze?

– Racja, tak będzie lepiej. Zawszeć może się trafić jakiś nadgorliwiec. Dziękuję za pomoc. Jedziemy?

– Tak, nie ma co odkładać, oni dzisiaj też niezawodnie będą chcieli wcześniej zamknąć sklepik, chociaż u nich sezon trwa cały rok...

W przedsionku policyjnej trupiarni, jak ją potocznie nazywano, ciemnej, wilgotnej, kamiennej nory, z której prowadziło kilkoro drzwi w głąb budynek, oprócz nich nie było żywego ducha. Martwego zresztą też. Jednonogi portier, inwalida wojen kaukaskich, pokuśtykał po lekarza i nie wracał. Pan Adam trochę niecierpliwie kręcił się po sali, do której nawet przez zamknięte drzwi zalatywał specyficzny odór gnijącego ciała. W końcu, po jakimś kwadransie, pojawiła się w towarzystwie stróża i jego lampy pani prosekter, czym pan radca był wielce zaskoczony. W Rosji praktycznie jeszcze nie było kobiet-lekarzy, a tu... i to jeszcze w prosektorium... A może właśnie dlatego? Kobieta była ładna i młoda, nawet okropny gutaperkowy fartuch, narzucony na białe szpitalne odzienie medyka nie był w stanie ukryć jej zgrabnej figury. Włosy, schowane pod czepiec, wymykały się kosmykami na kołnierzyk, ukazując jedwabisty połysk pysznej rudo-miedzianej barwy. „Skąd ja ją znam? – Głowił się detektyw. – Wiem! Widziałem ją na peronie”.

W tym samym momencie w ryżej główce pojawiły się znacznie cieplejsze uczucia na jego widok i bardziej skomplikowana reakcja, ale o tym pan radca nie mógł wiedzieć.

„Mam cię! – pomyślała panna Zofia. – Wreszcie mam ciebie na wyciągnięcie ręki. Przedstawię nas sobie i już mi się nie wymkniesz. Teraz nie muszę szukać cię w hotelu, sam się natknąłeś na haczyk!”

– Droga Zofio Józefowna, oto pan radca kolegiálny Estar Pawłowicz Van Houten. Jest upoważniony do prowadzenia dochodzenia, dlatego proszę udzielić mu wszelkich informacji. Już muszę uciekać, dlatego zostawiam naszego szanownego gościa pani opiece. Proszę mu pomóc, będę wielce zobowiązany. Przy okazji życzę pani zdrowych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia! A pan, panie radco, niech nie zapomina moich słów! Panu też życzę wesołych Świąt! Do widzenia!

I asesor żwawo znalazł się za drzwiami wejściowymi, gdzie czekała dorożka.

– Witam pana, proszę wybaczyć obcesowość mojego pytania: czego pan tu szuka? Proszę mówić od razu, bo za godzinę mnie też tu nie będzie. Mam nadzieję...

Estar Pawłowicz chciał się baczniej przyjrzeć pięknej pani doktor, ale wiedząc, że rzeczywiście ma mało czasu, powiedział:

– Interesują mnie ofiary ściganego zabójcy: Aniela Nowacka, Nastasja Semionowna Liwszyc, Nadia Pawłowna Roztopczyna, Rebeka Rozenwajgowa, Maria Konopniczyńska, Zofia Stanisławowna Rembek i ta dzisiejsza – Sofija Anatoliewna Ałmazowa.

– Ohoho! Kolejny detektyw stulecia! Szanowny panie radco kolegiálny, tu Warszawa, nie Petersburg...

– Pracuję w Moskwie, nie w Petersburgu, pani Zofio Józefowna...

– Maciejewska. I nie pani, a panno. Ale to nie ma nic do rzeczy – sedno w tym, że nie mamy warunków, aby tak długo przechowywać ciała. W kostnicy są tylko zwłoki Nadii Pawłownej Roztopczynej i dzisiejszej ofiary. Te, które zginęły wcześniej niż Nadia Roztopczyna, znalazły miejsce w zbiorowej mogile. A Rebeke Rozenwajgową, Marię

Konopniczyńską i Zofię Rembek pochowały rodziny. Nadia Pawłowna pozostała tutaj tylko z powodu waśni rodzinnych... Lada dzień także ona ma powędrować do grobu dla biedaków. Wspólnej mogiły. Mogę więc panu pokazać tylko te dwa ciała. Dzisiejsze zwłoki jeszcze nie miały sekcji – sam pan rozumie – brak lekarzy. Nadchodzą Święta. Chodźmy.

Przestąpili środkowe drzwi, potem skręcili w korytarzyk na lewo i schodkami zeszli o piętro niżej – do katakumb. Smród nasilił się nie do wytrzymania, pan radca zacisnął zęby, ale panna lekarz zdawała się nie zwracać na to uwagi. Mijali po obu stronach niezbyt długiego korytarza toporne drzwi z drewnianych kłoców, spod których do wykutych w posadzce rynien sączyła się woda ze stopionego lodu. Chcąc ożywić atmosferę, Estar Pawłowicz spytał:

– Panna doktor tu od dawna?... I na długo?

– Nie, dopiero od września. Latem obroniłam we Francji dyplom, wróciłam do Warszawy, ale nie mogłam znaleźć pracy, więc zgodziłam się tutaj. Za trzy miesiące, w marcu, wyjeżdżam do Ameryki. Tam nie ma takich problemów. Ale wymagają praktyki – i to właśnie będzie moja aplikacja – powiedziała gorzko. – Poza tym „panna doktor” brzmi śmiesznie. Niech mi już pan lepiej „paniuje”... – zażartowała.

– Właśnie dlatego pytam... Sam znam tylko jedną kobietę lekarza... – rzekł przystojniak.

– I to pewnie o nią jedną jest za dużo, jak na cesarstwo Romanowych... – ostro i odważnie rzekła dziewczyna.

– Jest pani bardzo śmiała, aby tak rozmawiać z policjantem, w dodatku przed samym wyjazdem... – zauważył.

– Pan nie jest policjantem. To od razu widać. Ani donosicielem. To też widać – odgryzła się.

Doszli do końca korytarzyka, lekarka otworzyła metalowe, wahadłowe, dwuskrzydłowe drzwi. Weszli do przestronnej, acz niskiej sali prosektorium. Na czterech marmurowych stołach leżały ciała przykryte ceratą. Panna Maciejewska włączyła oświetlenie – zapłonęły łuki elektryczne świec Jabłoczkowa, rozświetlając pomieszczenie jaskrawym światłem, przez co kostnica wyglądała – jeżeli to było możliwe – jeszcze bardziej trupio.

– Muszę wezwać asystenta, aby zwolnił panu jeden stół i przywiózł zwłoki biednej Nadii – powiedziała Zofia i nacisnęła dzwonek. – Niech pan sobie na razie usiądzie, a ja skończę pracę.

Wskazała metalowy taboret, a sama założyła czarne, długie po łokcie rękawice i podeszła do jednego ze stołów. Zsunęła ceratę do specjalnej misy z substancją odkażającą, odsłaniając ciało. Był to młodzieńca, piętnastoletni, a może siedemnastoletni chłopak o urodzie cherubina. Jasnoblond włosy wiły się jak u amorka, błękitne oczy były otwarte. Sinoniebieskie, białe ciało leżało na zimnym stole kompletnie nagie. Wyglądał, jakby zmarł w mękach, ponieważ jego twarz szpecił okropny grymas udręczenia i przerażenia. Na pierwszy rzut oka nie miał żadnych obrażeń.

Lekarka stanęła nad zwłokami i sięgnęła do podpiętej do stołu metalowej tacy z instrumentami. Estar Pawłowicz patrzył jak urzeczony na jej piękny profil, ale równocześnie widział kątem oka dłonie, w których znalazły się skalpel i długie szczypce.

Kiedy pochyliła się nad głową zmarłego, do prosektorium wjechały, uderzając o skrzydła drzwi, blaszane nosze na wózku. Pchał go przed sobą istny Quasimodo: garbaty karzeł z długimi jak u małpy rękoma, w wielkim skórzanym fartuchu i czarnych rękawicach. Urzędnik odwrócił się ku niemu. Ten podjechał wehikułem z ocynkowanym blatem do najbliższego stołu, zręcznie przeturlał nań leżące tam ciało, też chłopięce – odsłaniając przy okazji na plecach nieboszczyka dwie głębokie, wycięte dziury, ukazujące wnętrze spustoszonego ciała – wrzucił ceratę do misy i odjechał z ładunkiem. Estar Pawłowicz nerwowo przełknął ślinę – rany były tak okropne i zademonstrowały się tak niespodziewanie, że zebrało mu się na nudności. Odwrócił z wysiłkiem wzrok od drzwi i skierował go ku pięknej lekarce. Ta stała nad nieboszczykiem, ale patrzyła na pana radcę – trochę kpiąco, a trochę ze współczuciem.

Oboje milczeli. Van Houten bał się, że jeżeli za wcześnie otworzy usta, będzie musiał pojechać do Rygi lub jeszcze dalej... a pani doktor chyba się tego domyślała... Odwróciła się ku pacjentowi – szczypcami rozchyliła skórę na jego szyi, ukazując w ten sposób, że głowa chłopca jest wręcz z chirurgiczną precyzją odcięta. Albo prawie odcięta. Urzędnik znowu gwałtownie odwrócił wzrok... Przez te wszystkie lata widział wiele zwłok osób najokrutniej pomordowanych, był świadkiem śmierci kilkudziesięciu ludzi, część z nich była też ofiarami zabójstw, wielokrotnie odwiedzał po śmierci ciała spoczywające od długiego czasu w grobie, ale nie mógł się do tego widoku przyzwyczaić.

Znowu „buch” o drzwi, na salę wrócił asystent, przywiózł nagie zwłoki dziewczyny. Tym razem bez nonszalancji, bardzo delikatnie przełożył pozszywane na okrętkę ordynarnymi, czarnymi nićmi szczupłe zwłoki ładniutkiej panienki. Widać było, że żał mu jej. Pan radca wstał z taboretu, na lekko chwiejących się nogach podszedł do blatu. Wózek odjechał, a wraz z nim zniknął pomocnik prosektora. Pani doktor porzuciła pracę i podeszła do Estara Pawłowicza.

– Biedactwo! – Powiedziała z nieukrywaną litością. – Rodzina jej nie chce pochować, bo kiedy się rozniosło, że przed śmiercią... Stwierdzili, że wyrzekają się takiej córki.

Urzędnik poprosił o fartuch i rękawice – lekarka wskazała, gdzie znajdzie wyposażenie. Za szafką widniały wieszaki jak w rzeźni – wielkie, ocynkowane metalowe haki, na których wisały fartuchy z gutaperki lub skóry, parę zwykłych kitli lekarskich z płótna, a obok, na metalowym wózku rzędem leżały wielkie i długie czarne rękawice, wszystkie jednego rozmiaru. Narzucenie na siebie fartucha i założenie rękawic zajęło Van Houtenowi kilka sekund, ale wykorzystał chwilę, kiedy był odwrócony do pani doktor plecami, aby zaczerpnąć głęboki oddech.

To jednak nie był dobry pomysł.

Wraz z powietrzem do jego nozdrzy napłynął fetor świeżo przywiezionych, zleżałych zwłok. Radca silnie zacisnął zęby, z trudem powstrzymał wymioty i stał dłuższą chwilę, nie odwracając się. Potem jakby podjął życiową decyzję, raptownie wykonał zwrot i na sztywnych nogach podszedł do stołu. Lekarka stała tam, nie obracając się w jego stronę. Oboje mieli spuszczone wzrok, patrzyli śmierci w oczy – na drobne i pokiereszowane zwłoki młodziutkiej dziewczyny. Grube ściegi lichych, koloru smoły szwów, łączyły skórę brzucha, pociętą w wąskie na dwa cale, niezbyt równe pasy. Pokaleczone piersi także zostały byle jak podłatanie, a krocze – raczej otwór tam widniejący – został zaszyty na „zakładkę”. Byle jak ostrzyżona – jak u jakiej ladacznicy – głowa leżała lekko przekrzywiona – kolejny szereg założonych „na okrętkę” szwów łączył ją z tułowiem. Twarzy nie było – na jej wysokości znajdowała się masa mięsa, skóry i kości, spalona, napuchnięta i silnie dotknięta rozkładem. Oczy rozplynęły się, ocalała tylko część czoła...

Tym razem pan radca nie wytrzymał, gwałtownie się odwrócił i podbiegł do stojącej za szafką emaliowanej misy. Rozległy się odgłosy wymiotów. Pani doktor podeszła do znajdującej się w przeciwległym rogu sali oszklonej szafki, po drodze zrzuciła w dezynfekującą mieszaninę rękawice, wyjęła jakieś krople i nalała je do kieliszka. Chciała dodać wody, ale po sekundzie namysłu dopełniła kieliszek po brzegi spirytusem. Podeszła do szafy zasłaniającej zwracającego urzędnika i delikatnie dotknęła jego pleców. Jedną ręką podsunęła mu czysty ręcznik z płótna, drugą, w chwilę później, podsunęła kieliszek. Estar Pawłowicz otarł zażawione oczy i wilgotne usta ręcznikiem, odwrócił się i jednym haustem wypił podane krople. Usta mu jeszcze drżały, ale śmiało popatrzył w oczy prosektorki.

– Mówiłam, że nie jest pan policjantem – powiedziała powoli. – Jeśli pan skończył, wyjdźmy stąd, ja już też mam na dzisiaj dosyć.

Radca potakująco skinął głową. Wiedział, że nie przetrzyma teraz szczegółowych oględzin – musi się oprzeć na raportach z sekcji.

Lekarka zdjęła fartuch pokryty gutaperką, zawiesiła go nad blaszonym korytem i podeszła do ściany, gdzie znajdował się przycisk dzwonka. Nacisnęła go dwa razy i rzekła, nie spoglądając na pobladłego mężczyznę:

– Chodźmy, asystenta spotkamy po drodze, wtedy wydam mu rozporządzenia.

Estar Pawłowicz też już zdążył zrzucić ciężki strój patologoanatora i z widoczną radością na jeszcze bladym obliczu, acz trochę niepewnie, poszedł ku drzwiom wyjściowym. Rozwarł je, przepuścił długowłosego medyka. Teraz smród korytarza wydał mu się zapachem ogrodu pełnego świeżych kwiatów. W połowie korytarzyka spotkali wózek i jego operatora – lekarka poleciła mu pozwozić zwłoki do lodówek, bo przecież będą dwa dni wolnego, oraz przygotować kilkanaście wózków z ocynkowanymi blatami – dla nowych gości.

– Proszę nie zapomnieć, panie Antoni, umyć stoły i zdezynfekować całą odzież i narzędzia. Poza tym – może to zabrzmie nietaktownie, ale chciałam życzyć panu wesołych Świąt! – Pożegnała go.

– W Święta zawsze ginie dużo osób – objaśniała po drodze towarzyszowi wędrowni. – Starsi koledzy mnie uprzedzili. Zamarznięci, spici na śmierć, ofiary bójek i kłótni rodzinnych, wielu samobójców, którzy w te dni jaskrawiej pojmują

swoją nędzę, samotność, brak przyszłości... Wiele rozczarowanych kobiet, trujących się witriolem, fosforowymi zapałkami, albo skaczących do Wisły. Na łód. No i – jak zawsze – ofiary zabójstw, tych w afekcie oraz tych z premedytacją. Och, zapomniałabym – jeszcze zatrucia pokarmowe, które do sekcji zawsze traktowane są jako potencjalne „otrucia”.

Przy drzwiach prowadzących do przedsionka pani doktor pożegnała, bez podania dłoni, odzyskującego kolory urzędnika.

– Ja tu skręcam, idę do swojego pokoju, doprowadzić się do porządku i przebrać. Życzę panu wesołych Świąt. Przede wszystkim zaś spokojnych.

Zawróciła na pięcie i podeszła do drzwi wiodących w lewo.

– Czy pozwoli pani na siebie poczekać? – Zapytał Estar Pawłowicz. – Mogę pannę odwiedzić tam, dokąd zechce się udać doktor po pracy.

– Za szybko pan zmierza do celu, panie radco. U nas to nieprzyjęte, aby panienkę odwoził nieznany mężczyzna. To pachnie skandalem. A mój adres domowy nie jest panu do niczego potrzebny. Żegnam – powiedziała bez złości, ale kategorycznie.

– Bardzo przepraszam, źle sformułowałem myśl. Nie chciałem w żadnym razie panny obrazić niestosowną propozycją! Jeszcze raz proszę przyjąć moją ekskuzę. Niech się panna na mnie nie gniewa, to вина tutejszego otoczenia – nie potrafiłem na razie zebrać myśli. Również życzę panie wesołych Świąt. – Skonfundowany i czerwony jak rak urzędnik ugryzł się w język po niefortunnie złożonych życzeniach. Raptownie otworzył drzwi do przedsionka i wyszedł.

„To było zbyt pochopne, nierozsądne i nieostrożne. Podszedłeś tak blisko, że spłoszyłeś moje zaufanie. Kiepski z ciebie myśliwy”. – pomyślała Zofia – “Gdybym miała liczyć na twój instynkt myśliwski, to nigdy byś mnie nie upolował. Na szczęście ja tutaj jestem jegrem i nigdy nie puśluję”.

Cerber siedział przy stoliku z wyciągniętą przed siebie drewnianą protezą. Radca skinął mu głową na pożegnanie i pospiesznie opuścił przedostatni azyl tragicznie zmarłych. Stał przed budynkiem kostnicy i gwałtownie wciągnął powietrze – stał tak przez chwilę, radosny, że wraca do normalnego świata. Chciał się nim nacieszyć. Rozejrzał się w prawo i w lewo, pięćdziesiąt metrów dalej, na rogu, tuż obok portalu do szpitalnej kaplicy, stała kobiecina handlująca kwiatami. Detektyw, niczym sztubak, włożył dwa palce w usta i gwizdnął tak przeraźliwie, że przestraszone kawki zerwały się z wieży niewielkiej dzwonnicy nad świątynią. Kwiaciarka też się obejrzała – machnęła jej przywołująco ręką. Przytruchtała z całym swoim koszykiem – niewielki to był dobytek. Odsoniła ręcznik okrywający delikatny towar. Wybór kwiatów był nieduży, zostały trzy skromne bukietki. Mężczyzna spojrzął na jej wynędzniałą twarz, wykoślawione buty i wypadające spod chustki przedwcześnie posiwiałe włosy. Zmarznięte fioletowe usta mówiły same za siebie, ile czasu musiała czekać na klientów w ten przedświąteczny, nie dla wszystkich radosny, wieczór.

– Wezmę wszystko – powiedział. Kiedy podała mu drżącą z zimna ręką kwiaty, wsunął w nią tęczy banknot. Nie wiedząc, dlaczego, powiedział: – Wesołych Świąt!

Kobiecina spojrziała najpierw na niego z przestachem, potem z ogromną wdzięcznością. Łzy popłynęły po jej policzkach:

– Niech ci Bóg wynagrodzi, synku – rzekła. – Wesołych Świąt w tym i następnych latach ci życzę i aby każdy z tych років przyniósł ci więcej szczęścia niż poprzedni!

Powoli odczłapała w stronę kaplicy. Radca ukrył kwiaty pod rozpiętą połą swojego płaszcza, czekał. Upłynęło jeszcze parę minut, z drzwi wybiegła szczupła panna. Lekarka skończyła pracę i z radością opuszczała przybytek bezlitosnej i bolesnej śmierci. Pod pachą miała książkę.

Zobaczywszy Estara Pawłowicza, najpierw zachnęła się, ale kiedy podał jej kwiaty i pośpiesznie rzekł...

– Nie będę pani odwoził,

Nie będę pani odprowadzał,

Nie będę się pani oświadczał...

...zaśmiała się i poprawiła go:

– Pannie... – Przyjęła kwiaty i podziękowała.

– Proszę wybaczyć, że takie skromne, ale w takim miejscu i o takiej porze nie zdołałem znaleźć stosownych...

– Kwiaty są piękne sercem ofiarodawcy i czystością jego intencji... – zakpiła.

– W takim razie może panna uważać, że otrzymała lilie... – odpowiedział niby to żartobliwie.

Zaskoczona spojrzała na niego pytająco, ale po sekundzie namysłu podtrzymała uprzedni żartobliwy nastrój.

– Odnoszę wrażenie, że lilie nie wyrosłyby na tym gruncie...

Urzędnik nie parował ciosu, wybrał zmianę tematu.

– W którą pani... panna stronę się udaje? Żebym wiedział, gdzie nie mam panny odprowadzać...

– Zatem – w przeciwną niż pan! – Odrzekła. – Idę ku Marszałkowskiej, muszę zdążyć jeszcze kupić upominek. Potem jadę do domu. Sama, żeby nie było nieporozumień.

– Ależ oczywiście... nie śmiem się narzucać. Ale czy mogę towarzyszyć do tej Marszałkowskiej? W końcu ulica tu raczej ciemna i głucha, żadnych przechodniów nie widać. Opinia panny będzie niezachwiana, a i eskorta nie zawadzi... W dodatku biedny cudzoziemiec może pobłądzić w nieznanym mu mieście... Przysłowiowa polska gościnność wymaga od pani opieki nad nim...

– Dobrze. Proszę.

– Czy mogę służyć ramieniem? Ślisko tutaj.

– Chętnie. Tylko wyjmę książkę.

– A co to za tomisko panią obarcza?

– Och, muszę oddać koledze. To *Spis lekarzy polskich*... Lepiej niech mi pan powie, co za syberyjskie wiatry przywiały pana z Moskwy do Warszawy... Czyba że to tajemnica służbowa?

– I tak i nie. Jako dżentelmen winienem odpowiedzieć, że to słuchy o pani urodzie zwabiły mnie nad Wisłę, ale ponieważ nie lubię kłamać, muszę się przyznać, że pojawiłem się tu służbowo.

– W takim razie ani słowa więcej. Dziś Wilia i nie chcę rozmawiać o pracy. Ani o swojej, ani o cudzej. Przede mną dwa dni odpoczynku, chcę te przyjemne chwile rozpocząć już teraz. A gdzie pan spędza Wilię?

– Niestety nie będę jej miał wcale. Mówię o tej teraz, katolickiej. Bo naszą, prawosławną – nie mam pojęcia.

– To przykre, chce pan samotnie siedzieć w wigilijny wieczór? To, jak już wspominałam, często pierwszy krok ku samobójstwu...

– Nie, otrzymałem już zaproszenie, ale nie mogę go przyjąć. Pracuję.

– No to pan sobie zawód wybrał! Żeby w Wilię pracować. Ale mieliśmy nie mówić o pracy...

Właśnie doszli do Marszałkowskiej, przeszli jeszcze kilkanaście metrów i znaleźli się w Alejach Jerozolimskich. Cała ich prawa strona pełna była oświetlonych wystaw sklepowych, jaśniejących okien restauracji i westybuli hotelowych. Tłum spóźnionych kupujących gniótł się w tłoku na śliskich trotuarach, niejednokrotnie popychając się, w potrzebie jak najrychlejszego dotarcia do upatrzonego magazynu po zamierzone podarki.

Nagle środkiem jezdni przegalopowały trzy wierzchowce z huzarami, eskortując powóz na gumach, na którego koźle, obok woźnicy siedział jawnie uzbrojony agent. Story ekwipażu były spuszczone. W koniach grały śledziona. Bryka o mało najechała na dorożkę, która zatrzymała się obok sklepu, aby wysadzić pasażerów. Panienska, którą radca delikatnie trzymał pod rękę, przysunęła się do niego – czy dlatego, że strachała się, czy też z własnej chęci. Nie da się ukryć, że na jej partnera wszelkie mijające ich panie, panny i panienki patrzyły z podziwem, a ją samym mierzyły zawistnymi, a nawet obelżywymi spojrzeniami. Weszli do sklepu z upominkami Duponta. Panna poszła kupować coś w dziale galanterii skórzanej, a radca niezdecydowanie rozglądał się po wnętrzu. W końcu coś wypatrzył, szybko podszedł do kontuaru. Subiekt w pasiastej kamizelce i kanarkowym surduciku, z wypomadowanym, cieniutkim wąsikiem zwrócił się do niego:

– Czem mogę służyć jaśnie panu?

– Poproszę – tu Estar Pawłowicz wskazał ręką wybrany prezent przez oszkloną szybę gabloty – tylko szybko proszę zapakować.

– Już się robi! – Wesoło odpowiedział ekspedient, ponieważ dostawał – wprawdzie niewielki, ale zawsze – procent od obrotów na swoim stoisku, a wybrany towar był kosztowny.

Po minutce Van Houten wsuwał do kieszeni płaszcza małe pudełeczko obwiązane atłasową wstążką, a drugą ręką podawał niezbyt gruby plik asygnat. Ledwie zdążył wrócić na posterunek przy drzwiach, kiedy panna Zofia pojawiła się przed nim z dwoma pakuneczkami w ręku. Wyszli ze sklepu.

– Tu się pożegnamy, idę już do tramwaju. Dziękuję panu za opiekę, kwiaty i życzę wesołych Świąt. Ponieważ nie będzie pan obchodził Wilii, chciałabym to panu zrekompensować. Jakoś to tak smutno, że nie może jej pan uczcić... Dlatego, choć to absolutnie nie wypada – mam dla pana niewielki upominek. Proszę obiecać, że pan go przyjmie... i nie uzna tego za narzucanie się! Jeszcze jedno... Otworzy go pan dopiero dziś wieczorem, kiedy znajdzie wolną chwilę. Tak, aby mógł pan się poczuć wigilijnie. Zgoda?

– Wyprzedziła mnie pani. Dziękuję serdecznie, że pomyślała panna o mnie... Ja również mam dla poznanego lekarza wigilijny drobiazg... Jest tak samo niezgodny z regułami dobrego wychowania... dlatego proszę obiecać, że panna go przyjmie, nie obrazi się, nie uzna go za narzucanie się i otworzy prezent podczas dzisiejszego wieczoru...

– Zgoda – roześmiała się panienska. – Skoro oboje jesteśmy na bakier z *bon tonem*, niech tak będzie.

Wymienili pakuneczki, rudowłosa podała na pożegnanie dłoń do ucałowania, co pan radca nader skwapliwie wykorzystał. Panna Zofia aż zarumieniła się po tym muśnięciu warg w jej nadgarstek nad rękawiczką i aby to ukryć, odwróciła się niczym fryga, jakby była jeszcze podlotkiem i pobiegła w stronę odległego przystanku tramwaju konnego.

– Panno Zosiu! Panno Zosiu! – Wykrzyknął Estar Pawłowicz.

Odwróciła się, zatrzymała. Podeszedł do niej, bardzo blisko. Oczywiście – pod pretekstem tłoku.

– Czy pozwoli panna... Zosia?

– Przede wszystkim w piosence jest Krysia! A z pana żaden ułan! Tym bardziej młody! – Ze śmiechem zripostowała – A właściwie, to ile ma pan już wiosen?

– Za dużo! Ale moje pytanie nie było ułańskie... Chciałem tylko się dowiedzieć czy po świętach mogę pannę odwiedzić?

– W żadnym przypadku! Jak pan śmie! – Powiedziała gniewnie, ale jej oczy się śmiały. Dodała: – Zazwyczaj wychodzę z pracy o pół do szóstej...

Odbiegła. Urzędnik z uśmiechem pozostał na miejscu. Nie chciał spłoszyć tej wielkookiej łani... Długo patrzył za wysmukłą sylwetką w zgrabnym zimowym płaszczyku ze smuszkowym kołnierzem.

ROZDZIAŁ 7

Rozrywki niegodne i pogodne

*Nie to ładne, co ładne,
ale co się komu podoba.*^[12]

Chwilę później Estar Pawłowicz głośno stuknął się otwartą dłonią w czoło! Co za wstyd! Teraz już przepadło... Co za hańba! Nie spytał asesora o Wotcowa! I w kostnicy również... Przez te sentymentalizmy, Wilie i spódnicę zapomniał o przyjacielu! Zawrócić? Bez konsultacji lekarza samo studiowanie rejestru policyjnej kostnicy niewiele mu da. Również rewizji biura Wotcowa bez asesora, a może nawet i samego tajnego radcy zrobić się już dziś nie da. Ani dziś, ani jutro, ani pojutrze. Zresztą pewnie i tak już za późno – dał im fory na całą dobę... Niemożliwe, żeby tego nie wykorzystali... Ci, którzy są tak żywotnie zainteresowani umorzeniem sprawy nieszczęsnego żandarma.

Bo że to „kula w plecy podczas natarcia”, tego pan radca był pewny. Zabicie tak wysokiej żandarmskiej szarży – i żadnego rozgłosu... To niemożliwe bez poleceń z góry. Nawet z samej góry. Skąd inaczej oni by wiedzieli, czego już się domyślał oficer? Albo na jaki trop wpadł? Sprawie ukręcono łeb, majorowi go odstrzelono, ale pan radca kolegialny nie miał zamiaru tak łatwo się poddać. Nie tylko zadraśnięto ambycję detektywa, mordując w jego obecności kolegę, nie tylko okazano mu lekceważenie, ale także uznano, że sentymenta urzędnika ustąpią przed oczywistym bezprawiem, namaszczonym przez dwór. „Niedoczekanie wasze!” – Prawie pogroził pięścią niebu, gdy złapał się na tym, że z groźną miną zaczyna wyciągać ku górze kułak... – „Co się ze mną dzisiaj dzieje? Zaczynam się rozklejać... Chyba czas do wód albo na wódkę. Do Davos... Na odpoczynek... Rzucić wszystko do czorta, zając się tylko sprawami kryminalnymi, a nie – ciągle polityka i polityka...”

Swój obowiązek względem ojczyzny wypełniam, a obrona interesów jakiejś koterii, kamaryli czy wręcz jednostek wbrew prawu – to nie jest patriotyzm! Tuszowanie skandali dla ochrony czci i godności rodu panującego czy jego beniaminków wcale nie wzmacnia państwa, a na odwrót, deprawuje obywateli i powoduje nieodwracalne szkody, przynosi niewymierny uszczerbek morale całej nacji... Nie, dosyć tego! Istotnie, to chyba Wilia tak działa... Zachciało mi się rozrachunków samemu ze sobą... na ulicy! Żeby tak straszyć przechodniów! Muszę zabrać się do czynów!”

W końcu goguś przestał blokować innym przejście i ruszył spacerowym krokiem przed siebie. Nigdzie się nie spieszył – aby przystąpić do czynów musiał jeszcze kilka godzin poczekać. W przedświąteczny wieczór niewiele pozostało mu do roboty. Tłum na ulicach rzedniał w sposób widoczny – ci, którzy tak późno nabywali prezenty, wsiadali do dorożek, powozów, konnych tramwajów i odjeżdżali tam, gdzie ich z niecierpliwością oczekiwano.

W sklepach liczono utarg, zamiatano podłogi, przedtem sypiąc na nie trociny, subiekci pospiesznie porządkowali towar na półkach, iżby czem prędzej wyjść z pracy. Zasuвано zasłony w witrynach, przygaszano światła, coraz więcej drzwi zamykano za klientami. Chłopcy wynosili przed sklepy szerokie skrzydła okiennic, aby zabezpieczyć wystawy na dwa dni. Stróż niecierpliwie podmiatali trotuary – też chcieli jak najszybciej wrócić do malutkich służbówek, gdzie czekały dzieci, rodzina. W oknach mieszkań, na piętrach kamienic, prawie wszędzie paliły się już światła – gospodarze krzątali się podczas przygotowań do wigilijnej wieczerzy.

Aleje wyludniały się w szybkim tempie. Gdy tylko doszedł do Nowego Światu, wszystkie sklepy miały już zamknięte podwoje, tylko drzwi restauracyj, kafeterii i herbaciarni zostały odsłonięte, ale tam widać było pustki. Przez moment zrobił się tłumek – to subiekci, chłopcy sklepowi i właściciele magazynów opuścili ich wnętrza, aby udać się do domowych pieleszy.

Kiedy cudzoziemiec dotarł pod uniwersytet, tuż przed hotelem, na promenadzie, oprócz kilku brodatych stróży i odźwiernych hotelów nie było prawie nikogo. Siódma wieczór. Za chwilę nad wigilijnymi stołami pojawi się „pierwsza gwiazdka”, zabrzmia kolędy... Śledź i łosoś, karp i sterlety pogodzą zwaśnionych; kutia i kapusta z grzybami wniosą chwilę ulotnego szczęścia i radości pod chwiejące się pod naporem brutalnej rzeczywistości dachy, a opłatek

połączy serca mieszkańców w jedno. Pojawią się łzy i uśmiechy, pocałunki i rozpromienione twarze dzieciaków rozpakowujących prezenty. Pokój i radość zapanują w duszach, aż po Pasterkę.

Potem wszystko wróci do normy – jutro zacznie się zwykły, choć świąteczny dzień.

Widząc szwajcara stojącego przed hotelowymi drzwiami, Estar Pawłowicz zdecydował się kontynuować spacer. Po co siedzieć samotnie w pokoju? Nikt tam go nie wyczekuje. W Moskwie też nikt o nim nie myśli, nie tęskni. Ani w Petersburgu. Na świecie całym nie ma nikogo, kto czekałby na niego teraz przy stole, niecierpliwie spoglądając na zegar i odkładając rozpoczęcie wieczerzy, aż pojawi się on, wielki detektyw, radca kolegiálny, kawaler orderów i posiadacz zasłużonej reputacji uczciwego urzędnika. Oraz – łamacza serc. Cesarstwo też bez jego udziału się nie zawali, a gdyby teraz zginął – na przykład najechany przez pijanego woźnicę kolasy – nikt by łzy nie uronił. Na pogrzebie pies z kulawą nogą by się nie pojawił, aby wylać ślęzy. W kondukcje najwyżej szłaby garstka ludzi, z urzędu mających obowiązek to czynić. A za tydzień, dwa... czy ktokolwiek wspomniałby jego imię? Zaś za dwa lata – z pewnością nikt...

Przeszedł na lewą stronę, pod ściany kamieniczek, smętnych, bo większość sklepów była już zamknięta, okiennicami zakryły swe lica, a na piętrach świecące się okna rzucały tylko nikłe odbłaski na trotuar. Obok przemknął jakiś zapóźniony, zjeżdżający do zajezdni tramwaj, dzwoniąc jak karawan...

Przed radcą pojawiła się, wysoko na niebie, smutna, opuszczona sylwetka króla w szyszaku. „Też jesteś sam...” – pomyślał. Skreślił w pierwszą uliczkę, wąską, krętą i bajecznie kolorową – każda kamieniczka wymalowana była w inne barwy. Ponury nastrój gnębił go coraz bardziej, gdy nagle...

Spod niebios, spod dachów, od poddaszy do samej ziemi zabrzmiał śpiew. Najpierw nieskładny, złożony z niezgranych głosów, cichy, ale potężniejszy z każdą chwilą. W końcu runął, podobny gromom, wielkim chórem setek gardeł w wąskie przesmyki zaułków i popłynął nimi ku Wiśle: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”

Radca aż oparł się o ścianę – nigdy w życiu nie słyszał czegoś tak potężnego, tak pięknego i tak wspólnego... To śpiewali biedacy na poddaszach, w suterrenach i bogacze na piętrach. Grubi i chudzi, zdrowi i gruźlicy – wszyscy razem. Otworzyły się okna i hymn popłynął jak orkan, wirując w krętych uliczkach na rynek, a stamtąd ku katedrze i odbijając się o jej czerwone, mocarne ściany, uniósł się ku niebu. Radca ani drgnął, słuchał. I zrozumiał.

Żaden pejcz, szubienica, cytadela ani kibitki nie pokonają tego miasta. Tego narodu. Albo Rosja z nim się sprzymierzy, albo – będzie wrogiem. Nie ma innego wyjścia. Śmierć albo życie. Oderwał się od ściany i zawrócił, poszedł do hotelu.

Niecały kwadrans później wjeżdżał windą na swoje piętro. Rzucił pelisę na kanapę, chciał napić się koniaku, ale kiedy płaszcz rozłożył się wygodnie na siedzisku, z kieszeni wysunął się pakuneczek, który upadł na podłogę. Prezent. O nim też zapomniał... Podeszedł, schylił się i – wbrew obietnicy – niecierpliwym ruchem rozerwał aksamitkę oraz brązowy, sztywny papier. W środku było pudełeczko. W jego wyściełanym wnętrzu spoczywała srebrna spinka do krawata w kształcie podkówki, z mikrym odłamkiem rubinu – jako hufnałem – w jednym końcu. Uśmiechnął się: „A jednak ktoś o mnie pamięta!”. Prezent był zbyt drogi, jak na tak krótką znajomość, a początkującą learkę musiał kosztować wiele – nie daje się takich uroczych i kosztownych pamiątek bez poważnego powodu...

– „To moja najpiękniejsza Wilia od wielu, wielu lat...” – pomyślał.

– Pan jesteś człowiekiem światowem i rozumiesz, że te wszystkie sentymentalne przesady mają swoje granice – szeroko gestykulując, przemawiał von Brugge. Siedział w wygodnym fotelu w salonie Estara Pawłowicza. – To jak chleb, opłatek, itepe, a przecie człek ma ochotę na kawałek tortu! Warszawa to jednak wieś. Kosmopolityczna, ale dziura. Prowincja! Niech pan spojrzysz przez okno na ulicę – ducha żywego nie ma! Ze świecą szukać! A w Paryżu o tej porze – bo od ósmej do dziesiątej oddają obowiązkom, co należne – wszystkie lokale są pełne! Ot, może niektórzy zrobią sobie przerwę na Pasterkę, a potem – znowu na zabawę! Przecież raz się żyje... A tu – otwartych lokali tyle co kot napłakał... Towarzystwo beczy baraniami głosami i tylko patrzeć, aż po kołędzie będzie chodzić! Po Pasterce nieźle się popiją, ale do Pasterki – siedzą po domach, nudzą się setnie, ale nosa nie wyściubią... Hreczkosieje!

Pan radca siedział i słuchał jednym uchem, widząc, że pan prokurator jest w wojowniczym nastroju i ma silną, wewnętrzną potrzebę wynurzeń i samousprawiedliwienia się.

– Żona mnie nie rozumie! Jak jej powiedziałem, że idziemy pracować, to mnie napadła, – ukradkiem pomacała oboląwy bok – że czas robotę zmienić! Że nawet pies ma dziś wolne i świętuje, a ja, szarża, po nocach mam się szwendać... Długo musiałem jej tłumaczyć, że interes Imperium, rodu panującego, Najjaśniejszego Pana... – przerwał, sięgnął po lampkę koniaku i łyknął solidnie. – Teeek, o czym to ja... Ach, właśnie. Czy zamówił już pan bilety?

– Tak, jeszcze wieczorem. Wziąłem dla nas łóżę.

– To świetnie, że się jeszcze trafiła. Mówiłem – prowincja!

Von Brugge zakołysał głową, wzrok miał trochę mętny – widać rozgoryczony brakiem zrozumienia u „małomiasteczkowej” małżonki, po drodze do hotelu chyba gdzieś wstąpił i wzmocnił się. Wiedział, co czeka go nazajutrz rano... Żaden wywiad, tajna policja czy inne szpiegi na całym bożym świecie nie miały tak szybko wiadomości jak pani prokuratorowa. Pewnie nawet już wie, w której łóży zasiądzie. Westchnął gorzko, ale nie mógł sobie odmówić... to było ponad jego siły. Trochę od rzeczy zaczął mówić:

– ...bo kobieta, panie dzieju, musi mieć wijące się linie... Te wszystkie gorsety, duszące jej ciało i duszę, fiszbinę, uprząż, tylko krępują... urodę. Suknie i bielizny powinny być niczym ornament ozdabiający ciało, a nie – jak to u nas jest – na odwrót... Spódnice powinny gładko oblegać pełne biodra i opadać w dół, niczym kielich kwiatu, bo sekret jego zawsze jest na dnie kielicha... kwiatu, ma się rozumieć. Dlaczego dekolty znajdujemy tylko w sukniach balowych?! Nawet latem nasze damy są wysoko zapięte pod szyję... Wszędzie te szmizetki, kołnierzyki, zasłonki... Skąd można wiedzieć, czy to pięknie zbudowana kobieta?! Bufy i bufki, raz na ramionach, raz przy łokciu... Koronki, hafty naszyte sutaszem, a wszystko po co? Naowijają wokół nich tyle szmat, że myślisz – boginie, godne rubensowskiej kiści, a tu – stoi toto, takie chuderlawe, sama skóra i kości... nawet na rosół się nie nada! – Wykrzyknął tryumfalnie na zakończenie.

Pan radca spojrział z troską na rozmarzonego konesera bohaterów obrazów Rubensa, który wypowiadał swoje słodkie rozterki i marzenia, zapominając gdzie i po co jest. Van Houten postanowił wziąć sprawę w swoje ręce:

– A może przejdziemy się kawałek spacerkiem? Pooddychać świeżym powietrzem przed spektaklem?

– A musimy? – Z głębokim smutkiem spytał von Brugge.

– Niestety, chyba tak – grzecznie wymógł detektyw.

– No dobrze, jak trzeba to trzeba. Tylko wyjdę jeszcze do pisuaru...

Przeszli pieszo do skrzyżowania Alei z Nowym Światem. Długi spacer pomógł prokuratorowi – złapał, jak sam powiedział, „drugi oddech”. Stąd już fiakrem podjechali pod teatrzyk na Nowogrodzkiej. Ta zadziwiająco jak na Warszawę nowoczesna instytucja mieściła w sobie cukiernię, kawiarnię i restaurację – dwie pierwsze w ten wieczór już zamknięte – oraz sam teatr. Nowoczesny budynek wzniesiono przed dwoma laty. Całość urządzona była w stylu secesyjnym, z żyrandolami z opali i kryształu górskiego, roślinnymi ornamentami i szlifowanymi szybami. W normalne dni luksusowa kawiarnia czynna była do 22:00, a jej wizytówką były ozdoby wyrabiane przez mistrza cukierniczego (i następnego dnia sprzedawane w cukierni): wyrzeźbione w karmelu pałace, zamki czy sę kacze sięgające dwumetrowej długości. Sensację stanowili kelnerzy – Murzyn i Mulaci. W niedzielne przedpołudnia dodatkową atrakcją były, dawane na cele charytatywne, prowadzone przez wybitnych dyrygentów warszawskich poranki muzyczne. Teatrzyk miejscowy, nazywany z francuska kabaretem, był przynętą głównie dla gości restauracyjnych – w sali obiadowej oczekiwano rozpoczęcia występów, a po spektaklach znowu zachodzono do lokalu. Konsumpcję w ekskluzywnej, wytwornej i szalenie drogiej świątyni gastronomicznej umilała damska orkiestra, a cały personel, poczynając od pikolaków, a na szefie sali kończąc, nosił fraki. Na piętrze były pomieszczenia bankietowe i gabinety – jak twierdzili złośliwi, pełniące funkcje garsonier dla wielbicieli płci nadobnej. Trzeba przyznać, że we wszystkich trzech pokojach zawsze pełno było pięknych pań, a w teatrzyku znajdowały zatrudnienie liczne danserki, szansonistki i inne, nędznie opłacane, acz zgrabne dziewczęta.

Najczęściej program rozrywkowy *variétés* wypełniały improwizowane wieczory, klecone z niepowiązanych żadną fabułą „numerów” żonglerów, połykaczy ognia, tancerek, piosenkarek, recytatorek i muzyków. Wszystkie te występy łączyło jednak to, iż ich wykonawcami były tylko i wyłącznie panie. Tutejsze spektakle estradowe cieszyły się sporym powodzeniem, choć u określonego typu widowni. Dziś, w wigilijny wieczór, sala restauracji była pełna – przeważali

mężczyźni w cywilu, prawie nie widać było mundurów. Kiedy występowały zagraniczne gwiazdy – zawsze przychodziły tłumy dobranej, specyficznej publiki. Bilety na te imprezy nie były na kieszeń młodszych oficerów, a starsi na takie rozrywki już sobie nie pozwalali – zbyt duże było ryzyko skandalu.

Van Houten i von Brugge usiedli w restauracji, zamówili lekką kolację bez alkoholi. Chwilę po jej zjedzeniu, kiedy dopalali – tajny radca cygaro, a radca kolegiálny papierosa, zabrzmiał dzwonek wzywający gości teatryku na występy. Panowie zajęli miejsca w swojej łoży. Jacques, który stał w rogu sceny, powitał Van Houtena skinieniem głowy. Widownia była nabita po brzegi, dostawiano nawet krzesła z restauracji. Kiedy w kieszeni pięcioosobowa żeńska orkiestra zagrała uwerturę – wariację orientalną – światło zgasło. Kurtyna zahaczała się trzy razy, zanim poszła w górę, ale ostatecznie rozsunała się i ukazała się pusta scena.

Po jej lewej i prawej stronie, na trójnogach, stały misy z żarzącymi się kadzidłami. Kiedy muzykantki zakończyły przygrywkę, dym i orientalne zapachy wypełniły całą salę. Prokuratorski nos wywęszył domieszkę opium. Urzędnik zmarszczył czoło z niezadowoleniem. Impreza przestawała mu się podobać, pachniało narkotykiem – znaczy, śmierdziało policją... Przebywał tu, co prawda, „służbowo”, ale tylko tego brakowało, aby Irina Aleksandrowna dowiedziała się, że uczestniczył w imprezie zamkniętej przez policję NIE NA JEGO polecenie...

Po chwili „żywa muzyka” zmieniła się – teraz grajkowie usiłowali oddać egzotyczny klimat za pomocą europejskich instrumentów, co – szczerze mówiąc – niezbyt się udało. Ale publice niespecjalnie to przeszkadzało, przecie przyszli tu i zapłacili bająnskie sumy za miejsca nie dla muzyki. Pianistka podała ton i samotny jęk fletu popłynął falami przez salę, piskliwe, drażniące dźwięki nastroszyły brwi wielu obecnych, ale jednostajny, narkotyczny rytm i połączone działanie odurzających zapachów zrobiło swoje. Spod sufitu zjechały na linach kosze pełne kwiatów, później kolejne i kolejne – w końcu cała scena została z tyłu zastawiona koszami i misami z żywą zielenią i ciętymi kwiatami. Muzyka zwolniła tempo i pośród tej „dżungli” niedostrzegalnie pojawiła się sylwetka kobieca, omotana zielonym woalem. Tancerka miała na głowie coś w rodzaju tiary, w której centralne miejsce zajmował wielki, czerwony kamień, rzucający hipnotyczne blaski. Pianistka potrząsnęła głową, zagrała tęskną, melancholijną melodię, którą podchwyciły pozostałe instrumenty. Baletnica odrzuciła zielony woal, rozłożyła ręce na wysokości barków, dłońmi do góry i kręcąc samym brzuchem, zbliżyła się powoli ku widowni. Sala zamarła.

Bolerko okrywające ramiona i piersi tancerki było uszyte ze złotej siatki, na której umieszczono, w wiadomych miejscach, dwa niewielkie, w sposób oczywisty zbyt małe cekiny. Nogi okrywały szarawary z przezroczystego, złocistego muślinu, związanego w pasie złotym paskiem w formie luźnego trójkąta, tak że obnażony był nie tylko pępek, ale i prawie całe podbrzusze, aż po linię włosów łonowych, co chwilę wysuwających się ponad luźny i sztywny pas.

Prokurator o mało nie wypadł z łoży, usiłując lepiej dostrzec w panującej na scenie półciemności wszystkie uroki ciała baletnicy. Podobnie i pozostali panowie z łoż – przypominali żyrafy, nawet ci o tłustych i krótkich szyjach. Lornetki nic nie mogły pomóc – odbłaski ognia z mis były zbyt chybotliwe, aby oświetlić wystarczająco to, co ich interesowało. Pośród widowni na parterze ktoś komuś sprasował szapoklak, nieopatrznie pozostawiony na głowie. Kiedy Rita w tańcu przybliżyła się do rampy, atmosfera od razu zrobiła się parna i gorąca... Szmerki, które poprzednio słyhać było w salce, zamarły. Artystka odwróciła się i półakrobatycznymi ruchami dłoni odganiała od siebie spojrzenia, których teraz już nie dałoby się odciągnąć nawet trąbami dziesięciu słoni. Muślin szarawarów pozwalał dostrzec, że pod nim nie ma żadnej bielizny... Pełne, krągłe pośladki migotały bielą pod złocistą, nic nieosłaniającą tkaniną. Ktoś z widzów się zakrztusił i zaraz dostał tak mocno pięścią w kark, aby zamilkł, że naprawdę zamilkł! Nawet się nie obraził... W sali, gdzie płynęła tylko zamierająca muzyka, dałoby się usłyszeć bzyczenie komara... Gdyby taki mógł się tu znaleźć. A tancerka, jakby nigdy nic, popłynęła w głąb sceny... Spadła kurtyna.

Wybuchła orgia oklasków – widzowie bili w dłonie jak szaleni. Jacques wyszedł przed kurtynę i zarządził pięć minut przerwy. Na zmianę strojów, jak powiedział.

Późniejszy występ składał się jeszcze z trzech „aktów”. W finale ostatniego Rita obnażyła się całkowicie – tym razem pozostała bez żadnych *tricot* brzoskwiniowego koloru – i pozwoliła podziwiać się koneserom przez dłuższy czas: w ruchu, tańcu i w bezruchu, a także kołysząc się na huśtawce spuszczonej specjalnie na scenę. Sukces był pełen –

gromkie oklaski wydawały się nie mieć końca, widownia szalała, już zaczęła wykupywać ostatnie bilety na następne występy. Na scenie obok tancerki pojawiły się dziesiątki koszy z kwiatami, sterty posłanych butelek szampana – a wszystkie z bilecikami...

Czerwony jak ćwikła (bez dodanego chrzanu) tajny radca tak ścisnął za łokieć Van Houtena, że ten, mimo wielkiej wytrzymałości na ból, jęknął przez zaciśnięte zęby.

– Panie radco kochany! Kochaniutki ty mój! – Gorączkował się pan Tymoteusz. – Wprowadź mnie pan do jej garderoby... Muszę ją poznać! Eee... podziękować za wspaniały wieczór. Takiej artystki, to jest sztuki, w życiu nie widziałem! To... to... Europa! – Zatkaną go.

– Raczej: Azja... – Estar Pawłowicz sprostował i z trudem wyrwał łokieć z prokuratorских palców. Jeszcze skrzywiony, ale pełen podziwu dla siły von Bruggego, uśmiechnął się i dodał: – Ależ z przyjemnością. Myślę, że nie będzie żadnych subiekcji...

Poszli za kulisy, gdzie musieliby czekać dłuższą chwilę, bo kolejka była dłuższa niż na Diabelski Młyn na Bielanych, gdyby radca nie zawołał pana Jacques'a, który akurat mignął im w tłumie. Z trudem udało mu się umieścić ciało i całą osobę (to jest wraz z duszą) pana Tymoteusza w niewielkiej garderobie. Niewielkiej, bo tak zapełnionej panami, że nawet wciśnięcie się ich dwóch udało się dopiero za drugim razem. Dama powitała Estara Pawłowicza uprzejmie, ale zaraz jej uwaga skoncentrowała się na imć prokuratorze – jego poważny, stateczny i zażywny wygląd bardziej ją przekonywał niż smukła i fircykowata postać pana radcy. Widząc, że zanoszą się na wielogodzinne rozmowy – bo von Brugge przysiadł na brzeżku zarzuconej żurnalami toaletki aktorki, czym zdruzgotał mebel w drobny mak i całą podłogę pokryły numery „La Couturière Parisienne” i „Deutsche Moden Zeitung” – radca zrezygnował z pożegnania z gospodynią, jej pomocnikiem i samym prokuratorem, który najpewniej wcale tego nie zauważył. Szybko wycofał się z zatłoczonego pomieszczenia i wyszedł z teatru. Jak na jeden dzień – miał dosyć. Wziął powóz i kazał się odwieźć do hotelu. Kiedy wszedł do pokoju, wybił kwadrans na pierwszą.

ROZDZIAŁ 8

Niepokój publiczny

- *Na jakiej podstawie świadek utrzymuje, że oskarżony był pijany?*
- *Bo wykrzykiwał, że nie boi się żony...* [\[13\]](#)

Estar Pawłowicz obudził się późno – za oknem słońce stało wysoko. Przeszedł do „kącika” gimnastycznego i zajął się ćwiczeniami. Najpierw gruntownie wykonał manewry siłowe, potem uderzenia i bloki, salta i uniki, następnie spoczął, aby przeżyć chwilę skupienia. Poza lotosu, tak przez niego lubiana, dzisiaj jakoś nie mogła pomóc mu w koncentracji... Po namyśle uznał, że chyba trzeba użyć statycznej, ale wymagającej więcej wysiłku pozy kobry. Pogrążył się w niebycie, z którego pojawił się w świecie rzeczywistym dopiero po godzinie. Wziął kąpiel i zadzwonił na służbę, aby podała kontynentalne śniadanie. Mimo całego podziwu dla Anglików i ich osiągnięć, nie mógł się przemóc i polubić ich kuchni – już lepiej gotuje Matryona w Zalicowce, w lipieckim powiecie, orenburskiej guberni dla psów dziedzica niż główny kucharz londyńskiego „Savoyu”...

Leniwie smarował świeżym masłem ciepłe bułeczki, nie miał się dokąd spieszyć. Święta. Wszystko nieczynne, nawet policja i kostnica. „I uczucia” – ckliwie i sentymentalnie dodał po chwili w duchu, wspominając piękną lekarkę... Coś trzeba jednak przedsięwziąć – życie, zbrodnie nie kierują się zegarem szachowym, na który, jeśli nacisnąć, czas zamiera do kolejnego ruchu mistrza... Wczoraj narodzone podejrzenia dzisiaj się tylko wzmocniły, a podczas porannego satori skryzalizowały – już wiedział, czym zapełnić swój czas, aby go nie marnować. Najpierw trening. Bicykl czeka. Tym bardziej, że dzisiaj nie należało się spodziewać kłopotów z innymi pojazdami na ulicach... Podjął decyzję, ponownie wezwał obsługę, kazał sprzątnąć po śniadaniu i przygotować welocyped. Pan radca chciał, po powrocie do Moskwy, kolejny raz startować w zawodach na Maneżu i znów zagarnąć puchar oraz pierwszą nagrodę. Konkurencja była coraz liczniejsza i lepiej wyszkolona – rowerów pojawiało się coraz więcej, zapaleńców tego rodzaju sportu też.

Wszedł do garderoby, aby się odpowiednio odziać. Wszelako Opatrzność w osobie tajnego radcy o apoplektycznej kompleksji pokrzyżowała plany sportmena. Gdy Van Houten naciągał na wierzch gaci pumpy, do drzwi jego apartamentu zastukano. Sądząc, że to ktoś ze służby, krzyknął tylko: „Wejść” i ubierał się dalej. Wtedy usłyszał pokasływanie kogoś w salonie – niechybny znak zwracania uwagi gospodarza na swoją obecność. Radca wysunął głowę przez drzwi garderoby, mocno zdziwiony wizytą.

W salonie, przed kominkiem, stał pan prokurator z mocno struchlałym obliczem. Nosił wczorajszą odzież, mocno już nieświeżą i pogniecioną. Jego lico też miało „wczorajszy” wygląd. Puder znowu odpadł, siniak – jak jego piękna nazwa wskazuje – zaczął w końcu wypełniać swój psi obowiązek i stał się siny, a nawet fioletowy jak śliwka. Ale nie to trapiło pana von Bruggego. Pochrząkiwał i pokasływał, aby uprzytomnić gospodarzowi, że pojawił się niewczesny gość. Nie wiedząc zaś, że już jest obserwowany, nie nałożył na twarz maski dobrego wychowania – wyrażała jego rzeczywiste myśli i zmartwienia.

– Dzień dobry! – Wykrzyknął z garderoby Estar Pawłowicz, uprzednio chowając głowę.

– Dzień dobry – pochmurnym głosem odpowiedział „niewidoczny” interlokutor.

Urzędnik wyszedł z garderoby z blezerem w rękę, uznając, że o tej porze i w święto ma prawo do większej swobody zachowania. Tym bardziej w męskim gronie.

Prokurator stał milcząc, nie wiedząc, jak zręcznie wyłożyć swoją suplikę. Van Houten, czując przez skórę, że zanoszą się na coś niezbyt przyjemnego – w sensie towarzyskim – ani myślał mu to ułatwiać.

– Kawy? – Spytał uprzejmie, nie podsuwając żadnego tematu do rozmowy, ani nie dając punktu zaczepienia do rozpoczęcia konwersacji.

– Chę... chętnie – wydukał pan Tymoteusz. Znowu chrząknął.

Gospodarz zażądał u piętrowego dzbanek kawy, zastawę, koniak i limony.

– A może pan coś przekąsi? – Zagadnął, dalej zachowując wyczekującą pozycję.

– Nie, nie, dziękuję. Już śniadałem. – Gość zrezygnował z porannej przyjemności, aby – karając siebie w ten perfidny sposób – zmusić się do przejścia do meritum.

Van Houten zlitował się nad nieszczęsnym i sam wyszedł mu naprzeciw:

– A co pana, tajny radco, sprowadza w ten świąteczny poranek? Przepraszam za obcesowość pytania, ale, uchwaj Boże, mam nadzieję, że nie doszło do nowej zbrodni?

– Och nie, nie, przynajmniej ja nic o tym nie wiem.. – Tu masywny pan zdecydował się na zmianę dygnitarskiej nieprzystępności na pokorę i przyznanie do męskiego grzechu, szukając wsparcia w równie męskiej solidarności. – Jeszcze nie byłem w domu. Ani, rzecz jasna, w pracy. Przecież dzisiaj święto – dodał ni w pięć, ni w dziewięć, bo był to tak zwany „fakt oczywisty”.

Urzędnik do specjalnych poleceń był dziś w dobrym nastroju, postanowił zatem podręczyc biedaka:

– Ach tak? – Na końcu tej króciutkiej frazy zawiesił intonacją wytłuszczony i wieloznaczny znak zapytania.

Prokurator kręcił się przed kominkiem jak lew po klatce w zoo – sam nie mógł usiąść, a gospodarz tego nie zaproponował – zmęczone łędwie ledwie trzymały go w pionowej pozycji. Kac dręczył niemiłosiernie, w gardle sucho jak na Pustyni Błędowskiej, a pić nie było co. W dodatku trzeba wyłuszczyć krępującą prośbę wobec – tak naprawdę – obcego i nieznanego człowieka. Mało tego – aby ją przedstawić bez ryzyka odmowy, trzeba będzie przyznać się do... Pot lał mu się z czoła, ręce międlily brzeg kapelusza jak, nie przymierzając, gniołłaby swój kordonek pensjonarka, pierwszy raz złapana na podglądaniu kąpiących się w Wiśle starszoklasistów z gimnazjum..

Pana Tymoteusza uratował lokaj – przywiózł z windy restauracyjnej zamówione kawy, koniak i cytryny. Podczas gdy ustawiał nakrycia na stolniczku, nalewał czarnej i dodawał „krzepkości”, panowie zajęli miejsca w fotelach i przez chwilę mogli, nie skrupowani wymogami konwenansu, pomilczeć. Później złapali za filiżaneczki, wypili pierwsze drobne łyżki... Cały ten rytuał pozwolił panu von Bruggemu oddalić chwilę wyznania „gorzkiej prawdy” i uspokoić się trochę. Kawa z koniakiem podziałała niczym ambrozja na wyschnięte gardło, wątrobę i żołądek von Bruggego, wymasowała mu serce i natchnęła duszę rozpaczliwą odwagą:

– Chciałem pana prosić: Czy nie zechciałby pan dzisiaj mi towarzyszyć i zjeść ze mną obiad?

Złośliwy Estar Pawłowicz zepsuł tak świetnie zapowiadającą się przemowę, w której zręczny prokurator chciał mu wmówić, że z grzeczności zaprasza go na świąteczny obiadek.

– Ależ chętnie! Gdzie pójdziemy? Do „Panfilowa”? „Boqueta”? To bliżej...

– Nie... no... chciałem pana zaprosić do mojego domu...

– To wielki zaszczyt dla mnie, ale – panie tajny radco – znam polskie obyczaje, wiem, że w pierwszy dzień świąt w domu przyjmuje się tylko rodzinę. Za wielki honor dla mnie... – zakpił sobie w żywe oczy moskwianin.

Nieszczęsny pantoflarz westchnął, zamruczał coś do siebie i w duchu się chyba przeżegnał:

– Bo widzi pan, ja dzisiaj nocowałem w tym hotelu... A żona, jakem wczoraj panu wspominał, nie rozumie sztuki, to jest i poświęcenia dla sztuki... – Widząc, że zabrnął nie tam, gdzie trzeba, wypalił wprost: – No, krótko mówiąc, oczekują mnie wielkie nieprzyjemności po powrocie do domu. Trudno będzie mi się wytłumaczyć... Ale gdyby pan ze mną, tak prosto z pracy, z dochodzenia, po nieprzespanej nocy, zechciał zająć na obiad – wszystko wyglądałoby jak należy...

Pan radca głośno się roześmiał. Klepnął się w kolano i pochylił ku zawstydzonemu rozmówcy:

– Drogi panie, pańska małżonka i tak nie uwierzy w tę historię. Ile byśmy nie kłamali, za dwa dni i tak cała prawda wypłynie na wierzch...

– Za dwa dni to już nie będzie taka wściekła... – odważył się wtrącić pan Tymoteusz, czując, że zanosí się na grzeczną formę odmowy.

– Mam dla pana inną propozycję. Co prawda wybierałem się na przejażdżkę rowerem, ale później planowałem niewielką eskapadę... Mogę zmienić plany – po południu pojeżdżę na bicyklu, a teraz pojedę, pojedziemy na niewielką wyprawę. Sprawa będzie całkiem służbowa! Chociaż mało oficjalna. Potem odwiozę pana pod dom, dokąd pan wrócisz prosto z zadania... Co pan na to?

– Świetna idea! Tylko... czy zdążymy na obiad?

– Powinniśmy.

Po drodze radca objaśnił prokuratorowi sedno swojego pomysłu:

– Jak pan wie, w tobołku prawdopodobnie należącym do sprawcy wykryto okruchy związków srebra. Poza tym – parzy on swoje ofiary kwasem azotowym. Wszystkie pokrzywdzone przez niego były młodymi kobietami... Pan i ja podejrzewamy, że obaj sprawcy, a więc i ten, zostali tutaj sprowadzeni przez Prusaków... Wczoraj, kiedy spytałem asesora o laboratorium Eastmana, podał mi adres, ale dodał uwagę o nowym atelier jakiegoś Niemca. Krótko mówiąc, moim zdaniem morderca ma coś wspólnego z procesem obróbki materiałów fotograficznych – w nim używa się związków srebra, a często też kwasu azotowego. Jednocześnie – przez analogię – przypomniała mi się sprawa z Petersburga, sprzed trzech lat. Co prawda, nie chodziło w niej o wielokrotnego zabójcę. Ale też doszło do zbrodni. A sam casus miał obsceniczny podtekst. Rzecz dotyczyła fotografa, Niemca, który w konspiracji wyrabiał pocztówki pornograficzne, podpisane – to oczywiście – *Paris*, a swoje modele „zwabiał” za pomocą szantażu. Opuszczając to, co teraz nieistotne, tamten człowiek był sadystą i takiej tematyki właśnie były jego kartki. Miał silnie oszpeconą twarz, był wysoki i bardzo szczupły, wręcz chudy. Podejrzewano go nawet o zdolności hipnotyczne, ale nie zdążono tego sprawdzić – uciekł do Rewla, później do Rygi, a jeszcze później ślady jego zginęły na Pomorzu, w Prusiech, u Niemców. Nie wiem, ile w Warszawie jest nowych laboratoriów fotograficznych prowadzonych przez Niemców, ani nie zdaję sobie sprawy z tego, jak wygląda właściciel wspomnianego. Ale nie lubię siedzieć z założonymi rękoma i czekać przez te dwa dni w hotelu, nic nie robiąc. W dodatku święta to doskonała okazja, aby obejrzeć jego atelier bez zwracania postronnej uwagi, w to wliczając zainteresowanie samego właściciela. Jeśli okaże się, że mieszka przy pracowni – to przynajmniej go zobaczą. Za wiele nie chcę planować – zaimprovizujemy posunięcia zależnie od sytuacji i jej rozwoju...

– Hmm... Trochę zbyt optymistyczne są te pana założenia. I mocno naciągane... Szansa trafienia za pierwszym strzałem we właściwą osobę jest bardzo niska... a sytuacja może wymknąć się spod kontroli... Ale dobrze, jeżeli nie będzie pan podejmował żadnych działań niezgodnych z prawem, może na mnie liczyć...

– Widzi pan, nie chwając się, ja mam „nosa”, piąty zmysł, „czucie” czy jak to tam się jeszcze określa. I zawsze wygrywam w gry losowe. Tu też chcę zagrać w ciemno – *va banque* – więc dlaczego tym razem nie miałoby mi się powieść? W końcu nie mamy nic innego do roboty, a pan uzyska alibi...

– No, no... to zbyt dosadnie powiedziane. Nie jestem przestępcą, aby szukać alibi!

– Zapewne wytłumaczy to pan Irinie Aleksandrownie przy obiedzie, jadąc teraz do domu, prosto z hotelu...

– Panie radco! To szantaż!

– Kochany panie prokuratorze! Lekki żarcik. Niewinny, nic więcej... – zaśmiał się Estar Pawłowicz. – Proszę mi wybaczyć, mam dzisiaj dobry humor...

Dojechali właśnie do zwężenia uliczki, ciut dalej powinna znajdować się kamienica numer 14. Ulica Freta, mieszcząca się już na Nowym Mieście, pełna była różnych sklepików, antykwariatów, małych knajpek i zakładów rzemieślniczych – szewców, fryzjerów, krawców. Wysiedli, dalej poszli pieszo. Śnieg był tu wydeptany do czysta, z niektórych otwartych okien na piętrach dobiegały śmiechy, brzęk garnków i naczyń, wesołe głosy, okrzyki bawiących się dzieci. Parter ciągu kamieniczek po lewej, jak i po prawej, był cichy i martwy – zasunięte firany, zasłony i okiennice wyraźnie wskazywały: dziś się nie pracuje – ŚWIĘTO!

Najpierw przeszli obok numeru czternastego – powoli, aby obejrzeć samą pracownię, dom, w którym się mieściła i jej sąsiedztwo. Kamieniczka była dwupiętrowa, wąska na dwa okna i odrzwia, po jej lewej stronie mur na wysokość

czterech arszynów osłaniał ogród czy podwórze – widać było korony dwóch drzew i daszek pomiędzy nimi. Po prawej sąsiadowała z nią wysoka i wielka kamienica – szeroka na osiem okien, czteropiętrowa. Okno wystawowe atelier zasłaniała pluszowa kotara, jedynie na szybie wymrożonym sposobem umieszczono napis:

ATELIER FOTOGRAFA

MAXA FRISCHA

Drugie okno pozostawało zakryte szczelnie na całej powierzchni. Miało nawet założone wewnętrzne okiennice – widać tam mieściła się ciemnia. Wejścia broniła kuta krata z wielkim zamkiem. Same drzwi też miały wielgaśny zamek i były wzmocnione blachą na wzór średniowiecznych wierzei z ćwiekami. Dodatkowo chroniła je ogromna dęga.

Pan von Brugge, kiedy odeszli kilka kroków, poweselałym głosem powiedział:

– To co, jedziemy do domu? Nic tu po nas. Trzeba by taranu, żeby bez gospodarza dostać się do środka...

– Zaraz, zaraz, szanowny panie... Przejdźmy się jeszcze raz, chciałbym powtórnie dokładnie się przyjrzeć.

Prokurator wzruszył ramionami, ale będąc pewnym swej racji, potulnie zawrócił i powolnie predefilowali przed laboratorium. Tym razem po drugiej stronie uliczki. Radca upuścił laskę na wysokości pracowni i długo coś nie mógł jej podnieść. Kiedy doszli do rogu, kilkanaście metrów dalej, zatrzymali się. Estar Pawłowicz szybko zaczął mówić:

– Mieszka na piętrze. Jest chyba w domu, bo zasłony i firany w drugim oknie są odsłonięte. Przez piwnicę ani przez drzwi z parteru się nie dostaniemy, a skakać przez mur w biały dzień nie chciałbym – za dużo ludzi może mnie przypadkowo zobaczyć, narobią hałasu, wezwą policję. Ale z mieszkań na piętrach nie ma wyjścia na dole domu! Te drzwi wiodą tylko do pracowni i są na głucho zamknięte. Zatem – muszą tam być jeszcze jakieś. Pewnie też są inni lokatorzy, bo mieszkań jest więcej niż jedno. Z której strony, jak pan myśli, szybciej znajdziemy właściwą bramę do budynku?

– Pewnie z przeciwnej. Ale tutaj często są labirynty przechodnich bram i podwórek, tak więc, wcale nie musi to być brama na wprost – z przeciwnej strony. Może być o dom albo trzy wcześniej. Lub dalej...

Mimo niechęci tajnego radcy, powędrowali razem w zaułki i kręte, wąskie uliczki, krzyżujące się pod ostrymi kątami na zapleczu ulicy Freta. Po parunastu minutach bez większych kłopotów znaleźli poszukiwane wrota – mieściły się w murze dzielącym wewnętrzne podwórze domu ulokowanego *vis-à-vis* tyłu kamienicy numer 14. W bramie umieszczona była niewielka, dopasowana furtka. Radca szybko sprawdził – zamknięta na klucz. Mur z tej strony był znacznie wyższy niż od strony ulicy, miał jakieś siedem arszynów. Jednak urzędnik nie poddał się łatwo. Poprosił pana Tymoteusza, aby poczekał przy sklepionym wejściowym przejeździe, a sam wszedł na klatkę schodową kamienicy, na której podwórku mieściła się furta. Po wąskich, stromych schodkach wdrapał się aż na poddasze. Najwyraźniej mieszkania tutaj były wynajmowane, wejściowe drzwi na schody były otwarte na oścież, nikt nie zwracał uwagi na nieznanego gościa. Okna klatki schodowej wychodziły nie na podwórze, a pod kątem prostym do niego, dlatego nic z nich nie dało się wypatrzyć. Na samej mansardzie znajdowały się dwa mieszkania, na drzwiach obu przybite były sądowe nakazy eksmisji z dniem 31 grudnia. „Wesołe mają święta!” – pomyślał Estar Pawłowicz, po czym energicznie zastukał do tych podwojów, za którymi, jak mu się wydało, powinno być mieszkanie z oknami wychodzącymi w kierunku dziedzińca. Za drzwiami panowała cisza. Ponowił uderzenia w rachityczne deski. Wrota zaskrzypiały i powolutku się uchyliły. W środku stała mała dziewczynka – od razu było widać, że cierpiąca na tuberkulozę.

– Dzień dobry, czy rodzice są w domu? – Spytał.

– Nie, mama w kościele, a tata na służbie – grzecznie odpowiedziało wystraszone dziecko. – Ale jest babcia. Tylko słabo słyszy... – dodało.

– To, proszę, zawołaj babcie, a sama idź się ciepłej ubierz, bo zmarzniesz. Pewnie wstałaś z łóżka? – Zainteresował się urzędnik.

– Tak, trochę słabuję... – odrzekła. – Już idę po babcie, pewnie zasnęła. – Nie zamykając drzwi za sobą, odeszła w głąb mieszkanka. Po chwili pojawiła się niska staruszka, której twarz wydała mu się znajoma.

– To pan! – Przestraszyła się kobieta. – Przyszedł pan po pieniądze... Pewnie się pomylił, płacąc za kwiaty... – dorzuciła domyślnie, z rozpaczą w głosie.

– Nie, nie, nie – skojarzył natychmiast – na odwrót. Czy mogę wejść?

– Proszę – starowinka szeroko rozwarła odrzwia.

– Niech łaskawa pani wybaczy najście, ale słyszałem, że mieszkacie w okropnych warunkach i chciałem zobaczyć, czy... w czymś nie będę mógł pomóc – kłamstwo spłynęło z języka pana radcy bez trudności, ale w tym samym momencie, kiedy wybrzmiało, stało się prawdą.

Wszedł, rozejrzał się po niskim, zwieńczonym skośnym dachem mieszkanku. W sumie miało nawet dosyć dużą powierzchnię, ale większość przestrzeni mieściła się pod ukosami, więc nie nadawała się do użytku, najwyżej można tam było upchnąć kufer. Podeszedł do okien, wyjrzał. Tak, stąd świetnie było widać teren sąsiedniej posesji. Mając fotograficzną pamięć, nie musiał się długo przyglądać, co mogłoby wydać się podejrzanym. Starsza pani usiadła przy stole, zaprosiła go, aby też spoczął. W kącie, na czymś w rodzaju barłogu, tylko czystego, leżało chore dziecko. Na gwoździu, pod sufitem, wisiała sukieneczka z wytartego do osnowy samodziału. Żadnego płaszczyka, szala czy rękawiczek nie było widać. Skromne sprzęty nie zajmowały wiele miejsca – stół, trzy stare, twarde krzesła, metalowe łóżko, jakieś legowisko... Nawet szafy nie było.

– Widziałem, że macie państwo nakaz eksmisji... – zaczął.

– Och, dzięki pana hojności już jest nieważny. Muszę tylko poczekać do poświęta, żeby go zdjęli. Zapłaciłam kamienicznikowi zaległy czynsz, ale to woźny sądowy musi zdjąć nakaz... – wyjaśniła kobieta. Potem dorzuciła – Widzi pan, my troje pracujemy, ale jesienią zachorowało dziecko, wkrótce potem jej matka, a moja córka. Dopiero od tygodnia znowu jest na nogach. A to Ela, moja wnuczka. Ona... – zawiesiła głos.

– Wiem, widzę. Rozumiem – wszedł jej w słowo, aby nie wyrzekła nazwy straszliwej choroby, brzmiącej jak nieodwołalny wyrok.

– Zięc pracuje jako stróż na cmentarzu, na Powązkach. Dziś jest na służbie, z jego jednej pensji trudno utrzymać cztery osoby... Ja dorabiam, sprzedając kwiaty, ale stoję w słabym punkcie... Tacy jak pan – rzekła z goryczą – trafiają się raz w życiu...

– Proszę się nie załamywać. Pani córka wyzdrowiała, pewnie znajdzie pracę, będzie państwu lepiej. Ale żeby nie zajmować pani więcej czasu... Przyszedłem udzielić niewielkiej pożyczki... proszę się nie przestraszać. Oddacie państwo, jeśli będziecie kiedyś mogli. I nie mnie – innym potrzebującym. – Sięgnął za pazuchę, wyjął pugilares i położył na stole dwie dwudziestopięciorublowki. – Życzę państwu wesołych Świąt... i wyzdrowienia wnuczki.

I zawstydzony tym, że jest piękny, silny, zdrowy i zamożny, nie czekając na podziękowania szybko wyszedł, a potem zbiegł po schodach. Co tchu, jakby uciekał.

– Jak tak dalej pójdzie, będę musiał zacząć handlować tajemnicami w tej Warszawie, aby uzbierać na bilet do Moskwy... – rzekł w duchu, podchodząc do niezbyt cierpliwie czekającego pana von Brugge.

– Zrobimy tak – energicznie powiedział Estar Pawłowicz, widząc, że wytrzymałość pana tajnego radcy już się wyczerpuje. – Pan zostanie tutaj, przy tej bramie. Ma pan broń ze sobą?

– No coś pan! Przecież wyszedłem do teatru... – zaprotestował przeciw niecnemu podejrzeniu posiadacz mocno już ciemnofioletowej śliwy pod okiem.

– Proszę, mnie nie będzie potrzebny. – Elegancik podał mu swój rewolwer, który nie wiadomo po co stałe nosił ze sobą. – Mur z tej strony jest za wysoki, ale od ulicy łatwiej go przeskoczyć. Aby mnie nie zobaczono, nie będę się na niego wdrapywał, pokonam go za pomocą tego przyrządu. – Wskazał ręką na wysoką tykę, jedną z wiązki, która stała oparta za szopą.

– Pan sobie chyba kpisz! – Wykrzyknął masywny prokurator, patrząc na cienki i niesłychanie długi kij, który chyba nie byłby w stanie unieść nic cięższego od pędów fasoli, do czego był przeznaczony.

– Niestety to nie bambus, ale jeden raz powinien wytrzymać – rzekł urzędnik. Zabrał tykę, sprawdził jej sprężystość

i odrzucił. Wziął kolejną... Dopiero czwarta zadowolila jego wymagania.

– Proszę uważać, żeby panu nie uciekł. Jest w domu, widziałem go przez okno. To chyba on – rysopis się zgadza, gęba w szramach, chudy i wysoki. W ogrodzie pod murem od ulicy leży siano, pewnie trzyma kozy w tamtych szopach. W każdym razie ma tam pracownię z oszklonym dachem – wdrapię się i zajrzę. Jeżeli zauważę coś podejrzanego, postaram się, żeby mnie dostrzegł – nie mamy teraz czasu na pieczołowite, długotrwałe śledzenie, a jeżeli będzie uciekał, od razu uprości nam sprawę, widać będzie się czuł czemuś winny. Jeszcze raz – niech pan uważa! Jeżeli to rzeczywiście on, może być bardzo niebezpieczny. W razie czego – niech pan strzela w nogi. Potrzebny jest nam żywy...

Odszedł, nie czekając na reakcję przedstawiciela organów ścigania warszawskiej Temidy. Obszedł kwartał, znalazł się na Freta. W oknach widać było wielu mieszkańców zajętych swoimi sprawami, ale na ulicy ani na Rynku Nowego Miasta nie było nikogo – zbliżała się pora obiadowa.

Radca, nie czekając z decyzją, pobiegł na skos przez uliczkę, wbił tykę na pół metra przed murem w ziemię pomiędzy deskami trotuaru i z rozpędu podskoczył. Podciągnął tułów w powietrzu, odepchnął rękoma kij, który upadł, łamiąc się, na kamienne łby jezdni. Van Houten w czasie lotu zgubił nakrycie głowy, ale spadło – tak jak jego właściciel – po TAMTEJ stronie muru.

Radca trochę się przeliczył – ominął w podniebnej podróży siano i spadł nieco dalej, prosto w okryte matami ze słomy inspekta. Brzęk tłuczonego szkła został stłumiony przez sienniki, ale zaokrąglone plecy skoczka (chciał wykonać przy lądowaniu coś w rodzaju fikołka, który miał złagodzić siłę upadku) trafiły na krawędź skrzyni inspektu. Deska była twardsza niż kręgi moskwianina. Jęknął głośno i przez chwilę leżał jak sparaliżowany. Dopiero po dobrych dwóch minutach udało mu się wstać, przy okazji pozbierał także różne detale swojej garderoby oraz zawartość zewnętrznych kieszeni, która rozsypała się dookoła jego rozplaszczonej, nieruchomej postaci. Podniósł i z troską obejrzał metalową piersiówkę, zadowolony, że nic jej się nie stało, wsunął ją do kieszeni marynarki. Pozostałe drobiazgi upchnął z powrotem na ich uprzednie miejsce.

Lewej nogi – widać skrzynia inspektowa dobrze przycelowała w nerw kulszowy – nie czuł. Kuśtykając i rozglądając się dookoła czy czasem nie ma nikogo w ogrodzie, podszedł do oszklonego pawilonu. Wszystkie okna były od wewnątrz zaopatrzone w ciężkie kotary, a na drzwiach, wątłych jak cnota niewieścia, wisiał spięty kłódką skobel. Wiedząc, że nie da rady wspiąć się na dach, aby obejrzeć przez świetlik wewnątrz pracowni, zdecydowanie, jednym ciosem dłoni, odbił skobel wraz z kłódką.

„Jeśli mój fart tak mi dopisze, jak przy skoku, to posadzą mnie dziś za włamanie” – pomyślał, wchodząc przez rozwarne drzwi. Aliści tutaj kwaśny uśmiech na jego ustach zniknął. Niczego więcej nie potrzebował – choć widział na razie tylko małą część pracowni, jej przedsionek. Na roboczym stole, pod lewą ścianką działową, leżała rękawica. Ta, której istnienia się domyślił. Natychmiast zawrócił, trzasnął głośno drzwiami, poszedł króciutką ścieżką w kierunku bocznych drzwi domu.

Wtedy padł strzał.

Estar Pawłowicz poczuł, jak jakaś siła przewraca go w śnieg, a przed jego oczyma pojawiło się niebiesciutkie niebo bez żadnej chmurki.

„To już? – Pomyślał – Boże, tak głupio... Poczekaj, chwileczkę...”

ROZDZIAŁ 9

Strohwitwer

*Samotność to stan radosnej kontemplacji
nieobecności najbliższej drugiej osoby.*^[14]

Von Brugge otrzepał buty ze śniegu, potulnie otarł je o skrobaczkę przy wycieracze i otworzył drzwi własnego domu. Służąca wybiegła mu naprzeciw, pomagając zdjąć zimowy przyodziewek. Światło paliło się tylko w kuchni. W jadalni, salonie i gabinecie drzemał, z lekka pochrapując i krztusząc się od kurzu, zmrok. Pomyślał, że ze względu na późną porę obrażona żona nie zaordynowała wieczerzy i zamknęła się w swoim buduaru, na górze. Kazał więc nakryć do kolacji.

– Ile osób pan chce przyjąć? – Spytała pomoc.

– Jak to ile? Jak zwykle, siebie i żonę. A co, mają przyjechać jacyś goście? – Nachmurzył się.

– Nie, nie, tylko... – nie kończąc zdania, służąca uciekła do kuchni.

Wszedł do sąsiedniego pokoju, zdjął surdut, założył szlafrok, wyjął wszystkie drobiazgi z kieszeni i położył na blacie biureczka, zegarek zawiesił na specjalnym haczyku, naciągnął ciepłutkie bambosze.

„Ach, co tam, i tak będzie mi suszyć głowę... – pomyślał w duchu. Żwawo podszedł do barku, nalał sobie solidną porcję cierpkiego trunku, tarniówki. Wypił, nie rozsmakowując się. – Ciężki dzień... Zimno, zmęczony jestem... Zjem coś i wezmę gorącą kąpiel, a potem do łóżka, wreszcie się wyspać...” – rozmarzył się.

– Maryniu, gdy będziem wieczerzać, nie zapomnij przygotować kąpiel! – Krzyknął w stronę kuchni. Przeszedł do jadalni. Rozpiął kamizelkę, popuścił pasek od spodni, rozsiadł się przed prawie wygaszonym, ale jeszcze tłącym się ogniem na kominku. Dorzucił trochę drzazg, potem kilka kawałeczków chrustu. Ogień buchnął wesołym płomieniem, gdy dokarmił głodomora kilkoma ósemkami polana.

„Ach, jak dobrze... Cisza, ciepło, zaraz będzie porządna kolacyjka...” – trochę się zachmurzył: tak, kolacyjka kolacyjką, a burę przyjąć będzie trzeba. Całe szczęście, nie będzie długa – ma w końcu alibi. Drogo go kosztowało, ale – warto było... Ponownie się rozchmurzył.

Służąca weszła do jadalni, pozapalała lampy, zaczęła rozstawiać nakrycia.

– Proszę pana... – zaczęła nieśmiało.

– No? – Gniewnie spytał, przewidując niemiłe siurpryzy. Nie pomylił się.

– Pani kazała powiedzieć, że w buduaru, na toaletce, zostawiła panu list – jednym tchem zakończyła dziewczyna. I bezzwłocznie zniknęła z jadalni, aby uniknąć dalszych indagacji.

– List? Jaki list? – Rzucił pan Tymoteusz, ale zorientował się, że gada do obrazu, bo panny już nie ma.

Przez całe małżeńskie pożycie tajny radca (wówczas był jeszcze asesorem kolegialnym) otrzymał od połowicy tylko jeden list – nigdy później nie rozstawali się na dłużej, więc nie było po co pisać korespondencji. Wtedy, podczas pierwszych „cichych dni” w ich małżeństwie, lepsza połowa udała się do wód, do Karlsbadu. Ówczesny asesor nie wytrzymał ani minuty i kiedy pociąg wiozący młodą jeszcze kobietę zniknął na końcu peronu, wysłał depezę: „Przepraszam przepraszam przepraszam”. Gdy dojechał do biura, najpierw odwiedził mieszcący się po sąsiedzku urząd pocztowy i wysłał drugą: „Kocham kocham kocham”. Potem, podczas przerwy obiadowej, zadeszował po raz trzeci: „Nie będę nie będę nie będę”. Ale druga połowa ich stadła miała nieugiętą wolę – von Brugge stracił pół miesięcznego wynagrodzenia na telegramy, zanim otrzymał odpowiedź z kurortu. Zawierała przebaczenie. Potem jeszcze musiał pokryć koszty tygodniowego pobytu żony w zdrojach. Było to dla niego bolesną nauką. Na sześć następnych miesięcy. Później wszystko wróciło do normy, jednak żonkoś wyciągnął wnioski z tej lekcji: zawsze starał się o bezdyskusyjne „alibi”.

Ciężko wzdychając, podreptał na piętro. „A tak dobrze wszystko szło...” – pomyślał z udręką. W buduaru

rzeczywiście czekało pismo, w którym urażona do głębi serca wrażliwa niewiasta nazwała pana prokuratora niecenzuralnie i zdrobniale „po imieniu”, a na zakończenie poinformowała, że „wyjeżdża do mamusi” na czas nieokreślony.

Kamień spadł z serca prokuratora.

Chciał nawet zatańczyć, ale bambosze (i korpulencja) uniemożliwiły mu chyże podskoki. Będąc człowiekiem wielce konsekwentnym, od razu zszedł do garderoby, wyciągnął z szafki na obuwie ukryty tam gąsior starki i nalał pełniutki metalowy kielich, który był łańcuszkiem umocowany do flachy.

– Mmm. – Napawał się boskim smakiem niebiańskiej ambrozji.

„Cudownie, cała doba spokoju...” – przemknęło mu przez głowę.

Poprawił. Poczuł, jak ogarnia go błogostan.

„Mamusia”, czyli prozaicznie mówiąc teściowa, mieszkała w willi w Rembertowie. Wdowa po rosyjskim generale postawiła sobie na tamtejszych terenach, zaraz po wybudowaniu wojskowej magistrali kolejowej Warszawa-Terespol, ceglany pałacyk, nieopodal drewnianych obiektów carskich koszar. Te podmokłe i lesiste ziemie kosztowały ją kopiejki – bo nikt nie chciał mieszkać w sąsiedztwie poligonu artyleryjskiego i największej w Królestwie cegielni Kazimierza Granzowa. Przewidującej eksdamie dworu to nie przeszkadzało – już dawno straciła słuch. Słuch straciła, ale nie głowę – wykorzystawszy bliskość cegielni i tanią siłę roboczą, kupiła działki w pobliskich folwarkach Zygmuntowie, Karolówce, Magencie i Grzybowie. Szybko wzniosła tam kilka parterowych, murowanych budynków, które na pniu wynajęła za niebotycznie wysokie sumy pod sklepiki, traktierne i mieszkania dla oficerów. Pobliskie koszary artylerzystów napędzały klientów jej podnajemcom, dlatego zgadzali się płacić takie arendy – nie szkodowali. Roztropna niegdysiejsza frejlina w pięć lat potroiła majątek (cały, nie tylko zainwestowany), teraz była spokojna o przyszłość nawet prawnuków. Ewentualnych, bowiem ani jedyna córusia, ani dwóch synalków-hulaków, mimo podeszłego, jak na płodzenie potomstwa wieku, dotychczas nie dorobiło się żadnych bezpośrednich spadkobierców w formie potomstwa.

Von Brugge, siedząc już w jadalni, z lubością sięgnął po udko kapłona na zimno – uwielbiał jeść w samotności, niespiesznie, wcale mu nie przeszkadzał brak żony przy posiłku. Teraz, kiedy wiedział, że wróci za dwa dni, że będzie przepraszała za bezpodstawne podejrzenia...

Dlatego kolejne pół godziny poświęcił obmyśleniu, jak spędzić jutrzejszy, drugi świąteczny dzień. Wcale nie zamierzał gnać na złamanie karku do ukochanej mamusi i przepraszać żony – ma takie alibi, że będzie panem sytuacji... A to dobrze zrobi jego... ich życiu małżeńskiemu. „Odrobina odmiany nigdy nikomu nie zaszkodziła” – pomyślał.

Tymczasem w aleksandrowskiej cytadeli dwóch wachmistrzów pracowało, co sił w płucach. I rękach. Jeden wylewał z wiadra wodę ze śniegiem na rozpiętego na ceglanej ścianie celi więźnia, drugi palił papierosa. Pięć minut przerwy. O nic nie pytali bitego osobnika – jego ciało poznaczone szramami pokryło się siecią czerwonych, świeżych śladów nahaja. Oczy nabiegłe krwią, usta spękane, przegryzione, włosy zmierzwiłone. Twarz, pokryta okropnymi, sinymi bliznami, wydawała się nieludzka.

Wiedział, że opór nic nie da, że wszystko powie, chciał tylko jednego – dwie minuty bez kajdan. I swojej rękawicy. Nauczyłby tych żołdaków, co to są tortury...

Przecierpiał w milczeniu jeszcze dwie serie chłosty, ale na żandarmskich podoficerach nie robiło to wrażenia. Nic ich nie obchodziła jego nadludzka odporność na ból. Robili swoje, bez zaangażowania, systematycznie. Nigdzie się nie spieszyli. Służba to służba. I tak przemówił.

Mieli rację. Jak zawsze.

Nie tylko przemówił – najpierw zawył.

Wrzask bólu i rozpacz jakby przerwał tamę – teraz już nie milczał, przy każdym uderzeniu krzyczał rozpaczliwie, jęklonie błagając o litość. A żołnierze pracowali dalej. Kiedy zemdłał, jeden znowu go ocucił, drugi poszedł po oficera. Wrócił po kilku minutach z lejtnantem żandarmerii. Ten podszedł do więźnia, trącił go butem, a widząc przytomny wzrok,

spytał:

– Będziesz mówił?

– Taaak.

– Nie szkodzi. Ja sobie jeszcze poczekam. – Skinął ręką oprawcom.

– Nie, nie... Wszystko powiem! – Zawył skazaniec z obłędem w oczach.

– Wiem, rybko, wiem. Ale... pamiętasz tę czternastoletnią dziewczynę?... Była córką mojej sąsiadki. Czasami bywałem w ich domu, na herbacie. Męczyłeś ją długo... Niestety, nie mogę się tobie odwdziżyć tym samym. Wyjdiesz stąd żywy. Ale zapamiętasz, co to ból, który tak lubisz zadawać innym.

– Przystępujcie – rzucił do żołnierzy.

Znowu świsnął pejcz, ponownie pod sklepienie niskiego pomieszczenia pomknął przeraźliwy krzyk rozpaczliwej boleści. Oficer zapalił papierosa, usiadł przy stojącym w rogu stoliku. Jeszcze trzy razy cucono przesłuchiwanego, zanim oficer zwolnił żołnierzy.

– Tylko najpierw oblejcie go wodą. Ze trzy razy, żeby mi nie zaświnił juchą pokoju przesłuchań – rozkazał.

Potem wysokiego, chudego mężczyznę powleczono na piętro, do komnaty, w której siedziało dwóch cywilów, wysokiej rangi żandarm w mundurze i protokolant w uniformie Ochrony.

Po trzech godzinach przesłuchania-spowiedzi panowie w cywilu pojechali do miasta w jednej dorożce, a oficerowie żandarmerii udali się do przełożonego, który przebywał w cytadeli, oczekując na rezultaty. Protokolant zaś poszedł do koszar, złoścąc, że na niego wypadło:

„Tfu, całe święta będę miał zepsute po takich zeznaniach!” – Przeklinał w duchu.

Zabójcę odziano w więzienne łachy i wsadzono do jednej z cel. Lejtnant, który nadzorował wcześniej chłostę, postarał się, aby był to karcer bez materaca, z wybitym oknem i dwoma werszkami wody na posadzce. Wiedział, że za dzień, może dwa, łajdak umknie sprawiedliwości. Żaden sąd go nie skaże – jego zbrodnie były zbyt nieludzkie. Poślą go do domu dla wariatów. Po świętach oddadzą go lekarzom, a ci będą go karmić, rozpieszczą, spisując wszystkie brednie, które mu ślina na język przyniesie, aby opublikować je w „Lancecie”.

– Mojego imienia nie wydrukują nigdzie, poza rozkazem dziennym, a nazwisko tej szui pozostanie w podręcznikach, gazetach i pismach, jak jakiej sławy – mruknął do siebie. – Co za czasy!

W ponurych murach Cytadeli morderca przychodził do siebie. Już się nie bał. Jedyne, czego mógł się jeszcze obawiać, to zemsty zlecniodawców, ale tutaj chyba był dla nich nieosiągalny. Później nie znajdzie się już w tak dobrze strzeżonym miejscu – z pewnością odeślą go do aresztu albo lecznicy, ale zajmie to – wszak najpierw odbędzie się rozprawa, sądy – kilka miesięcy, zapomną o nim. A potem na pewno – dom bez klamek. Tam, jak ktoś wie, czego chce i umie się urządzać, żyje się całkiem nieźle... Po kilku latach, zmyliwszy czujność lekarzy i personelu, można spróbować uciec. „Trochę cierpliwości, udawania niewiniątka i będę znowu na swobodzie. Przecie to nie pierwszy mój pobyt w azylu dla obłąkanych... Umiem czekać...”

W pierwszym świątecznym dniu mieszkańców Nowego Miasta zaniepokoiła palba z rewolwerów – kiedy lokatorzy wybiegli na podwórko kamienicy numer 10 przy ulicy Koźlej, zobaczyli ekstraordynaryjne widowisko – pod murem siedział, oparty o wrota, słuszny, chudy mężczyzna w futrze, ranny w nogę. Pod lufą rewolweru trzymał go, jak później się wyjaśniło, powszechnie znany i zasłużony obywatel naszego miasta, imię Tymoteusz von Brugge, prokurator sądów warszawskich. Pan tajny radca osobiście pojmał mordercę, szukanego siłami policyjnemi już od miesiąca. Zaraz pojawił się rewirowy i agenci, którzy aresztowali postrzelonego podczas ucieczki Niemca – fotografa Maxa Frischa, mieszkańca ulicy Freta numer czternaście [...].

„Kurier codzienny”, 27 grudnia

Jak można się było spodziewać, a pan prokurator z pewnością się na tym założeniu opierał, artykuł umieszczony na

trzeciej stronie poczytnej gazety szybko stał się znany szacownej Irinie Aleksandrownie. Przybyła lotem strzały – to jest z prędkością klaczy, którą przypięto tego dnia do wynajętego wolanta – do własnej siedziby. Naturalnie nie zastała pana tajnego radcy, bowiem w dzień roboczy o tej porze znajdował się od dawna w urzędzie. Zaraz po przyjeździe pani von Brugge, poczuwając się do winy, posłała kucharkę na rynek po gęś, a pokojówkę zapędziła do roboty – aby jadalnia i jej wyposażenie lśniło na wieczór. Potem zagnała ją do czyszczenia i odświeżania sypialni, a sama chyżo udała się do luksusowej faktorii z holenderską, damską bielizną o paryskim szyku.

Zaś tajny radca w tym samym czasie jednym zgrabnym pociągnięciem pióra odsyłał aresztanta do azylu doktora Ktonopki, Czecha, znanego lekarza od wariatów, jak mawiał prosty naród. Ten wybitny psychiatra i neurolog studiował we Wiedniu, a praktykę odbywał w paryskim szpitalu Salpêtrière razem ze swoim kolegą z Freibergu na Morawach. Później spędził dwa lata jako psychoanalityk w Davos, w sanatorium radcy dworu Behrensa. O tym okresie pracy niechętnie wspominał, bowiem dla zachowania obiektywności badań, podjął się jej pod pseudonimem. Za zarobione tam – przy okazji badań – pieniądze kupił pod Warszawą dom, który przerobił w azyl i klinikę dla psychicznie chorych. Składały się nań dwa budynki – jeden dla praktyki miejskiej, w którym przyjmował głównie „znerwicowane” panie z towarzystwa, i drugi, podobny do surowego więzienia, gdzie nieodpłatnie trzymał interesujące go przypadki. Sądy chętnie korzystały z jego ekspertyz, ponieważ opinie Ktonopki odpowiadały najnowszym osiągnięciom naukowym w tej dziedzinie, aczkolwiek policja uważała, że tylko „kryje” swoich pacjentów. Jego prosta jak świeca, wysportowana sylwetka, twarz z wydatnym nosem, z wiecznie ukrytymi za mocno przyciemnionymi okularami oczyma, znane były szerokiej publiczności z rysunków w prasowych relacjach o głośnych sprawach kryminalnych.

Prokurator był zadowolony – niechybnie zyskał kolejny liść wawrzynu do wieńca sławy nadzwyczaj sprawnego urzędnika, załatwił też sobie alibi i spędził drugi świąteczny dzień wedle własnych upodobań, w miłym i inteligentnym towarzystwie, napompowany po dziurki w nosie wybornymi trunkami. A dziś, po powrocie do domu, czeka go wspianiały, podniosły moment tryumfu, kiedy to ON będzie wybaczał... Czegóż więcej od życia trzeba? Awans, podwyżka, mnóstwo cielesnych rozkoszy i ukontentowanie z upokorzenia żony... Prawdziwa Arkadia.

Przeczytał już makabryczne zeznania aresztowanego, umyślnie i bezprawnie odesłanego przez niego do Cytadeli. Wpadł na ten pomysł sam, mając pewność, że sprawiedliwość okaże się bezbronna wobec praw obwinionego, dlatego skorzystał z okazji, że zbrodniarz jest obiektem zainteresowania policji politycznej i żandarmerii, więc użyczył im go na dwie doby. W zamian za pełne zeznania. Wiedział, że dotrzymają słowa, nie ocenzurują protokołów, bo to tylko początek właściwego dochodzenia i wprowadzenie w błąd zaufanej osoby generała-gubernatora i naczelnego dowódcy sił wojskowych guberni mogłoby się w niedalekiej przyszłości źle dla nich skończyć. Na przykład – Cytadelą. Ale z tamtej strony krat... Swoje nakreślone notatki i wyciągi z zeznań tajny radca schował do koperty, którą zapieczętował, schował do *portefeuille*, wezwał wolanta i pojechał złożyć relację dygnitarzowi – Josifowi Władymirowiczowi Hurko.

Do pana asesora Puławskiego te same protokoły dotarły w zupełnie innej wersji – choć nie zmieniono ani literki tam, gdzie była mowa o zbrodniach. Wytarto jedynie akapity o zleciodawcach, przyczynach przyjazdu i tak dalej. Uznano, że są mu zbędne. Pan Adam był już dostatecznie doświadczonego urzędnikiem, aby mógł dostrzec pewne luki i niezgrabności, ale ponieważ nie dotyczyły jego bezpośredniej pracy – nie zastanawiał się nad nimi. Z listy ofiar wykreślił cztery nazwiska, a potem pojechał wraz z całą policyjną ekipą na dokładną rewizję dóbr mordercy. Przez Święta były zamknięte, opieczetowane i strzeżone przez trzech agentów, zmieniających się co cztery godziny. Pojechał fiakrem z fotografem i tajniakiem z kryminalnej, z biura śledczego oberpolicmajstra. Po drodze zabrali z cyrkułu – w drugiej dorożce – kilku ludzi do pomocy. Gdy dojechali, jakimś cudem zastali na miejscu oczekującego ich oficera żandarmerii. Zażyczył sobie być obecnym przy rewizji.

Podzielili teren badań na cztery sektory: dom, pracownię w domu, ogród, pawilon w ogrodzie. Przed bramą pan asesor zrobił ostatnią odprawę, instruując agentów: wszystkie sektory najpierw odrysować – robiąc plan, obfotografować, potem przeszukać z psem. Dopiero wtedy przystąpić do rewizji. Podejrzane przedmioty najpierw należy opisać, a gdy to potrzebne – sfotografować, potem dopiero zabezpieczyć. Dotyczy to wszystkich próbek pisma, włosów, śladów

obecności kobiet, przedmiotów potwierdzających przebywanie na tym terenie innych osób niż gospodarz, absolutnie wszystkie dokumenty, w głównej mierze listy czy dagerotypy. Wyszukać wszelkie przedmioty, które mogły być związane z zabójstwami – na przykład noże, inną broń białą i palną. Odnaleźć każdy zachowany ślad krwi. Po zakończeniu rewizji odwieźć to, co konieczne, do cyrkułu. Na straży posiadłości pozostawić jednego rewirowego. Dać mu psa do pilnowania ogrodu.

Sobie pan asesor przydzielił – jako najciekawszy i najbardziej skomplikowany teren pracy – pawilon w ogrodzie. Dołączył do niego żandarm, który, kiedy tylko zostali sam na sam, wyraźnie postawił pewne warunki:

– Zechciej pan wziąć pod uwagę, że materiały, dotyczące osoby podejrzanego z okresu przed jego osiedleniem się w Warszawie, podlegają naszej kompetencji. To samo dotyczy wszelkich jego późniejszych kontaktów z zagranicą albo cudzoziemcami tutaj przebywającymi. Ślady te zostaną wyłącznie do naszej dyspozycji, to jest III Wydziału.

– Dobrze, dobrze, nie gorączkuj się pan – niezbyt przychylnie odrzekł policjant. – Sfotografujcie drzwi wejściowe... – zwrócił się do urzędowego fotografa.

Weszli do sionki, gdzie nadal leżała sławetna rękawica. Rewizja niewielkiego pomieszczenia nie zajęła zbyt wiele czasu, ale następna część pawilonu – całkowicie pozbawiona okien ogromna ciemnia – znacznie opóźniła pracę. Musieli wezwać chemika, przy czym oficer uparł się, żeby ekspert przybył z ich urzędu. Zanim ten się pojawił, upłynęły dwie godziny.

– Niech pan szuka wśród chemikaliów także tego, co może być użyte jako atrament sympatyczny! – Polecił mu żandarm.

Ekspert zaśmiał się w głos:

– Czy pan żartuje? Toć w takim laboratorium praktycznie wszystkie odczynniki mogą służyć jako odpowiednik takiego atramentu! Muszę mieć dokładniejsze wskazówki.

Oficer zamilkł.

Później już zgodnie, we trzech, przeszukali ciemnię i pozostałe dwa pomieszczenia – jedno, coś w rodzaju teatrum, gdzie fotografowano i drugie: schowek-suszarnię. We wszystkich pomieszczeniach znajdowali fotogramy, dagerotypy, błony celuloidowe i posrebrzane płytki.

– Fachman. Wysokiej klasy... – stwierdził ekspert. – Posługiwał się wszystkimi znanymi metodami: mokrej i suchej płyty szklanej. Wywoływał błony pojedyncze i rolkowe. Pracował z chlorkiem i bromkiem srebra. Zajmował się platynotypią i talbotypią, a nawet robił litografie dla afiszów, także te barwne! – Rozwlekle i z zawiścią w głosie objaśnił swoje zdanie. – Mało równych mu znajdzie się w całym Królestwie... Może nawet w Pitrze takiego nie będzie!

We wszystkich pomieszczeniach pełno było uwiecznionych podobizn, większość z nich została skatalogowana i opisana.

– Chodźcie no tu! – Doświadczony oficer wezwał fotografa i agentów do schowka-suszarni. Wskazał ręką na ukryte pod tapetą i zamaskowane drzwiczki. Błysnęła magnezja. Kiedy je odemknięto, ukazała się szafka wypełniona po brzegi interesującym śledczych materiałem. To, co tam znaleźli, dołączyli w całości do dowodów rzeczowych – setki fotogramów zrobionych różnymi technikami na przestrzeni wielu lat, a wszystkie pornograficzne. Widać było, że autora osobliwie pociągały perwersje związane z zadawaniem bólu.

– To materiał na lata dla wielu policji z różnych krajów – rzucił chemik.

Nigdzie w pawilonie nie znaleźli żadnych dowodów na działalność wywrotową, polityczną czy szpiegowską – zawiedziony żandarm przeniósł się do rewidowanego domu, a chemik odjechał dorożką.

Poza rękawicą, zabezpieczono również pokrwawioną odzież – sądząc z rozmiaru – fotografa, różne podejrzane utensylia, kilka płacht ceraty z dziwnymi plamami i metalowy, w środku pokryty woskiem, zakręcany flakon pełen kwasu azotowego. Kiedy już skończono wywozić wyselekcjonowane rzeczy z pawilonu, ogrodu i domu, któryś z policjantów, chcąc zasłonić kotary, odsunięte na czas przeszukiwania w pawilonie, potknął się o mały chodniczek leżący w *teatrum*. Ukazała się pod nim kłapa. Pod studio znajdowało się niewielkie pomieszczenie, do przeszukania którego wezwano zarówno lekarza, jak i – ponownie – chemika. Niewielka, choć wysoka i sucha piwniczka, przegrodzona była półką.

W pierwszej części stał stół z marmurowym blatem. Na półkach znajdowały się słoje z preparatami formalinowymi. Lekarz rozpoznał niektóre brakujące u ofiar organy, które wyliczył mu asesor. Ale preparatów było znacznie więcej... Lekarz stwierdził także – po doborze instrumentów w szufladzie marmurowego stołu – że na jego blacie przygotowywano eksponaty. Chemik to potwierdził – nad stołem, wśród słoje i butelek znajdowały się tylko substancje służące do konserwacji i barwienia.

Za przegrodką z półki znajdowało się archiwum dagerotypów wyeksponowanych w słojach narządów – w różnych stadiach przygotowania. Tamże stała szafeczka, zawierająca osobiste dokumenty właściciela prosektorium. Oraz kolekcję uwędzonych ludzkich uszu. Żandarm wreszcie znalazł dla siebie pole do popisu. Chemik zgryźliwie powtórzył opinię za „Kurierem Warszawskim”: widać, że dagerotypia to przedni sposób fotografowania – *tylko nim portrety trupów doskonale robić można*^[15], a tutejsze „prace” potwierdzają wcześniejsze przypuszczenia. Dodał też, iż dagerotypy „emanują spokojem, ale jest to spokój kostnicy”...

Rewizja zakończyła się późną nocą, ale była owocna. Nawet agenci, którzy stracili na nią cały dzień, nie narzekali. Aby wywieźć zebrany w pawilonie materiał dowodowy potrzebne były dwie dorożki i para agentów, a później, w cyrkule, opisem ich zajęło się czterech policjantów z kryminalnej. Pracowali przez dwa tygodnie!

Już z cyrkułu, o wpół do dwunastej w nocy, pan asesor zadzwonił do pałacu generała-gubernatora:

– Skończyliśmy, Wasza Ekscelencjo – już mogę zdać sprawę. Dwa pokoje pełne dowodów... Żandarmi też znaleźli dla siebie materiał... Tak jest... Oczywiście. Jutro rano przygotuję raport i stawię się o dziewiątej. Odmeldowuję się. – I odwiesił słuchawkę.

Przesłał krótką notatkę z rewizji dla pana tajnego radcy – miał ją otrzymać nazajutrz z samego rana, kiedy tylko pojawi się w pracy. Zmęczony Puławski ziewnął na całe gardło.

– Jedno śledztwo zakończone. Ale co z drugim sprawcą? Albo sprawcami? Pierwszym zabójcą teraz zajmą się inni. Trzeba przecie zbadać, skąd się wzięło tyle preparatów... Zidentyfikować wszystkie zdjęcia... Znaleźć osoby, które przedstawiają... Ile z nich żyje? To będzie ogromna praca, wysiłek wielu policjantów, zajmie kilka miesięcy, a może i więcej – znajdą się nowe wątki, wspólnicy... kupcy „towaru”, dystrybutorzy pornografii, cała sieć. No, ale mnie, na szczęście, to nie będzie dotyczyło. Ja idę spać.

Pojechał do domu.

Dwa dni wcześniej zadzwoniła pod ten sam numer, co pan asesor, inna osoba, o znacznie przyzwoitszej porze, chociaż – ze względu na czas świąt – i ta pora była nieprzystojna. Dlatego rozmowa od razu została przełączona do adiutanta:

– Bykow.

– Napomknął pan, że w razie potrzeby mam zadzwonić.

– Ale nie ma takiej konieczności.

– Słucham?

– Wiem już o dzisiejszych wypadkach i domyślam się, o co chce pan prosić. Czy pan nie gra w szachy?

– Przepraszam, już zrozumiałem.

– Powiedzmy. Chciał pan prosić o upoważnienie do dyskretnej, tajnej rewizji biura majora Wotcowa, czyż nie tak?

– Tak.

– No właśnie, a ja panu odpowiedziałem – nie ma takiej potrzeby. Osobiście przeszukałem biuro Wotcowa w dwie godziny po jego śmierci. Biurko i szafy JUŻ były czyste. Dobrze się zrozumieliśmy?

– Jak najbardziej. Dlaczego mi pan jednak tego uprzednio nie powiedział?

– Bo wtedy nie szukałby pan zabójców kobiet. Skupiłby się pan na mordercy kolegi. A teraz, kiedy już pan jednego ujął, nic pana nie zbije z tropu. Czytałem wiele razy pańską charakterystykę – piszą, że ma pan „chwyt buldoga” – jak złapie, nie puści. Jest pan z pewnością na tropie drugiego?

– Skąd pan wie?

– Drogi panie, gdyby nie złapał pan już jego śladu, nie chciałby się pan teraz zająć Wotcowem. Pan nie z tych, co lubią bałagan, ciągną kilka spraw na raz. Jużes pan pewny, że masz albo przynajmniej niedługo będziesz miał drugiego zabójcę. Dlatego w tej chwili pańska głowa pracuje nad trzecim wątkiem. To oczywiste.

– Hmmm. Ma pan rację. Pan się marnuje na swoim stanowisku. Byłby pan znacznie lepszym detektywem niż ja.

– Nie. Po pierwsze, nie wie pan, czy to, co tutaj robię, nie jest podobnym zajęciem. A po drugie – jestem szachistą. Tylko myślę. A pan myśli i działa. Poza tym czy zawód detektywa to szczyt człowieczej kariery? Tylko młokosy tak myślą. W dodatku pan ma szczęście. A ja nie. Muszę ciężko pracować na sukces.

– Mimo wszystko, muszę panu pogratulować, zazdroszczę intelektu. Ale wracając do naszych baranów – na podjęcie sprawy Wotcowa trzeba jeszcze poczekać?

– Tak, dwa-trzy dni. Miną Święta, złapie pan drugiego ptaszka, zdobędziemy kolejne zeznania... Wtedy będzie miał pan pewność, a ja materiały, aby wziąć się za sprawę pana kolegi.

– W takim razie przepraszam za kłopot i życzę wesołych Świąt!

– Dziękuję, ale nie wypracowałem sobie jeszcze wolnych Świąt. Dopiero za trzy lata...

– Och, aż tak dokładne ma pan plany?

– Nie domyślił się pan?

– Prawdę mówiąc – od razu. Ale nie wiedziałem, że to już za trzy lata. Panie generale-gubernatorze...

– Ciiiiicho! Teraz ja muszę panu pozazdrościć. Nosa. I intelektu. Powinienem lepiej się maskować... jeśli pan po jednym krótkim spotkaniu... Do widzenia.

– Do widzenia.

Estar Pawłowicz odłożył słuchawkę.

Śladami Stanisława Augusta

*Gdyby nie złodzieje, hrabiowie i pindy,
nie wyżyłby dryndziarz całkiem ze swej dryndy.*^[16]

Nie upłynęły jeszcze nawet dwie godziny od chwili, kiedy został trafiony kulą w pierś w ogrodzie domu przy Freta. Upadek zapewne uratował mu życie – strzelający, wielokrotny morderca, pewien był, że zabił. Nie podszedł sprawdzić, dobić. Wystraszony hukiem rewolweru, na który w świąteczny dzień sąsiedzi musieli zwrócić uwagę, spanikował i natychmiast rzucił się do ucieczki. Słusznie, ale nie mógł przewidzieć, że za bramą czyha na niego waleczny prokurator von Brugge. Z rewolwerem, w którym odwiódł kurek w chwili, gdy zza muru dobiegł go odgłos wystrzału.

Kiedy uciekinier pojawił się przed furtką, bohaterski tajny radca wycelował w jego nogę i nie czekając, wpakował w nią pocisk. Trzymał go potem pod lufą, dopóki nie zbiegli na dół lokatorzy i pojawił się zdyszany stójkowy. Wtedy przekazał mu broń wraz z rozkazem wezwania gwizdkiem wsparcia, rozproszenia gawiedzi oraz pilnowania rannego. Sam zaś pospieszył do środka, gdzie zastał wyprostowanego, stojącego pana Van Houtena, który z awersją otrząpywał się z brudnego śniegu.

– Pan to masz fart! – Huknął pan Tymoteusz. – Chybił? Czy też uskoczyłeś pan w śnieg szybciej od kuli? – Zironizował.

– Nie, nie chybił. A ja nie byłem pędzsy od pocisku – chłodno zripostował moskiewski urzędnik.

– Nie rozumiem... – odrzekł otumaniony warszawski jurysta.

– Ocalałem fuksem... Farciarz ze mnie, ale właśnie się zastanawiałem, czy nie czas przestać ryzykować, cierpliwość fatum pewnie już nadwyrężona... – dalej zagadkowo odpowiadał Estar Pawłowicz.

– No, no... Powiedz pan wreszcie, co się stało! – Wyjęczał z niecierpliwości żywiolowy prawnik.

– Niby nic wielkiego, ino koniak, stary, dobry koniak się zmarnował, a ja w nim cały się zamarynowałem. – Radca włożył rękę do wewnętrznej kieszeni, na wysokości piersi, a kiedy ją wyjął, obciekała bursztynowym płynem. W palcach trzymał zgnieciony i dziurawy, grzechoczący przy poruszeniu kawał blachy. – Nie wiedziałem, ile nam przyjdzie czekać na okazję obejrzenia pracowni, czy znajdziemy jakieś schronienie, dlatego na wszelki wypadek zabrałem ze sobą specjalną, w stal oprawioną, płaską butelkę z koniakiem – pożegnalny podarek od kolegów ze Scotland Yardu za przeszloroczną sprawę... Kiedy skakałem, wypadła mi z kieszeni płaszczka, więc wstając, włożyłem ją do pierwszej lepszej kieszeni – akurat tej. Celnie bydlę strzela, trafił prosto w pierś. W samo serce. Tylko że ja miałem na sercu flaszkę. Kula przebiła blachę, stłukła szkło i utkwiała w środku... Tylko koniaku mi żal... przepadł.

Mówiąc te słowa, wyciągnął spomiędzy porwanych strzępków blachy rozplaszczony ołowiany przedmiot. Von Brugge roześmiał się w głos:

– Pan to nie masz achillesowej pięty... nawet w piersi. Niech pan jednak pamięta, że Achilleśa też dosięgła śmierć...

– Czym on strzelał? – Ciągnął detektyw zaciekawionym głosem. – Miękka, słaba kula... Gdyby użył zwykłej, zabiłby mnie na pewno, butelka nie powstrzymałaby stalowego pocisku... A, już mam! – Wykrzyknął nagle i wyciągnął spomiędzy blachy jeszcze parę małych kawałków ołowiu. – Skąd to miał? Jak i gdzie dostał?

Wyjął z kieszeni pelisy mokrą chusteczkę, rozłożył na oczyszczonym ze śniegu schodku przed progiem domu i złożył na nią całość trofeum – kawałki pocisku i zgniecioną blachę z resztkami szkła w środku. Zwinął, tworząc tłumoczek i oddał panu prokuratorowi:

– Niech pan to zechce oddać do ekspertyzy rusznikarskiej. Koniecznie trzeba znaleźć jego broń! Może też ma jeszcze trochę tej amunicji?

– Oddam, oddam, ale dlaczego pan sam tego nie robi? Zaraz tu przybędzie ekipa... Już na pewno zawiadomiono komisariat...

– Słyszę, słyszę, od tego gwizdania aż głowa mi puchnie... Nie, nie, ja znikam. Nie mam teraz czasu na policyjne korowody. Pół dnia to zajmie albo i więcej. Niech pan weźmie na siebie przesłuchanie, rewizję... Szkoda czasu. Chcę tylko obejrzeć to, co Fischer ma w kieszeniach. Potem jadę się przebrać, przecież nie mogę taki, nasączony koniakiem, chodzić po mieście. I jeszcze palto dziurawe, surdut naddarty... Proszę tylko, aby – kiedy coś z niego wyciągniecie – przesłał mi pan krótką zapiskę do hotelu. Do recepcji, na wszelki wypadek. A teraz chodźmy, sprawdzę mu kieszenie.

Poszli obaj z powrotem ku furtce, a von Brugge był wielce zdziwiony, że sukces tak łatwo dostaje się w jego ręce oraz tym, że radca jakby w ogóle nie interesował się unieszkodliwionym mordercą...

Gapiów już przegnano z podwórca, co nie przeszkodziło im oblepić wszystkich okien kamieniczki. Ranny dalej siedział pod bramą, tylko nogę miał owiniętą dużą, białą szarpią. Założono mu kajdanki. Gdy podszedł radca, mężczyzna spojrzął na niego jak na upiora – sądził, że ustrzelił tego gogusiowatego łapacza!

Estar Pawłowicz jednym szarpnięciem postawił siedzącego na nogi. Chociaż tamten mocno skrzywił się z bólu, radca nie zwracał na to uwagi. Wprawnie przeszukał jego kieszenie – jeden ze stójkowych podsunął swoją czapkę, do której detektyw wkładał rzeczy znalezione przy uciekinierze. Kiedy wszystko trafiło do czapki, dwóch agentów, którzy właśnie przybyli, chwyciło jeńca pod skute okowami ręce i powlekli w stronę bramy, za którą czekała aresztancka karetka. Radca podał czapkę prokuratorowi, sam zaś wyciągnął z niej pęk kluczy i podszedł z nimi do bramy: sprawdził, który klucz pasuje i tę wiązkę oddał prokuratorowi. Drugą wsunął do kieszeni. Von Brugge chciał zaprotestować, ale szybko się rozmyślił i omal nie ugryzł w język. Tak samo w kieszeni urzędnika zniknęły portfel, notesik i książeczka adresowa. Paszport został tylko przejrany i zwrócony władzy.

– Później panu odeślę te rzeczy posłańcem – mruknął Van Houten. – Teraz wracam do swojego apartamentu, przestudiuję je i zaraz potem odzyska pan ten sezam. No to do zobaczenia! – Pożegnał się szybko i poszedł ku przechodniej bramie.

– Do widzenia – tylko tyle zdążył powiedzieć prokurator V okręgu, Judei, gdy już niezbyt elegancki, bo przemoknięty i trochę oberwany moskwianin zniknął w ciemnym wyjściu.

Wszystkie policyjne procedury związane z przesłuchaniami świadków, wystawienie straży wokół budynku na Freta i w ogrodzie zajęły „strzelcowi wyborowemu” ze dwie godziny, a kiedy już chciał opuścić cyrkuł, dotarł goniec hotelowy, dostarczając brakujące przedmioty z kieszeni mordercy. Von Brugge przejrzał pobieżnie notesik i książkę adresową, przekazał dyżurnemu śledczemu do zaprotokołowania i zadzwonił do żandarmerii. Porozmawiał z kimś chwilę, potem rzekł do łapacza pilnującego aresztanta.

– Za pół godziny przyjadą po niego i zabiorą kibitką do Cytadeli. Pokwitować, zdać i zdjąć kajdanki. Niech założą własne. Ja jadę do siebie, do pracy, będę tam z godzinę. Gdyby coś się wydarzyło – dzwonić. Pojutrze rano przyjadę do waszego cyrkułu. – I wyszedł.

Van Houten kolejny już raz wrócił do hotelu w podejrzanym stanie – tym razem odzież miał tylko z lekka obszarpaną, ale za to lepką. W recepcji zawrzało – donos szwajcara i boyów od razu trafił do kantoru administratora. Tutaj nie było świąt. Hotel pracuje 400 dni w roku – jak mawiał jego dyrektor – bo trzeba uwzględnić różnice kalendarzy. Hotel ma swoją renomę i nawet książę krwi czy prezydent nie może do niego wchodzić w kalesonach ani oberwany... Wejść, rzecz jasna, może, ale nigdy więcej wolnego pokoju tu nie znajdzie. Przy nazwisku Estara Pawłowicza pojawił się zielony haczyk – został personą *non grata*. Na przyszłość. A teraz, jeżeli jeszcze raz pojawi się w takim nieprzystojnym stanie, zostanie grzecznie i stanowczo poproszony o opuszczenie hotelu. To nie jakiś zakład podejrzanego konduity na warszawskiej Pradze czy Nalewkach, tutaj trzeba nie tylko s t o s o w n i e zachowywać się, ale i ubierać.

Pan radca nie zdawał sobie sprawy, że stał się centrum uwagi całego personelu hotelowego – nie tylko tego najętego przez różne carskie urzędy: III Wydział, tajną policję czy nawet zwykłą obyczajówkę. Po powrocie do pokoju szybko wykapał się, przebrał i zasiadł do lektury zabranych mordercy dokumentów. Szybko przygotował wypisy, sprawdził pod światło, czy nie ma śladów atramentu sympatycznego (większość takich chemikaliów zdradzała swoją obecność przy

dokładnym podświetleniu, jedynie do odczytania trzeba było użyć bardziej skomplikowanych technik i środków), ale nic nie znalazł. Sprawdzenie na obecność szyfrów pominął – nie miał po temu należnych kwalifikacji – zajmą się tym fachowcy w III Wydziale, co do tego nie miał wątpliwości. Przerysował znaleziony planik. Potem zapakował dokumenty w dużą, szarą kopertę, zapieczętował i odesłał przez hotelowego gońca prokuratorowi.

Tak jak podejrzewał, wskazówki się znalazły. Zresztą było to logiczne – wrzucając dwa grzyby do jednego barszczu, trzeba je o sobie powiadomić – aby nie doszło do „konfliktu interesów”. Sprawcy musieli umieć się rozpoznać, utrzymywać jakiś kontakt, choćby tylko sporadycznie.

Za okładką książeczki adresowej, od zewnętrznej strony – więc celowo ukryta – leżała niewielka karteczka z naszkicowanym planem. Nie było na niej żadnych nazw ulic, wyłącznie krótkie komentarze, takie jak „cegielnia”. Na jednym z kwadracików, prawdopodobnie oznaczających budynek, znajdowała się czerwona kropka. W tej samej książeczce były zapisane dwa numery telefonów – bez podanego nazwiska abonenta.

– Tak... – westchnął do siebie detektyw – bez warszawiaka sobie nie poradzę. To nie Moskwa...

Ubrał się wyjściowo, wziął przed hotelem dorożkę i pojechał na Wiślną 14. „Domek” kancelisty okazał się być czteropiętrową czynszówką. Stróż zdjął czapkę, kiedy pan radca zapytał o Jefima Fomyca – widać był on właścicielem całego „domku”. Estar Pawłowicz nie pomylił się – Semi-Bułatow zajmował mieszkanie na paradnym pierwszym piętrze. Mieszkanie chyba też nie było skromne, bo wyglądało na wielopokojowy apartament. Kiedy detektyw zadzwonił do drzwi (pod czujnym spojrzeniem stróża, który udawał, że coś poprawia na półpiętrze), drzwi otworzyła fertyczna pokojówka. Przybyły przedstawił się i poprosił o zaanonsowanie. Po chwili z wnętrza mieszkania wybiegł z serwetką na szyi okrągłutki pan kancelista.

– Proszę, proszę, serdecznie rad z takiego gościa... ichmościa! Zapraszam do mej skromnej chaty... zaraz poślę po kwiaty... – Gestem dłoni wskazał urzędnikowi pokój, w którym chciał go przyjąć.

Weszli do bawialni. Jefim Fomyca zerwał z szyi zapomnianą serwetkę, klasnął w dłonie, pokojówce kazał nastawić samowar i przynieść sherry. Usiedli.

Estar Pawłowicz krótko zagaił:

– Przepraszam za ten nalot, ale nie mogę się obejść bez pana wsparcia...

– Ależ żaden kłopot, zawsze i wszędzie jestem gotów do pomocy... Czym mogę służyć?

– To zapewne będzie tylko chwilka i... – mówiąc to, radca wyjął z pugilaresu odrysowaną mapkę i położył na stole. Gospodarz łapczywie złapał kartkę papieru, pokręcił nią przez chwilę, aby ustalić, gdzie są kierunki świata i przyjrzał się dokładnie. Potem, zamiast objaśnić, co zobaczył, zapytał:

– To pańskie dzisiejsze trofeum?

– Tak, istotnie.

– Wiemy już, wiemy o pańskim sukcesie... Oj, przepraszam. Sukcesie pana von Brugge. Przecie to on ujął sprawcę, czyż nie?...

– Istotnie.

– Chwali się modestia u tak młodego człowieka jak pan. Ale następnym razem proszę mnie wziąć do pomocy... Też mam chrapkę na jakiś medal... i podwyżkę! – Zaśmiał się.

– No to ma pan okazję. Właśnie proszę o pomoc – Van Houten taktownie wrócił do meritum rozmowy.

– Cierpką aluzję zrozumiałem, dobrze sobie w pamięci zakonotowałem. Proszę szanownego pana, urlopowanego radcy kolegiального... to mapka Bielan. Taka nowa dzielnica Warszawy, to znaczy nie tyle nowa, ile świeżo podłączona do organizmu miejskiego... – Czerwony, zajmujący pół twarzy nochal utknął z powrotem w papierku, a bystre jak u świni oczka w albinotycznej oprawie bezbarwnych rzęs wpatrzyły się w rysunek.

– O, tu mamy ulicę Wolumen, właśnie niedawno wyprostowaną i uregulowaną, która, o tutaj... swoim przedłużeniem

łączy Wawrzyszew z szosą Marymoncką. Ten kwadracik na północy, to Forszetowszczyzna, grunta przynależne do dworu Fucheta, no i sam pałac. A to – cegielnia na Wolumenie... i chyba koszary drogowe, letnie baraki wojskowe na Marymoncie. Tak, ten największy kwadrat – to bielańskie Pole Wojenne, poligon. Tutaj są oba forty. A czerwona kropka oznacza „Czerwoną Karczmę”. Chyba celowo dobrali kolorek... Nazywają ją „Czerwonka”... Słynna karczma – kiedyś odbyło się w niej spektakularne aresztowanie nie byle jakiej osoby. Zatrzymali tu Stanisława Augusta... No, ma pan wszystko, co chciał, oczekiwał i szukał, mój łaskawco, kolegiálny radco...

– Nie, mam jeszcze jedną prośbę, tu ma pan dwa numery telefoniczne, podejrzewam, że warszawskie. Czy może pan sprawdzić, do kogo należą?

– To nie są warszawskie numery. U nas nie ma takich cyfr początkowych.

– A wspan?

– Zaraz, zaraz... Ma pan rację, tak, teraz pasują... Trochę cyferek... Muszę zadzwonić, bo na pamięć przecież nie znam...

Podniósł się, wyszedł do przedpokoju. Stamtąd dobiegł odgłos stukania w widełki i kręcenia korbką. Kilka chwil później kancelista wrócił, położył kartkę na stole i rzekł:

– Dopisałem ołówczkiem, do kogo należą. I adresiki... A teraz – jeśli pan pozwoli – pańskie rapcie... raporciiki... Niezłe żarciki... Ale nie w guście naszych moskiewskich znajomych. Mam panu przekazać, że zgotują panu po powrocie gorące owacje... albo – łaźnię.

– Serdeczne dzięki za okazaną pomoc. Co do „rapcików” – proszę mi wybaczyć, to nie żarty z pana, tylko z głupich poleceń. Nie chciałem, żeby miał pan przeze mnie przykrości. Bardzo przepraszam.

– Nie, no nie ma za co. Umieć się obronić... Tylko że – sam pan rozumiesz – odsyłać muszę.

– Dlatego przeprosiłem. A teraz, jeżeli pan pozwoli, udam się...

– Na łowy? Sam, na grubego zwierza, w obcym terenie? Nie uważasz pan, że to nie tyle ryzykowne, co może zepsuć całą sprawę? Chętnie przeluftuję się... pojedę z panem. Po medal. Miejmy nadzieję, że nie pośmiertny... che, che, che. Pan zechce chwilę poczekać, tylko się przebiorę, inny strój wybiorę... Proszę w międzyczasie spróbować mojej sherry. Zaraz wracam.

Estar Pawłowicz nie protestował, bo wiedział, że kancelista ma rację – nie znał terenu, zawszeć co dwie głowy, to nie jedna. Na przykład, gdy kto celuje w łeb z pistoletu... Sherry była przednia, o czym nie omieszkął zakomunikować Jefimowi Fomyczowi po jego nadejściu.

Wyszli z mieszkania i domu, przy okazji prowadząc rozmowę o zidentyfikowanych adresach.

– Jeden z telefonów mieści się w dworze Fucheta, jednak od Wilii jest odłączony. Drugi na portierni cegielni, nieopodal – rzucił urzędnik biura oberpolicmajstra. – Składając wszystko razem, mamy klasyczny małżeński trójkąt: karczma, dwór i cegielnia. Modelowe zestawienie...

– Wcale nie. Podejrzewam, że ten ktoś mieszka we dworze, pracuje w cegielni – na portierni, no i często przebywa w karczmie. Takim sposobem był dla naszego obiektu zawsze dostępny – można było się z nim skomunikować o dowolnym czasie.

– Skąd takie przypuszczenia? Jak na mnie, to pan troszkę zbyt szybko, na wątych poszlakach konstruuje swoje teorie...

– Sam nie wiem. Po prostu to czuję, wiem podświadomie... Zazwyczaj nos mnie nie zawodzi...

– Oby nie wyglądał pan potem jak Pinokio... Ciut mniej damulek będzie się za panem oglądało. Ale cóż nam szkodzi sprawdzić ten trop? Najwyżej zepsuje mi pan święta... No, sam sobie zepsuję. Przez ten orderek... Chciwość mnie zgubi albo fortuna polubi...

Wsiedli do fiakra i ruszyli w długą podróż. Woźnica zatarł ręce – tak długie kursy nie trafiały się co chwila, nawet w święta.

Najpierw, przy karczmie, wysiadł Semi-Bułatow, a radca podjechał dorożką aż do dworu. Jefim Fomycz, człowiek

znający każdego mundurowego policjanta w całym mieście, miał przy okazji poszukać jakiegoś rewirowego na służbie i przepytać na okoliczność „nowego Szwaba” w tutejszym dystrykcie.

Sałaciarz na życzenie pana radcy nie podjechał pod sam dwór, wysadził go u bramy. Za pozbawioną wierzei furką, po lewej i prawej stronie byłej alei – a teraz rozjeżdżonej, pełnej kolein drogi – ciągnęły się czworaki przerobione na czynszówki: mieszkanka, do których wchodziło się od razu z ulicy. Przed nimi, na drewnianych stołach, teraz pokrytych śniegiem, latem obiadano. Mnóstwo biednych, obdartych dzieci bawiło się na poboczach jezdni. Nie widać było żadnych dorosłych. Estar Pawłowicz stwierdził, że w takim razie spróbuje frontalnego ataku: podszedł do pierwszej lepszej grupki obrzucającej się śnieżkami dzieci i spytał:

– Ja do Niemca... Którędy?

Dzieciaki chórem odpowiedziały:

– Do dworu, w oficynie, po lewej. Ale nie ma go – jest w karczmie, pije piwo...

Urzędnik sięgnął do kieszonki w kamizelce (musiał najpierw rozpiąć zimową wierzchnią odzież, co zajęło mu trochę czasu), wyjął garść drobniaków i rzucił na najbliższy stół, w śnieg. Dzieciarnia z wrzaskiem zaczęła wydzierać sobie monetki. Van Houten, zbudowany swoim podstępem i postępkami poszedł w kierunku głównego budynku, ale zanim doszedł, całe plecy miał w bieli – wdzięczne dzieciśka rzucały w niego, jak w tarczę, śnieżkami... Nawet się nie otrząpywał – jego żelazne zdrowie i kondycja nie takie rzeczy wytrzymały... Tylko cicho rzekł do siebie, zająkując się z irytacji:

– Łajd-daki... bez czci i sumienia...

Cały dwór – w gruncie rzeczy murowany pałac – stał w ruinie: w oknach wybite szyby połatano papierem i deszczułkami, przez niektóre otwory wysuwały się rury piecyków. Widać właściciele wynieśli się i zajęła go biedota, lumpenproletariat. Często tak bywa ze spornym mieniem spadkowym, gdy fideikomisarz niegodzien zaufania. Nim krewni się pogodzą, majątek zostanie zniszczony...

Podszedł do obitych kawałkami blachy drzwi. Nie miały zamka. Wszedł do środka – agresywny odór kwaszonej kapusty, podgniętych ziemniaków i kopci z tłącego się w kącie jedyne kaganka o mało nie zwałił go z nóg. Korytarz zawalony był baliami, kotłami do gotowania bielizny, wielkimi tarami... Na skrzyni, pod ścianą, siedział pijany starzec w podartej, niepołatanej odzieży. Czając, co chwila pociągał z wielkiej szklanej butli siwy płyn.

– Gdzie tu mieszka Niemiec? – Spytał rozkazującym tonem urzędnik.

– Tttaaam – wybełkotał stary i wskazał na trzecie drzwi po lewej.

Gość przybliżył się i otworzył je jednym szarpnięciem. Jak się spodziewał, rygiel ledwo się trzymał spróchniałego drewna i nie stawiał oporu przedstawicielowi władzy (nawet urlopowanemu). Staruch nie zwrócił na to nawet uwagi – właśnie zakorkowywał zwiniętym w zatyczkę strzępkiem papieru wielgachną flachę.

W jednoizbowym pomieszczeniu panował mrok. Radca wyjął z kieszeni zapalniczki i jedną zapalił – zauważył po lewej latarkę naftową. Wziął ją do ręki, drugą zapalniczką rozpałił knot. Światło natychmiast obiegło całe, niewielkie lokum – prycza w jednym kącie, stół w drugim. Na ścianie obok drzwi półka, z której zdjął latarkę. Na półce jeszcze lichtarz i paczka świec. Pod regałem trzy ręczniki, na taborecie miska, w niej dzban na wodę. Po prawej, na etażerze, telefon. Pewnie ten odłączony. Obok – bochen chleba, jakieś skromne prowianty. Pod zaślepionym deseczkami i gazetami oknem skrzynia. I nic więcej. Żadnych szaf, biurek – nic.

Pośpiesznie podszedł do skrzyni, otworzył. Trochę znoszonej odzieży. Szybko wyrzucił ją na pryczę i każdą sztukę obmacał po kolei – było za ciemno, żeby dowierzać tylko oczom. Nic. Wrzucił wszystko z powrotem, nawet nie starając się ukryć śladów przeszukania. Przysiadł na pryczy i rozejrzał się jeszcze raz – dokładnie oświetlając każdy kąt latarką...

Łapka na szczury pod etażerką... Pod taboretami z miską do mycia – na półeczce – mydło w mydelniczce, pędzel do golenia i brzytwa. Obok, na gwoździu, pasek do jej ostrzenia. Van Houten podniósł się, chciał już wyjść, gdy coś go tknęło – podszedł z powrotem do pryczy i jednym kopnięciem odesłał ją pod przeciwległą ścianę.

Na podłodze leżała długa, wąska i płaska skrzynka. Podobna wielkością i elegancją do futerału na skrzypce, tylko prostokątna. Raziła w tym pomieszczeniu pełnym tandety – jej drewniana pokrywa była pieczołowicie odrobiona ze szlachetnego drewna, fornirowana. Zameczki z obu stron – czyściutkie, nowiutkie.

Przy próbie otwarcia stanowczo sprzeciwiła się działaniom Estara Pawłowicza. Machnął ręką na konwenanse i dobre wychowanie, sięgnął po nóż leżący wśród innych domowych utensyliów na półce. Podważył najpierw jeden zamek, potem drugi. Delikatnie otworzył gładki kuferek. W etui, wymoszczonym adamaszkiem, leżała rozłożona na trzy części, dziwna strzelba.

Semi-Bułatow wszedł do „Czerwonej Karczmy” w towarzystwie stójkowego, którego wypatrzył nieopodal – pewnie dopiero co stąd wyszedł po ukradkiem wypitym na służbie kufelku... Rewirowy przepisowo zasalutował na jego widok, nawet nadgorliwie, pewnie w nadziei, że odwróci tym uwagę od zapachów, które roztaczał spod wiechciastych wąsów.

„Nie, nie. Pomyliłem się – rzekł w duchu kancelista. – To nie kufelek. Arak. Podwójny i stopka wódki. Ogóreczek.” – Potem rzekł już głośno:

– Co tak pajacujesz, przecież nie jestem na służbie. – I od razu, aby policjant się nie spoufalił, dodał: – Araczek popijasz? Ha?

Czerwona od mrozu i napitków twarz biedaka stała się jeszcze bardziej buraczkowa.

– Zimno... – szepnął uniżenie w formie usprawiedliwienia.

– Dobrze, dobrze, przecie nic nie widziałem... Ogóreczek? I stopka wódki?

– Tak jest... – Zupełnie skruszony grzesznik patrzył już tylko na kamaszki Jefima Fomycza.

– A araczek – podwójny?

– Taaak jest, Wasza Dostojność... – ledwo dosłyszalnie wymamrotał wystraszony nie na żarty posterunkowy.

Semi-Bułatow postanowił wziąć byka za rogi:

– Z Niemcem piłeś?!

– Nie, nie! Wasza Dostojność! Nie, ja z tyłu. Od kuchni... u karczmarza... Nikt mnie nie widział. A Niemiec siedzi w sali... – tłumaczył się nieskładnie, ale całkowicie zrozumiale.

– To dobrze. Co to za Szwab?

– Kto go wie? Papiery ma w porządku, zarejestrował się w cyrkule. Pracuje jako pomocnik buchaltera w cegielni. To oni, właściciele, załatwiali mu zgodę na pobyt... Mieszka w ich budynkach, znaczy, byłym dworze, w oficynie. Nigdy na niego żadnych skarg nie było.

– Skąd przyjechał? Kiedy? Jak się nazywają właściciele cegielni?

– W papierach było: z Düsseldorfu. Półtora miesiąca temu się pojawił w dystrykcie, zameldował... A właściciele też Niemce – Müller i Rügen. Dawno już tu są, ze dwa lata temu kupili cały folwark od Fuchetów, postawili cegielnię.

– Dobrze, teraz wejdziemy do karczmy i dyskretnie pokażesz mi Niemca. Zaraz potem pójdziesz do cyrkułu, wezwiesz dwóch filerów i karetkę. Stańcie z agentem po obu stronach drzwi od karczmy. A drugiego filera postawcie od kuchni. Z bronią gotową do strzału. Jak tylko wyjdzie – aresztować, zakuć i do karetki. Ja postaram się go tu zatrzymać, gdyby chciał wcześniej wyjść. W godzinę się sprawisz?

– Tak jest, Wasza Dostojność! A... względem tego... – policjant zająknął się.

– Czego? Czego? Przecie mnie w karczmie nie było. Prawda?

– Tak jest, Wasza Dostojność. Pokornie dziękuję! – Radośnie zasalutował.

– No, no, tylko bez tej gimnastyki. Pamiętaj – w karczmie nie daj poznać, że interesujemy się nim! Idziemy.

W dwie godziny później wszyscy siedzieli w komisariacie. Ujęty mężczyzna – schludny, zadbany, gładko wygolony brunet – siedział w celi, nie mając pojęcia, za co go aresztowano. Jeszcze nie pokazano mu rezultatów „nieformalnej” rewizji moskiewskiego urzędnika. Bo chociaż to przeszukanie dało moralne prawo do zatrzymania Prusaka, dla władz sądowych byłoby nic nie warte, nawet niedopuszczalne. Dlatego Estar Pawłowicz pozostawił skrzyneczkę pod pryczą,

pryczę przesunął na miejsce, a sam zajął posterunek przy drzwiach kwatery nieobecnego. Pognał do cyrkuła dwa chłopaczyska z informacją, gdzie jest i co robi. Obiecał im po rublu, więc wrócili wcześniej – przez pola – nim przyjechały dwie dorożki z policjantami, fotografem, prystawem i Jefimem Fomyczem. Zgodnie z niepisaną umową z tym ostatnim, dyskretnie wskazał mu – stojąc w otwartych drzwiach pokoiku – miejsce pod pryczą.

Semi-Bułatow przy świadkach wyciągniętych z sąsiednich „mieszkań”, odczytał nakaz rewizji i tryumfalnie znalazł fornirowane pudło. Wtedy do pracy przystąpił fotograf, później agenci dokładnie przeryli komnatę. Znalezione wiele dodatkowego, a właściwie – głównego materiału dowodowego: pod podłogą, pod taboretom, na którym stała miska do mycia się, znajdował się niewielki, ale głęboki schowek, skąd wydobyto narzędzia zbrodni popełnionych na kobietach, pewne części ich garderoby i osobiste drobiazgi, których denatki pozbawiono.

Skrzyneczka „znaleziona” przez kancelistę została sfotografowana, opisana i zdeponowana u przedstawiciela III Wydziału, który – stało się to już zwyczajem – niespodzianie pojawił się podczas przeszukania i zgłosił swój akces, polegający na zajęciu pewnych określonych przedmiotów. Oprócz futerału zabrał jeszcze zeszyt z notatkami oraz metalową puszczkę z osobliwą amunicją. Jednak, za cichą namową Estara Pawłowicza, Semi-Bułatow pobrał od niego pokwitowanie, zawierające dokładny opis zarekwirowanych przez Ochranę dowodów. Potem oficer zniknął z dworu, a w chwilę później wyparowali również radca i urzędnik kancelarii oberpolicmajstra. Ci ostatni odjechali do domu Jefima Fomycza, gdzie szybko sprokurowano „raporciki” dla gospodarza Moskwy i pana prokuratora. Oba dokumenty natychmiast zostały odprawione ekstrapocztą – pierwszy w formie zaszyfrowanej depeszy w skrócie przedstawiał sytuację i powiadał o nadejściu pełnego sprawozdania pocztą wojskową, a drugi – wysłany przez szyldwachę, dorożką, dowieziono do domu pana von Brugge.

Oba przyjęto z wielkim aplauzem w miejscu docelowym – pan tajny radca nawet osobiście skierował swojego pomocnika do nadzorowania śledztwa i przesłuchania kolejnego więźnia. Unieszkodliwienie dwóch zbrodniarzy – to niezły asumpt dla przyspieszonego rozwoju dalszej kariery... Tym bardziej, że inicjator obu aresztów pozostawał, z wiadomych powodów, w cieniu...

Kancelista zaprosił gościa na spóźnioną, ale domową wieczerzę, jednak tenże szybko wymówił się zmęczeniem i odjechał do hotelu.

ROZDZIAŁ 11

Bomba!

Nawet w święta ogary są na tropie.^[17]

Pan radca był zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Wcale nie dzisiejszymi zdarzeniami – miał żelazne ciało, doskonale wytrenowane i wyćwiczone. Był śmiertelnie zmęczony i rozczarowany tym, że jego pierwotne podejrzenia zaczynają się sprawdzać. Oczywiście – brakowało mu dowodów, nie miał nawet przesłanek dla wszczęcia oficjalnego śledztwa, ale łamigłówka zaczynała się niepokojąco układać. Aby uspokoić skołatane myśli, zajął się medytacją. Estar Pawłowicz osiągnął cel: zapadł w stan nieświadomości.

Gdy moskiewski urzędnik odpoczywał w ten egzotyczny sposób na słomianej macie, pan von Brugge – będąc słomianym wdowcem – nie miał najmniejszego zamiaru przepuścić tak wspaniałej okazji i hulał w najlepsze. Tyle swobody nie miał od kilku lat. Noc była w pełni, agenci śledczy nabierali tchu do dalszej pracy, a policyjna machina rozkręcała się. Święteczny czas opóźnił jej rozruch, ale tryby już obracały się, nabierając coraz większej prędkości. Po drutach z brzękiem telegraficznych dzwonek leciały depesze: raporty, rysopisy, odpowiedzi i pytania, polecenia i potwierdzenia ich wykonania.

W śpiących, wydawałoby się, cyrkulach i urzędach, budynkach rządowych i pałacach dygnitarzy, pisano meldunki, przeszukiwano archiwa. Powyciągani z łóżek eksperci robili analizy w laboratoriach. Gdyby ktoś mógł objąć wzrokiem swym z lotu ptaka Warszawę, Królestwo, Petersburg i Moskwę – zauważyłby bez wątpienia, że coraz więcej okien w państwowych gmachach rozświetla się, coraz większy ruch panuje na ich korytarzach, na dziedzińcach pojawiają się sylwetki sztydłwachów, agentów i urzędników załatwiających sprawy służbowe. Machina nabierała rozpędu...

A gdyby ktoś miał wzrok jeszcze lepszy niż sokoli, dostrzegłby nawet, że to samo dzieje się w Paryżu, Berlinie i nawet – w niewielkim stopniu – w Londynie. Jedyne różnica polegała na tym, że poza granicami aktywność ograniczała się wyłącznie do siedzib wywiadu, tajnych policji i dyplomatów. W Cesarstwie Rosyjskim dotyczyła wszystkich instytucji policyjnych, żandarmskich i wielu urzędniczych. Powoli odtwarzano historię przybycia, pobytu i działalności dwóch ujętych dzisiaj mężczyzn, ich kontaktów, podróży, działalności finansowej...

Portrety dopełniały się, rozszyfrowywano zleceniodawców, a w rosyjskich przedstawicielstwach w Berlinie i Wiedniu pewni dyplomaci, wezwani w trybie pilnym do pracy, galopem uruchamiali sieć swoich agentów – przekazując polecenie niezwłocznego odtworzenia historii, *curriculum vitae* tychże person. Szyfrówki, kurierzy, zapieczętowane pakiety, tajnopisy i telefoniczne rozmowy w ciągu doby pozwoliły ustalić najważniejsze szczegóły, które sumarycznie spłynęły do Ministerstwa Policji w Petersburgu. Rzecz jasna – sterował tym przepływem informacji, selekcjonował je i cenzurował wąski sztab oficerów z III Wydziału, ale bez jego wiedzy część najtajniejszych danych przesączała się prywatnymi kanałami do niektórych bardzo zainteresowanych tą sprawą karmazynów Imperium. Na przykład do gospodarza Moskwy czy pewnego adiutanta generała-gubernatora Kraju Nadwiślańskiego oraz kilku prominentów petersburskiego dworu...

Korupcja i nepotyzm – zjawiska te przeżarły na wskroś nie tylko wszystkie struktury rozpadającego się już państwa, w tym i te najtajniejsze, ale doprowadziły do powstania armii prywatnych policji wielmożów, państw w państwie. Zbudowana wielkim kosztem krajowego skarbu sieć agentów Ochrony w ościennych państwach Europy, z centralą w Paryżu, oprócz statutowej walki z emigracją i terroryzmem, zajmowała się zbieraniem kompromitujących materiałów czy informacji, a nawet szantażem na potrzeby konkretnych prywatnych osobistości.

Te małe „policje” przestały już korygować niedociągnięcia maszyny policyjnej państwa – posługując się prowokacją, manipulacjami i stwarzaniem „sztucznych faktów”, kreowały nową sytuację polityczną Imperium. Prywata, chciwość i ambicje poszczególnych wpływowych osobistości doprowadziły do ostatecznej degrengolady Cesarstwo Romanowych,

co zaowocować miało w ciągu najbliższych trzech dziesięcioleci dwiema rewolucjami, całkowitym rozkładem systemu władzy, upadkiem rodu panującego i zmianą biegu historii całego świata – na przeciąg prawie całego, nadchodzącego szybkim krokiem, wieku dwudziestego.

Nagle tajny radca – będący duszą zebrań w salonach i węższych kółkach znajomych, siedząc w swoim „przybytku”, w mieszanym towarzystwie – szykownie odzianych panów i roznegliżowanych pań – zauważył, że kieliszki są puste, a miał doskonały wzrok. Jego zegarek strojny złotym łańcuchem i takąż kopertą, wydzwonił niedozwoloną melodią – *Marsylianką* – kuranta: nadeszła północ. Zastukał widelcem o brzeg, wstrętnego mu teraz – jałowego – naczynia:

– Damy i panowie! – Zaczął podniośle. – Właśnie minęła godzina duchów, upłynęła doba od Wilii... Wszyscyśmy tu dobrzy chrześcijanie, trzeba to uczcić! Zamawiam szampana!

– Brawo! – Pисnęła jedna z damulek. – I kolację...

– I jeszcze raz kolację! – Dodał.

– Zadzwoń po chłopca, niech biegnie do restauracji i przyniesie, co trza – zwrócił się do ślicznej, barokowych kształtów (których wcale nie skrywała odzież) brunetki. Pan Tymoteusz doskonale wiedział, że szampana trzeba zamówić w restauracji, bo serwowany w jego „wesołym domku” nie miał nic wspólnego z tym szlachetnym napojem.

– Na honor, słusznie prawisz! Zamówmy coś ekstraordinaryjnego! Jak się bawić, to się bawić! – Rzucił brodac z fajką.

– Co pijemy, oprócz szampańskiego, ma się rozumieć? – Dodał trzeci biesiadnik.

Tajny radca zgiął się – na ile mu na to pozwalała tusza – w grzecznym ukłonie i wskazał szerokim gestem na panie:

– Damom to przystoi miarkować porządek i charakter napojów dzisiejszej zabawy... – rzekł z dwornością niegdysiejszych galantów.

– Ja – rzekła jedna z obecnych, młodziutkich i pulchniutkich przedstawicielek najstarszej profesji świata – nie wzdragałabym się przed malagą... – Głośno mlasnęła języczkiem, wyzywająco przesuwając nim po pełnych, wilgotnych wargach.

– A ja – obejmująca gołym ramieniem szyję komisarza szatynka o wielkich, niebieskich oczach zwróciła się do prokuratora – wypiąłabym porto... Z czerwoną lakową główką...

Trzecia dama, usiłując wyjąć rękę fajczarza z za swojego dekoltu, ale czyniąc to niezbyt zdecydowanie, zażądała likierów. Z całymi fruktami w środku...

– Czyś ty krowa? Po co te warzywa? Oszalałaś? – Oburzył się brodac.

– Nie, chcę dopiero oszaleć... – odcięła się.

– A co tam, wyrzucmy trochę grosza, raz się żyje! – Wsparł damy taboretowe von Brugge. – A co się będzie pożywało?

– Szynkę, sardynki, węgorza na maśle, pasztet i bigos! – Jednym tchem, ale po kolei, wyraziły życzenie ślicznotki, żarłoczne jak nawędy.

– Zgoda! I kurczę na zimno! Rzodkiewki! – Dołożył urzędnik policji.

Po chwili do gabinetu wszedł chłopiec – zapisano mu na karcie zamówienie, dostał też na fiakra, by szybko powrócił.

Pognał, co koń wyskoczy, ale na piechotę – do najbliższej czynnej traktierni. Pieniądze na dorożkę schował do kieszeni. Później trafiła tam również różnica ceny pomiędzy „restauracyjnym” szampanem, a nabytym w traktierni, wraz z posiłkami, cienkuszem. Garson wiedział, że o tej porze panowie nie odróżnią już smaku wina, a każde jedzenie będzie im smakowało. Uwinął się tak szybko, że gdyby pan von Brugge był trzeźwy, wydałoby mu się to podejrzane, ale po całym wieczorze zabawy nie dostrzegłby chyba nawet, że brunetka, którą piastował i tak intensywnie się zajmował, jest płomiennie ruda...

Wesoła kompania oddawała się śmiechom, zalotom i zabawie. Współbiesiadnik prokuratora, mężczyzna krzepkiej

postury o wroście dwóch arszynów i pięciu werszków o jasnej, wpadającej już w popielaty brodzie i dużej brodawce na lewym policzku, z matematyczną regularnością palił fajkę. W „cywilu” był bliskim kolegą pana Tymoteusza – radcą dworu, szefem tajnej kancelarii generała-gubernatora Hurki.

„Trzeci muszkieter” dzisiejszego wieczoru, komisarz policji kryminalnej Anton Władymirowicz Pokobatko, dopełniał stały triumwirat birbantów – znali się od lat, łączyły ich nie tylko sprawy zawodowe, ale i upodobanie do dobrego jedzenia, dobrych trunków i dobrej zabawy w damskim towarzystwie. Rzadko udawało im się wyrwać spod opieki czujnych połowic na całą noc. Dlatego świętowali podwójnie – doskonałe alibi „tajnej narady” pozwalało im na kosztowanie przyjemności do białego rana.

A raniuteńko, wcześniej, kiedy panowie w najlepsze spali w oddzielnych numerach, do bramy domku zastukał filer. Cicho i grzecznie przyszedł obudzić pana komisarza. Ten wartko się ochędożył, zakołatał do drzwi kolegów. W pół godziny później panowie, po lekkim śniadaniu i kieliszku gorzkiej żołądkówki, rozjechali się do domów – zmienić odzież i udać się na robocze stanowiska. Rozpoczął się pracowity drugi dzień Świąt. Uczestnicy całonocnej bibki ani pomyśleli, że „tajna narada” zamieni się już niedługo w... tajną naradę...

Gdy urzędnicy dopiero zmierzali do miejsc pełnienia swoich obowiązków, Estar Pawłowicz kręcił pedałami.

Od godziny ślizgał się na welocypedzie w okolicy Dynasów, niczym łyżwiarz wycinał najwspanialsze holendry, zjeżdżał ze skarpy, wspinał się na nią na nowo, powtórnie szusował w dół – aż jego twarz pokryła się karmazynem, a wymęczone, szczupłe nogi w pumpach zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Zmachany jak pies wrócił Tamką i Krakowskim Przedmieściem, w hotelu zdał pojazd pod opiekę boya.

W recepcji czekał na niego, siedząc w szczelnie zapiętym aż po szyję palcie z angielskiego sukna, radca dworu pełniący obowiązki naczelnika policji kryminalnej. Skrzywiona, jawnie wyrażająca niezadowolenie twarz Andrieja Iwanowicza wcale się nie rozchmurzyła na widok moskwianina. Iszczajew wstał, przywitał się i rzucił:

– Czy nie znalazłby pan radca, mimo tak niestosownie wczesnej pory, chwilki na rozmowę?

Urzędnik szóstej rangi uśmiechnął się w duchu – zemsta jest rozkoszą nie tylko bogów – i zdawkowo odpowiadając na powitanie, spojrzął na zegar wiszący nad kantorkiem recepcjonistów.

– No, jeśli to konieczne...

Niedoszły naczelnik grymasem ponownie wyraził swój stosunek – zarówno do odpowiedzi, jak i do rozmówcy – ale przypochlebnie powtórzył prośbę, tracąc cały kontenans:

– Tylko chwilkę... Będę bardzo zobowiązany...

Bezlitosny przybysz ze starej stolicy imperium pogrzyżył policjanta odpowiedzią:

– No... może. Proszę tutaj poczekać.

I nietaktownie odwrócił się do recepcjonisty:

– Przyślijcie mi do pokoju śniadanie.

Nie oglądając się na suplikanta, który zgiął się wpół jak po kopnięciu w splot słoneczny, odszedł do windy.

Po dobrych trzech kwadransach wymuskany Estar Pawłowicz pojawił się w drzwiach windy. Zgnębiony Iszczajew siedział na sofie, dalej zapięty na ostatni guzik.

– Chodźmy, jeżeli masz pan mi coś do powiedzenia...– odezwał się niezachęcająco, spojrzął w wielkie lustro, odruchowo poprawił przedziałek, potem musnął wąsiki i wypoziomował manszetę kołnierzyka.

Poszli do kawiarenki, która o tej porze świeciła jeszcze pustkami – jedynie o kilka stolików dalej siedziała para spożywających śniadanie dżentelmenów-Anglików. Obok nich stała wysoka, chuda Angielka o wytrzeszczonych jak u raka oczach i dużym, papuzim nosie, przypominającym haczyk^[18]. Miała na sobie białą, muślinową suknię, o bufiastych, półprzezroczystych rękawach, przez które przeglądały jej żółte, piegowate, wyschłe ramiona. Przy jej przetykanym bogatym szychem pasku wisiał mały, złoty zegarek zdobiony rubinami. Nieruchomym wzrokiem śniętego węgorza wpatrywała się w przybyłych, którzy usiedli i zamówili kawę.

– Słucham? – Twardo rzucił Van Houten.

Andriej Iwanowicz rozpiął w końcu paltot, z wewnętrznej kieszeni wy dobył jakiś dokument i nieśmiało podał przez stolik, nad parującą kawą. Radca ani myślał go odbierać – patrzył wyczekująco na urzędnika.

– To ekspertyza rusznikarska... w sprawie Wotcowa. I w pańskiej – wyjaśnił interlokutor.

Ręka elegancika wyciągnęła się po papier. Szybkim spojrzeniem przejrzał opinię znawcy. Tego się domyślał. Spojrzał na rozmówcę i rzekł:

– Dziękuję. I z tym tylko pan do mnie przyjechał?

– Nie, to znaczy... Chciałem pana przeprosić za moje zachowanie przy powitaniu... Proszę zrozumieć, nie chciałem pana zbyć, po prostu człowiek jest tak zalatany... Tak mało odpowiednich sił mamy... Kadry, ciągle kadry... Wszystko trza samemu... Proszę mi wybaczyć. – Nerwowo rozpiął trzy górne guziki płaszcza.

Okrutny totumfacki gospodarza Moskwy wzruszył ramionami.

– Drobiazg. Nie wart wspomnienia. Proszę uważać go za zapomniany. Czy to wszystko? – Ciągnął nieubłaganie suchym, oficjalnym tonem, jak na przesłuchaniu.

– Nie. To znaczy, dziękuję, że pan tak do sprawy podszedł. Chciałem jeszcze prosić pana, żeby pan w trakcie narady... nie wspominał o tym incydencie. I o tym, że... w sprawie... sprawach... nie wzięliśmy udziału. My – z biura policji kryminalnej pana oberpolicmajstra.

– To się samo przez się rozumie.

– Bardzo panu dziękuję. Jestem niezmiernie wdzięczny i na... jako znak przyjaźni powiem panu, że pański... sąsiad z Petersburga wymeldował się dziś w nocy z hotelu. Ale nie pojechał na dworzec. Wyjechał do Rembertowa i został tam w gościnie u jednego z oficerów Ochrony, majora Szepietowskiego.

– Dziękuję za chęć współpracy... A teraz, jeśli pan pozwoli – obowiązki mnie wzywają...

– Tak, tak... oczywiście. Nie będę pana dłużej zatrzymywał. I tak spotkamy się za trzy godziny na naradzie.

Estar Pawłowicz ani okiem nie mrugnął, że nic nie wie o żadnej naradzie, w której ma wziąć udział za trzy godziny. Pożegnali się, radca poszedł do westybulu, a Iszczajew – dopinając płaszcz na wszystkie guziki – opuścił kawiarnię bocznym wyjściem. W hallu do Van Houtena podszedł garson hotelowy i przekazał kopertę, w której urzędnik do specjalnych poleceń znalazł odręcznie napisane przez adiutanta Bykowa zaproszenie do wzięcia udziału w konfidenckim naradzie w pałacu.

Brunet o szpakowatych skroniach spojrzął na zegarek i stwierdził, że rzeczywiście zostały tylko trzy godziny. „Co miały oznaczać te informacje o Kapitonowie? Dlaczego Iszczajew uznał za ważne wkupienie się w moje łaski? Czym właściwie zajmuje się starszy oficer ordynansowy, podpułkownik hrabia Nikołaj Andreicz? Przecież nawet nie próbował ze mną nawiązać kontaktu ani odebrać raportu dla ministra... I co oznaczały słowa tegoż: „to nie pańskie zadanie”? Zatem, jakie jest moje zadanie?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na te pytania, Estar Pawłowicz jednym ruchem ręki usunął je z myśli – *bowiem szlachetny mąż w drodze ku prawdzie nie powinien zwracać uwagi na niemożliwe jeszcze do rozwiązania kwestie...*

Nie da się ukryć, że przyjezdny – zaufany gospodarza Moskwy – zepsuł wszystkim tutejszym Święta. Kto słyszał, żeby w takie dni ganiać po mieście, łapać zabójców, robić rewizje, jeździć do urzędów – do pracy! A teraz masz babo placek – jeszcze trzeba pospieszyć na naradę do pałacu generała-gubernatora... Wszyscy wezwani warszawiacy pluli sobie w brodę, że drugi dzień Świąt im przepada – wiadomo, takie narady mogą ciągnąć się pół dnia, potem trzeba jechać do biura, wydać polecenia – pracować... I jeszcze ten Hurko... nudziarz. Siedzi nasępiony, nic nie mówi, a czas leci... Z byle głupstwem wożą się przy nim godzinami!

W sali siedzieli, czekając na przybycie samego Josifa Władymirowicza, w porządku przynależnym rangą:

– prokurator piątego okręgu sądów miasta Warszawy, tajny radca Tymoteusz Von Brugge,

– prokurator warszawskiej izby sądowej, rzeczywisty radca stanu, szambelan, hrabia George Filippowicz Ostrouchow,

– szef tajnej kancelarii generała gubernatora, radca dworu Iwan Iwanowicz Iwanow,
– pełniący obowiązki naczelnika policji kryminalnej miasta Warszawy, radca dworu Andriej Iwanowicz Iszczajew,
– komisarz z wydziału operacyjnego policji kryminalnej, radca kolegiálny Anton Władymirowicz Pokobatkow,
– detektyw do zadań nadzwyczajnych przy prokuratorze warszawskiej izby sądowej, radca kolegiálny Nepomuk Waławowicz Prohazka i urzędnik do specjalnych poleceń przy gubernatorze Moskwy, urlopowany radca kolegiálny Estar Pawłowicz Van Houten.

Oprócz tych osobistości znajdowało się jeszcze dwóch protokolantów, lokaj i młody oficer łącznikowy z adiutantury generała-gubernatora. Ci znali swoje miejsce, siedzieli jak trusie na uboczu – ani szmerkiem nie dawali znaku życia.

Wszyscy spoglądali na siebie spod oka, kręcili młynca palcami, ziewali w kułak, albo tępo patrzyli w sufit. Każdy, bez wyjątku, był po cichu zdziwiony, że na naradzie nie ma nikogo z III Wydziału. Ale zdumienie zachowywali tylko i wyłącznie dla siebie. Po dwudziestu minutach, kiedy goście, solidnie znudzeni, już pogrążyli się w kompletną rozpacz, że cały wolny dzień przepadł, do sali wkroczył samotnie adiutant generała-gubernatora, lejtnant hrabia Fiodor Fiodorowicz Bykow. Z marszu, jeszcze od drzwi, zagaił:

– Panowie wybaczą, Josifa Władymirowicza zatrzymały ważne względy protokolarne... – zebrani spojrzeli na siebie porozumiewawczo, tylko Van Houten nic nie zrozumiał – dlatego polecił mi poprowadzić naradę.

Na sali zapanowało ożywienie, towarzystwo wiedziało, że teraz posiedzenie przebiegnie błyskawicznie.

– Zatem proszę o relacje panów Van Houtena i von Bruggego. Bardzo proszę się streszczać, wszyscy chcemy mieć Święta... – Uśmiechnął się do siedzących.

Radca kolegiálny wstał i po wojskowemu zwięźle referował:

– Ujęto dwóch podejrzanych o dokonanie serii zbrodni seksualnych na terenie Warszawy w ostatnim czasie. Obaj podejrzani są Niemcami, niedawno przybyli do miasta. Utrzymywali pomiędzy sobą kontakt. Prawdopodobnie wykonywali zlecenie. Nie ma jeszcze pewności czy nie współdziałali z innymi osobnikami, ale – jeżeli nawet – byli to tylko pomocnicy. Sprawdzenie trwa. W mieszkaniu jednego z nich znaleziono broń, za pomocą której – najprawdopodobniej – zabito majora Wotcowa. Nie wiadomo, dlaczego zlecenie morderstwa tego oficera wykonano w Warszawie, ani kto je konkretnie i z jakiego powodu wydał. Nie wiemy, co było powodem śmierci majora z III Wydziału, ani kto go zabił. – I Estar Pawłowicz usiadł.

Prowadzący zebranie Bykow skinął na von Bruggego – ten wstał i zabrał głos, równie lakonicznie meldując:

– Obaj zatrzymani stawiali opór, jeden został postrzelony. Przeze mnie. Próbował zabić obecnego tutaj radcę kolegiálnego Van Houtena. Na jutro rano będziemy mieli pełne protokoły przesłuchań podejrzanych... z aleksandrowskiej Cytadeli. Poprosiłem żandarmerię o fachową pomoc, opierając się na *lex talionis*... Również na jutro zarządziłem zrobienie pełnej rewizji domu jednego z podejrzanych, fotografa. Obaj Niemcy – Max Frisch i Kurt Wagner, nie są nowicjuszami ani zawodowymi zabójcami na zlecenie. Dopiero napływają materiały o nich, ale już wiemy, że to mordercy z natury. Najwidoczniej zostali wykorzystani w jakiejś grze – póki co, nie wiemy w jakiej. Już zebrany materiał dowodowy, jak i ten, który zbierzemy w ciągu najbliższych godzin, jest absolutnie przekonujący – są sprawcami tych ohydnych zbrodni. Procedury przewidziane na takie wypadki zostały rozpoczęte. Trzeba poczekać dwa, trzy dni, abyśmy mieli wszystkie atuty w rękę.

– Jeśli dobrze rozumiem, odesłał pan ich na przesłuchanie do Cytadeli? – Zapytał, jakby niedosłyszał, adiutant.

– Tak. Zależy nam na czasie, aby złapać zleceniodawców... – prokurator zaczął się tłumaczyć, ale Bykow przerwał mu grzecznym ruchem dłoni.

– Dziękuję, dziękuję.

Von Brugge usiadł.

– Panowie, w takim razie konkluzja jest dla nas miła i niemiła zarazem: jest przedwcześnie na finalne kolegium – nie mamy jeszcze wystarczającej ilości informacji do analizy przyczyn, domniemanych skutków oraz celów tej nikczemnej prowokacji. Bo, że mamy do czynienia z prowokacją, nie ulega wątpliwości. Dlatego proponuję – niech panowie

z resortu sprawiedliwości poruszają wszystkie sprężyny w swoich urzędach, aby udokumentowanie zbrodni było jak najpełniejsze i nie doprowadziło przed sądem do kompromitacji organów ścigania. Panowie ze służb policyjnych powinni skoncentrować się na zdobyciu możliwie jak największej ilości rzeczowych wiadomości o samych zbrodniach i ich sprawcach. Pozostali sami wiedzą, jakie obowiązki przypadają im w udziale. Czy są pytania?

Na sali panowała cisza – nawet jeżeli którykolwiek z tych doświadczonych w biurokratycznych bojach urzędników miał interpelacje czy obiekcje, trzymał usta zamknięte na kłódkę. Pytanie Bykowa nie oznaczało wcale chęci udzielania komukolwiek odpowiedzi, a na odwrót: kończyło zebranie.

– Doskonale. Dziękuję zgromadzonym, szczególnie panom Van Houtenowi i von Bruggemu oraz nieobecnemu tutaj panu Semi-Bułatowi, którego energia i doświadczenie pomogły ująć bez ofiar w ludziach drugiego z niebezpiecznych sprawców. – Adiutant zakończył naradę w tempie zaiste piorunującym, a kiedy uczestnicy powstali i zaczęli wychodzić, poprosił pana radcę kolegiąlnego o pozostanie.

Ujął go pod rękę i skierowali się w odległy koniec wielkiej sali.

– Moje gratulacje. Pracujesz pan jak wyścigowiec! Rysakami nie szpakami pan karmionyś! Dwa zadania za panem. Co teraz?

– Dziękuję. Wotcow.

– Proszę uważać. Dopiero zobaczyliśmy, jak pan się pewnie domyślił, wierzchołek góry lodowej... Trzeba ją obwąchiwać bardzo ostrożnie, bo jak się przewróci...

– Zdaję sobie sprawę. Ale trzeba czyścić stajnię Augiasza...

– Niech pan nie zapomina, że to czyn godny herosa. I nagrody nie będzie żadnej, nawet gorzej... pańska kariera zupełnie przypadnie...

– Jak słyszę, pan dużo wie. Czy nie zechciałby pan... podzielić się ze mną informacjami?

– Nie, nie wiem. Naprawdę. Tylko podejrzewam. A te podejrzewania, proszę o wybaczenie... mogłyby kosztować mnie karierę. Dążymy do tego samego celu, ale innymi drogami. Ja chcę najpierw zrobić karierę, aby potem móc działać – pan odwrotnie...

– Mam jednak nadzieję, że znajdę w panu sprzymierzeńca?

– Tak. Ale niewidocznego. W tej sprawie nie ma mnie ani nie będzie.

– Suponuje pan, że sprawa dotyczy wysokich... najwyższych...

– Tsssssss. Nic takiego nie powiedziałem, nie sugerowałem. Znając jednak pana dociekliwość, nie wątpię, że zaintrygowało pana, jakie to względy protokolarne zatrzymały dziś generała-gubernatora...

– Dziękuję!

– Do szybkiego zobaczenia. Mam nadzieję... Niech pan na siebie baaardzo uważa. Wotcowa już sprzątnęli...

Rozstali się i pan radca poszedł do wyjścia. Na korytarzu nikt na niego nie czekał. Zszedł samotnie na dół, wsiadł do powozu i pojechał do Semi-Bułatowa. Ale tego, tak przynajmniej twierdziła służba, nie było w domu. Estar machnął ręką, kazał woźnicy podjechać pod dom prokuratora – jednak ten nie trafił do domu po naradzie. Zawrócili, Estar Pawłowicz udał się do swojego matecznika. Wiedział, gdzie znajdzie tajnego radcę, ale nie teraz – później. W pokoju zajął się gimnastyką, potem zażądał wszystkich warszawskich pism z przeszłego i tego tygodnia. Zagłębił się w lekturze. Nic nie znalazł. Coś go tknęło – poprosił o petersburską prasę za cały miniony kwartał. Dopiero po dwóch godzinach żmudnego śledzenia wydrukowanej drobnym *petitem* kroniki dworskiej wyszukał to, co go zainteresowało. Wiadomość sprzed dwóch miesięcy była tak zaskakująca, że – na co dzień opanowany – Van Houten nie powstrzymał się od gwizdnięcia. Na swój świst od razu usłyszał odpowiedź – zastukano do drzwi. Zjawił się piętrowy, trzymał w ręku niedużą paczkę w brązowym papierze.

– Przesłano dla pana...

Radca zdziwił się:

– Poczta dzisiaj pracuje?

– Nie. Pewnie kurierem...

– To sprawdźcie, kto i kiedy to dostarczył.

Gość hotelowy wymownie poklepał się po kieszeni kamizelki. Lokaj zniknął.

Van Houten delikatnie położył paczkę na stoliku. Nauczony doświadczeniem – kiedyś o mało nie stracił głowy przez podobną, niespodzianą przesyłkę – nie otwierał jej. Poszedł po lupę, szczypczyki i szczyroryk. Sprawdził nazwisko nadawcy – nic mu nie mówiło: E. J. Sinicyn, Wolska 5, Warszawa. Teraz już był pewny, że to coś podejrzanego. Obejrzał paczkę mniej ostrożnie, bo uzmysłowił sobie, że nadawca musiał przewidzieć, iż pakunek przejdzie przez kilka rąk, zanim dotrze do adresata. Przyjrzał się dokładnie papierowi – nic, szpagatowi, którym opasano całość... Sięgnął po lupę. Na boku paczki związane go w podwójną „ósemkę” – jakby zachęcając odbiorcę do rozwiązania sznurka, a nie do przecięcia. A pod pierwszym węzełkiem znajdował się, cienki jak włos, srebrny drucik, przykryty kolejnym zwojem. Gdyby nie lupa i szczypczyki, którymi delikatnie odsunął wierzchnią pętlę – pan radca nic by nie dostrzegł.

„Tak... tego można się było spodziewać” – powiedział sam do siebie w myślach. Włożył pakiet do sakwojażu. Pod pachę, do specjalnie na niego uszytej kabury, wsunął odzyskany od prokuratora rewolwer. Poczekał chwilę na służącego. Ten uzyskał informację, że przesyłkę przyniósł mężczyzna w mundurze posłańca. W recepcji nie zastanawiali się, że przecież biura posłańców dzisiaj nie pracują i przyjęli ją do przekazania.

W normalnej sytuacji pewnie nikt nie zwróciłby uwagi na gońca – zbyt duży ruch panuje w hotelu – ale dzisiaj... – tutaj głos lokaja zawisł w próżni, dopóki nie zobaczył na swej dłoni banknotu – ... ale dzisiaj szwajcar zdziwił się, bo zauważył, że kurier wsiada do dorożki. I nawet... – dla ożywienia tempa rozmowy kolejny banknot powędrował do kieszonki kamizeli przedsiębiorczego sługusa – usłyszał adres, pod który kazał się zawieść ten osobliwy umyślny.

Tym razem pauza nie spotkała się z przychylnym przyjęciem ze strony gościa. Lokaj, skrzywiwszy się, dodał:

– Zawiślna 16.

Teraz elegancik skapitulował – rzucił srebrnego rubla na dłoń służącego. Potem drugiego i rzekł:

– A to dla szwajcara. A przy okazji... Kto to u was tak się rozjeżdża po mieście? Koronowana głowa czy co? Przecie sami huzarzy na to sobie nie mogą pozwolić?

– Ciii... Koronacji to u nas nie będzie. To patron huzarów z Łazienkowskiej. Funduje im bibki i chroni przed policją. Wielka szyszka...

Detektyw narzucił na siebie płaszcz, złapał torbę i wyszedł z pokoju. Najpierw pojechał ekwipażem na dół, Karową nad Wisłę. Tam wyszedł z powozu, odszedł za wał, gdzie nie widział go już fiakier i przedarł się przez zwały kry na sam brzeg. Wszedł na lód, postąpił naprzód o dziesięć kroków, wyjął z teczki paczkę i położył na wzdórku z kawałków lodu. Wrócił na brzeg, na wszelki wypadek skrył się za wysoki toros, wyjął rewolwer i wypalił do paczki. Trafił od razu, a siła wybuchu zerwała mu czapkę. Dookoła głowy urzędnika poszybowały kawałki śniegu, lodu i czegoś jeszcze – nie wiedział na razie czego. Słup wody z wyrwy, którą detonacja uczyniła w pokrywie lodowej, wzniosł się na trzy arszyny. Detektyw rozejrzał się wokół, znalazł kawałek śruby – bomba była naszpikowana szrapnelami „jak u mamy”, domowej roboty. Wyprostował się i wrócił do wynajętego pojazdu, ale nie znalazł go – dorożkarz, widąc przerażony eksplozją, uciekł.

ROZDZIAŁ 12

Policyjny kocioł,

*czyli – tryumf japońskich sztuk walki
nad pangermanizmem.*^[19]

Pół godziny trwało, zanim detektyw dotarł na uliczkę, na której udało mu się znaleźć dryndę. Zatrzymał ją. Z trudem, bo skostniały mu nogi, wdrapał się pod budę.

– Ej, ty! – Wyszczekał podniesionym głosem do stangreta.

– Czegój, jasnie panie? – Doleciała go z góry odpowiedź.

– Nie masz pledu?

– Zaraz, zaraz, kochanieńki... Tylko zleze... Jest w kufrze.

Z kozła powoli, ciężko i niezgrabnie opadła na ziemię okutana w tułub postać i zniknęła z tyłu wehikułu. Chwilkę później pasażer otulił się starym, wyliniałym i pachnącym stęchlizną i kocurami kocem, co mu jednak wcale, a wcale, nie przeszkadzało. Świeżego powietrza miał aż po uszy.

– Zawiślna 10! – Poleciał.

Kiedy wjechali na wąską, brudną uliczkę bez trotuarów, zabudowaną parterowymi ruderami, szumnie nazwanymi domami, pełną błota mimo mrozu, radcy od razu przyszło do głowy podobieństwo do Chytrowki – ten rejon Warszawy był pobratymcem moskiewskiej dzielnicy bandytów i złodziejów. Po zapadnięciu zmroku niebezpiecznie było zapuścić się w ten interior samemu, nawet uzbrojonemu. Mężczyźni w marynarkach i z samymi gorsami zamiast koszul, wypadłe z obiegu wiekowe rozpustnice, apasze, fałszywi inwalidzi, panienki lekkich obyczajów wagi ciężkiej...

Wysiadł pod dziesiątym i spacerkiem przeszedł, a raczej przetaplał się obok szesnastki. Taka sama obskurna buda jak inne. Tylko... wszystkie okna zasłonięte, żadnej postaci na ganku... Zamiast tego pod sąsiednim domem dwóch udających pijanych (gładko ogoleni), a na rogu, dwie szopy dalej, powóz z opuszczonymi na okna skórzanymi fartuchami. Kocioł, ewidentny kocioł... policyjny czy żandarmski? Obszedł kwartał, znalazł się o jedną uliczkę dalej. Nawet nie miała tabliczki z nazwą. Jeżeli możliwe było być bardziej brudną i łajdacką niż Zawiślna, to ta z pewnością mogła wystąpić w szranki o palmę pierwszeństwa. Wygrałaby bezkonkurencyjnie.

Znowu przeweksłował obok kilku wstrętnych, rozsypujących się ruder, dla odmiany piętrowych. Znalazł się z grubsza na wysokości szesnastki. Kopnął rachityczną furtkę splecioną z jakichś prętów, chyba wikliny, wszedł na podwórze. Przez okna tej posesji (i sąsiednich) wyraźnie go obserwowano, ale nikt nie ośmielił się zapytać, czego tu szuka. Ferajna. Podeszedł do parkanu dzielącego parcele. Wspiął się na jakąś przewróconą beczkę, przy czym o mało nie wpadł do środka – zgniłe klepki zapadły się pod jego ciężarem.

„Trzeba nie mieć piątej klepki, aby wejść na zgniłą beczkę...” – w duchu dodał sobie otuchy.

Wyciągnął szyję, wysunął głowę nad płot i rozejrzał się. Z tej strony okna obserwowanego domu też były zasłonięte. Nagle ktoś go klepnął po ramieniu – radca obrócił się raptownie przez drugie ramię i... spotkał się twarzą w twarz z trzymającym w ręku melonik Aleksym Iwanowiczem Kozulinem. Asesor kolegialny ze złośliwym uśmiechem patrzył na spiętą twarz Estara Pawłowicza, ale zaraz uśmieszek zniknął, mimo że dopiero teraz było z czego się pośmiać – w rezultacie gwałtownego ruchu Van Houten wpadł do beczki. Próbował wydostać nogę z baryłki, ale zmurszałe klepki chwyciły ją jak w potrzask i moskwianin tańczył na jednej nodze, próbując z drugiej strząsnąć tę zgniliznę bez dna, spojona przerdzewiałą obręczą.

– Witam strusia... Widzę, że nie traci pan czasu, szanowny k o l e g o... – jadowicie rzucił asesor, zastępca pełniącego obowiązki naczelnika policji kryminalnej miasta Warszawy. – Jak pan wpadł... na ten adres? – Dodał ironicznie, ze sztucznym zainteresowaniem.

– Wykoncypowałem... – Wystękał detektyw, któremu w końcu udało się wyciągnąć kończynę z pastki, ale nogawka i bucik były całe umazane podejrzanym, śmierdzącym błockiem, które – jak mu się zdawało – zaczynało się rozmnażać.

– Myśmy namierzyli go z notatek Frischa – wyjaśnił niepytany policjant. – Zrobiliśmy tam kocioł, bo gospodarza nie było w domu. Myślę, że kocioł można zlikwidować, jeżeli już nawet pan go „wykoncypował” – dorzucił kolejną uszczypliwość. – Zechce pan wejść?

– Tak, chętnie. Gospodarz wywarł na mnie bombowe wrażenie... – niejasno dla asesora odgryzł się Van Houten.

O pół metra od miejsca, z którego detektyw filował, znajdowała się, dobrze ukryta w ogrodzeniu, furтка. Przeszli przez nią zgodnie i od tyłu podeszli do domku. Pan asesor zastukał umówionym szyfrem do drzwi. Otworzyły się. Cały domek składał się z jednej izby, przedzielonej zasłoną na drucie, na kuchnię i pokój. Panował tutaj kompletny bałagan: wypatroszone piernaty, wywrócone i rozprute wyściełane meble, porozrywane na karty książki z oddartymi grzbietami, zerwane obrazy i naderwane pasmami tapety. Na ławie siedziało dwóch agentów, a na koślawych, tandetnych taboretach – jeszcze parka.

– Nie, nie, to nie my – odpowiedział na niewypowiedziane pytanie Aleksy Iwanowicz. – Tak ta nora wyglądała, jakżeśmy przyjechali. Ktoś nas uprzedził, zrobił przeszukanie. Teraz stoi przed nami pytanie – czy gospodarz uciekł po tej rewizji czy przed. I czy w ogóle uciekł... – Machnął na filerów. – Zwijamy kocioł, panowie. Kozłowski, idź do karetki, niech przywiozą fotografa i śledczych. Szyfranta też. Antonow, przyciągnij za brody ze dwóch świadków. A wy dwaj jesteście wolni. Jedźcie do biura. Weźcie ze sobą czekających na zewnątrz.

W ciągu minuty domek się opróżnił, w środku zostali jedynie Kozulin i Van Houten. Milczeli, bo nie bardzo było o czym mówić. Radca chciał zapalić papierosa, grzecznym gestem wyciągnął papierośnicę ku sąsiadowi, kiedy skrzypnęły drzwi wejściowe i do chałupy wsunęła się głowa jakiegoś mężczyzny. Ponieważ obaj panowie wchodzili od podwórza, stali teraz oddzieleni od frontowego wejścia strzępem zasłony rozdzielającej wewnątrz, więc nie można ich było od razu dostrzec. Głowa o pucołowatej twarzy cofnęła się i do izby wszedł ostrożnie średniego wzrostu chłopina w surducie, kaszkiecie i kaloszach na nogach. Nie rozglądając się, podbiegł do przeciwległej ściany.

– Ptaszek wrócił do gniazdka – szeptem wątlým jak zefirek tchnął w ucho radcy asesora.

Gdyby przybyły spojrział w lewo, od razu ujrzałby dwie skamieniałe w bezruchu sylwetki, ale spieszył się – kopnął nogą w jedną z tapetowanych desek ściany i część przepierzenia ustąpiła, tworząc wąski otwór. Pucołowaty odchylił ręką ukryte drzwi do tajnika, chciał wejść do środka, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar, gdy pod nieostrożnym detektywem, kiedy zmienił pozycję, aby schować papierośnicę, zaskrzypiała deska...

Nieznajomy kątem oka dostrzegł kontur dwóch postaci i natychmiast zawrócił do wejścia. Warszawski policjant ruszył za nim w pogoń, ale uciekinier zatrzasnął mu podwoje przed samym nosem. Zanim Kozulin znalazł klamkę, usłyszeli, jak nieznajomy ucieka w lewo, po ganku, wzdłuż ściany domu. Pan radca kolegialny jednym skokiem, nogami do przodu, rzucił się całym ciałem w okno, ostatnie po lewej stronie. Brzęk wybitej szyby i rozdierania zetłalej kotary zagłuszyło piskliwy kwik – to pucołowaty mężczyzna wydał głośny okrzyk bólu, kiedy podkute obcasy moskwianina rozryły mu policzek. Potem od razu zamilkł, bo Estar Pawłowicz, jeszcze w locie, zgął kolano i krótkim kopnięciem uderzył czubkiem bucika w skroń mężczyzny. Ten padł nieprzytomny na ziemię, a detektyw wykonał półobrót w powietrzu i wylądował w błocie ulicy na przygiętych nogach. Niestety, ten piękny finał lotu potrwał tylko sekundę, a sprężyste nogi nindży rozjechały się i pacnął swoją piękną fizjonomią prosto w bajorko.

Dopiero w tym momencie wypadł z domku Aleksy Iwanowicz i z podziwem oraz niedowierzaniem patrzył na Van Houtena.

– Jak Boga kocham – cyrk! Aleś pan go załatwił! – Mruknął z admiracją. – Miejmy nadzieję, że nie na amen... W niebie tylko takiego aniołka im brakowało... – dodał już z właściwą sobie zjadliwością. Po czym dorzucił: – Aleś się pan przy tym ubabrał jak nieboskie stworzenie...

Złapał nieprzytomnego typka za kłapy i jednym ruchem ręki postawił na nogi. Ten osunął się z powrotem na ziemię, a kiedy trzymający go oburącz policjant pochylił się pod jego ciężarem, bezwładny dotąd delikwent widać oprzytomniał, albo tylko udawał zemdlonego. Podstępnie, perfidnie, bez żadnego szacunku dla urzędnika państwowego i skarbowego

majątku, przykopał mu w krocze. Potem, upadając w koleiny, wykonał obrót, ustępując miejsca w szlamie uliczki panu asesorowi, a sam zerwał się na równe nogi i pognął jak rączy jeleni po ulicy. Przeliczył się jednak – towarzysz skopanego, leżąc jeszcze w bajorze, zareagował na czas i bez cyrkowo-akrobatycznych popisów jednym „hakiem” podciął mu nogi. Teraz wszyscy trzej leżeli obok siebie – ścigany i ścigający. Właściwie tuziemski urzędnik policji już nie leżał, tylko klęczał, trzymając się za „niewymowne” i okrągłymi jak u karpia ustami wciągał powietrze, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie. Widać trafienie było celne.

Od rogu uliczki biegło dwóch agentów – tych odesłanych, którzy mieli własnym sumptem dostać się do urzędu policji kryminalnej. Uciekinier już nie próbował się opierać, wstał powoli, wyjął z kieszeni chustkę i przyłożył do rozciętego policzka. Tajniacy złapani go pod ręce, fachowo, w trzy sekundy skuli je na plecach i rzucili więźnia na rozdeptaną glinę. Jeden przyklęknął mu na plecach, trzymając jego głowę za włosy, drugi wprawnie obszukiwał kieszenie leżącego.

– Nie ma broni – mruknął filer.

Przywrócili złapanemu pionową pozycję, oparli czołem o ścianę domku, szpicel jednym kopnięciem rozsunął mu nogi – tak mocno, że ten o mało znowu nie upadł: filer trafił w tę kończynę, w którą minutę wcześniej hakiem przycelował pan radca...

Blady jak ściana Kozulin podniósł się i pomalutku, kuśtykając, wdrapał się na ganek.

– Do środka! – Warknął.

Jeden z policjantów złapał mężczyznę za unieruchomione kajdankami ręce i tarmosząc, pociągnął za sobą, drugi pobiegł gdzieś, pewnie zawiadomić i zawrócić kolegów.

Radca, Aleksy Iwanowicz, agent i pucołowaty znaleźli się w chatce. Kozulin przykucnął pod ścianą i głośno oddychał. Tajniak rzucił ciało pokaleczonego faceta na podłogę i stanął o dwa metry od niego, bacznie obserwując. Pan radca podsunął sobie taboret i przysiadł – wiedział, że trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, zanim urzędnik z biura oberpolicmajstra odzyska pełnię władzy nad swoim ciałem.

– Nazwisko?

Leżący milczał.

– Nazwisko... – chrapliwie powtórzył asesor.

Cisza. Aleksy Iwanowicz skinął głową agentowi. Podkute metalowymi żabkami buty filera uderzyły dwa razy. Krocze, nerka. Zdławiony jęk.

– Naz...

– Friedrich! Friedrich!

– Imię...

– Caspar Wilhelm.

Przesłuchanie trwało krótko. Po uzyskaniu odpowiedzi identyfikujących osobę, asesor zamilkł, głos zabrał pan radca kolegiálny.

– Przywiozłeś bombę do hotelu. Sam skonstruowałeś?

– Taaak...

– Na czyje polecenie?

– Nie wiem, nie znam...

Buty agenta znowu się poruszyły, ale nie trzeba było ich użyć. Friedrich od razu wyjaśnił:

– Jak mamusię kocham! Przyszedł do mnie, podał hasło... Dostałem połowę mamony, resztę miałem odebrać dzisiaj, po wykonaniu zlecenia...

– Dla kogo pracujesz?

Tym razem kamasze musiały wziąć udział w rozmowie. Okazało się, że po ich udziale w konwersacji Niemiec stał się

niewymownie gadatliwy.

– Dla... wywiad niemiecki.

– Od kiedy?

– Od zawsze – jestem podoficerem. Niemieckiej tajnej policji.

– Tfu, psiakrew, znalazł mi się walet pikowy w pikielhaubie! Gdzie i kiedy miałeś odebrać pieniądze?

– Dziś wieczorem w Saskiem Ogrodzie koło fontanny...

– Dokładniej!

– W Saskiem Ogrodzie koło fontanny – przy bramie Zoologu, tej od Kredytowej. O siódmej.

Dalej przesłuchanie prowadził Kozulin. Dotyczyło głównie poprzedniej działalności dywersanta i szpiega. Potem do zadawania pytań powrócił Estar Pawłowicz:

– Jak wygląda mężczyzna, który ma przynieść pieniądze?

– Nie wiem... nie wiem. Sam ma do mnie podejść. Uprzedzono mnie, że to nie będzie ten sam człowiek, który przyniósł obstalunek...

– A jak wyglądał ten od zlecenia?

– Normalnie... Wysoki, szczupły, ciemne długie włosy, wydatny nos, wąskie usta, szare oczy. W cywilu – melonik, szary paltot z norkowym, wąziutkim kołnierzem. Laska. Hebanowa ze srebrną gałką. Chyba nosi monokl, bo miał odcisk... Doskonale mówi po niemiecku, ale nie jest Niemcem. Wykształcony, dobrze wychowany... Blizna na dolnej wardze, niewielka.

Więcej nic ciekawego dla siebie Van Houten nie wydobył z więźnia. Wyjął z kieszonki zegarek, spojrzął, która godzina. Pozostawało sporo czasu – machnął głową do Aleksego Iwanowicza:

– Wyjdźmy na zewnątrz.

– Rozumiem, rozumiem. Zdążymy wszystko przygotować – asesor wszedł radcy w jeszcze niewypowiedziane słowo. – Zdążymy. Teraz muszę jak najwięcej z niego wyciągnąć, bo jak dojdzie do siebie w celi, to już nic nam nie powie.

– Dobrze, w takim razie zostawię panów, a sam pojedę do centrum. Spotkamy się o...

– Pół do siódmej przed gmachem Muzeum Etnograficznego na Kredytowej. Zadbamy, żeby okolica była obstawiona przez naszych. Tam, na miejscu, wraz z panem zdecydujemy, jak to rozegrać.

– Umyjcie go i ubierzcie. Może charakteryzacja? Żeby nie było widać, że oberwał... No, przynajmniej z daleka...

– Hmm... Z tym „pańskim” policzkiem będzie kłopot. Spróbujemy.

– Ach, jeszcze zapomniałem – kiedy będziecie w urzędzie, niech pan dopilnuje, aby portrety słowne i bertylionażę wszystkich trzech – obu zabójców i tego bombiarza – zostały przetelegrafowane do Departamentu Policji w Petersburgu. Niewykluczone, że już mamy dossier tych osobników, jeśli działali wcześniej w Rosji.

– Tak jest, osobiście tego dopilnuję.

– To do zobaczenia.

Estar Pawłowicz skinął głową i odszedł. Naprzeciw jechały dwa powozy pełne policjantów – to wcześniej zamówiona ekipa dojeżdżała na miejsce pracy.

W hotelu szybko zmienił upačkaną odzież i poszedł od razu do sali restauracyjnej na obiad. Kiedy czekał na przystawki, obok jego stolika pojawił się niewysoki, krótko ostrzyżony, siwiejący, raczej korpulentny mężczyzna o wesołych oczach.

– Czy pan pozwoli się przedstawić? – Spytał po rosyjsku z gruzińskim akcentem. – Jestem Grigorij Nodarowicz Czchartaszwili, stanu szlacheckiego, wojska dońskiego uriadnik, w stanie spoczynku, pański sąsiad – mieszkam w pokoju obok.

– Estar Pawłowicz Van Houten, szlachcic, urlopowany radca kolegiálny... – z lekka zaskoczony tą obcesową

znajomością, zaprezentował się machinalnie.

– Ja jeszcze raz przepraszam, że się panu narzucam, ale mam do pana prośbę. Korzystam z tego, że nasze mimowolne sąsiedztwo daje mi pretekst do zagadnięcia pana, ale nie będę zajmował wiele czasu – kontynuował gość, przysiadając się na brzeżku krzesła przy stoliku moskwianina. – Otóż, no, widziałem po spektaklu pani Rity, że wpuszczono pana do jej garderoby... Widać jest sąsiad na specjalnych prawach... Bliska znajomość? Dlatego chciałem prosić o uprzejmość – czy nie zechciałby pan mnie jej przedstawić? Jestem tutaj przejazdem, nie znam nikogo, a będę tylko jeszcze dwa dni. Potem jadę przez Petersburg do Moskwy. Byłbym bardzo zobowiązany...

– Ależ, szanowny panie... to nie jest żadna moja znajoma. Po prostu zostaliśmy sobie, przypadkowo zupełnie, przedstawieni. Jeśli panu tak zależy, mogę spróbować pana poznać, ale – podkreślam – nie znam tej pani. Dzisiaj wieczorem wybieram się na jej spektakl, więc jeżeli pan podtrzymuje chęć przedstawienia się – proszę bardzo.

– Serdecznie panu dziękuję. O której i gdzie mogę się z panem spotkać?

– Może zajdę po pana, kiedy już będę gotowy? Tak będzie mi łatwiej...

– Oczywiście, od ósmej będę w swoim pokoju – naprzeciw pańskiego. Jeszcze raz przepraszam za najście. Będę dozwrotnie wdzięczny... – I sympatyczne indywiduum, grzecznie się ukłoniwszy, wróciło do swojego stolika.

Pojawiły się sardynki, rzodkiewki, świeży ogórek i masło. Pan radca z apetytem zabrał się za jedzenie. Po posiłku udał się do pokoju, skąd wyszedł na trzy kwadranse do umówionej z asesorem Kozulinem godziny. W recepcji zmitrężył więcej czasu niż zazwyczaj – musiał przepychać się wśród hordy gości zmierzających do wielkiej sali Pompejskiej hotelu na jakiś świąteczny, zapewne charytatywny koncert czy inną okolicznościową imprezę muzyczną.

Poszedł niedaleko piechotą, na miejsce spotkania przy Zoologu. Pogoda była piękna. Przekroczył plac Teatralny wolniej, niż zamierzał – w drugi dzień Świąt kwitło życie towarzyskie – ludzie szli do i z kościoła, spacerowali w oczekiwaniu na spektakle w Teatrze Wielkim i Teatrze Rozmaitości, oglądając liczne wystawy, wykwinłni goście zachodzili do „Handlu win” Stępkowskiego i Boqueta, jednej z najprzedniejszych, z wielkim komfortem urządzonej restauracji nie tylko Warszawy, a całego Królestwa.

Tu, na centralnym placu miasta, mieściły się składy materiałów piśmiennych, tytoniu, lamp, samowarów, bielizny, sukien, futer, apteki, perfumerie, jubilerzy, sklepy krawieckie i szewskie, najświetniejsze cukiernie, owocarnie... Przeglądanie świątecznych wystaw, wielce frymuśnych i ozdobnych, zawsze było popularną rozrywką dzieci, gawiedzi i... doborowego towarzystwa. Ożywiony ruch panował nie tylko na samym placu, ale na przyległych uliczkach – zamieszkaney przez artystów Nowosenatorskiej i na Niecałej, którą przewożono dekoracje z podwórza teatralnego do Ogrodu Saskiego, na jego letnią scenę; wszędzie powozy, karety, ekwipaże, dorożki, omnibusy – mieściły się tu stacje dorożek i rojna konnych omnibusów.

Fontanna, zimą wyłączona, była miejscem zabaw dziatwy, która ślizgała się po zamarzniętej tafli, pod okiem czujnych nian – strzegących zdrowia pociech i pilnujących ich przed stójkowymi (władze miasta wydały najsurowszy zakaz takiej zabawy). W zwykłe dni najwięcej publiki przyciągały ratusz i redakcja najbardziej poczytnego w Warszawie pisma – „Kurier Warszawski”. Z kolei w świąteczne popołudnia tłum ciągnął do obu teatrów, mieszczących razem prawie dwa tysiące widzów i do Sal Redutowych, gdzie odbywały się zabawy i koncerty. Dodać do tego jeszcze należy otwarte do późnej nocy kawiarnie, hotele i restauracje, które napełniały się gośćmi także po północy. Oprócz „Handlu win”, najśłynniejszym tutaj miejscem spotkań była skryta pod filarami teatru cukiernia Lourse’a, gdzie gromadziła się cała śmietanka towarzyska.

Kiedy w końcu pan radca przedarł się na drugą stronę skweru, do Ogrodu Saskiego, było już dwadzieścia po szóstej. Teraz, zimą, ten „letni salon Warszawy” (bo w letnim sezonie opery na deskach Teatru Letniego były grane co drugi wieczór, a komedie i klasyka w pozostałe wieczory) wcale nie był pusty. Oczywiście, w porównaniu z sąsiednim placem, można by nazwać Ogród odludziem, ale alejkami przechadzało się sporo parok, które wcale nie miały ochoty być słyszane i widziane przez wszystkich.

Estar Pawłowicz minął kolonialny handelek, znajdujący się na rogu, podszedł pod ganek muzeum. Tam oczekiwał już asesor – przywołał go ruchem ręki.

– Jeżeli chce pan osobiście być przy zatrzymaniu, to musi się pan przebrać – powiedział Kozulin.

– Jak to?

– A tak to. Skąd możemy wiedzieć, że pana nie zna? Oprócz tego, nie możemy obok gagatka posadzić kilku mężczyzn! To od razu wzbudzi podejrzenia. Chyba że chce pan stąd, z daleka, obserwować wydarzenia...

– Nie, nie, chcę być tam, na miejscu. Kto wie, co może się zdarzyć?

– To chodźmy szybko do garderoby Teatru Letniego – jest nieczynna, ale załatwiłem to ze stróżem i dyrekcją. Mamy tam znajomych: dekoratora i grimera. Tylko śpieszmy się!

Za kwadrans siódma do umówionej ławki przy bramie zamkniętego o tej porze zoologu powoli podchodził samotny pucołowaty. Rozpruty policzek grimerzy teatralni zamalowali tak umiejętnie, że nawet z odległości metra, teraz, o zmierzchu, trudno było dostrzec coś podejrzanego.

Po alejkach przechadzały się parki: dziarski huzar smalił cholewki do towarzyszącej mu damulki, strażak w wyjściowym mundurze obejmował kucharkę. Powoli człapał podstarzały, ale elegancki dżentelmen, wspierając się na lasce. Jednonogi inwalida wojskowy oczyścił kawałek ławki i spoczął nań, pewnie by złapać dech.

W uliczce, która przez jedną alejkę graniczyła z parkiem, czekały na klientów trzy dorożki. Na Kredytowej, przed Muzeum, stała karoca i jakaś zgrabnie wyglądająca panienska przechadzała się obok po chodniku, najwidoczniej oczekując mamy.

Dwie minuty przed siódmą z jednej z alejek wyszedł prężnym krokiem jakiś przechodzień. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, o wąskich, przygarbionych plecach i długich, rozczochranych włosach, na których tkwił, na bakier, kaszkiet. Miał na sobie, mimo zimy, krótkie palto i podarte wąskie spodnie, spod których wystawały nieczyszczone buty z chropowatej skóry. Skręcony jak sznur halsztuk owiazywał jego długą białą szyję. Szparkim krokiem zaczął się zbliżać do Friedricha, ale gdy znalazł się obok parki – strażaka z pomywaczką – nagle zmienił kierunek marszu, raptownie skręcając ku Kredytowej. Friedrich kłamał – znał oczekiwanego człowieka, zdradziła go mina, jaką zrobił, widząc odchodzącego w bok przybysza. Policjanci w lot pojęli sytuację – skręcili za mężczyznę w kaszkiecie. Ten – dostrzegłszy niebezpieczeństwo – wyrwał z kieszeni palta rewolwer, najpierw, prawie nie celując, strzelił do zdrajcy, potem dwie kule posłał w stronę najbliższych mu strażaka i kuchty.

Wszyscy troje upadli, ale tylko Niemiec nie wstał. Kucharka, wstając, z wściekłością szarpała węzeł od eleganckiego, długiego fartuszka, usiłując się go pozbyć, bo przeszkadzał jej w biegu, zaś strażak sam wyjął rewolwer i posłał za uciekającym kulę. Niecelnie, bo zbieg, widać doświadczony, oddalał się zygzakiem, aby uniknąć pocisków. Zanim kucharka, która zrzuciła już kitel i czepiec, ukazując lico asesora Kozulina, i jej ognisty amant – w osobie pana radcy – dobiegli do końca alejki, umykający jegomość, gubiąc kaszkiet, właśnie wskakiwał na kozioł stojącej przed muzeum karocy. Jednym uderzeniem pięści zrzucił na ziemię zaskoczonoego woźnicę, złapał bat i odjechał.

Asesor gwizdnął na palcach, w jego kierunku szparko biegli już „jednonogi” inwalida oraz elegancki starszy pan. Także dorożki czekające na klientów podjeżdżały do przełożonego. Przy ciele Caspara Wilhelma pozostały tylko huzarskie czako i niewieści czepeczek.

– Za nim! – Aleksy Iwanowicz rozkazał woźnicom.

Estar Pawłowicz wsiadł do pierwszej dorożki. Do drugiej wskoczyli w biegu kaleka i jakiś filer, który pojawił się jak spod ziemi. Rzecz jasna, „jednonogi” był szybszy. Trzecia została na miejscu – gramolił się do niej pobity woźnica karocy i panienska oczekująca mamusi. Asesor kolegialny stał na trotuarze i wydawał polecenia agentom, którzy wybiegli z muzeum:

– Zwłoki do kostnicy policyjnej... Spisać raporty, tylko porządnie! Wszystko ma być według regulaminu... Zrobić ekspertyzę rusznikarską... A ja zaraz wrócę.

Podszedł do trzeciej, stojącej dotychczas dorożki i krzyknął do jej pasażerów:

– Wsiadka!

Ci wyskoczyli bez wahania – panienska już zdążyła zsnać woal, spod którego wyjrzały wąsiki, a asesor ruszył opustoszałym wolantem w pościg za pościgiem. Nie odjechał daleko – o trzy kwartały dalej dostrzegł powóz z odłamanym kołem, spod budy którego wyglądała głowa strażaka. Tymczasem w oddali dwa pojazdy mknęły z szaleńczą szybkością, słychać było świdrujące uszy świstki kilku stójkowych na posterunkach ulicznych i dało się zobaczyć dwa wolanty szczipione dyszlami. Najwidoczniej któryś z uczestników pościgu potrącił je w pełnym biegu. Jakaś bryka stała na trotuarze, a dwie jednokonne egoistki leżały przewrócone na boku...

– Wariat! – Wołali przechodnie. – Gdzie policja! Co za skandal!

Pomiędzy tłoczącymi się pojazdami, lawirując niebezpiecznie, gnał drewniany bocykl, na szczycie którego znajdował się pan radca. Gdy jego feralny powóz uległ kolizji, natychmiast zarekwirował przejeżdżającemu obok sportsmenowi jego wehikuł i samotnie ruszył w dalszy pościg. Na początku niewielki wehikuł, mogący szybko przyspieszać i mieszczący się bez trudu wśród gęszcza pojazdów na ulicy, szybko nadrabiał stracone metry, ale kiedy skończyła się utwardzona nawierzchnia – z kretelem przepadła jego chwilowa przewaga. Cały wielki wysiłek Van Houtena zdał się psu na buty – wąskie koło jego jednoślada grzęzło w sypkim gruncie, jechał coraz wolniej.

W dodatku konie ciągnące wózki i wolanty, kolaski i dryndy, kiedy niespodziewanie dostrzegały bezszumnie poruszający się pojazd i jego kierowcę obok swojego pyska, z przerażenia stawały dęba, powodując więcej kolizji, niż poruszające się z nadmierną prędkością bryki. Gdy dorożka asesora zrównała się z nim, Estar Pawłowicz zrezygnował z pogoni na rowerze i dosiadł się do Kozulina. Pojechali dalej razem, wcale nie poganiając konia.

– Tam, w środku karety, którą porwał, są dwaj moi ludzie. Pewnie nie ujawnią się, bo czekają, aż dojedzie tam, gdzie chce. Mądrze! – Rzekł Aleksy Iwanowicz.

Mówiąc to, zdejmował resztę damskich szatek. Radca też rozpoczął demontaż charakterystyki.

– Jedno mnie zastanawia, dlaczego nie podszedł bliżej do tego Friedricha? – Ciągnął Kozulin, ściągając przepastne pantalone wiązane na tasiemki. – Przecież nie mógł z tak daleka rozpoznać szminek na jego twarzy!

– Rozpoznał. Tylko wcale nie z dużej odległości. Minął nas dopiero co – półgębkiem wtrącił urzędnik do specjalnych poleceń zajęty demakijażem.

Zdumiona kucharka spojrzała na niego.

– No tak. Rozpoznał. Pana albo mnie – dokończył myśl Van Houten.

Po dwóch kwadransach jazdy dojechali na jedną z uliczek Woli. Nietrudno było śledzić uciekającego i pościg – wszędzie po drodze zostawiali ślady w postaci czy to gwizdzących jak szalonych posterunkowych, czy zepchniętych wehikułów, czy krzyczących przechodniów. Kręta, długa i śliska ulica na zapleczu jakichś zakładów przemysłowych i składów świeciła pustkami. Jednak nie miała żadnych odnóg – wszędzie same zamknięte wrota – więc nie było obawy, że zgubią trop.

A jednak zgubili.

Na samym końcu, na przejeździe przez tory kolejowe, leżała na boku pogruchotana kareta. Kilkanaście metrów dalej, na torach, stał parowozik z kilkoma lorami, pod który najwidoczniej wpadła. Przed przejazdem zatrzymała się dorożka z pościgiem.

Kiedy dojechali, agent krzyknął im:

– Uciekł! Wjechał na przejazd i widząc, że nie zdąży zjechać, zeskoczył z kozła, pobiegł tam, między składy. – Wskazał ręką. – Dalszy pościg tam, w ciemnościach, jest bezcelowy. A koledzy nie zdążyli się wydostać.

Spod odłamków karocy wyciągano właśnie dwa ciała. Nieruchome.

ROZDZIAŁ 13

Radca czuł się dziwnie

*Bóg stworzył Gruzina,
a Gruzin stworzył boski napój – wino.* [\[20\]](#)

Zbliżało się wpół do dziewiątej, kiedy przebrany, ale nie całkiem rozcharakteryzowany pan radca wrócił do hotelu. Zmył tapetę, odświeżył się, przekąsił coś i założył strój wizytowy. Potem przeszedł na drugą stronę korytarza, zastukał do drzwi sąsiada. Ten natychmiast otworzył – też był ubrany wieczorowo, ale w rękę trzymał dwa wielkie kieliszki wina – jeden napełniony białym, drugi czerwonym.

– Które pan raczy? – Od progu powitał.

Estar Pawłowicz, znający gruzińską gościnność, zrezygnowany, nie stawiał oporu – sięgnął po czerwone. Gospodarz ustąpił pola, wpuszczając gościa do pokoju i sam złapał stojący na stoliczku kieliszek czerwonego. Wypili. W ustach pojawił się nieco chropawy, rustykalny, odrobinę pikantny i korzenny zarazem smak. Radca z przyjemnością przełknął zawartość i powąchał kieliszek – pachniał aromatem owoców leśnych, wyrazistymi taninami. Van Houten nie był snobem – przynajmniej w dziedzinie win – i nie uważał się za wielkiego konesera, ale był zaskoczony.

– Wspaniale! – powiedział.

– To było Napareuli... – rzekł Gruzin. – A teraz niech pan spróbuje tego... – Nalał z butelki stojącej na stoliku. Tym razem urzędnik dopełnił całego rytuału – głównie po to, aby komplementować południowca: cmokał, mlaskał, niuchał, kręcił kieliszkiem, oglądał pod światło. Sam uważał wszystkie te manipulacje za śmieszne – wino czuje się nosem i językiem, podniebieniem. Wystarczy.

– Też doskonale! Skąd je pan tu ma? Bo domyślam się – nawet taki laik jak ja to wyczuwa – że to nie są wina europejskie. Pewnie gruzińskie?

– To było Mukuzani. Tak, oczywiście, to wina z mojej ojczyzny. Acz mieszkam w Moskwie. Jestem po prostu przedstawicielem kaukaskich winnic – z Kachetii, Imeretii, Racha-Lechkhumi i Kartlii. Ale głównie staram się wprowadzić na rynki Europy wina kachetyjskie z doliny Alazani. Właśnie byłem w interesach w Paryżu i Berlinie...

– Dziękuję za tę ucztę dla podniebienia, ale musimy się spieszyć. Ja sam nie mam biletów na widowisko, musimy więc spotkać przed spektaklem mojego znajomego, który z pewnością wziął całą lożę.

– Już, już, kochany... Tylko niech pan spróbuje jeszcze lampkę tego specjału... – I ze zręcznością kelnera nalał do kolejnego kryształu rubinowy płyn.

Znowu wypili, kolejny raz moskwianin zachwycił się smakiem, spojrzawszy pytająco na winiarza.

– Saperavi.

– Hmmm, to mi najbardziej przypadło do duszy – rzekł Van Houten, odstawił kieliszek i stanowczym ruchem ręki popędził gospodarza.

– Oczywiście, oczywiście, tylko narzucę płaszcz. Niech pan spróbuje jeszcze tego... – I znowu nalał.

Żelazna wola eleganta gdzieś zniknęła... wypił z przyjemnością. Mlasnął głośno językiem:

– Wspaniale...

– Kondoli – wykrzyknął z garderoby gospodarz o kaukaskiej narodowości.

Po chwili stał przy urzędniku, trzymając po czystym kieliszku w każdej ręce.

– No, przed podróżą: które ze skosztowanych pan wybiera?...

Radca poddał się całkowicie.

– Chyba jednak to pierwsze... Napareuli...

Wypili. Gospodarz dolał ponownie:

– Trzeba dokończyć butelkę...

Wypili.

Na odchodnym kupiec złapał sakwojaż, widać ciężki, ale ciągnął go ze sobą aż do dorożki.

Dojechali szybko. Urzędnik rozglądał się po westybulu, szukając w tłumie masywnej, słusznej postaci pana tajnego radcy. Nigdzie go nie było. Zajrzał do restauracji – pan Tymoteusz niczym Lewiatan zjadał właśnie „lekką” kolację, pod której ciężarem ugięły się nogi stołu. Detektyw podszedł z nowo poznanym sąsiadem do stolika upostaciowionej jurysprydencji – przywitani się, przedstawili...

Potem nawet przekąsili – ani Grigorij Nodarowicz, ani Estar Pawłowicz nie odmówili poczęstunku.

Po włoskim winie.

I po hiszpańskim.

Po francuskim nie zdążyli – dzwonek dawno przestał wzywać widzów na widowię. Kiedy dotarli do łoży, przedstawienie już trwało – przywitano ich sykaniem i obraźliwymi, ale cichymi wyrażeniami. W łoży gość, który się wprosił, wyjął z sakwojaża kieliszki, rozpakował z papieru, nalał wina...

Wypili.

Kiedy spektakl się zakończył – nie dostrzegli.

Wina, które serwował Gruzin, były tak dobre, że wszyscy trzej więcej uwagi poświęcili zawartościom sześciu butelek niż esom-floresom na scenie. Panu radcy nawet zdało się, że Rita gniewnie spojrzała na łożę... W każdym razie zakończenie spektaklu musiał im objaśnić bileter. Gość z Kaukazu przestał się spieszyć za kulisy, a i pan prokurator jakoś nie przejawiał ochoty tam się wybrać, zeszli więc do restauracji.

Dla równowagi pili niemieckie. Wina.

Potem te, których mecenasem był sam święty Wincenty – patron winiarzy: portugalskie.

Żywa rozmowa, pełna dowcipów, błyskotliwych paradoksów i doskonałych anegdot umilała im czas – wszystkim wstawionym biesiadą wydają się takimi...

Kiedy jednak doszli do austriackich, a Van Houten i von Brugge rozpoczęli pić peany na ich cześć, Gruzin się obraził i powiedział, że jeżeli nie zechcą zaraz, natychmiast, przyrównać ich z tymi z jego rodzinnych stron, to nazajutrz, nie, już dzisiaj... wyzywa ich na pojedynek! Obu po kolei. Na szable, bo jako obrażony ma prawo wyboru broni...

– Dobrze, że nie na butelki... – rzucił von Brugge. – Bylibyśmy bezbronni...

Pojechali do hotelu. Radca czuł się dziwnie – wszystko już wiedział, być może dlatego pozwolił sobie na chwilę przyjemności. W Moskwie wszyscy znali jego, wręcz przysłowiowy, „tęgi łeb”, mógł pić do białego rana i nic – tymczasem te kaukaskie ambrozje działały na niego silniej i prędzej niż spirytus...

Jeszcze przy recepcji sąsiad Estara Pawłowicza – kompletnie trzeźwym głosem! – zażądał przyniesienia ze składziku do pokoju dwóch kufrów.

„Jezus, Maria!” – zdążył tylko bogobojnie i bojaźliwie pomyśleć urzędnik. Pan tajny radca z wielce uradowaną miną oglądał w pokoju Gruzina katalogi win, głośno dyskutowali. Służący wnieśli skrzynie. Otwarto pierwszą...

Później, jak przez mgłę, Van Houten pamiętał, że Gruzin podzielił świat i jego ludność na trzy kategorie – *terra* winnic (Europa), *terra* ryżowej sake (Azja) i najniżej umieścił *terra* kukurydzianego bimbrowi (obie Ameryki)... Po którymś toaście – bo jak mogło się bez nich obyć? – winiarz opowiedział anegdotę: „Kiedy Bóg dzielił Ziemię, Gruzini też się do niego zgłosili. W drodze zatrzymali się, usiedli pod rozłożystym dębem, zaczęli pić wino i wznosić toasty... A ponieważ ich toasty są bardzo długie – spóźnili się na rozdawanie ziem. Smętni i zawiedzeni, patrzyli na już podzielony globus. Wtedy Bóg rzekł: Słyszałem wasze toasty, zachwyciłem się, dlatego zachowałem dla was coś specjalnego – mały kawałek raju pomiędzy Morzem Kaspijskim a Czarnym. To będzie wasza Gruzja”...

Rano Estar Pawłowicz przypomniał sobie, że już wie jak jest „Na zdrowie!” po gruzińsku... Gaumardzos... Chyba...

Obudzili się o świcie – gdzieś przed piątą rano. Tajnego radcę i radcę kolegiального dręczył straszliwy kac... Świeży jak szczypioerek Gruzini i zieleni jak nać dymki radcowie sięgnęli na dno drugiego kuferka w poszukiwaniu medykamentu. Znaleźli. Ostatnią butelkę... Na szczęście – tylko jedną.

Demon

Wypis z notatek doktora psychiatrii Ktonopki – wywiad z pacjentem [...] [... nieczytelne dane osobowe]

Kurt Wagner urodził się w Kolonii, w wielodzietnej (czternaścioro dzieci), żyjącej w nędzy rodzinie. Ojciec, brutalny i alkoholik, dorywczo pracował w podmiejskich zakładach metalowych jako robotnik. Matka, zahukana i opóźniona w rozwoju intelektualnym, nie mogła się przeciwstawić wpływowi ojca – dzieci często były świadkami ich pożycia małżeńskiego, a w rodzinie mieszkającej często w jednej izbie dochodziło do kazirodztwa w wielu różnych wariantach. Jak później stwierdziły dochodzenia policyjne – w rodzinach obojga rodziców rozpowszechnione były obciążenia psychiczne, skłonności do przestępstw, wielopokoleniowy alkoholizm i choroby na podłożu neurologicznym.

Nieletni chłopiec dorabiał, pomagając hyclowi miejskiemu. Pewnego razu stwierdził, że przyjemność, jaką daje mu torturowanie i zabijanie złapanych zwierząt przewyższa przyjemności życia seksualnego. Przyznaje się do popełnienia pierwszego zabójstwa w wieku 11 lat, ale prawdopodobnie to konfabulacja, chyba przypisuje sobie śmierć dwóch dziewczynek (fakt udokumentowany w aktach policyjnych), które utopiły się w stawie. Twierdzi, że zatopił łódkę, a sam wpływ dotarł do brzegu.

Kiedy był o rok starszy, cała rodzina przeprowadziła się do Düsseldorfu, gdzie jego ojciec znalazł stałą pracę. Kurt wkrótce uciekł z domu i utrzymywał się z napadów i rabunków – mimo niedożywienia wyrósł na krzepkiego, wysokiego chłopaka. W ulicznych bójkach nauczył się walki na noże, co wykorzystywał podczas późniejszego życia – napadał głównie w piątki nad ranem, na dziewczyny i kobiety idące z nabiąłem na rynek do miasta. Terenem jego zbrodni były przemysłowe przedmieścia, które w nocy i nad ranem świeciły pustkami. Sam zamieszkał w opuszczonej kuźni jednej z zbankrutowanych fabryk.

Wtedy też odkrył, że największą przyjemność osiąga podczas uprawiania stosunków fizycznych z dogorywającymi ofiarami. Prawdopodobnie uprawiał również zoofilię, ale na razie nie chce się do tego przyznać. Mając piętnaście lat, zamieszkał z prostytutką, której zapewniał opiekę. Kobieta ta ponoć była masochistką. Pół roku później po raz pierwszy wpadł w ręce policji – za niewielką kradzież. Wyrok, który otrzymał, uchronił go od kary za morderstwo – kiedy przebywał w więzieniu, znaleziono ciała jego ofiar, pochowane w jednej z opustoszałych fabryk, ale nikt nie skojarzył tego faktu z siedzącym akurat w więzieniu wyrostkiem. [...]

Po wyjściu z więzienia, ponownie pojawił się w Düsseldorfie, został opiekunem probantek w najbardziej zakazanej dzielnicy tego miasta. Po pobycie w zamknięciu jego perwersje seksualne i aktywność w tej dziedzinie nasiliły się – zmuszał do sadystycznego współżycia podległe sobie prostytutki, ale przestało mu to wystarczać. W ciągu trzech lat udusił dwie swoje partnerki, jednak nikt nie doniósł o tym policji, więc pozostawał bezkarny. W tym czasie dwukrotnie osadzono go na krótko w więzieniu, ale za drobne przewinienia – sutenerstwo, pobicie. [...]

Kiedy kolejny raz opuścił celę, włamał się do domu, którego gospodarze byli nieobecni, zgwałcił nieletnią służącą, torturował ją i potem zabił. Aby usunąć ślady zbrodni, podpalił drewniany budynek – wtedy odkrył, że podpalenie wywołuje u niego silne podniecenie seksualne, wzmocnione świadomością, że płonie zamordowana ofiara gwałtu. Wielokrotnie spędzał noce na penetrowaniu niezamieszkanymi okolic. Nosił wtedy siekierę na ramieniu. Napadał przechodzących, widok ich krwi doprowadzał go do ekstazy seksualnej. Równocześnie dokonywał podpaleń, spośród których udowodniono mu tylko trzy. Kolejny raz został złapany i osadzony w ciężkim więzieniu – za kradzież z włamaniem. Ponieważ był recydywistą, spędził tam osiem lat.

[...]

Gdy tylko opuścił ten przybytek, ożenił się z kobietą poznaną za pomocą grypsów w tym samym więzieniu – odsiadywała sześćioletni wyrok za zabójstwo niewiernego męża. Ponieważ miała stosowne preferencje seksualne, przez trzy lata prowadził spokojne życie, zarabiając jako sutener stręczący własną żonę.

Jednak potem wrócił do uprzednich upodobań – zaczął od podpaleń, w ciągu kolejnych pięciu lat dokonał ich – zdaniem policji – szesnaście – a jego własnym zdaniem – dwadzieścia. W tym trzykrotnie podpalał budynki dla ukrycia swoich zbrodni – gwałtów zakończonych zamordowaniem ofiary. Kilkukrotnie gwałcił kobiety, usiłując je udusić, ale za każdym razem ofiary ocalały, gdyż napastnika ktoś płoszył. [...]

W 1889 roku nastąpił punkt szczytowy w działalności Kurta: w styczniu dokonał sześciu podpaleń, w lutym napadł na kobietę – została uderzona nożem dwadzieścia cztery razy – oraz zabił czterdziestopięcioletniego mężczyznę: dwadzieścia razy pchnął go nożem. W marcu trzynastoma uderzeniami noża pozbawił życia ośmiolatkę.

Wszystkie ofiary miały rany klute na skroniach. W połowie sierpnia doszło do jego kolejnych trzech napadów, których ofiary, ciężko ranne, uszły z życiem. Pod koniec sierpnia dokonał podwójnego morderstwa – zabił dwie dziewczynki, jedną pięcioletnią, drugą czternastoletnią. Obie najpierw udusił, potem poderżnął im gardła. We wrześniu dokonał następnych trzech napadów, w następnym miesiącu – czterech. W tych przypadkach posługiwał się młotkiem. W listopadzie zabił pięcioletnią dziewczynkę, wtedy został złapany – dzięki donosowi. [...]

Skazany został na karę śmierci, jednak wykonanie wyroku powstrzymano w sekrecie – na żądanie tajnej policji. Został jej warunkowo przydzielony do wypełniania „zadań specjalnych” poza granicami kraju.

Miał opinię spokojnego, dobrze wychowanego i pracowitego człowieka. W ciągu swojego życia odbył siedem wyroków w więzieniu, które łącznie trwały dwadzieścia siedem lat.

Zdecydowały się – Zwolska spojrzała znacząco w oczy lekarce, nie przestając mówić o czymś nieistotnym, Zofia spuściła potakująco powieki, tak skoncentrowana na swoich emocjach, że nie tylko nie słyszała słów kochanki, ale nawet nie widziała otaczających ich ludzi. Nie musiały sobie nic tłumaczyć.

Kozia od lat była w Warszawie ulicą, na której mieściło się najwięcej hoteli i hotelików. Zwolska zapłaciła, opuściły kawiarnię. Czują na sobie spojrzenia wielu mężczyzn – oczywiście rzucane ukradkiem, niby przypadkowe – i kilka – kobiet... Młode, piękne i pociągające, tym bardziej emanowały seksapilem, iż same czuły narastające fizyczne pożądanie. Skręciły w prawo. Dosłownie po kilkunastu krokach na przeciwległej stronie ulicy Wera dostrzegła szyld podrzędnego hoteliku. Weszła pierwsza, sama, pozostawiając przyjaciółce wątpliwą przyjemność podziwiania jedynej na całej ulicze wystawy sklepowej – rymarza. Parę minut później otwarło się okno na drugim piętrze hoteliku, wyjrzała przez nie kobieca główka, potem pojawiła się ręka pokazująca na palcach numer pokoju – siedem. Zofia niespokojnie rozejrzała się w prawo i w lewo – jako warszawianka więcej ryzykowała, że zostanie rozpoznana przez przypadkowo przechodzących znajomych. Przekroczyła jezdnie zdecydowanym krokiem i zanurkowała w ciemne wejście do hoteliku.

Kiedy uchyliła drzwi komnaty, za którymi ją oczekiwano, dostrzegła najpierw rozpuszczone włosy, przysłaniające od tyłu sylwetkę Wery. Długie, falujące sploty ciemnych loków spływały ku podłodze, ich barwę podkreślało tło – bladeżółta bielizna skrywająca ciało kochanki. Bujne, rozwiewające się pasemka włosów przy każdym poruszeniu ciała rozbierającej się brunetki tworzyły mglistą siatkę, która pobłyskiwała kruczą czernią w świetle zapalanej lampy naftowej, za którą odbywało się misterium zdejmowania „siedmiu” zasłon; przy czym dwie pierwsze zniknęły, gdy Zosi jeszcze nie było w pokoju: narzutka i suknia. Teraz powoli celebrowano ceremoniał znikania następnych, halki i koszuli. Z zapiętym tchem, stojąc w progu otwartych drzwi – obie panny podniecało ryzyko zostania dostrzeżonymi podczas negligowania się – lekarka obserwowała kochankę przybierającą najbardziej wyzywające pozy. Wera, w gorsecie, odwróciła się twarzą ku niej – rozwiązała górne wstążki podtrzymujące płótno stanika i jej niewielkie piersi z twardymi, ciemnymi sutkami ukazały się oczom rudowłosej piękności. Hrabianka, stojąc na wpół nago naprzeciw szeroko rozwartych odrzwiów, poczuła się rozpustna niczym kokota, gotowa na oddanie się każdemu, kto tylko zobaczy jej nagość. Nie powstrzymując się, jęknęła i wyciągnęła przyzywająco ręce ku niegdysiejszej miłości.

Ta zamknęła powoli drzwi i poczyniła dwa kroki w kierunku Wery. Obie uwielbiały i rozkoszowały się pięknem –

doceniały nie tylko słowa, ale i obrazy, sceny i ruch. Brunetka dla rozbudzenia fantazji erotycznych partnerki na oczekaniu skomponowała plastyczną, podniecającą scenkę erotyczną, układającą się z dynamicznych, bogatych w elementy, krzywolinijskich układów przestrzennych, a teraz zaczęła dbać o własne wrażenia – rozpoczęła rozbieranie ryzówłosej. Ta już mdlała w przecuciu nadciągających rozkoszy, nogi uginały się pod nią, wargi nabrzmiały, wszystko chwiało się przed jej oczyma. Pozwalała się rozdziewać powoli i uroczyście, w tanecznym rytmie, którego kontrapunktem były pocałunki – dziękowała nimi za zdjęcie z niej każdej sztuki odzieży. Brunetka walczyła z niechętymi się podporządkować poleceniom jej palców falbanami sukni, z wachlarzem szala, rozpostartego jak motyle skrzydła. Ten erotyczny pojedynek zakochanej kobiety z rudowłosą modliszką mimowolnie zobrazował jeden ze znaczących symbolów *belle époque*.

Drażniła ustami i dłońmi nagie, i prężące się pod jej dotknięciem piersi Zwolskiej, która teraz, władcza i stanowcza, górowała nad uginającą się, omdlewającą, pieszczącą ją niewolnicą o tycjanowych splotach. Już obie miały odsłonięte piersi – Zosia ciężkie, ale jędrne, z różowymi sutkami, które po stwardnieniu wyglądały niczym nabrzmięte od soku maliny, a Wera – niewielkie, ale bardzo foremne, z lekka smagłe, zwieńczone poziomkowymi w kształcie, a jeżynowymi w barwie szczytami. Nadal miały na sobie gorsety. Na przemian odwracały się do siebie plecami i rozsznurowywały niespiesznie po kilka pętelek, uwalniając swe talie z więzów konwenansu i mody, cały czas nawzajem głaszcząc swe włosy, ramiona, dekolty, poszczypując i poklepując biusty, w chwilach przerwy całując się w usta. Języki mieszały się ze sobą, wnikały głęboko, prowokacyjnie, wyuzdanie. Obracały je w ustach partnerki, ssały je niczym męskie członki, wymieniając się miłością i śliną. Ich podniecenie rosło, wirowały niczym w tańcu, wokół siebie, wreszcie spadły twarde łuski gorsetów – niczym chitynowe pancerze owadów, spośród których wynurzyły się nagie, piękne w swej urodzie i pożądaniu ciała, ciągle jednak przesłonięte majteczkami i pończoszkami. Celowo pozostawione, bo stwarzały nie tylko sposobność do przedłużenia wstępu, ale komplikowania erotycznych zmagania. Dwuznaczny urok osobliwego połączenia tych dwóch ciał – niby niedojrzałości Wery i zmysłowości Zofii, męskości muskularnej brunetki z wąsikiem i kobiecości miękkiej, podatnej rudej, nadawał im niepokojący charakter relacji pomiędzy panem i niewolnicą, hierarchii podkreślającej różnicę między panującym a poddaną.

– Chcę... – jęknęła Zofia. Odpowiedź była natychmiastowa, choć bez słów – ręka jej kochanki twardo i zdecydowanie wsunęła się pod batyst majteczek i władczo objęła owłosiony trójkąt. Rudowłosa ugięła nogi i płynnym ruchem opadła na dywan, omdlewając z rozkoszy. Pociągnęła za sobą swoją władczynię, tę, która potrafiła jednym dotknięciem, pocałunkiem, spojrzeniem doprowadzić ją do szczytu rozkoszy. Pełna miłosnej tęsknoty bezwstydnie rozłożyła szeroko, z lekkim trzepotem kolan, nogi, udostępniając całą swoją płęć partnerce.

Wera stanęła w rozkroku nad leżącą, zsunęła na nią swoje majteczki i gestem rozkazała jej zsunąć sobie pończoszki. Zofia liżąc okrężnymi ruchami ich jedwab, powoli rolowała je ku stopom, przesuwając następnie językiem krótkimi, mokrymi liźnięciami po gołych łydkach kochanki. Ta drżała, ale nadal władczo wskazała swoje krocze. Znajdująca się poniżej twarz miedzianowłosej, potulnie i z miłością wpiła się wzrokiem w koralowy, nabrzmięły grzebień, bezwstydnie wynurzający się spośród czarnowłosych kędziorów, ociekający sokiem. Przywarła do niego ustami, całując go i pieszcząc językiem, na twarz spływały jej coraz obficiejsze już nie krople, a strumyki nektaru miłości. Przymknęła oczy i oddała się swojej władczyni, równocześnie gładząc jej nagie uda, po ich tylnych i wewnętrznych częściach. Opuszki jej palców muskały najbliższe sfery okolic intymnych, czasami łapały mocno jędrne pośladki, ściskając je i gładząc na przemian. Brunetka ledwo stała na nogach, jęczała tak głośno, że pewnie słyhać było ją nie tylko na hotelowym korytarzu, ale nawet na ulicy.

Złapała kłęzącą za włosy i podniosła – każąc tym samym wstać swej służce. Obie kroczyły, jakby we śnie, czy transie, ku łóżku. Położyły się w pozycji na waleta – teraz zajęły się stopami partnerki. Lekkie masaże połączone z głaskaniem, całowaniem, muśnięciami języka docierał aż pod kolana, dreszcze przenikały ich całkowicie nagie ciała, omdlewały od słodkiej oskomy na więcej i więcej... Ponownie brunetka pierwsza ruszyła do ataku: gwałtownie usiadła, rozrzuciła nogi Zofii na boki i przypadła ustami i językiem do jedwabisto-rudej roszki pomiędzy jej nogami. Pani doktor straciła przytomność z rozkoszy i wiła się, jęcząc na głos, nie wiedząc nic o bożym świecie. Zwolska, która wszędzie i zawsze za szczególnym upodobaniem szukała nowych dreszczów w dziedzinie erotyki złapała lewą ręką za

lichtarz stojący na stolyczku nocnym obok łóżka, pozbawiła go świecy, którą natychmiast wsunęła jednym, gwałtownym ruchem głęboko w pochwę nieprzytomnej kochanki. Ten przejaw miłosnego okrucieństwa, naśladowany nieudolny z natury akt męski, dopełnił czarę rozkoszy – Zofia zakniaziła niczym umierający zając, ostatni raz zadygotała w szczytowej fazie ekstazy miłosnej i znieruchomiała na łóżku, z wywróconymi do góry białkami oczu. Po dłuższej chwili, kiedy zmysły jej wróciły, ryza trybada zajęła się swoją „mistrzynią” – teraz role się odwróciły. Władcza Zofia zaczęła ręką doprowadzać powolną jej brunetkę do orgazmu, brutalnie – czasami – uderzając ją po kroczu. Ta poddawała się bólowi z uśmiechem i jeszcze chętniej rozwierała nogi, aby palce lekarki mogły głębiej wejść w jej organ. Była tak mokra, że frykcyjne ruchy palców, które później Zosia przedłużyła tą samą świecą, która jej dostarczyła tylu ekstremalnych wrażeń, wywoływały głośny chłopot. Czułości wielokrotnie doprowadzały Werę do granicy orgazmu, ale okrutna pani doktor, wyczuwając stosowny moment przerywała go, więc rozpalona namiętnością kobieta tylko pochlipywała z rozpacz, że ją omija i znowu pogrążała się w otmęty erotycznej obsesji – uderzenia, pocałunki, pocierania i pieszczoty w coraz szybszym tempie następowały po sobie. Za którymś razem rudy wamp sadystycznie nadał taką siłę swoim uderzeniom i tak zwiększył rytm swoich poczynań, że Wera tylko wibrowała, na poły wyprostowana na łóżku, już nie jęczała, bo skurcz zacisnął jej szczęki, na ustach ukazała się piana, wtedy Zofia nagle przerwała masturbowanie jej świecą i zamieniła ją na lichtarz. Raptownie wprowadzony do pochwy leżącej, wywołał spazmy całego ciała, brzuch kurczył się i rozkurczał co sekundę, rytmiczne, coraz częstsze drgawki objęły kończyny, aż w apogeum kobieta, na co dzień będąca hrabianką, zamarła – przez moment uosabiając Chuć.

Zapadła cisza.

Zmęczone do granic wytrzymałości, zasnęły. Obudziły się, głodne jak wilki, po godzinie. Zamówiły obiad do numeru i spędziły w pokoju jeszcze z godzinę, owinięte we wzorzyste i powłóczyste suknie – uczynione z narzuty na kanapę i fotele. Tak wyzywająco odziane, prowokująco spoglądały na kelnera i jego pikolaka, którzy dostarczyli posiłek. Ci zmyli się z komnaty jak niepyszni, bojąc się domyślić, czym zajmowały się lokatorki.

Kiedy stały już u drzwi pokoju, żegnając się, Zofia rzekła słodkim tonem:

– Mój ty demonie...

ROZDZIAŁ 14

Śmierć urzędnika

*Bóg nalewek, Bóg wywarów,
Bóg ciśniętych dusz na bruk,
Płci obojga żon huzarów,
Oto jest rosyjski Bóg.*^[21]

Kiedy w pierwszy poświęteczny ranek prokurator dotarł do pałacu generała-gubernatora, aby złożyć raport, zastał tamże Iszczajewa i Kozulina, za plecami których kryła się postać Semi-Bułatowa. Dzisiaj przyjął ich sam Josif Władymirowicz – oczywiście w asyście swojego błyskotliwego i inteligentnego adiutanta. Panowie po kolei raportowali dotychczasowe rezultaty wycinkowych dochodzeń, przedstawiając z fragmentów obraz całej sytuacji – jeszcze nie całkiem udokumentowany, ale już znany, przynajmniej w zarysach.

Ku konsternacji zgromadzonych, generał-gubernator sam zabrał głos:

– Jakie panowie wyciągacie z tego wnioski? – I zażył potężny, dubeltowy niuch tabaki.

Stojący za jego plecami Bykow bezwiednie uniósł oczy ku powale (wyżej sięgnąć wzrokiem się nie dało). Semi-Bułatow szeptem mówił jakieś wierszyki sam do siebie – do ucha von Bruggego dobiegł mało cenzuralny fragment... Spojrzawszy na skamieniałe twarze policjantów, prokurator wziął się w garść, westchnął i wstał:

– Wasza Ekscelencjo, obraz jest następujący – na zlecenie bismarckowskiego wywiadu do Warszawy wyekspediowano grupę szpiegów i dwóch zabójców. Ci pierwsi zajęli się działalnością agenturalną – póki co, niezbyt nam znaną i mało zrozumiałą. Być może III Wydział coś więcej wie na ten temat, ale nas o tym nie poinformował. Orientujemy się jedynie, że agentów wyposażono w sekretny typ broni – jeden egzemplarz został znaleziony w dworze Fucheta. Moim zdaniem Kurt Wagner, drugi z morderców, nie używał tego oręża – jedynie je transportował: do i z miejsca zbrodni. Broń ta została wykorzystana – na ile nam teraz wiadomo – jeden jedyny raz do usunięcia majora Wotcowa.

Najprawdopodobniej miała posłużyć znowu: zaplanowano jej konkretne użycie – ale nie wiemy przeciw komu, gdzie ani kiedy. Aresztowanie Kurta i przejęcie transportowanej, bądź przechowywanej strzelby udaremniło jej ponowne zastosowanie. To, że miała zostać wykorzystana, potwierdza fakt nie odesłania jej do Niemiec po dokonaniu pierwszego zamachu. Charakterystyczna zaleta tego oręża nie polega na dalekim zasięgu czy celności – nasi eksperci twierdzą nawet, że ma wyjątkowo duży rozrzut, wymaga strzelca wyborowego. Chodzi o brak odgłosu wystrzału. Inaczej mówiąc, jest to specjalny karabin do dokonywania zamachów w miejscach publicznych, gdzie hałas od razu naraziłby mordercę na dekonspirację. Cała tajemnica – brak huków – kryje się w tym, że to broń na sprężone powietrze. Odgłos ogranicza się jedynie do dźwięku podobnego, jaki powstaje przy otwarciu szampana...

Z powodu jej słabej celności została wyposażona w dodatkowe wsparcie – w kulę ze ściętym ołowianym wierzchołkiem, która przy lada trafieniu powoduje silne obrażenia, szczególnie tkanek miękkich. Czyli – przy niezbyt dokładnym wycelowaniu, na przykład w okolice serca – i tak spowoduje silny krwotok wewnętrzny, a w następstwie śmierć ofiary.

Reasumując – nie wiemy, kto ani dlaczego strzelał do majora z Ochrony. Jestem pewny, że to dochodzenie powinna przedsięwziąć żandarmeria, pewnikiem je aktualnie prowadzi. Nie wydaje się prawdopodobne i celowe ściąganie specjalnej broni tylko dla usunięcia zwykłego majora, nawet z Korpusu, raczej zabito go z tej broni – przy okazji. Do zamachu na kogo ją tutaj przetransportowano – jeszcze nie wiemy.

Jeżeli chodzi o siatkę pruskich szpicli – bo grupa przywiezionych agentów współpracowała z już osiadłymi konfidentami, na przykład właścicielami cegielni Heinzem Müllerem i Hansem Rügenem – objęliśmy wszystkich tajną obserwacją. Czekamy na dowody cięższych przestępstw. Chcemy zgarnąć całą konspirację.

Jak już wspomniałem, ujęci zabójcy i niemiecki agent dysponowali bronią wyposażoną w nowy typ amunicji. Widać ludzie Wilhelma mieli dostęp do angielskiej dokumentacji, bo – na ile nam wiadomo – Anglicy dopiero co rozpoczęli jej masową produkcję w swoich koloniach: w Indiach na przedmieściach Kalkuty. Ta nowa kula nazywa się „dum-dum” albo „dam-dam”. Warto rozważyć możliwość wykorzystania pocisku takiego typu przez nasze siły – wojsko i policję.

Najważniejsze – mordercy kobiet zostali ujęci. Dlatego dzisiaj nad ranem zezwolono jednej z gazet na opublikowanie wzmianki. Jej treść została uzgodniona z cenzorem. W istocie nasza robota już została zakończona – oczywiście, będziemy teraz prowadzić wszystkie niezbędne rutynowe działania, dokumentować poszczególne zbrodnie, być może dokopujemy się jeszcze jakiegoś – do tej pory nam nieznanego zabójstwa. Ale z punktu widzenia służb policyjnych problem ten został rozwiązany z sukcesem. Wszystkie kwestie sporne dotyczą spraw natury politycznej i wywiadu. W ich liczbie mam na myśli także przyczynę, dla której Niemcy podrzucili nam te „kukułcze jaja”. Z pewnością nie jest natury kryminalnej.

Wszystkie podstawowe procedury zostaną zakończone w ciągu tygodnia – dwóch, nie musimy się spieszyć, skoro sprawcy siedzą pod kluczem. Wtedy prokuratura będzie mogła na podstawie zebranego materiału dowodowego przygotować akt oskarżenia, zapoznać z nim aresztowanych i tak dalej. Póki co, obaj ujęci zostaną umieszczeni w azylu doktora Ktonopki, dzięki czemu będziemy mogli w sądzie przedłożyć odpowiednie opinie biegłego.

Prokurator aż się spocił od wysiłku mówienia jak najprościej, choć sformułowania prawne same wypychały mu się na język. Poza tym we znaki dawał mu się kac po „gruzińskiej” nocy. Z hotelu, bladym świtem, pojechał do łaźni i stamtąd prosto do pracy, mimo to nie udało mu się całkowicie usunąć z organizmu śladów popijawy.

Teraz odezwał się adiutant:

– Tak, dzielnie się panowie spisali. Podziękowania w formie wzmianek w stosownych pismach i raportach do Ministra Policji powinny szybko zaowocować nowymi „wstęgami” u waszych mundurów. Istotnie, sprawa zostaje już – jako problem kryminalistyczny – zakończona. Jego Ekscelencja ma nadzieję, że przy wypełnianiu rutynowych, dalszych kroków zostanie zachowana taka sama pieczołowitość, akuratność, jak na samym początku. Zezwala się na trzy artykuły prasowe przed rozprawą: nie podkreślać więcej niemieckości sprawców, na to zawsze znajdzie się czas. Należy uczulić prasę na uwypuklenie roli miejscowych sił porządkowych – imiennie – w tej niebezpiecznej akcji. Do czasu powołania składu sędziowskiego więcej niech prasa nie pisze. Sytuacja polityczna się zmienia, zobaczymy, jakie nadejdą instrukcje. Dziękuję panom w imieniu generała-gubernatora, na dzisiaj to wszystko. Ach, panie von Brugge, zechce pan pozostać jeszcze na chwileczkę?

Pozostali urzędnicy wycofali się z sali posiedzeń, Hurko mruknął tylko:

– Ja na chwilę... Na stronę... – I też się usunął.

Adiutant zwrócił się do prokuratora.

– Szanowny panie tajny radco... chcielibyśmy w i e d z i e ć wszystko o sprawie Wotcowa oraz o agentach. Od pana, nie tylko z III Wydziału. Niech pan uruchomi swoje źródła... Tam też.

– Wiedza to potęga... – dwuznacznie rzucił pan Tymoteusz.

– I władza, panie rzeczywisty tajny radco... Jakby co...

– Jasne. Biorę się do roboty.

– Jeszcze jedno. Nasz ogar, który przegryzł już dwa gardła zwierzynie i złapał za trzecie, choć chwilowo mu się omsknęło, powinien być otoczony specjalną ochroną. W Warszawie, w całym Królestwie – włos nie może mu spaść z głowy. Ale – jednocześnie – kiedy tylko naprowadzi pana na właściwy trop, powinien skończyć mu się urlop. Dlatego, kiedy tylko będzie pan wiedział, proszę o telefon.

– Kiedy tylko zwęszy trop, od razu pana zawiadomię. Ochronę uruchomię za pół godziny, muszę dotrzeć do urzędu. Telefonicznie nie chciałbym...

– Dziękuję i czekam na telefon.

Prokurator wstał i po wojskowemu, krótkim, gwałtownym skinieniem podbródka odmeldował się. Od dawna stawał

na tego bieguna i cieszył się, że kolejny raz wybrał właściwie. Daleko zajdzie. A on – wraz z nim. Z radości zbiegł kilka schodków, ale nagle tak go łupnęło w głowie, że od razu sobie przypomniał, że czas...

na klina.

Kiedy Van Houten obudził się, jego głowa spoczywała na wydatnym „puzie” pana von Bruggego. Obaj znajdowali się w pokoju pana Grigorija Nodarowicza Czchartaszwiliego. Rozstali się szybko, bo następował dzień roboczy – warszawski urzędnik musiał stawić się na stanowisku, a i Estar Pawłowicz miał swoje plany. Na odchodnym jednak obiecał Gruzinowi, że jeszcze dziś przedstawi go, po południu, pani Ricie.

Udał się do swojego numeru, dokonał porannych obrządków i usiadł, aby zastanowić się nad dalszymi działaniami. Nie wierzył, że Wotcowa mógł zabić niemiecki agent – to znaczy zabić mógł, ale nie na zlecenie ojczystego wywiadu. Rozkaz sprzątnięcia albo i samo usunięcie niewygodnego oficera Ochrany, mógł wydać (lub nawet wykonać) tylko ktoś ze służb rosyjskich. Odrzucił wariant, że tajna policja Wilhelma miała swojego człowieka w III Wydziale – nie z tego powodu, że był pewien „czystości szeregów”, tylko celowości działania. Sama likwidacja prowadzącego dochodzenie Fiodora Andreicza nie miała sensu: miał przełożonych, którym meldował o prowadzonym śledztwie, o podejrzeniach, hipotezach, tropach. Po tragicznej śmierci kolegi oficerowie odtworzyliby stan jego wiedzy, drogę myślenia i znaleźliby właściwy kierunek poszukiwań. Potem – prędzej czy później – dotarliby do materiału, który odsłoniłby im tajemnicę, za posiadanie której major zginął.

Jego śmierć miała sens tylko wtedy, gdyby zleceniodawca należał do urzędników Ochrany lub był jego bezpośrednim przełożonym. Najprawdopodobniej spektakularny sposób, w jaki zamordowano żandarma, wybrano nie bez powodu. Użycie „tajnej broni” miało skierować śledztwo na fałszywy trop, obciążyć nim właśnie „zagranicę”. Ale pojawiło się zbyt wiele czynników, które temu przeczyły – przede wszystkim pierwsza zasada kryminalistyki: *cui bono?* Jaką odniósłby korzyść wywiad Bismarcka z zabicia oficera zajmującego się działaniami politycznymi – to znaczy, badającego nawet sprawy kryminalne pod tym właśnie kątem? Uciszenie śledczego, który domyślał się lub wiedział, że sprawcami zbrodni są maniacy „wyeksportowani” z Prus? Gdyby chcieli zatrzeć takie ślady, wystarczyło zabić Wotcowa i usunąć zabójców kobiet – dwie kulki więcej, co za problem? Ewentualnie wywieźć ich szybko z powrotem... Samo zabicie oficera – bez usunięcia świadków i dowodów – było nieracjonalne. Pozostawały dwa warianty: albo cel tej prowokacji, na razie tajemniczy, nie został zrealizowany, dlatego potrzebni byli w Warszawie i mordercy, i sama broń. Albo prowokacja spaliła na panewce, ponieważ ujęto sprawców. Nie, nie, coś poplątałem. Spróbował spojrzeć na sprawę inaczej – po co przywieziono do Warszawy wyspecjalizowany oręż, służący do zamachów w miejscu publicznym? W dodatku – wystrzeliwujący pocisk rewolwerowy? Aby sprzątnąć Wotcowa? Śmieszne. Mogła to być najwyżej próba generalna. Zatem – w Warszawie jest jakaś figura, albo ma przybyć figura takiej WAGI, że warto dla jej zabicia przygotować całą operację. Tak skomplikowaną, kosztowną i długotrwałą jak turecki gambit... Zatem musi to być znaczny polityk.

Po drugie, operacja jeszcze nie została zakończona. Sądząc po braku nerwowych ruchów przeciwnika, wydaje się, że jeszcze trwa. Broń przepadła, kamuflaż – czyli dwóch morderców – spalonych, a nie widać jakiejś masowej ewakuacji siatki szpiegowskiej do Prus.

Po trzecie, czy to na pewno Prusy? Co tu robi Jacques i ta Niderlandka, nie wiadomo dla kogo pracująca?

Po czwarte, dlaczego najwłaściwszym kamuflażem mieli być maniacy-mordercy?

Po piąte, co ma z tym wszystkim wspólnego adiutant Ministra Policji i sam Minister? Dlaczego ten ostatni stwierdził, że złapanie maniaków to nie jest główny cel Estara? W takim razie, co nim jest?

Zaczął od pierwszego punktu: KTO ma być – bądź miał być – ofiarą zamachu? Jeśli się tego dowiem – będę wiedział po co. Dlaczego Bykow podpowiedział mu coś o obowiązkach protokolarnych generała-gubernatora Hurki? Naprowadzał na właściwy trop czy na odwrót – wprowadzał w ślepy zaułek? Czy winien jest sam Hurko? Gruba ryba, ale... nieistotna – to tylko marionetka.

Pojawiło się wiele pytań, na każde z nich mogło paść kilka wzajemnie zaprzeczających sobie odpowiedzi. Musiał jeszcze poczekać z wnioskami. Czas na działanie – jak mówi stare japońskie przysłowie: Wepchnij kij do klatki z dzikimi

zwierzętami, a zobaczysz, które z nich jest groźne...

W ten powszedni dzień trzystutysięczne miasto tętniło życiem – robotnicy tłumnie zmierzali do pracy w Akcyjnym Towarzystwie Przemysłowych Zakładów Mechanicznych Lilpopa, Raua i Loewensteina, urzędnicy pchali się do omnibusów, aby zdążyć za pulpity Kasy Pożyczkowej Przemysłowców Warszawskich, Banku Handlowego, do kantorów Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, do kas Banku Dyskontowego, klienci-ziemianie do biur Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a kupcy i *bourgeois* – do Banku Wawelberga, którego renoma była na tyle wielka, że swoje oddziały otworzył nawet w Petersburgu. Subiekci biegli do sklepów, handelków i interesów. Zgiełk, rwetes na zatłoczonych ulicach wcale nie dokumentowały kryzysu ekonomicznego, który przez ostatnich kilka lat dręczył gospodarkę ciągle pacyfikowanego Kraju Nadwiślańskiego, a od około dziesięciu – całego Cesarstwa Rosyjskiego.

Dzień jak co dzień w każdej metropolii. Kradzieże, włamania, zabójstwa i wypadki, oszustwa i zwykłe, nieujęte w karby przepisów prawnych świństwa. Ból, krew i cierpienia – von Brugge nie mógł odłożyć tych wszystkich codziennych spraw, chleba swego powszedniego. Jego obowiązki nie ograniczały się tylko do sprawy morderców seksualnych. I tak te, które potrzebowały występowania w sądzie, przekazał kolegom i podwładnym. Scentralizowana machina państwowa stworzyła moloch biurokratyczny – w urzędach i instytucjach państwowych zatrudniano dziesiątki (w Królestwie) i setki (w Imperium) tysięcy biuralistów: starsi i młodszy sekretarze, protokolanci, rejestratorzy, kanceliści i podkanceliści, pisarze, tłumacze, aktuariusze, archiwariusze, buchalterzy, kopiści... Jednak dzięki nim i rozbudowanym służbom policyjnym, gdy władzy na czymś zależało, można było zadziwiająco szybko otrzymać ogromną ilość informacji – poczynając od kart meldunkowych w hotelach, akt osobowych z dowolnej guberni, po raporty donosicieli, stróżów, dworcowych tajniaków i środowisk przestępczych, w takich sprawach często współpracujących z policją – dla własnego dobra. Zebranie i dobór informacji, jej uporządkowanie wymagały czasu, ale rezultat był niechybny.

Pan tajny radca właśnie posłał czterech agentów, aby na zmianę śledzili Estara Pawłowicza. Przy okazji mieli go chronić przed nieokreślonym, ale prawdopodobnym zagrożeniem życia. Sam pan prokurator pozostał w biurze i czytał, czytał, czytał... Depesze, raporty, meldunki, donosy i donosiki, notki i wiadomości od tajnych informatorów. Cała zdobyta w ten sposób wiedza coraz bardziej potwierdzała jego wcześniejsze podejrzenia. Ale mógł je zachować tylko dla siebie. Nie miał zamiaru walczyć z „potęgami” tego świata, nie bawił się w donkiszoterię. Stałe grzebanie się w śmietniku ludzkich egzystencji uczyniły go trochę czerstwym i cynicznym, choć zachował „ludzki” rys w swojej działalności. Właśnie dlatego był dobrym prokuratorem.

Wzorem i gestem piątego prokuratora Judei – Poncjusza Piłata – umył ręce... Zrobił, co mógł: w duchu życzył Van Houtenowi powodzenia. Oraz takiej szybkości działania, żeby wrogowie nie zdążyli ani przed nim się ukryć, ani jego samego – wykreślić z listy żywych.

Do drzwi zastukał kancelista i wsunął głowę zaraz po usłyszeniu gromkiego:

– Wejść!

Wszedł. Bystrymi oczkami obiegnął pokój: papiery na stole prokuratora zdawały się pod magiczną, przyciągającą siłą jego wzroku unosić się i szybować ku niemu.

„Jeszcze jeden Cagliostro biurowych batalii!” – Pomyślał gospodarz gabinetu.

Iwan Akakiewicz Kaługa, otyły, czterdziestoletni, odziany w zniszczony chesuczowy surducik i wytarte sukienne spodnie, stał przed wszechmocną personą von Bruggego w pozie skulonego niewiniątka. W rękach trzymał plik gazet:

– Świeżo nadeszły, z Berlina...

– Połóż na biurku. Dziękuję.

Boczkciem, boczkciem, drobnym kroczkciem postać przysunęła się do biurka, położyła przyniesiony rulon tak, aby potrafić jeden z raportów leżących na blacie – żeby podnosząc go, odczytać cokolwiek...

– Precz! – Ryknął tajny radca.

Skonfundowanego Iwana Akakiewicza wymiotło za drzwi.

– Ten też dla kogoś szpicluje... – westchnął do siebie radca i złapał gazety. Rozerwał banderole, przejrzał pierwszą stronę jednej, rzucił. Złapał następną, to samo. I jeszcze jedną...

Wszystkie papierzyska ze stołu zgarnął w stertę, wrzucił do szafy pancernej, zamknął, złapał prasę jedną ręką, drugą jesionkę i wyleciał z gabinetu.

Wyskoczył z urzędu, jakby go diabeł gonił, wsiadł do bryki i krzyknął do woźnicy:

– Do pałacu generała-gubernatora!

Pomknęli.

Adiutant przyjął go natychmiast.

– Już wiemy. Ale dziękuję, żeś pan tak szybko przyjechał – możemy od razu nanieść kontruderzenie. Rozumiemy, jaki był cel Niemiaszków, kiedy podesłali nam tych wampirów...

– Ciekawe, czy wiedzieli już o aresztowaniach czy jeszcze nie?

– Sądzę, że przyspieszyli atak prasowy, kiedy wpadł pierwszy zabójca... Ale wywiad to sprawdzi – dowiemy się, kiedy artykuły złożono w zecerni do druku.

– To wygląda na początek kampanii przeciw Rosji.

– Też tak myślę. Można się było spodziewać czegoś podobnego – i to właśnie tutaj. Jeżeli Niemcy chcą podsyć wrzenie w Imperium, Warszawa jest najodpowiedniejszym miejscem. Szczególnie dzięki działaniom pana oberprokuratora Świętego Synodu... Nie zapominając o zasługach mojego szefa, który ślepo wykonuje wszystkie polecenia dotyczące rusyfikacji...

– Tak, Pobiedonoszew więcej zrobił korzystnego dla Niemców, niż ci wszyscy agenci i berlińskie pismaki razem wzięci.

– Nie tylko dla Niemców. Teraz prze do starcia z Japonią... do którego – między nami mówiąc – oj, wcale, ale to wcale...

– ...nie jesteśmy przygotowani. A jak słyszałem, żółtki już poczęły komasację przemysłu...

– Żeby tylko. Po proklamowaniu konstytucji ich cesarz stał się władcą absolutnym i popiera program tego Fukuzawy Yūkichi – jak to się nazywało? Chyba... *bummei-kaika*, „cywilizacja i oświecenie” – czyli w skrócie: jak ukraść broń cywilizacji i wprowadzić Jaśnie Oświecone panowanie Japonii w całej Azji...

– Zatem będzie wojna na dwa fronty?

– Dwa?... Po wojnie francusko-pruskiej Niemcy stały się już najpotężniejszym mocarstwem w Europie, przegoniły Anglię, a ich ambicje stale rosną – teraz biorą się za kolonie... Od lat się przygotowują – podporządkowały sobie Austrię i Włochy, potem handlując nie swoimi ziemiami na kongresie berlińskim, podkupiły Portugalczyków, Belgów i Holendrów... Ci teraz będą im chleb jeść z ręki i poprą w wielu sprawach... Anglicy – jak zawsze – knują przeciw nam na naszych azjatyckich granicach. Krążą słuchy, że są nawet gotowi wesprzeć Japończyków, zamiast się z nami sprzymierzyć przeciw Niemcom... Prusacy rosną w siłę z godziny na godzinę – przemysł, przemysł i przemysł! A u nas?

– Trzeba dążyć do zbliżenia z Francją.

– Francją? Po przegranej wojnie z Prusakami, krachu w Panamie, utracie Kanału Sueskiego – jest w podobnej sytuacji jak my... Poza tym, ciągle wspomaga Turków, którzy, po porażce z nami, znowu usiłują powstać na nogi...

– Ale Francuzi mają przemysł! I bogactwa z kolonii...

– To prawda. Jednak, jeżeli zobaczą, że jesteśmy słabi, będą mieli lepszą pozycję przetargową w negocjacjach. Może po to przysłali tego Jacques'a? Żeby wsparł Niemców... aby osłabić nasz prestiż, stabilność Królestwa, podważyć międzynarodową reputację? Wtedy będą dyktować warunki ewentualnego przymierza... Wygląda to dosyć

prawdopodobnie... – Adiutant podrapał się w czoło, a potem podjął decyzję.

– Tak. Skończymy z tym jeszcze dzisiaj. Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz... Jak oni tam napisali? „W tym urągowisku Europy, imperium zdegenerowanego rodu Romanowych, gdzie na swobodzie krążą maniacy-mordercy”... Tak, jeszcze nie ma bezpośredniego ataku – tylko pierwsza poszlaka, wstępna aluzja. Trzeba to ukrócić. Do piątej rano proszę zarządzić likwidację siatek niemieckiego wywiadu w Królestwie. Zaraz pójdę do Josifa Władymirowicza, aby polecił Ochranie współdziałać z panem. Mają przekazać panu pełne *dossier* tych agentów. Proszę ukręcić sprawie łeb. Potem spotka się pan z Francuzami, da pan im do zrozumienia, co trzeba i wyekspediuje z powrotem, niech tam sobie w Paryżu Sûreté połknie tę żabę. Przecież lubią. A ja jutro, z samego rana, wezmę się za Bismarcka. Pokażę mu, co możemy...

Von Brugge, nie w ciemną bity (nie licząc razów małżonki), jeszcze raz się upewnił, że rumak, na którego postawił, jest tuzem w tej grze.

„Ciekawe, kto za nim stoi?” – Przemknęła mu myśl, ale zaraz wygnał ją z głowy. Nie jego interes. Na razie...

Po niecałej godzinie tajny radca wrócił do siebie z pełnymi plenipotencjami, potwierdzonymi podpisem generała-gubernatora. Pół godziny później na jego biurko oficerowie żandarmerii złożyli wykazy znanych pruskich konfidentów i szpicli.

Nastąpiły rewizje i dochodzenia – policyjne, żandarmskie i administracyjne. Sądny dzień nastał dla sługusów Wilhelma – do północy „zdjęto” ich ponad półtorej setki, do piątej rano – godziny wyznaczonej na koniec akcji – jeszcze trzydziestu czterech. Dwunastu nie odnaleziono, piętnastu zdążyło uciec. Policyjne karetki w samej Warszawie przetransportowały w tym czasie siedemdziesięciu ośmiu podejrzanych, a w tej akurat sprawie podejrzany znacząco winny. Areszty były przepełnione, na miasto padł strach – nie od razu mieszkańcy zorientowali się, że to nie za nich się wzięto, że nie ich czekają kibitki i Sybir.

Działy szyfrów, zbrojownie i eksperci mieli roboty po uszy – zarekwirowane dokumenty, księgi kodów, chemikalia do tajnopisów, broń, listy przekupionych rosyjskich urzędników zajęły całe pomieszczenia. W miarę odczytywania ukrytych informacji fala aresztowań toczyła się dalej – teraz objęła wszystkich, którzy wspierali, bądź sprzedawali się Niemcom. Ta faza operacji trwała jeszcze przez tydzień – zaaresztowano ponad trzystu obywateli rosyjskich. Pogrom w Królestwie objął w sumie ponad sześćset osób, obywateli państwa Romanowych.

Nad ranem jedynymi działającymi w Warszawie współpracownikami niemieckich tajnych służb byli dyplomaci. *Notabene* – niewiele czasu pozostało im na działania – już przygotowywano w Petersburgu noty dyplomatyczne, uznające ich za osoby *non grata*. O siódmej rano – co za (celowy) nietakt! – do posła Prusiech w stolicy Cesarstwa Rosyjskiego doręczono wezwanie do niezwłocznego stawienia się w pałacu – celem odebrania protestu władz rosyjskich. Dwie godziny później w Berlinie poseł rosyjski spotkał się z bezimiennym urzędnikiem z gabinetu Bismarcka i – w konfidencjonalnej rozmowie – uprzedził go o konsekwencjach, jakie poniosą Prusy, jeżeli natychmiast nie zaprzestaną przygotowanej uprzednio prowokacji oraz nie zamkną „twarzy” swoim pismakom. Niemiecki junkier twardo zażądał zwrotu „zdejtej” siatki – w zamian za obietnicę zaprzestania podjętych działań przeciw Cesarstwu Rosyjskiemu i jego domowi panującemu. Otrzymał nieustępliwą odpowiedź – ich ludzie poznają najpierw gościnność cara i piękno ogromnego kraju. Zaraz potem – szeptem, na ucho, prywatnie – ambasador poradził Prusakowi, aby szybko poszukał sobie innego patrona, bo... Dalszego ciągu szeptu nie było, ale bezimienny osobnik wszystko pojął.

Wybiegając nieco w przyszłość – niedługo potem kanclerz Bismarck musiał złożyć dymisję...

A o tej porze człowiek, który przez całą noc koordynował wiele z działań podjętych przeciw ludziom Bismarcka, słodko spał u boku swojej prawowitej, skruszonej małżonki. Zaraz po rozmowie z Francuzem i jego piękną tancerką – która trwała tylko kilka minut – pełnym pędem kazał zawieźć się woźnicy w kierunku swoich piernatów... Tak był skonany, że przed snem zdążył skosztować tylko gęsie udko. Żonę pozostawił w spokoju.

ROZDZIAŁ 15

Der Tod und das Mädchen

Śmierć: [...]

W ramionach mych błogo będziesz spać. [\[22\]](#)

Pan radca skłamał. Skłamał mówiąc Kozulinowi, że uciekinier rozpoznał któregoś z nich dwóch. Wiedział, że rozpoznał właśnie jego, a nie Aleksego Iwanowycza. Twarzy tego ostatniego pod czepcem wcale nie było widać. Ale dlaczego jakiś nieznajomy miał rozpoznać radcę kolegialnego Estara Pawłowicza Van Houtena w Warszawie? Czyżby stał się już tak popularny? Nie, najzwyczajniej w świecie był to zleceniodawca – człowiek, który nakazał zabicie urzędnika. Mało tego – fotograficzna pamięć detektywa usiłowała podsunąć jakieś wspomnienie, jakiś detal, coś, gdzieś, kiedyś widzianego. Nigdy nie zapominał człowieka, którego choćby raz zobaczył – tylko nie mógł skojarzyć, kto to był... i kiedy.

„Widać też był ucharakteryzowany i przebrany, coś mi się zdaje, że poznałem... ale nie potrafię sobie przypomnieć u kogo. – Pomyślał. – Nie szkodzi, gdy zobaczę go następnym razem, już będę wiedział.

Niemiecki agent skłamał.”

Dlaczego skłamał? Bo mężczyzna, który przyszedł z resztą gotówki, był tym samym, który pojawił się u niego z obstalunkiem drewnianej jesionki dla moskwianina. Chciał zapalić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek? Być może...

Przyjmując zeznania zabitego za częściowo prawdziwe – że zleceniodawca nie był Niemcem... nadal nie wiedział, czy to Niemcy chcieli go usunąć. Na zdrowy rozum, Prusakom nie powinno zależeć na pozbyciu się Estara – było po czasie, już pojmał nasłanych przez nich zabójców... Chyba że to miała być zemsta, teutońska Rache... Jednak – widząc przez ułamek sekundy twarz i przez kilkanaście sylwetkę – radca miał nieodparte wrażenie, że to rzeczywiście nie był ziomek Kanta...

Skądś pamiętał tę niewielką bliznę na wardze... Nieważne. Teraz – prosto do celu.

Pojechał do policyjnej kostnicy. Spędził tam pół dnia, oglądając trupy – tym razem przyjął „kropelki” od pięknej pani prosektoressy przed przystąpieniem do pracy i obeszło się bez większych ambarasów. Panna Zofia była mile zdziwiona, widząc go tak wcześnie – z samego rana – bo w głębi duszy uważała, że pojawi się dopiero po zakończeniu jej pracy... Zakamuflowała jednak w sercu radość ze spotkania, bo, co tu ukrywać, przystojny Moskał ją zaintrygował. Po przywitaniu, z kamienną twarzą sięgnęła do kieszonki białego fartucha – przykrytego dziś skórzanym – i wyjęła małą paczuszkę.

– Chciałam panu serdecznie podziękować za ten przepiękny podarek świąteczny, ale nie mogę go przyjąć. Takie prezenty u nas daje się kobiecie tylko w dniu zaręczyn. Albo kokotom. Ponieważ nie prosił mnie pan o rękę, muszę uznać, że zalicza mnie pan do drugiej kategorii białogłów, otrzymujących takie... upominki.

Radca nie pojął czy panna Maciejewska sobie z niego żartuje, czy też mówi poważnie, dlatego na wszelki wypadek odrzekł zupełnie serio, acz jękając się (czym całkiem zламаł niewieście serce pani doktor):

– Ależ pani... Zofio Józefowna, jakżebym ś-śmiał... Chciałem t-tylko wyrazić mój ppp-podziw i ppp-pppodziękowanie.... No, jak pp-ppanna mogła tak o mnie pomyśleć!

A panna prosektoressa roześmiała się dźwięcznym, perlistym śmiechem.

– Och, przecież żartowałam! Proszę tak śmiertelnie poważnie nie pojmować moich słów! Rzecz jasna – darunku nie mogę przyjąć, jest doprawdy zbyt cenny, ale nieskromnie przyznam się, że nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłby pan mnie tak szacować...

Pąs, który zdążył pokryć gładką twarz eleganta, nie chciał od razu zniknąć, płonął na jego policzkach jak malowany, a pani doktor coraz bardziej... i bardziej... zakochiwała się. Z czego – na swoje nieszczęście – zdała sobie sprawę.

– Bard-dzo proszę, chociażby w ramach rekompensaty za ten okk-krutny żart, przyjmąc ten gościniec.

Panna Zofia spojrzęła rezolutnie w oczy Estarowi Pawłowiczowi, jakby mówiąc: zawsze zdęzysz mi go dać jako zaręczynowy...

Ale nie wyrzekęła słowa, oddała paczuszkę z etui. Pan radca zrozumiał wymowę spojrzenia, a ponieważ już nie mógł nabrać rumieńców – było niemożliwym nałożyć więcj cynobru na jego lico, więc tylko odpowiedział podobnie wymownym, acz bardziej lakonicznym spojrzeniem:

– Dobrze...

Przyjął paczuszkę z powrotem. Jako że zapadło niezręczne milczenie, gdyż oboje bali się powiedziec za wiele – zagał, zgrabnie kontynuując, a jednocześnie zmieniając temat:

– Ja też chciałem złożyć podziękowanie, ale bez żadnego sarkazmu – za śliczny upominek, który jest na tyle drogi memu sercu, że przyjmuję go bezwarunkowo. I nie oddam w żadnym wypadku!

Przestał się już zająkiwać, a zorza z jego policzków zaczęła powoli, ale widocznie znikac. Przeniosła się na twarz panny Maciejewskiej – tyle że u niej oznaczęła zadowolenie i kontentację.

– Radam bardzo.

Czując, że grunt jest ciągle jeszcze grząski, detektyw zdecydował się na radykalną zmianę kierunku konwersacji.

– No to cieszymy się oboje. Ale ja – oprócz chęci ujżenia pani... eee... panny – dotarłem tutaj w celach zawodowych. I bardzo potrzebuję pomocy... lekarza...

Panna Zofia też chętnie przeszła na tematy zawodowe, bo na inne, było zbyt wcześnie...

Estar Pawłowicz wyłuszczył swoje petycje – nie ograniczył się bowiem tylko do prośby o krople... Początkową konsternację, która pojawiła się na twarzycze rudej lekarki, prędko zastąpiło zrozumienie. Najpierw poszli analizować rejestr kostnicy. Do końca dnia pan radca więcj czasu spędził na analizie wykazów, niż na inwestygacji trupów, ale i tego drugiego zajęcia całkiem nie udało mu się uniknąć. Robił wypisy, badał statystykę, sprawdzał daty i – jak każdy typowy kancelista – tworzył kolejną stertę papieru. Ruda pani doktor, kiedy tylko znajdowała chwilę wolnego czasu, wspierała jego badania – przypominała sobie szczegóły, których nie zamieszcza się w repertoriach archiwów, szczególnie wtedy, gdy śmierć dotyka „dołów społecznych” czy też konkretniej – ich przedstawicielei.

Po lewej stronie stołu, przy którym spędził tyle godzin Estar Pawłowicz, stopniała górka takich dokumentów jak: *w wyniku sekcji zwłok ustalono, że śmierć następiła na skutek zapalenia mózgowia, wywołanego raną postrzałową w skroń, które się rozszerzyło na powłokę lewej jamki, powikłanego w końcu z ostrym zapaleniem twardej opony mózgowej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zadana nieboszczykowi rana należy do rzędu bezwarunkowo śmiertelnych.* Za to po prawej stronie stołu – z jednego arkusika osobistych notatek wyrósł ich cały plik. Liczba protokołów dotyczących tragicznej śmierci młodych mężczyzn odpowiadała w przybliżeniu raportom o nagłych zgonach kobiet lekkich obyczajów.

W czasie przerwy obiadowej poszli razem do pobliskiej traktierni, na plac za kaplicę. Estar Pawłowicz przekonywał piękną Zofię Józefownę, aby jeszcze raz przemyślała kwestię swojego wyjazdu – panna Maciejewska jednak nie chciała nawet o tym mówić. W końcu wypaliła:

– Pan tak mówisz, jakbyś nie wiedział doskonale, że w państwie rosyjskim nie ma miejsca dla nowoczesnej kobiety! U nas, w Królestwie, to jeszcze coś się dzieje, a u was? Nawet Kursa Bestużewskie zamknięto! Wszystkie mądre dziewczyny i kobiety muszą studiować w Europie... A czy każdą stać na to, żeby jechać do Francji? Nawet moja rodaczka i imienniczka, Korwin-Krukowska, zrobiła profesurę z matematyki pięć lat temu w Sztokholmie, a dopiero teraz łaskawie przyjęto ją do Petersburskiej Akademii Nauk! Rosja to polityczne więzienie – nie tylko dla tych, którzy parają się polityką, ale dla wszystkich postępowych sił i ludzi! To państwo gnije i się rozkłada, nie wierzę, że pan, człowiek inteligentny, tego nie dostrzega! Prędzaj mu do kostnicy, niż do rozwoju i rozkwitu!

Estar Pawłowicz opuścił głowę i odpowiedział:

– Ma panna, niestety, rację. Ale nie jestem szczurem, który ucieka z tonącego okrętu. To moja ojczyzna i będę się starał, żeby nie pogrzyżała się w otchłani.

– Widzisz pan, sam przyznajesz... Dlaczego pan chce, żebym też tonęła wraz z tym obcym mi korabiem?

– Dlatego... że jeden z jego pasażerów nie będzie pannie obcy. Poza tym – może ma panna rację? Właściwie już od dawna myślę o tym, czy nie wyjechać... Mój patriotyzm powstrzymuje mnie od podjęcia decyzji, ale ostatnio... ostatnio coraz bardziej jestem przekonany, że... No, to nie jest miejsce na takie patetyczne rozmowy. I nie ten czas. Jeżeli panna pozwoli, wrócimy do tej kwestii...

– Bardzo ciekawam kiedy?...

Później dysputa potoczyła się innym torem – zwykłego, kulturalnego flirtu. Oboje zdawali sobie sprawę, że są sobą zauroczeni, dlatego też nie chcieli przedwcześnie przekroczyć pewnych granic – trzymanie się flirtu pozwalało na powiedzenie słów, których w innych okolicznościach nie wolno byłoby bezkarnie wyrzec, a tak, podane w formie lekko żartobliwej, traciły patos i ostateczność. Zofia mówiła o codziennym życiu, rodzinie, pracy, o męczących dojazdach autobusem. Tu pan radca wtrącił cytaty z klasyki: „Jadę sobie konnym tramwajem... Wagon przepełniony: są tu i panie z towarzystwa, i studenci, i kursistki – jak w arce Noego”, który panna rozpoznała, więc biesiada przeszła na tematy literackie, później muzyczne. Okazało się, że lekarka jest melomanką i podpytywała Van Houtena o wrażenia z premier, które jeszcze nie dotarły do Warszawy: ostatnich baletów i oper Czajkowskiego. Panu radcy słoń na ucho nadepnął, do czego brawurowo się przyznał.

– To pan nie tańczy? – zdziwiła się z żalostí pani prosekter.

– Taniec szkieletów – zażartował moskwianin. Poczem dodał wyjaśniająco – Żartowałem, podobno nieźle płąsam..

– A ja uwielbiam wieczorki taneczne i bale, reduty... Choćby te w naszej Resursie, w pałacu Morsztynów na Miodowej...

– Może będę miał okazję... Z okazji moich urodzin...

– Och, to pan ma teraz urodziny?

– No, nie dziś, dopiero 8 stycznia...

Flirt toczył się dalej, wartko i bez przeszkód, dopóki repetier detektywa nie wybił godziny – wtedy dopiero zauważyli, że czas upłynął i pora wracać do pracy. Do trupiarni.

Przed samym zakończeniem roboty Estar Pawłowicz wyszedł parę minut wcześniej niż panna doktor, pobiegł do sprzedawczynie kwiatów przed kapliczką, znowu kupił wszystkie i – również biegiem – wrócił przed budynek, skąd za chwilę powinna wyłonić się ryżowłosa Polka.

Gdy drzwi uchyliły się i zza nich ukazała się zgrabna postać, po ulicy, za plecami radcy, z głośnym hurgotem, przemknęła kareta. Urzędnik nie odwrócił się, bo co obchodziła go bryka jakiegoś szalonego czy pijanego woźnicy?

Pobiegł na spotkanie schodzącej po stopniach dziewczyny. Ta, roześmianymi i trochę wilgotnymi oczyma powitała bukiet i skrytego za nim pana radcę. Kiedy dzielił ich już ostatni schodek, Van Houtenowi nagle przyszło do głowy, aby ofiarowując kwiaty, przyklęknąć na kolano. Zgiął jedną nogę...

Wtedy zagrzmiął głuchy wystrzał. Twarz panny poblądła woskowo, oczy z wielkim zdziwieniem i bólem spojrzały na wprost, w kierunku kolasy, jakby pytały: Za co? Pośrodku jej czoła pojawiła się okropna dziura.

I dziewczę upadło na stopnie.

Detektyw, widząc ranę, nawet nie rzucił się, aby podtrzymać lekarkę. Wiedział, co to oznacza. Rzucił się na schody całym ciałem, w prawo od osuwających się zwłok panny. Wtedy huknął drugi strzał – kula pacnęła w stopień z piaskowca, wyrывая wielki kamienny kęs, który przeleciał o centymetry od skroni leżącego Estara Pawłowicza. Ten właśnie dokonywał obrotu ciałem, a gdy tylko znalazł się na plecach, jedną ręką wyszarpnął spod palta rewolwer, drugą odepchnął się od schodów, aby szybciej wstać. W tej samej chwili dwukrotnie oddano ognia – tym razem z rewolwerów. To obaj stojący nieopodal kupcy strzelali do oddalającej się karocy. Siedzący na tylnym koźle z oparciem krzyknął

i złapał się za głowę, po czym pochylił się wprzód, rozplaszczając się na dachu pojazdu. Radca już nie wypalił – karoca skręciła. Para panów w dostatnich strojach kupieckich podbiegła do niego, z przerażeniem pytając się czy aby nic mu się nie stało.

– Mnie nic. Ale panna... zabita – odrzekł pobladły urzędnik. Jeden z „kupców” pobiegł do kostnicy po pomoc, drugi, z wyjętym rewolwerem w ręku, rozglądał się dookoła. Jak się później detektyw dowiedział – byli jego obstawą, przydzieloną przez prokuratora. Po krótkiej chwili z budynku wyszli stróż i pomocnik prosekatora, przenieśli ciało zastrzelonej lekarki do środka. Pięć minut później pojawiła się policja. Wezwano też fiakra, który odwiózł Van Houtena do hotelu.

W dorożce towarzyszyli mu obaj agenci. Pan radca był tak wstrząśnięty tragiczną śmiercią pięknej Zofii, że się nie sprzeciwiał.

Nawet nie zauważył, że portfel z notkami, które opracował w kostnicy, pozostał na chodniku, skąd podniosła go ręka jednego z filerów. Za chwilę szyldwach, poganiając dorożkarza, odwoził go do pałacu generała-gubernatora. Zanim Estar Pawłowicz dotarł do swojego numeru, zawartość jego teczki skupiła uwagę kilkorga par niecierpliwych oczu. Rezultatem tego konsylium był nagły alarm – w Moskwie i Petersburgu. Depesze krążyły przez pół godziny pomiędzy najwyższymi urzędnikami państwa, a jedna dotarła nawet wprost do sekretarza tajnej kancelarii Najjaśniejszego Pana – hrabia zaniósł ją, w zamkniętej kopercie, bezpośrednio monarsze. Gdy burza gromadziła się nad głową pana radcy kolegijskiego, on sam, niczego nie przeczuwając, zbroił się na wyprawę.

Nagle do drzwi jego pokoju zastukano i nie czekając na odpowiedź, wsunięto przez nie głowę: to pojawił się gruziński przyjaciel Estara Pawłowicza. Pan radca przeprosił, że osobiście nie dotrzyma mu towarzystwa podczas spotkania – dokona jedynie prezentacji. Nie wiedział, że za dziesięć lat ta krótkotrwała znajomość z Gruzinem wywrze decydujący wpływ na jego życie za oceanem.

Zjechali na pierwsze piętro do luksusowego apartamentu. Tam Van Houten, po krótkim wyjaśnieniu w formie komplementów – przedstawił Grigorija Nodarowicza i pozostawił go sam na sam z balijską tygrysią. I z Jacquesem.

Punktualnie o piątej trzydzieści rano, kiedy zabawa w hotelowych apartamentach na pierwszym piętrze trwała w najlepsze, pan von Brugge, w wyjściowym mundurze, przy orderach i szpadzie urzędniczej, zastukał do drzwi, do których dwanaście godzin wcześniej zapukał detektyw. Drzwi otworzyły się od razu – w salonie było jeszcze kilku zapóźnionych gości, popijających „szampitra” w towarzystwie *monsieur Jacques’a*. *Mademoiselle* w komnacie nie było. Pan prokurator wszedł w towarzystwie asesora kolegijskiego Kozulina i dwóch smętnych panów po cywilnemu. Widząc jego poważną minę i dyskretny znak, jaki dał ręką. Jacques przeprosił gości, proponując im dalszą zabawę w restauracji i – dosyć grzecznie – wypchnął ich za drzwi. Niespecjalnie zwrócili na to uwagę, ponieważ byli na niezłym rauszu. Po chwili na korytarzu hotelowym zapanowała cisza. Aleksy Iwanycz ujmująco – tak, jak potrafią to tylko policjanci – rozkazującym tonem spytał w rodzimym języku gościa:

– Dama?

Francuz wzruszył ramionami i wskazał mu łokciem drzwi od sypialni. Już się domyślił, kim jest pytający.

Asesor podszedł do drzwi od buduaru i mocno załomotał. Trzy razy, rozdzielając serie walenia w drzwi półminutowymi pauzami.

Po chwili wyjrzała zza nich lekko rozczochrana główka Rity Hamy.

Policjant, z taką samą, uprzedzającą grzecznością warknął po francusku:

– Ubierać się.

Gdy drzwi chciały się zamknąć za znikającą w nich postacią kobiety, wstawił w nie nogę i wskazał jednemu z pryncypialnych panów w cywilu, aby wszedł do alkowy.

Dama nawet nie zaprotestowała, za to gość, który tam przebywał – szybką fangą w nos pozbawił pana w meloniku przytomności. W podziękowaniu za ten dzielny akt obywatelskiej odwagi, relegowano gruzińskiego kupca na korytarz w samych pantalonach. Dopiero po dłuższej chwili poleciała za nim odzież – zebrana przez filerów i wyrzucona przez

drzwi, które natychmiast się zatrzasnęły przed nosem wściekłego konesera kaukaskich trunków i orientalnych piękności. Pani Rita Hama przeszła do salonu, dołączyła do Jacques'a. Von Brugge wskazał im kanapę, żeby usiedli, a agenci rozpełzli się niczym karaluchy po mieszkaniu.

To jednak nie była rewizja.

Konfidenci pakowali rzeczy gości.

Tymoteusz von Brugge stanął w lekkim rozkroku przed „nieproszonymi” francuskimi gośćmi Cesarstwa Rosyjskiego i powoli, bezwzględnie wyrzekł:

– Państwa *tournée* zostaje odwołane. Za godzinę odchodzi pociąg, dlatego, abyście mogli nań zdążyć, przyszliśmy pomóc w pakowaniu.

Potem zwrócił się do Francuza, uznając danserkę za obiekt niegodny zainteresowania:

– Zechce pan powtórzyć tam – zaakcentował ostatnie słowo – że sojuszy i przyjaźni nie buduje się w ten sposób – Znowu pozwolił sobie na podkreślenie jednego słowa. – Tym bardziej, kiedy wspiera się prowokacje nieprzyjaciół naszego państwa. Jako wyraz naszej amicyi, ale i ultymatywnego określenia naszego stanowiska w tej kwestii – nie będziemy badać, czy i w jakim stopniu współdziałaliście państwo z Prusakami. Jednak Francja, jeżeli jest zainteresowana współpracą z naszym Imperium, musi zaprzestać podobnych akcji na terytorium Rosji. Powtarzam – tylko ze względu na naszą przyjaźń do pańskiej ojczyzny, nie wyjeżdżacie teraz na Sybir. Żegnam państwa. – Na pół po wojskowemu skinął głową Jacques'owi i wyszedł.

Kozulin pozostał dopilnować ekstradycji podejrzanej parki.

Na korytarzu von Brugge spotkał swojego gruzińskiego przyjaciela i pomógł mu pozbierać odzież i odprowadził go do numeru, gdzie – na pożegnanie – skosztowali odrobinę Napreuil... Naprawdę – tylko odrobinę.

W Warszawie budził się nowy, ale ostatni dla wielu ludzi, dzień.

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy zmęczony doktor Ktonopka, siedząc w gabinecie, kończył dopisywać ostatnie uwagi do wywiadów z najnowszymi pacjentami. Właśnie im poświęcił cały dzisiejszy dzień – takie rarytasy rzadko się trafiają nawet w światowych annałach. Znużonym wzrokiem patrzył na zapisane dwie sterty notatek, zatarł ręce z radości – zdobędzie sławę w medycznym światku! Chwycił zapiski i zaniósł do sąsiedniego pokoiku, służącego mu za archiwum. Wrzucił każdą stertkę do oddzielnej szuflady metalowej szafki na akta.

Wrócił do gabinetu, wygodnie rozparł się w fotelu, lampę na biurku trochę przykręcił, aby nie raziła już oczu, założył ręce na kark i rozmarzył się.

Laury, członkostwa – honorowe i rzeczywiste – stowarzyszeń naukowych, dyplomy uznania i artykuły... Dziesiątki naukowych artykułów! Może nawet trafi do którejś z akademii? Niewątpliwie... Utrze nosa swojemu wiedeńskiemu koledze Zygmunтови... A Anglik Mandsley i Niemiec Griesinger zzielenieją z zawiści!

Chyba zdrzemnął się, bo kiedy nagle usłyszał hałas na korytarzu, musiał chwilę przytomnieć, zanim zrozumiał, co się stało: przez otwarte drzwi wsunął się szwajcar szpitalny, obwiązany liną niczym baleron i zakneblowany. Zaraz za nim wszedł do pokoju wysoki mężczyzna o długich włosach. To on wepchnął do gabinetu z trudem drepczącego ciecia. Oparł go o ścianę obok drzwi, jak stróż miotłę, sięgnął do płaszcza i wyjął rewolwer.

Wycelował go w siedzącego nieruchomo z konsternacji psychiatrę. Ten tylko w myśli przecierał oczy ze zdumienia, nie wiedząc czy to sen czy jawa. Napastnik zamknął za sobą drzwi, podszedł do lekarza i nieoczekiwanie się odwrócił: rewolwer wypalił, trafiając w głowę opartego o ścianę brodacza. Ciało osunęło się na dywan. Dym spalonego prochu, huk wystrzału całkiem oszołomiły Czecha – zanim się zorientował, jego ręce spoczywające za głową zostały unieruchomione przez osobnika z bronią. Przyłożył rewolwer do skroni lekarza i nacisnął spust. Doktor z odstrzeloną połową czaszki opadł resztką twarzy na biurko, a mężczyzna, który wykonał egzekucję, wcisnął rewolwer do jeszcze ciepłej dłoni nieżywego.

Odstąpił o krok, rozejrzał się. Podszedł do sekretrety, wyrzucił z szuflad dokumenta na jej blacik. Tak samo opróżnił

jedną szufladę biurka. Potem złapał lampę i przewrócił ją wprost na stertę akt na stole. Nafta pociekła płonąca strugą aż na dywan, który zaczął się smrodliwie palić, wydzielając duszący dym. Postać zabójcy mignęła już przy drzwiach. Jeszcze tylko rzucił płonąca fosforową zapalkę pośród papierzyska na sekretarzyku i zniknął w korytarzu.

Gabinet doktora znajdował się na parterze „zamkniętego” budynku jego azylu. Kiedy płomienie ogarnęły kotary i zaczęły być widoczne przez okna, w piwnicy eksplodowały butle z chemikaliami – chloroformem i eterem, których używał w swoich eksperymentach. Pod murem osłaniającym oba budynki lecznicy psychiatrycznej od zaułka, przemknęła wysoka postać nieznanego. Zanim z sąsiednich domów i z drugiego, „zwykłego” domu kliniki wybiegli ludzie i pod niebieskie sklepienie poleciały przerażone okrzyki: „Gore! Gore!”, tajemniczy osobnik zniknął bez śladu.

Po jego wizycie pozostała tylko łuna, a w pół godziny później, kiedy dojeżdżał pierwszy beczkowóz z brandmajstrem i strażakami, budynek się dopalał. Większość gapiów uciekła, bo odór płonących żywcem ciał i krzyki gorejących pacjentów w zakratowanych celach nawet najodważniejszym skojarzyły się z apokalipsą.

Budynek wiele nie ucierpiał, ale wszyscy jego lokatorzy zginęli – albo od ognia, albo trujących dymów. Dwóch – od kuli w głowę. O tym jednak dowiedziano się dopiero po trzech godzinach, kiedy policja przeszukała ruiny i pogorzeliśko – oba ciała zastrzelonych zachowały się zupełnie nieźle, jak na potrzeby eksperta medycyny sądowej, który przybył na miejsce natychmiast.

Wieść o pożarze rozeszła się po mieście szybciej niż sam ogień po płonącym budynku. Makabryczne wydarzenie zapisało się na długo w pamięci mieszkańców. Aczkolwiek większość z nich do końca życia pozostawała w nieświadomości, że było to podpalenie i morderstwo – w każdym razie prasa nigdy o tym nie wspomniała. Nie ukazała się nawet wzmianka, że dwa znalezione ciała miały przestrzelone głowy. Ani że podłożono ogień. Za to w ciągu najbliższych kilku tygodni szeroko rozpisywano się o kontrolach w lecznicach – państwowych i prywatnych – podobnego charakteru, gdzie wykryto szereg uchybień z zakresu zabezpieczenia przeciwpożarowego. Chociaż pogrzeb ofiar odbył się na koszt państwa, o jego dacie i godzinie nie wspomniano w żadnym periodyku. Być może dlatego, że wszystkie ofiary – łącznie z doktorem Ktonopką, który nie miał ani żony, ani dzieci – trafiły do masowych grobów dla biednych.

Odprowdziwszy Gruzina do salonu rani, Estar Pawłowicz wbiegł na swoje piętro – spieszył się, aby osobiście zastąpić Temidę: prokuratora, sędziego i kata jednocześnie. Ledwo wszedł do pokoju, ponownie zapukano – gdy otworzył, do numeru wszedł Iszczajew. Jego twarz była lisio smutna, przez co widać było, że w głębi duszy śpiewa z radości. Wbrew temu wymuszał na twarzy zachowanie pozorów.

Złożył krótkie, oględne kondolencje i przystąpił do sprawy:

– Panie radco kolegiálny, mam... – perorę przerwało mu stukanie. Po głośnym „Proszę!” Van Houtena zjawił się szyldwach z depeszą. Detektyw pokwitował, przeprosił pełniącego obowiązki naczelnika policji kryminalnej miasta Warszawy i podszedł do okna przeczytać telegram. „Z dniem dzisiejszym zostaje odwołany urlop pana. Oczekiwany natychmiastowy powrót do pracy. Za gubernatora Moskwy szef jego tajnej kancelarii, sekretarz kolegiálny Kobyłow Aleksander Afanasjewicz”.

Pan radca kolegiálny spojrział pytająco na Andrieja Iwanowicza. Ten potaknął głową.

– Zatem słucham? – Rzekł opanowanym głosem, ale niegrzeczna forma pytania świadczyła o zdenerwowaniu.

– Mam poinformować pana, radco kolegiálny, że po ostatniej próbie zamachu na pana, na polecenie Ministra Policji mam zapewnić panu bezpieczeństwo osobiste na czas pańskiego pobytu w Warszawie.

– Rozumiem, że to oznacza areszt domowy?

– Nie, no skądże. Zwyczajnie, do czasu skończenia się pańskiego urlopu, ze względu na napiętą sytuację w mieście pełnym nacjonalistów-buntowników, nie mogę podjąć się tego obowiązku na obszarze poza hotelem... Stąd przed drzwiami pańskiego apartamentu będzie dyżurować czterech uzbrojonych agentów.

– Ponieważ mój urlop kończy się dzisiaj, mam opuścić miasto jutrzejszym pociągiem? Czy dobrze zrozumiałem telegram?

– Doskonale zrozumiał pan depeszę.

– No cóż. Jestem urzędnikiem, muszę się podporządkowywać poleceniom zwierzchników. Chciałbym jednak pożegnać się z kilkoma osobami...

– Nie ma żadnego problemu. Proszę je wymienić, a będą oczekiwały pana jutro rano na dworcu.

– Pan prokurator...

– Niestety, przykro mi – pan tajny radca będzie dzisiaj pracował przez całą noc, do białego rana. Prosił mnie o przekazanie słów pożegnania. Osobiście napisze do pana, do Moskwy, list z przeprosinami...

– Tak. W takim razie lista jest wyczerpana. Ponieważ właśnie wybierałem się na posiłek do hotelowej restauracji, czy nie zechciałby mi pan towarzyszyć?

– Żałuję, ale muszę się oddalić w obowiązkach służbowych. Rekomendowałbym zamówienie jedzenia do numeru. Pańskie życie jest dla nas zbyt cenne...

– Chciałbym nadać depeszę...

– Ależ oczywiście! Przecież nie jest pan więźniem. Proszę tekst odesłać do recepcji przez jednego z agentów czuwających na korytarzu.

– Tak, oczywiście. Po posiłku tak zrobię. Ponieważ, jak pan wspomniał, spieszy się pan – nie zatrzymuję. Będzie pan łaskaw po drodze przysłać mi piętrowego?

– Och, nie ma potrzeby! Agent przyjmie od pana zamówienie.

– W takim razie żegnam pana, Andrieju Iwanowiczu.

– I ja pana, Estarze Pawłowiczu.

Tajny radca, który przez cały ten czas stał, w nieokreślony sposób skinął głową – nie wiadomo czy detektywowi, czy też figurce stojącej na parapecie kominka – zawrócił na pięcie i wyszedł, cicho i dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Estar Pawłowicz zadzwonił na lokaja, ale w wejściu – zgodnie z zapowiedzią Iszczajewa, pojawił się pan z melonikiem w ręku.

– Poproszę o przystawki, supę julienne, befsztyk ze szparagami... Niech kelner od win dobierze do tego coś odpowiedniego z ich piwniczki. Potem kawę i deser – owoce.

– Taaa...est!

Drzwi trzasnęły.

Po posiłku Van Houten polecił tajniakowi przysłać lokaja, aby zaczął pakować rzeczy, a sam zajął się ćwiczeniami gimnastycznymi.

Kiedy posługacz spakował większość bagaży i zwiózł je na dół, gospodarz pokoju został sam. Podszedł do okna i otworzył je szeroko. Wyrzał, ocenił gzyms, parapety, odległość do rynien i sąsiednich pokoi... Tą drogą tylko jaskółka mogłaby się oddalić. Nawet nindza zostawiłby po sobie jedynie mokrą plamę. Potem spojrzął w górę – nic z tego. Budynek zaprojektowano bez większości zewnętrznych ozdób. Żadnych wystających elementów, sztukaterii – przynajmniej na tym poziomie. Próba wydostania się przez okno zakończyłaby się oczywistym samobójstwem. Zamknął je, podszedł do drzwi – uchylił je po cichu i wysunął głowę. Spotkał się oko w oko ze szpiclem, za którym, o cztery kroki dalej stali jeszcze dwaj. Czwarty siedział w fotelu, po lewej i niedwuznacznie trzymał dłoń w złożonej gazecie.

Estar Pawłowicz zamknął drzwi, poszedł na środek pokoju, usiadł na podłodze. Po trzech minutach znajdował się w stanie wyższej koncentracji. W ten sposób spędził kilka godzin – nawet nie sprawdzał na zegarze, która jest. Po prostu się ocknął – ulicą jechała najwidoczniej straż pożarna na sygnale. Potem zapanowała cisza. Pan radca udał się wziąć kąpiel, założył piżamę i zapadł w głęboki, spokojny sen.

Zemsta jest rozkoszą bogów. Bogowie są nieśmiertelni. Czas nie odgrywa dla nich roli. A stara mądrość ludowa – nie tylko Japończyków – głosi: Co się odwlecze, to nie uciecze...

Wczesnym rankiem, po porannej gimnastyce, zimnych i gorących ablucjach oraz obfitym śniadaniu, pan radca

dopilnował ostatniego pakowania. Przypomniał służbie o welocypedzie i kazał zamówić dorożkę. Przekazał przez agenta bilet wizytowy na recepcję – dla sąsiada, Grigorija Nodarowicza, z dopiskiem, że przeprasza za wyjazd bez osobistego pożegnania – bo pora ku temu niestosowna, ale że będzie rad spotkaniu w Moskwie. Nie przewidział, że ich następne spotkanie odbędzie się dopiero za dziesięć lat, za oceanem i zmieni całe jego życie. Na dworzec pojechali w trzy fiakry – jeden z tajnikami poprzedzał powóz Van Houtena, drugi jechał jego śladem. Na kozioł powozu transportującego eksmitowanego gościa, obok wańki, wgramolił się szpicel – odbezpieczył rewolwer, rękę wystawił do przodu, ukrywając ją przed wzrokiem przechodniów dorożkarskim pledem. Woźnica podciął batem kościstego bułanka, ruszyli stępa.

Detektyw spoglądał na miasto obojętnym wzrokiem. Nie żegnał się z nim – wiedział, że przynajmniej raz tu wróci. Nic go nie powstrzyma. Na grób panny Maciejewskiej, która zginęła przez jego głupotę, z jego winy. „Psiakrew, powinienem wiedzieć, że przynoszę tylko śmierć! A każda kobieta, która się we mnie zadurzy, staje się kochanką śmierci...”

Wiedział też, że będzie to jego ostatni przyjazd do Warszawy, bo potem wyjedzie na Zachód, nigdy nie wróci do Rosji. Tylko spełni swój obowiązek. Swój, prywatny – bo Estar Pawłowicz-urzędnik umarł. Za trzy doby złoży oficjalną dymisję – jeżeli takowa już na niego w starej stolicy nie czeka.

Nie odgadł jednak, że jego plany nie spełnią się. A przynajmniej – nie całkiem. I z pewnością nie dotrzyma terminów.

ROZDZIAŁ 16

Cebula

Wina jest zawsze po stronie partnera.^[23]

Na dworcu panował znacznie większy tłok niż poprzednio. Kiedy przyjeżdżał – czekał na niego jedyny kolega. Kiedy odjeżdżał – też żegnał go tylko osamotniony pan Adam Puławski. Estar Pawłowicz zdziwił się, że młody asesor tak się naraził, ale zaraz pojął, że Puławski był całą delegacją: zastępował i pana Tymoteusza, i pana Semi-Bułatowa, nawet pana Kozulina. Przekazał moskwianinowi ukłony od wszystkich, przeprosił w ich imieniu, że nie mogli przybyć osobiście – „obowiązki...”. Młody człowiek przyniósł ze sobą cały plik świeżej warszawskiej prasy – do czytania podczas długiej jazdy. Radca w widoczny sposób wzruszył ramionami i chłodno podziękował. Formalnościom stało się zadość. Bagażowi ładowali dobytek pasażerów, a kiedy peron opustoszał z kufrów, skrzyń, pudełek i waliz, ogłoszono krótkie opóźnienie odjazdu pociągu. Do ostatniego wagonu doczepiano dwie salonki. Na peron wyległo mnóstwo policji ustawionej w dwa szpalery – od wejścia na dworzec do drzwi pierwszego pulmana.

– Wczoraj przysły raporty, odpowiedzi na pańskie pytania...

– Nie rozumiem?

– No, tę listę podejrzanych w sprawie Rippera – żaden z nich nie przebywał legalnie w tym roku w Rosji. Nie ma też żadnych przecieków, tajnych informacji, donosów czy podejrzeń, żeby którykolwiek z nich przedostał się nielegalnie na nasz teren.

– To już nieaktualne...

– Wiem, ale taka informacja może panu się przydać, kiedyś później...

– „Później” w sensie służbowym, pewnikiem już nie będzie. Niech pan mi lepiej powie... Co z panną Maciejewską?

– No przecież sam pan wie.... Ach tak... Sekcji nie było – rodzina uznała za zbędną. Przychylił się do ich prośby. Pogrzeb będzie pojutrze, na tutejszym cmentarzu... Na Powązkach.

– Mam w takim razie prośbę, czy zechciałby pan... w moim imieniu... złożyć kwiaty na... jej grobie?

– Ależ oczywiście! Sam miałem taki zamiar...

– Będę panu serdecznie wdzięczny. I... czy jej rodzinie nie jest potrzebna jakaś pomoc? No... na przykład materialna? Nic o nich nie wiem...

– Wątpię. To dosyć zamożna rodzina, osiadli w mieście ziemianie z kieleckiego. Jeżeli pana interesują, mogę panu jutro wysłać o nich informacje... Policyjne... Dojdą do Moskwy równo z pana przybyciem.

– Nie, dziękuję, nie trzeba. Gdyby pan mógł jednak wysłać mi jakiegś jej zdjęcie... Sprzed...

– Poproszę jej rodziców. Prywatnie – nie jako urzędnik. Wyślę panu zaraz, jak tylko otrzymam. Kurierem, zgoda?

– Niech pan pisze bezpośrednio na mój domowy... Proszę, tu wizytówka, dopiszę panu...

Pan radca pośpiesznie nakreślił ołówkiem na odwrocie karty swój stały adres moskiewski.

Zepchnięci przez filerów i agentów podróżni nagle się stłoczyli. Pan Puławski, wykorzystując zamieszanie, szepnął detektywowi na ucho:

– Pan adiutant prosił przekazać, że do granicy Kraju Nadwiślańskiego jest pan bezpieczny. Później musi się pan troszczyć o siebie sam. I ma pan być ostrożny. Powtarzam jego słowa – bardzo ostrożny!

Estar Pawłowicz, równie obojętnym jak uprzednio tonem, rzekł:

– Proszę przekazać podziękowania. Domyślałem się.

Tłum ponownie skłębił się – to u wejścia pojawiła się liczna świta jakiegś osobistości. W cywilnym ubraniu ukazała się przyczyna całego zamieszania. Wielki Książę Nikanor Aleksandrowicz śmiesznie wyglądał w meloniku, a jego

uczernione brwi, naróżowione policzki i podkreślone karminem usta upodobniały go do starej kokoty – poprzez kontrast ze świeżymi, cherubinowymi licami otaczających go młodziutkich, przystojniutkich oficerków, kadecików i junków. Całe towarzystwo, głośno dowcipkując i śmiejąc się, zmierzało do salonek. Wśród tłumku na końcu eskorty paziów cesarskiego brata, mignęła przed oczyma radcy wysoka, szczupła sylwetka podpułkownika hrabiego Nikołaja Andreicza Kapitonowa, krótko ostrzyżonego starszego oficera ordynansowego pana Ministra Policji. W cywilnym ubraniu. Obok szedł oficer żandarmerii o sylwetce kancelisty, który najwidoczniej go odprowadzał. Gdy przybyli załadowali się do komfortowych wagonów, pozwolono pozostałym pasażerom zająć miejsca w przedziałach. Estar Pawłowicz wymienił pożegnalny uścisk dłoni z panem asesorem i rzucił na rozstanie dwuznacznie:

– Rejterada... – I ulokował się w swoim *coupé*.

Do brankardów salonek wsiedli konwojenci ochrony. Parowóz gwizdnął nie na żarty, szarpnął trzy razy składem, ruszył w długą drogę do stolicy Imperium.

Przeznaczony dla Van Houtena przedział był pusty – widać warszawscy koledzy po fachu dopilnowali, aby wykupić dlań cały. Elegant o zajadłym obliczu zdjął wierzchnią odzież, porozkładał bagaż podręczny, aby mieć do niego wygodny dostęp. Dwadzieścia minut później, na pierwszej małej stacyjce konduktor przyniósł samowarek i nakrycia do herbaty, konfitury i obwarzanki. Dostał rubla w asygnacie i zgięty w pół zapytał:

– Czy jego ekscelencja nie życzy czegoś jeszcze?

„Jego ekscelencja” nie życzyła sobie nic więcej, jedynie poprosiła o informację, jakie są kolejne stacje, o której na nich się zatrzymają i kiedy opuszczą granice Królestwa.

Znowu zastukały koła, pan radca w eleganckim półszlafroku zasiadł do herbaty, sięgnął po gazety. We wszystkich strony tytułowe krzyczały wielkimi nagłówkami o tragicznym pożarze w klinice doktora Ktonopki. W jednym z pism znalazł arkusik z ołówkiem nabazgraną informacją – widać w pośpiechu, dla niego – *Archiwa doktora nie przepadły – część ocalała. Dzięki psychiatrze historie obu pacjentów obfitują w szczegóły dotyczące charakteru zbrodniarzy. W toku wielogodzinnych rozmów zdołał zgromadzić dane dotyczące całego ich życia. Pożar nie osiągnął celu podpalacza.*

Grymas zawziętości pojawił się na chwilę na ustach pasażera, po czym dalej przeglądał gazety. Niedługo zdrzemnął się, albo zapadł w nirwanę, bowiem oczy jego były puste, a na twarzy pojawił się wyraz nieobecności.

Po przyniesionym na stacyjce obiedzie, który spożył w samotności i milczeniu we własnym przedziale na długo przed granicą, na następnym miejscu postoju w przedziale pojawił się niespodziany gość.

Wszedł z butelką szampana w rękę, roześmiany i wesoły. Wysoki, chudy dżentelmen z niewielką szramką na dolnej wardze.

– No, myślę, że czas odświeżać sukcesy! – Rzekł od drzwi. Pociąg właśnie ruszał, więc chwycił się oparcia, aby nie upuścić trzymanego w drugiej ręce wiaderka z lodem i wystającą z niego butelką w srebrnym hełmie. Estar Pawłowicz, z pobladłą twarzą, patrzył na odzianego w cywilne ubranie hrabiego Kapitonowa.

Podpułkownik rozsiadł się naprzeciw, postawił srebrzyste naczynie na stoliku. Tymczasem urzędnik szóstej rangi, nie skrywając ruchu ręki, wyciągnął spod leżącego na siedzeniu pledu, rewolwer. Głośno odwiódł kurek.

Nikołaj Andreicz zaśmiał się głośno i rzekł:

– Nie trzeba, nie trzeba... Nic panu z mojej strony nie grozi...

– Zapomniał pan dodać JUŻ – chłodno zripostował Estar Pawłowicz.

– No, już, już... Jeżeli chce być pan taki drobiazgowy i pamiętliwy. Sam pan rozumiesz – służba nie drużba. – Wzruszył ramionami.

Krótko ostrzyżone siwo-czarne włosy nie mogły ukryć opatrunku, który miał na lewym uchu. Sięgnął do wiaderka, wyjął tkwiące w lodzie wąskie, smukłe i wysokie kieliszki. Postawił na stoliku.

– Niech pan nie patrzy na mnie jak na wilka z bajki... Sprawy zakończone. Obaj odnieśliśmy sukcesy – ja swoje, pan swoje. Przecież ujął pan morderców kobiet... – znowu głośno się roześmiał, patrząc ironicznie w oczy pana radcy. – Przyszedłem do pana z gałązką oliwną i z wieńcem laurowym... ale nowoczesnym... Po co komu, do cholery, liście bobkowe w pociągu? Nie będziemy warzyć zupy...

Otworzył szampana, rozlał do kryształów. Jeden wyciągnął w kierunku Van Houtena. Ten nawet się nie poruszył.

– No, niech pan nie przesadza. To nie trucizna! – Mówiąc to, oficer wypił ze swego kieliszka. – Pan się pewnie zastanawia, po co przyszedłem. Nudzę się w salonce – nie interesują mnie, ani to towarzystwo, ani jego „Gospodyni”. Mamy odmienne upodobania. A pan jest człowiekiem inteligentnym, obytym, rozmowa z panem będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością... Poza tym, mam interes. Ale, póki co, niech pan opowie, jak rozgryzł to wszystko? I... przepraszam, ale doniesiono mi... Po co panu była potrzebna druga wiązka kluczy Fischera?

Estar Pawłowicz wzruszył ramionami. Odłożył broń, ale niezbyt daleko. Wyjął z eleganckiej kamizelki ciężki zegarek, postukał paznokciem o kopertę, mimochodem otworzył ją, spojrzął, która godzina i odrzekł:

– Za późno. Skierowano mnie na tyle fałszywych tropów, że zanim zorientowałem się, o co rzeczywiście chodzi, gra została skończona. A klucze – to był ślad wiodący donikąd, omyliłem się.

– No nie... powiedzmy sobie szczerze... Od początku dostawał pan pewne wskazówki... Niech pan już nie robi z siebie ofiary. Owszem, skonstruowałem parę uliczek bez wyjścia, w które pana „skierowano”... ale sądziłem, że pan właściwie zrozumie zadanie. Dopiero, gdy się zorientowałem, że pan nie rozumie, po co pana wysłano do Warszawy, wtrąciłem się. Zmylił pan nas, no – mnie, poprzednią sprawą. Wtedy wykonał pan wyrok na potworze, nie czekając sądu. Tego oczekiwałem i teraz...

– Zbyt nisko mnie pan ocenił, podpułkowniku...

– Pułkowniku, już pułkowniku... Raczej – zbyt wysoko...

– Szybko pan awansujesz... Zrozumiałem polecenie ministra właściwie: mam zabić sprawcę przed rozprawą sądową. Ale od początku wiedziałem, że to nie ci dwaj Niemcy są głównymi podejrzanymi. Po drugie, nie jestem katem. Uprzednio wykonałem wyrok, który wydałem sam. Nie będę zabijał ludzi, których ktoś inny osądził i chce ich pozbawić życia. Dlatego ich tylko ująłem.

– Jak sam pan widzi – oficer wskazał lekceważącym gestem na gazety – nie na długo. Już nic nie wyśpiewają.

– Niewiele mogli wyśpiewać.

– Tutaj? To prawda. Ale gdyby kiedyś trafili do swojej ojczyzny? Trzeba być przezornym... Pan nie chce szampana? – Po przeczącym ruchu głowy radcy nalał sobie. Powoli sącząc wino, ciągnął dalej. – Pan zaś nie jest dalekowzroczny... Trzeba było ich sprzątnąć podczas próby ucieczki przy ujęciu. Nagroda była murowana, nie tylko upragniona Anna na szyi... Może i diamentowy wieniec?...

Brak reakcji.

– No, kiedy pan doszedł do prawdy?

– Której? Jest tu ich kilka, każda dotyczy innego problemu. Nie wszystkie znam. Na przykład dalej nie wiem, po co Prusacy wepchnęli w to swój nos... – mówiąc to głosem pełnym zaciekawienia pan radca odchylił kopertę swojego zegarka na łańcuchu i sprawdził, która godzina.

– Och, to akurat jest bardzo proste. Cwaniactwo jakiegoś durnia z niemieckiej tajnej policji. Niskiej rangi urzędnik, który nie został wtajemniczony w szczegóły operacji i myślał, że jest najmądrzejszy na świecie – a jego pomysł zaakceptował ten prostak, junkier Bismarck. Nikt go o niczym, rzecz jasna, nie informował, przecież chodzi o sprawy rodzinne. Wydano tylko polecenia wywiadowi i tajnej policji, a ten nadgorliwiec – proszę wybaczyć, nawet nie wiem, jak nazywa się ta miernota – polecał do kanclerza z „pomysłem”. A żelazny, zakuty łeb Otto nie pojął, z jaką finezyjną zagrywką się spotkał i chciał upiec swoją pieczeń przy jednym ogniu. Niemcy, rzecz jasna, nie planowały żadnej kampanii prasowej dla poderwania reputacji... naszego domu panującego. Przecież rody królewskie w Europie to jedna wielka rodzina. Bo to nie Bismarck wysłał tutaj... tych delikwentów. To na prośbę osobistą... no, sam pan wiesz czyją...

sam Wilhelm kazał wszystko przygotować. Według przesłanego im planu. Mojego, ma się rozumieć. Wszystko potoczyłoby się dokładnie jak w szwajcarskim zegarku, ale wmieszał się tępy urzędnik z centrali berlińskiej policji. Stąd bałagan. Dostali potem od Wilusia po łapach i wszystko się uspokoiło – ale trzeba było, niestety, zrobić tę całą hucpę z zesłaniem agentów na Syberię. Nikt w Warszawie nie wie, że pojedą dalej. Przez Japonię, statkiem, do ojczyzny. Będą mieli parę miesięcy urlopu...

– To znaczy, że ściągnął pan te dwa monstra tylko po to, aby zwalić na nich winę za wszystkie zbrodnie „Gospodyni”? Mieli – najzwyczajniej w świecie – zatuszować je hurtem?

– No jasne! A co im za różnica? Tam topór – tu szubienica. Parę ciał więcej, parę mniej... No, nie uprzedzono ich... Ale, jak by na to nie patrzeć, mieli trochę dodatkowych atrakcji w swoim życiu... Takich, które dostarczały im przyjemności... Cha, cha, cha...

– Kiedy pan planował ich... złapać i skazać?

– Skazać? Nie, no co pan... Przecież nie można było dopuścić do złożenia zeznań. Nawet nie mieli zostać zidentyfikowani jako Niemcy. Wotcow okazał się zbyt inteligentny – to on miał ich „sprzątnąć”, ale jemu zamajaczył „trzeci” sprawca... Chciał poprzez nich dotrzeć do „Gospodyni”. Dlatego pozostawił ich na wolności, a kiedy usłyszał o pańskim przyjeździe – nawet zdjął obserwatorów. Żeby przedwcześnie nie wystraszyć. Wtedy wpadły mu w rękę – zupełnie przypadkiem – papiery przesyłane do jego kolegi z żandarmerii, do majora Szepietowskiego. Dokumenty były niewinne, dotyczyły pewnych aspektów ochrony ważnego gościa, przebywającego incognito w Warszawie... Ale Fiodor Andreicz skojarzył. Nie zdążył się z nikim podzielić tą informacją, bo Gleb Panfilowicz... no, Szepietowski, mnie uprzedził. Właściwie, to już żadna tajemnica – to mój bezpośredni podwładny. Taka „delegatura” mojego departamentu w Warszawie.

– Pan kieruje departamentem?

– Moja wina, moja wina, moja wielka wina... pycha. To niewielkie biuro, w sumie ze czterdziestu pracowników. Tylko dla „przykrycia” posługuję się legendą starszego oficera ordynansowego Ministra. Daje mi to władzę i nikt nie zadaje głupich pytań. Nawet minister... he, he, he. To znaczy – on akurat pyta się... czy nie mam jakichś poleceń dla niego! Cha, cha, cha!

Pułkownik nalał sobie kolejną porcję szampana, mlasnął, upił trochę i rzekł:

– Dobry... Niech pan żałuje, że nie zdecydował się... pić... Krótko mówiąc, Niemcy narobili bałaganu, Wotcow zaczął coś kręcić za plecami... więc musiałem przyjechać i zrobić porządek. Żeby wygrzebać te kasztany z płonącego ogniska. Wybrałem pana. A sam dodałem siebie do pańskiej asysty... Ale pan mnie zawiódł. Zaczął prowadzić grę podobną do zamysłów Wotcowa – łapać sprawców, szukać dalej... Po co to panu było? Przecież minister wyraźnie powiedział – zadanie jest inne. Mało tego – dodał, że kryptonim sprawy to „Gospodyni”. Przecież każdy dureń wie, że to – *pardon* – oznacza „ciota”. I każdy burek w Petersburgu wie, że tak nazywa się brata Najjaś... Och, przepraszam...

– W Moskwie wiedzą o tym pewnie tylko jego... efebowie. Domyśliłem się, ale za późno. – Estar wyciągnął za łańcuszek swoją cebulę i zerknął, która godzina.

– No, niech pan w końcu powie, kiedy pan się – i jak – domyślił? Pewnie w trupiarni?

– Tak. Wcześniej dała mi do myślenia stara kronika dworska – wyczytałem w niej, że Wielki Książę spędzi „parę dni” na lustracji jednostek wojskowych w Kraju Nadwiślańskim...

– Ech, a sto razy tym baranom w Cytadeli powtarzałem – nie dopuścić go, to znaczy pana, do kostnicy! Mówiłem, mówiłem, a ci uznali, że jak nie dadzą panu szansy odwiedzić kolegi – majora Wotcowa – w tym przybytku wątpliwych rozkoszy, to pan sam tam pozegluje! No nic, trzeba się uczyć na własnych błędach... A jeszcze bardziej – na błędach podwładnych. Mordy im skuję!

– Kiedy zobaczyłem ciała chłopców, przestudiowałem rejestry pod tym kątem. Wtedy prawda wyszła na jaw – ginęły nie tylko kobiety, ale młodzi, piękni chłopcy... Nawiasem mówiąc, rozumiem, że mordował swoich kochanków, ale po co miałby zabijać... i kobiety? I jak to się udawało ukrywać – przecież w samej Warszawie w ciągu dwóch miesięcy wyszło

chyba... z dziesięć ofiar?

– Ech, jak by to panu powiedzieć. To wcale nie jest ewenement, wielu z „nich” nienawidzi kobiet. Chłopców właściwie nie chciał zabijać... Początkowo to były tylko wypadki „podczas przyjemności”. Dopiero potem w tym zasmakował. Ale prostytutki – o, to robi dla przyjemności. A nie przy przyjemności. – Zaśmiał się ze swojego niezgrabnego, makabrycznego kalamburu. – Dziesięć? Możliwe, nie pamiętam... No, trochę rozzuchwiał się na tym gościnnym występie... Ukrywanie... Tak, to ciężki kawałek chleba. Szczególnie na początku – kiedy grasował wśród dzieci dworzan i szlachty... Teraz nabraliśmy doświadczenia. Poza tym zmądrzał – na te swoje orgie nie zaprasza nikogo z otoczenia – tylko osóbkę z półświatka.

– Taaak. Od dawna?...

– Tak. Prawie od zawsze. Od kiedy dorósł. Za pierwszym razem na dworze było straszne zamieszanie – na szczęście Wasilij Aleksandrowicz miał głowę na karku i ukręcił sprawie łeb. Poza tym – kazał go obserwować. Mądra głowa. Kiedy doszło do drugiego zabójstwa, już nie zaskoczyło „miarodajnych czynników”. No, a potem powołano biuro... Od trzech lat nim kieruję...

– Zaraz, zaraz... Zabija już dwadzieścia lat?

– Coś koło tego. Przepraszam, ale nie chce mi się liczyć.

– A wy... Biuro... sprzątaacie ślady?

– Tak. I jest się czym pochwalić. Działamy na tyle dobrze, że nawet na dworze, w Petersburgu, o tej skłonności brata cesarskiego nie wie prawie nikt. Tylko wtajemniczeni. Wszyscy są tak zafrapowani jego demonstracyjnym homoseksualizmem, że do głowy im nie przychodzi, że jest oprócz tego... no, tak nieładnie to brzmi... sadystą.

– No dobrze, skoro w stolicy macie tak wszystko dobrze zorganizowane, dlaczego pozwolił mu pan na eskapadę? Z tym się zawsze wiąże ryzyko... – Moskwanin wyjął z kieszonki chronometr i rzucił na niego okiem.

– A myśli pan, że mnie ktoś o to pytał? Cesarz najwidoczniej uznał, że skoro o niczym nowym nie słyszy, to znaczy, że nic się nie dzieje. A „Gospodyni” ma ambicje... Zamarzyło mu się *generałgubernatorstwo* tej guberni... O wyjeździe dowiedziałem się, kiedy już kolasy gnały na dworzec! Moi ludzie mieli go chronić przed... wypadką, a nie wyjazdem. Zresztą polityka polityką, a mnie się wydaje, że brata Najjaśniej... do Warszawy prędzej przygnała chęć spotkania ze swoim lubym – jednym z huzarów, którego rodzice, widząc, co się święci na dworze w Petersburgu, postarali się i załatwili mu „zsyłkę” do koszar na Łazienkowskiej.

– A zamachy na mnie?

– Panie radco! Przecież jest pan dorosłym człowiekiem! Jak się mówi „a”, to trzeba powiedzieć „be”... Pan wiedział, w co się panu zachciało bawić...

Pułkownik Kapitonow ponownie wskazał kieliszek Estarowi Pawłowiczowi, kolejna odmowa już go nie zdziwiła. Nalał sobie.

– No, ale my tu gadu-gadu, a czas przejść do rzeczy. Nie przyszedłem do pana, żeby ujawniać – proszę wybaczyć – pierwszemu lepszemu tajemnice państwa. Chcę zawrzeć z panem umowę. Nawet więcej. Pan mi się spodobał – jest pan bardzo inteligentny, rzeczywiście doskonały śledczy, ma pan fart – przeżył dwa zamachy... Przydałby mi się pan.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że proponuje mi pan pracę w Biurze? U siebie? – Van Houten pomacał się po kamizelce, wyjął zegarek i zaczął się nim bawić, majtając w powietrzu.

– Tak, oczywiście! Przecież beze mnie jest pan już spalony. Martwy. Pańska kariera urzędnicza legła w gruzach. Nie na długo znajdzie pan schronienie w Moskwie. Tam też szykują się zmiany. Chce pan w tak młodym wieku zostać rentierem? A kariera? U mnie – w Biurze – wszystko przed panem. Brat cesarski jest młody, jego... skłonności się nasilają... Pracy będzie coraz więcej, za to jakie fawory! Ja – na ten przykład – w ciągu dwóch lat zamierzam zostać generałem. I zostanę, proszę mi wierzyć. Łaska jest u dworu, a nie w podrzędnej mieścinie u odsuniętego od prawdziwej władzy gubernatora. Tu są wstęgi, stanowiska, tytuły – i co za tym idzie – władza i pieniądze. Nie chcę panu dużo obiecywać, ale... No, na początek umówmy się, że po wstąpieniu na służbę w Biurze, tak na przywitanie, zawieszę panu

Annę. A za rok, bez wątpienia – będzie pan radcą stanu. Może szybciej...

– A jaką pracę chciałby mi pan zaproponować?

– Poprowadzi pan nasz „kontrwywiad”. Sam pan widział, Francuzi już coś zaczynają przewąchiwać... Niemcy nic nie wydadzą – to przecie rodzina, ta sama krew, najbliżsi krewni... he, he, he! Nie będą kompromitować swojego cesarza... Tam u nich też coś się święci, może pan mi wierzyć... Niedaleko pada jabłko od jabłoni. O właśnie, sprawdźliby pan, co u nich w trawie piszczy... Z kolei Anglików musimy się obawiać... Będzie pan miał co robić.

– Pańska propozycja – muszę to szczerze powiedzieć – jest dla mnie bardziej niż zdumiewająca... – głos Van Houtena zabrzmiał dwuznacznie, ale starszy oficer ordynansowy chyba tego nie dostrzegł. – Jednak, jeżeli pan pozwoli, chciałbym, korzystając z okazji, bo domyślam się, że to pierwsza i ostatnia nasza rozmowa na ten temat, upewnić się czy dobrze wszystko pojąłem...

– Ależ proszę bardzo! Między przyjaciółmi nie ma tajemnic! – Rozkrochmalił się pułkownik, przyjmując jego słowa za dobrą, dźwięczącą monetę.

– To pan zastrzelił majora? I tego niemieckiego agenta? I pannę Zofię? I spalił klinikę? – Detektyw znów spojrzał na swojego bregueta.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że pan sam do wszystkiego dojdzie! Nie zawiódł mnie pan... Co, pewnie odgadł pan przez moje ucho? – Pomacał się po opatrunku. – Modestia powinna mi kazać zaprzeczyć, ale – między nami – tak. Nie przechwalając się, mam dobre oko. A ta panna... No cóż, wypadek przy pracy. Bardzo żałuję. Celowałem w pańską głowę, kiedy niespodzianie zachciało się panu zabawy w średniowiecznego rycerza i nagle przyklęknął... Naprawdę mi przykro.

– A bombę podesłano mi na pańskie zlecenie.

– Nic osobistego... naprawdę. Bardzo pana lubię. Praca. Zresztą, z pewnością pan mnie rozumie. Obowiązek względem ojczyzny przede wszystkim.

– A dlaczego posłużył się pan strzelbą na sprężone powietrze? Czy potem odjechał pan tym pociągiem linii Okrężnej? A Francuz... współpracował z panem?

– Panie Estarze! Dziwię się pańskiemu pytaniu! Przecież to oczywiste! Usunięcie żandarma, oficera, nie mogło zwrócić uwagi na dochodzenie, które prowadził, a raczej – okoliczności jego śmierci musiały ukierunkować podejrzenia w inną stronę. W tym przypadku – bez żadnych wątpiwości na Niemców, u których znaleziono broń. Broń na tyle charakterystyczną, żeby nie było żadnych wątpiwości, kto zabił. Ja nawet – jadąc z Petersburga – wezwałem Kurta depeszą na fikcyjne spotkanie tuż obok dworca. Zauważył go tam jeden z filerów, raporcik trafił do akt. A przy okazji stworzyłem atmosferę zagrożenia dla „persony” w Warszawie, podejrzenie próby zamachu, co pozwoliło mi przekonać cesarza, żeby stanowczo przykazał „Gospodyni” powrót do stolicy... Jak bym inaczej go zmusił, aby wrócił na rodzinny śmietnik? Rozsmakował się tutaj... Polityka – nie mogę, nie możemy rozkazywać ani Wielkim Książętom, ani innym osobom królewskiej krwi. Należy stworzyć sytuację, która doprowadzi do tego, czego chcemy... Możliwość zamachu wystarczyła, aby Najjaśniejszy Pan w osobistej depeszy rozkazał bratu powrót. A co do pociągu – tak, odjechałem nim. Dwie stacje. Francuz? Nie, nie mam pojęcia, jaką grę przyjechał tu prowadzić. To nie moja parafia...

– Pan sam się tak świetnie charakteryzował, czy do biura najął grimerów? Peruki?

– Nie, to mój prywatny talent. Zawsze lubiłem się przebierać, latami doskonaliłem swój kunszt. Nie chwaląc się – mam piękną kolekcję fałszywych kędziorków... Zdziwiłby się pan!

– I już ostatnie, takie... może panu się wyda zbyt osobiste pytanie... – Van Houten spojrzał na zegarek.

– Mów pan, mów... i tak zaraz kończymy rozmowę. Szampana zabrakło. – Hrabia właśnie wlewał ostatnie krople do kieliszka.

– Dlaczego pan we własnej osobie zajmował się tym „sprzątaniem”?

– Ech, drogi panie radco! Kadry! Odwieczny problem każdej organizacji... Stąd i nasza rozmowa! Kadry, kadry... Nie mogłem powierzyć tego ludziom z Warszawy, bo po pierwsze – z naszego Biura jest tam tylko Szepietowski, pozostali

byli w otoczeniu „Gospodyni” i mieli dosyć własnej roboty – usuwanie zwłok, zacieranie śladów... A po drugie, Szepietowski to specjalista od wywiadu, my właściwie trzymamy go w Warszawie tylko po to, aby był blisko Europy... To prędzej biuralista niż człowiek czynu. Po trzecie, terminy piliły, ściąganie ludzi ze stolicy, uczenie topografii miasta, rozplanowywanie operacji – na to niezbędny jest czas. Po czwarte z kolei, lubię porządnie wykonaną robotę, bez nawalank. I tego, w Warszawie, mogłem być pewny tylko od siebie. Gdyby wszyscy pomagierzy mieli uniwersalne kwalifikacje – byłoby całkiem inaczej. Dlatego właśnie proponuję panu pracę. Pan jest zdolnym teoretykiem, ale przede wszystkim – farciastym praktykiem! Potrafi się pan też charakteryzować... Myślałem, że pękne ze śmiechu, kiedy tam, pod zoo, zobaczyłem pana w mundurze strażaka! Ma pan poczucie humoru, nawet w skrajnych sytuacjach. To dobrze. Wiem, że można panu takie zadania powierzyć bez pudła. Zaplanuje pan, zrealizuje i mucha nie siądzie! Potrzebujemy takich. Nie ukrywam – inaczej by pan tu nie siedział i nie słuchał moich wynurzeń. Pewnie płynąłby sobie Wisłą do Gdańska... z kulką w głowie. Rozmawiałem już z osobami z najbliższego otoczenia Najjaśniejszego Pana, wszyscy mają o panu doskonałą opinię. Jeżeli się pan zgodzisz – z pewnością nominację dostaniesz pan z rąk własnych cesarza. Będzie chciał pana poznać.

– Hrabio, ponieważ obiecałem, że to ostatnie pytanie, w takim razie to, które pan teraz usłyszysz, proszę traktować jako retoryczne: jeżeli się nie mylę, w przypadku odmowy zginę? Prawda?

– Panie radco kochany! O co pan się pyta? Przecież pan nie odmówi. Ojczyzna, cesarz wzywa. To trudna i odpowiedzialna praca, ale konieczna – dla dobra państwa.

Niespodzianie zegarek, kosztowny, ciężki breguet radcy, którym się bawił, upadł na podłogę. Pułkownik mimowolnie schylił się, aby go złapać. W tym momencie Van Houten chyżo się zerwał, złapał butelkę po szampanie i roztrzaskał nią głowę rozmówcy. Warkot omotał narzutą ciała, które opadło na jeden bok, wzdłuż siedzenia. Zerwał zakrwawione zagłówki, rzucił na nieboszczyka. Podniósł swoje cacko z podłogi.

Zdjął całą zastawę ze stolika, szarpnął rzemień otwierający okno – mroźne powietrze włączane do przedziału przez pęd pociągu, rozpoczęło frywolną zabawę z firanami i zasłonkami okna. Estar Pawłowicz stanął na blacie stolika, pochylił się, złapał ciało za nogi. Podniósł je do góry, ciągnąc omotane w narzutę zwłoki po siedzeniu w kierunku iluminatora. Wystawił przez okno najpierw stopy zabitego, potem golenie. Kiedy doszedł do kolan, nogi martwego pułkownika pod własnym ciężarem opadły w dół. Teraz ujął jego tułów w pasie i jednym gwałtownym zrywem umieścił ciało aż po biodra w rozwartym oknie. Musiał przytrzymać zmarłego, bo jego ciało już zaczęło się osuwać w dół, po ścianie wagonu, a nie chciał, żeby zostały krwawe ślady. Rozpaczliwie naprężył mięśnie i uniósł Nikołaja Andreicza za bary. Trzymając go przez ułamek sekundy w wyciągniętych rękach pchnął, odrzucając wystarczająco daleko, jednocześnie przytrzymując jedną ręką omotującą go narzutę. Odwinęła się, pozostając w ręku radcy. Wyrzucił ją chwilę później. Potem złapał wiaderko z resztką lodu, kieliszki i pozbył się również tych akcesoriów.

Zszedł ze stolika, zamknął okno. Gdy wiatr przestał buszować po przedziale, od razu zapadła błoga cisza. Radca spojrzął na zegarek. Zostały jeszcze tylko trzy minuty do stacji. Gdy pociąg zatrzymał się na peronie, Estar Pawłowicz – z przeciwnej strony składu – przekradł się po zewnętrznej półce do sąsiedniego przedziału, skąd właśnie wysiedli pasażerowie. Zabrał narzutę i zagłówki, po czym błyskawicznie wrócił do swojego *coupé*. Uporządkował *locum*, ustawił zastawę do herbaty na miejscu i wychylił się przez okno na peron. Krzyknął:

– Samowar!

W ostatniej chwili przed ruszeniem pociągu podbiegł konduktor z pełniutkim, świeżym samowarkiem. Zabrał pusty i zimny, zapisał zamówienie i oddalił się już po zewnętrznej półce.

Pan radca spojrzął w lustro, przyglądał włosy, poprawił przedziałek i wymuskał wąsiki, następnie usiadł i nalał sobie herbaty. Zagłębił się w lekturze gazet.

Do granicy pozostało jeszcze kilka godzin.

ROZDZIAŁ 17

Na walizkach

*Sankt Petersburg jest smutny
jak zeszłoroczny śnieg.*^[24]

WPetersburgu przybyłych z Warszawy przywitała paskudna pogoda – mokry i zimny wiatr był chyba gorszy od mrozu. Pan radca widział, jak z salonek gramoli się skacowane towarzystwo, które w gęstej eskorcie czekających na peronie agentów policyjnych oddała się ku wyjściu, a tam znikła w szeregu kolas i powozów. Te szybko usunęły przykry widok z oczu prostego narodu.

Do odjazdu moskiewskiego pociągu pozostały tylko cztery godziny, więc pan radca skierował się z bagażowymi do restauracji dworcowej. Tam zniknął na pół godziny w łazience, gdzie mógł w kulturalnych warunkach dokonać porannej toalety. Potem zjadł śniadanie – jeden z tragarzy kupił dla niego w tym czasie bilet – i zaczął czytać stoliczną prasę.

Kiedy pozostała już tylko godzina, zaczął się powoli zbierać. Raptem do jego stolika bez pytania dosiadł się jakiś mężczyzna. Gdy przyjezdny podniósł na niego wzrok znad gazety, głęboko się zdumiał. Naprzeciw, w dość podniszczonym surducie, siedział pan minister policji.

Chciał powstać, ale gest dłoni ministra go powstrzymał.

– Spokojnie, spokojnie, jestem tutaj, jak pan widzi, incognito.

Elegant w milczeniu gapił się na postać naprzeciw.

– Proszę wybaczyć mi formę, nieoficjalną i oficjalną zarazem, w której przyszedłem. Mimo braku pańskiego służbowego raportu gratuluję. Rozumiem, że ze względu na warunki podróży nie miał pan możliwości złożenia pisemnego doniesienia, a odwołanie z urlopu i pilne wezwanie depeszą do gubernatora nie dało panu szansy ubiegania się w tak krótkim czasie o audiencję u mnie i złożenie ustnego meldunku. Uznaję te przyczyny za w pełni usprawiedliwione. Oczekuję, że w ciągu dwóch dni pański pisemny raport dotrze do mnie drogą służbową. Zapewne pomoże panu w jego pisaniu ten dokument, który telegraficznie dostaliśmy dzisiaj rano z Warszawy.

Podał detektywowi trzy arkusze papieru, na których naklejono wstążki tekstu telegraficznego.

– To kopia wysłana specjalnie dla pana, więc może ją pan sobie zatrzymać.

Oniemiały radca odebrał papiery i – nie czytając – wsunął je do teki stojącej przy nogach stolika.

– Pan się spieszy na pociąg, więc powiem krótko. Przez najbliższe pół roku, mimo swoich wielkich zasług, nie zostanie pan przyjęty na dworze, więc Annę prześlą panu specjalnym kurierem. Wręczy ją panu, w imieniu monarchy, gubernator Moskwy. Przez rok – ze względu na natłok spraw, którymi będzie się pan w starej stolicy zajmował – nie będzie miał pan czasu na wizyty w Petersburgu, nawet w Ministerstwie Policji. Cóż robić, tak się zdarza. Ja prywatnie jestem panu bardzo wdzięczny, ale – sam pan rozumie – na dworze łatwo zapominają sukcesy, ale długo pamiętają porażki, więc wolałem spotkać się tutaj, niż jeździć do pana do Moskwy. Korzystając z okazji, jeszcze raz gratuluję wielkiego sukcesu, już rano podpisałem wniosek o pański awans, dzisiaj powinien podpisać go sam Najjaśniejszy Pan. Zanim się pożegnam... Proszę, to też dla pana.

Podał tym razem małą, brązową kopertę. Odsunął krzesło od stolika wstał, skłonił się i odszedł. Zaraz po nim z sali wyszła para dyskretnych, zasepionych panów z melonikami w rękach.

Zbaraniały totumfacki moskiewskiego gubernatora patrzył na obrotowe drzwi wyjściowe – jeszcze się chwiała. Z boku podszedł tragarz i pociągnął siedzącego za rękaw:

– Jaśnie panie, czas na pociąg...

Pognali z wózkami pełnymi bagażu na peron. Ledwo zdążono wepchnąć w nieładzie dobytek pasażera do przedziału, kiedy pociąg gwizdnął – podróżny wskoczył na schodek i wsiadł. Tym razem nie siedział sam – w przedziale znajdowali

się już: starsze małżeństwo, pop w średnim wieku i młody junkier. Do Moskwy pan radca nie miał okazji, aby w spokoju i odosobnieniu zapoznać się z otrzymanymi od ministra dokumentami i przesyłką. W dodatku w nocy pop chrapał głośniejsze niż lokomotywa, a od nieszczelnego okna ciągnęło, więc rano żelazny radca czuł się mocno nieświeżo.

Zanim wziął dorożkę, wypił cztery kawy w restauracji dworcowej – nie był pewny, czy w swoim apartamencie zastanie służbę. Dryndą ruszył zatłoczonymi ulicami w kierunku domowych pieleszy.

Nie pomylił się – puste mieszkanie, zamknięte na cztery spusty, świadczyło o braku troskliwej ręki służącego.

„Widać ciągle szlifuje te szyfr...antki...” – rzekł sobie w duchu.

Stróż z dorożkarzem wnieśli bagaże i stanęli w walonkach u progu, czekając... Roztargniony lokator dopiero po dłuższej chwili dostrzegł ich wyciągnięte miny i rzucił każdemu po papierowym rublu. Usiadł w fotelu, ale nie sięgał nawet do teki – zastanawiał się, od czego zacząć. „Czy i gdzie szybko zgodzić lokaja? Pojechać na audiencję do gubernatora? Nie pojedę – muszę mieć odprasowaną odzież... Znaczą się – najpierw lokaj i reszta służby, kucharka i dziewczka służebna”. Chciał podnieść się z fotela, gdy zadzwoniono do drzwi. Ktoś tak energicznie szarpnął rączkę dzwonka, że ten podskoczył pod sufitem przedpokoju i długo zastanawiał się, czy opaść.

Gospodarz otworzył drzwi – za nimi stał posłaniec. Za posłańcem – kurier. Za kurierem – szyldwach...

Pokwitował odbiór wszystkich przesyłek, rzucił je na stolik w pokoju, tam, gdzie spoczywała już teka z nieodczytaną, wczorajszą „pocztą”.

Elegant, w dalszym ciągu nierozebrany, wyszedł ze swojego apartamentu w skrzydle pałacyku, przeciął podwórze i zastukał do drzwi. Lokaj, który wpuścił go do środka, radośnie uśmiechnął się na powitanie:

– Witamy serdecznie z powrotem w domu, jaśnie panie!

– Dzień dobry Akakiju Fomyczu, dzień dobry. Czy możesz poprosić Stiepana Gawryłowicza, aby zaszedł do mnie na minutkę?

– Już pędzę! – Lokaj wbiegł na marmurowe, szerokie jak rzeka Moskwa schody.

Urzędnik wrócił do siebie. Nawet nie usiadł – wiedział, że stary kamerdyner byłego teścia, jeżeli nie jest zajęty, przybiegnie natychmiast.

I tak się stało. W drzwiach pojawiła się stateczna postać nestora, z bokobrodami jak u stuletniego szympansa.

– Witamy w domu, paniczku! – Stary zawsze tak tytułował byłego zięcia swojego pana.

– Witaj, witaj. Potrzebuję twojej doświadczonej rady. Zgódź mi służbę – od zaraz. Lokaja na dwa miesiące, resztę na rok.

Dostojne lico starego kamerdynera skrzywiło się w sardonicznym uśmiechu. Panowie zawsze sądzą, że dobrą służbę znajduje się na ulicy – stoi i czeka, prosi się o pracę. To panów tak się znajduje, a porządną liberię szuka się ze świecą i dobiera staranniejsze niż kandydatki na ukochaną małżonkę. Trzeba mieć sporo szczęścia, jeżeli uda się ją znaleźć w ciągu pół roku!

– Postaram się w miarę możliwości, paniczku, ale...

– Wiem, wiem, Stiepanie Gawryłowiczu! Ale ja nie potrzebuję teraz wiernych i oddanych cieni mojej osoby na pięćdziesiąt lat służby, tylko na rok-dwa i – szczerze mówiąc – zgodziłbym teraz nawet apasza z Chytrowki, gdyby zastukał zaraz do drzwi i przyniósł mi śniadanie oraz kawę!

Oburzony starzec odwrócił się z konfuzji i chciał wyjść, ale pan radca podbiegł do niego, ujął pod rękę i gęsto się tłumaczył – przeprosił.

Senatorska twarz złagodniała i jej właściciel przez nos wydudnił:

– Poszukam, poszukam. A kawa i śniadanie zaraz paniczowi zostaną podane!

I zniknął za drzwiami.

Rzeczywiście – po dziesięciu minutach przyniesiono najpierw nakryty stolik, potem pojawiła się służąca ze świeżymi bułeczkami w koszyczku. Na piąty następował jej sam przełożony, niosąc okutany w specjalną watowaną kurteczkę

dzbanek ze świeżo zmieloną i zaparzoną kawą.

Radca zdążył już zrzucić wierzchnie odzienie. W krótkiej, eleganckiej podomce zasiadł do stoliczka pałaszować moskiewskie specjały.

Po śniadaniu zapalił papierosa i otwierał po kolei dostarczoną pocztę:

Jego Wysokość, Księżę... tu następowała lista tytułów i odznaczeń w trzy wiersze... *ma zaszczyt zaprosić pana radcę kolegiálnego...* znowu lista tytułów i odznaczeń, tym razem mieszcząca się w jednym wierszu... *na uroczystą dekorację....* a tutaj mieściła się pełna nazwa „Anny”, długa, nudna i zagmatwana przez nadwornych heraldyków... *w dniu dzisiejszym o godzinie czternastej w sali niebieskiej. Wicemundur obowiązkowy...* znowu podpisy: sekretarza kancelarii, kopisty i samego księcia – zgodnie z urzędową procedurą.

– W niebieskiej? – Przemknęło gogusiowi przez głowę – Dlaczego w tej małej jak alkowa salce? Znowu wszystko w sekrecie...

Drugi list – z Warszawy – zawierał króciutką karteczkę z pozdrowieniami od pana Adama Puławskiego i obietnicą, że za dwa dni wyśle lepszą podobiznę – już zostało złożone zamówienie u fotografa, aby zrobił dodatkową odbitkę z dagerotypu. A obok kartki znajdowała się niewielka fotografia, wielkości małej tabakierki, naklejona na grubym kartonie, przedstawiająca pannę Maciejewską w całej postaci. Na pierwszy rzut oka zdjęcie zostało zrobione ze cztery lata temu. Radca zapatrzył się, po czym odstawił je na stolik tak, aby opartej o cukiernicę pamiątce mógł przypatrywać się bez przeszkód.

W trzeciej przesyłce, z Ministerstwa Policji, znajdowała się odręczna notatka głowy tej instytucji, oznajmiająca, że wczoraj Najjaśniejszy Pan podpisał nominację i że nadejdzie ona do Moskwy w ciągu najbliższych dwóch-trzech tygodni.

Na sam koniec położył przed sobą trzyarkusową depezę – aby się zmieściła na stoliku, musiał ręką zmieść zastawę, jedynie cukiernica ocalała. I oparty o nią wizerunek.

Domyślał się treści – po zachowaniu się pana ministra spodziewał się czegoś podobnego.

Był to wstępny meldunek, telegraficzna zapowiedź pełnego raportu, w którym wypunktowano najważniejsze wydarzenia i podsumowano je w nader pochlebny dla pana radcy sposób. Przebiegł wzrokiem arkusiki i zatrzymał się na sygnaturze. Uśmiechnął się, bo odczytując podpis generała-gubernatora Josifa Władymirowicza Hurki, zdało mu się, że ujrzał pod nim twarz adiutanta Bykowa, puszczającego do niego perskie oko. Meldunek w skrócie donosił:

Urlopowany radca kolegialny... [...] podczas swojego krótkiego pobytu w Warszawie ujął dwóch podeślanych przez niemiecką tajną policję prowokatorów, podszywających się pod zwykłych morderców. Niemiecka policja polityczna dokonała tego, aby zdestabilizować sytuację społeczną w Kraju Nadwiślańskim, doprowadzić do buntów i rokoszy przeciw władzy państwowej, rzekomo patronującej i ochraniającej bestialskiego mordercę – wysokiej rangi oficera z Ministerstwa Policji. [...] Te fakty miała ujawnić niemiecka prasa, podżegając w ten sposób i tak buntowniczo nastrojonych mieszkańców Warszawy. [...] Rzeczywiście, podówczas grasował w tym mieście ohydny zabójca, na którego tropie była już żandarmeria, a konkretnie major Wótcow, jednak prawdziwy morderca, hrabia Kapitonow, wykorzystując swoje stanowisko służbowe, uzyskał informację o tym, że jest podejrzany i pospiesznie usunął za pomocą perfidnego zamachu w miejscu publicznym wspomnianego oficera III Wydziału. Później dwukrotnie usiłował dokonać zamachu na życie przybyłego urzędnika do zleceń specjalnych, oba razy bezskutecznie. Podczas jednego z tych zamachów zginęła mieszkanka Warszawy. [...] W trakcie pościgu bandyta zabił ujętego wcześniej niemieckiego agenta, a następnie, prawdopodobnie nieświadomie, doprowadził do utraty życia dwóch śledzących go agentów policyjnych. [...] Aby zatrzeć ślady swojej działalności, dokonał podpalenia azylu dla nerwowo chorych, zginęli wtedy wszyscy pacjenci – dziewięć osób, wśród nich ujęci wcześniej dwaj niemieccy prowokatorzy oraz właściciel kliniki i jej stróż. [...] Widząc, że służby policyjne i żandarmeria są już na jego tropie, salwował się ucieczką pociągiem w kierunku Petersburga, gdzie dogonił go i rozpoznał wracający z urlopu radca kolegialny. Morderca zginął podczas panicznej próby ucieczki przez okno pędzącego pociągu, gdy uświadomił sobie, że został zdemaskowany. [...]

Pan radca w wicemundurze przemierzał pięciometrowej długości salon niebieski, w którego drugim końcu siedział w obficie napudrowanej peruce zażywny książę-gubernator, trzymając wyciągniętą gołą nogą nad miską z jakąś parującą cieczą. Estara dobiegł oburzony szept klęczącego przed tą nogą i smarującego ją gęstą, zielonkawą mazią totumfackiego:

– Wystarczy spuścić go z oka na parę dni i co się dzieje?... Jakich nabrał manier! Jak chłop w jakiejś podrzędnej traktierni... Flaszka po głowie! A jak kłamie?!... Przecie wcześniej wcale nie było w tej Warszawie hrabiego Kapitonowa – nie mógł nikogo mordować. Pewnikiem znowu zabił nie tego, co trzeba... Ja bym mu tej Anny na szyi nie wieszał... Wstyd!

EPILOG

*Na drzewie milczenia rośnie
jego owoc – spokój.*^[25]

Przez dwa lata na Powązkach, na grobie młodej dziewczyny, zawsze w ten sam grudniowy czas, dzień jej śmierci, jakaś nieznana ręka stawiała olbrzymi bukiet białych róż. A trzeciego roku nad grobem pojawił się smukły, ale już mocno posiwiały pan radca stanu. Osobiście przyniósł kwiaty. Na pożegnanie. Wydarzenia ostatnich lat wyleczyły go całkowicie z patriotyzmu, tydzień wcześniej złożył podanie o dymisję, która została przyjęta. Przez Wielkiego Księcia, powszechnie nazywanego „Gospodynią” – nowego gubernatora starej stolicy państwa Romanowych.

Pan radca znalazł się w Warszawie w drodze na dobrowolne wygnanie. Jechał do Paryża. Później miał spełnić niezrealizowane marzenie leżącej tu, pod kamieniem, młodej kobiety – udać się na drugą stronę Atlantyku, do Stanów Zjednoczonych.

Gwoli satysfakcji Czytelnika, Autor po wielomiesięcznych staraniach uzyskał zezwolenie Fundacji *International Detective Archives*, na opublikowanie niektórych informacji źródłowych z ich przepastnych archiwów: właśnie tutaj zdeponowano np. *Acta Fandoriniana*, memuary Miss Marple, czy *Teki wspomnień H. Poirot*, pełen zbiór zapisków dra Watsona, itp. itd.

Nakładem IDA ukazuje się wiele fachowych tematycznych magazynów, jak *Prologemena Holmesis*, *Annales Van Dorniensis*, *Zeszyty Naukowe Towarzystwa Kajdaniarzy* czy *Studia Ripperica*.

Wśród założycieli Fundacji do najbardziej znanych należą takie międzynarodowe organizacje charytatywne, jak *Cosa Tua e Nostra*, *Fraternia Katów i Hycli Górnej Saksonii*, *La Societé de Galeriens*, *Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami im. Psa z Baskerville*, i wiele, wiele innych.

Zasługą tejże instytucji jest m.in. potwierdzenie apokryficznego charakteru sławetnych *Zapisków na mankietach* dra Watsona, czy palimpsestowość *Roczników Kaliguli*. To właśnie tutejsi eksperci stwierdzili, że osławiony *Torturiusz Adimirabilis* jest falsyfikatem.

Za stosownym, bezpłatnym zezwoleniem szlachetnych członków Rady Nadzorczej IDA poniżej drukujemy wyciągi z niektórych dokumentów archiwalnych z dorobku pana radcy stanu, dotyczące wyłącznie materii niniejszej książki.

{[Wyciągi z dokumentów z archiwum Pana Radcy – teczka Jack The Ripper – 1888. Wśród nich znajdują się notatki sporządzone na podstawie artykułów prasowych z „Weekly Herald”, „The Star” (londyński), „Pall Mall Gazette”, „Daily Telegraph”, „The Manchester Guardian”, „The Times” (londyński), „The Birmingham Daily Gazette” i „The Birmingham Evening Mail” oraz gazet francuskich, niemieckich i rosyjskich, raportów Ministerstwa Spraw Zagranicznych (z Poselstwa Rosji w Londynie), dokumentów policji londyńskiej i rosyjskiej – z Warszawy oraz pewnych notatek z Oddziału III – Biura Zagranicznego w Paryżu. W oddzielnym skoroszycie, zapieczętowanym, znajdują się udostępnione raporty agentów zagranicznych III Oddziału – Olgi Nowikowej z Londynu, szefa Biura Zagranicznego w Paryżu Piotra Raczkowskiego i agenta do spraw specjalnych z Paryża Arkadija Hartinga. Teczka zawiera też pisma od nadintendentów policji londyńskiej i Scotland Yardu Fryderyka Abberline i Arthura Neila oraz byłego szefa francuskiej La Sureté – M. Macé]^[1]

List do przemądrzałego sąsiada

Adresat, adres: *George Lusk,*
przewodniczący Komitetu Ochrony Dzielnicy Whitechapel
(Whitechapel Vigilance Committee)
Whitechapel, Londyn

Nadawca, adres: *prosto z Piekła*

Londyn, 15 października 1888

Przesyłam połowę nerki, którą wyjąłem z tej kobiety. Resztę usmażyłem i zjadłem. Była smaczna. Być może, jeżeli zaczeka pan jeszcze trochę, wyślę i nóż, którym ta nerka została wycięta. Jeśli się ci uda, to złap mnie, panie Lusk.

Powyższy list, napisany albo krwią, albo czerwonym atramentem, znajdował się w pudełku wraz z kawałkiem ludzkiej nerki i został wysłany pocztą jako paczka. Badania grafologiczne potwierdziły możliwość jego pochodzenia od mordercy.

Wcześniej policja otrzymała, co najmniej dwa listy:

– pierwszy, adresowany do jednej z Agencji Informacyjnych, wysłany został 27 września 1888 roku. Podpisany został „Kuba Rozpruwacz”. Zbrodniarz zapowiadał kolejne morderstwa: „Zabrałem się za dziwki i będę je rozpruwał, dopóki mnie nie złapiecie”.

– drugi (kartka pocztowa), ponownie adresowany do jednej z Agencji Informacyjnych (Central News Agency), został wysłany niedługo po dwóch morderstwach, 30 września 1888 roku. Napisany czerwonym atramentem, zawierał informacje potwierdzające tożsamość zabójcy.

Kryptonim: Jack The Ripper

Zakres: seryjne zabójstwa

Ofiary: minimum cztery (5-7), kobiety

Miejsce: londyńska dzielnica Whitechapel (odpowiednik moskiewskiej Chytrowki)

Czas: 1888 rok, od piątku 31 sierpnia do 9 listopada

Sposób zabójstwa: ofiarom najpierw podcinano gardła, aby nie zdążyły krzyknąć; później okaleczano zwłoki (zbrodniarz usuwał im niektóre organy wewnętrzne, czasem zęby i niekiedy organy zewnętrzne – uszy), atakuje tylko starsze, ubogie prostytutki, masakruje je nożem (być może – skalpelem), wszystkie ataki wystąpiły podczas późnej nocy (pomiędzy 23:00 a 4:00 rano).

Cechy charakterystyczne sprawcy:

- elegancko wyglądający
- biały mężczyzna (wiek około 28-40 lat)
- prawdopodobnie jest leworęczny
- wykształcony
- prawdopodobnie jego matka trudniła się prostytutką
- zna się na anatomii - być może jest chirurgiem (medycyna/weterynaria) lub rzeźnikiem
- przejawia skłonności sadystyczne
- seryjny zabójca na tle seksualnym (zatem ma dziwne obyczaje seksualne, albo jest impotentem, być może zaraził się od prostytutki poważną chorobą weneryczną)
- zamieszkały i pracujący w rejonie Whitechapel (zabijał tylko w weekendy – prawdopodobnie po pracy)
- w dzieciństwie prawdopodobnie pozbawiony ojca (śmierć, oddalenie lub nieznany)
- wykonuje zawód, który legalnie pozwala mu wykonywać czynności destrukcyjne (np. rzeźnik)
- prawdopodobnie ma jakieś defekty fizyczne, które doprowadziły go do agresji i frustracji

Ofiary:

[pierwsze dwie - wydaje się, że nie są jego ofiarami]

– Emma Elizabeth Smith (45 lat). Prostytutka, napadnięta 3 kwietnia 1888 przed świtem. Miała rany cięte i klute brzucha, ale zeznała, że napadło ją czterech mężczyzn. Zmarła w szpitalu, w 24 godziny po napadzie. Brak protokołu przesłuchania.

– Martha Tabram (brak danych). Prostytutka, napadnięta 7 sierpnia 1888 przed świtem (znaleziono zwłoki o 5:22 rano). Jej zwłoki znaleziono na schodkach domu na George Yard. Zadano jej 39 ciosów nożem (być może dwoma). Na jej ciele leżał nóż do ostrzenia piór.

– Mary Ann Nicholls (42/3? lata). Bezdomna prostytutka (pseudonim zawodowy „Polly”), nałogowa alkoholiczka, zginęła w piątek 31 sierpnia 1888 roku. Pierwsza niewątpliwa ofiara „Jacka”. Zginęła pomiędzy 02:30 (Osborne Street) a 03:20 rano. Zwłoki znaleziono na Bucks Row. Poprzedniego dnia została wyrzucona z domu noclegowego (za brak pieniędzy na opłatę). Gardło podcięte aż po kręgi szyjne, przecięte tętnice szyjne, ciosy nożem w obrębie jamy brzusznej – usunięto jej wnętrzności i dwa przednie zęby.

– Annie Chapman (47 lat). Prostytutka, chora na gruźlicę (pseudonim zawodowy „Ciemna Ania”). Tego dnia usunięta z domu noclegowego (za brak pieniędzy na opłatę). Zginęła w nocy 8 września 1888 roku, zwłoki znaleziono o 6 rano na podwórzu domu na Hanbury Street 29. Podcięte gardło aż po kręgi szyjne, usunięte wnętrzności – zabójca zabrał nerkę i pęcherz (jajniki?), usunął dwa przednie zęby. Głowę przywiązał do ciała chustką.

– Elizabeth Stride (45 lat). Prostytutka, z pochodzenia Szwedka (pseudonim zawodowy „Długa Ela”). Matka dziewięciorga dzieci. Zginęła o 01:00 w nocy, 30 września 1888, na Berner Street. Poderżnięto jej gardło. Mordercę ktoś spłoszył – ofiara nie została zmasakrowana.

– Catherine Eddowes (43/6? lata). Prostytutka. Zwolniona z aresztu na kilka godzin wcześniej, zginęła pomiędzy 01:30 a 01:45 dnia 30 września 1888 roku na skwerze Mitre Square (w jednej z jego alejek) przy Duke Street. Zmasakrowana twarz, rozcięta jama brzuszna (wnętrzności rozrzucone po chodniku) – usunięta lewa nerka i jelita. Jedno ucho prawie odcięte. Nerka ta później znalazła się w przesyłce do George’a Luska.

Na ścianie w pobliżu ławki znaleziono napis kredą: „Żydzi nie są ludźmi za nic winnymi” (być może mordercy).

– Mary Jane (Jeannette) Kelly (24 lata). Prostytutka (pseudonim zawodowy „Czarna Mańka”). Zginęła w nocy z 8 na 9 listopada 1888 roku w domu na Millers Court. Zabójca zmasakrował zwłoki, prawie odciął głowę od ciała i wnętrzności porozkładał po całym pokoju: serce (na poduszce), jelita (na ramie obrazu), nerki i wątrobę na podłodze. Sekcja wykazała, że ofiara była ciężarna.

Istnieją podejrzenia, że Kelly nie jest ofiarą Jacka - jej zabójca prawdopodobnie podszył się pod słynnego już dzięki bulwarowej prasie seryjnego mordercę.

W pokoju znaleziono butelki piwa imbirowego. Drzwi pokoju Kelly były zamknięte – prawdopodobnie morderca posiada klucz, ponieważ nie odnaleziono śladów wytrychów.

Najprawdopodobniej została zabita przez swojego kochanka - Josepha Barnetta.

[następne zamordowane prawdopodobnie też nie są ofiarami Jacka Rippera]

– Frances Coles (25 lat). Prostytutka, jej ciało znaleziono 13 lutego 1891 roku w Whitechapel. Zginęła na skutek poderżnięcia gardła, miała liczne, ale płytkie rany w obrębie jamy brzusznej.

– Elizabeth Jackson. Prostytutka, znaleziono jej poćwiartowane ciało w Tamizie w czerwcu 1889 roku.

– Alice McKenzie. prostytutka, jej ciało znaleziono 17 lipca 1889 roku w Whitechapel. Zginęła na skutek poderżnięcia gardła, miała liczne, ale płytkie rany w obrębie jamy brzusznej.

Główni podejrzani:

Obywatele Cesarstwa Rosji:

– **George Chapman** vel Ludwig Schloski właściwie: Seweryn Antonowicz Kłosowski. Urodzony 14 grudnia 1865 roku we wsi pod Zwoleniem, na terenie Polski. Ojciec (stolarz) - Antoni, matka - Emilia. Z zawodu - felczer (uczył się najpierw - od grudnia 1880 po październik 1885 - w Zwoleniu, u Mojsze Rappaporta; następnie w szpitalu praskim w Warszawie, gdzie od 1886 był pomocnikiem felczera, a w 1887 został dyplomowanym młodszym felczerelem.

Żonaty z Łucją Kłosowską. Wyemigrował do Anglii po lutym 1887 roku (w lutym pobrał jeszcze pensję w Szpitalu Praskim) - prawdopodobnie przed czerwcem 1887 roku. Zamieszkał w Londynie, gdzie najpierw pracował jako balwierz u Abrahama Radina (pod numerem 70 na West India Dock Road), a po kilku miesiącach otworzył własny zakład pod numerem 126 na Cable Street w St. George's-in-the-East.

W okresie, kiedy grasował Jack The Ripper, Chapman mieszkał w Whitechapel. Zbrodnie rozpoczęły się po jego przyjeździe do Londynu. Studiował medycynę. Inteligentny, wykształcony. Charakter sadystyczny, bigamista, mizoginista. Jego postura odpowiada opisowi Rippera. Jednak rysopis nie całkiem się zgadza z zeznaniami świadków (jest za młody), poza tym wątpliwe, żeby w ciągu roku nauczył się tak dobrze mówić po angielsku, że świadkowie słyszący rozmowy Jacka The Rippera, nie rozpoznali w nim cudzoziemca.

– **Aaron Kosmiński**. Urodzony w 1864, bądź 1865 roku. Podejrzany wyłącznie ze względu na jego nienawiść do prostitutek.

Żadnych dodatkowych świadectw ze Scotland Yardu.

– **Nikołaj Wasiliew** vel Nicolas Vassili/Wassily. Urodzony z nieznanymi rodziców w 1847 roku w Tiraspolu (Chersoń, Ukraina). Po szkołach w Tiraspolu ukończył studia (nie ma w aktach uczelni atestatu ukończenia uniwersytetu przez człowieka o takim nazwisku) w Cesarskim Uniwersytecie w Odessie. W wieku 25 lat znany był jako jeden z przywódców ruchu (neo)Skopców, rzekomo wybrany do Świętej Elity tego ruchu, składającej się z 40 osób. W roku 1872 Wasiliew uciekł przed prześladowaniami (sektą od czasów Nikołaja I uznana jest za niebezpieczną i nielegalną) do Francji. Zamieszkał na kilka miesięcy na Rue Mouffetarde. Po pewnym czasie zakochał się w prostytutce Madeleine rezydującej na Rue Richelieu. Kilkukrotnie usiłował ją „przywrócić społeczeństwu” - znajdując jej pracę, ale po kilku tygodniach znowu wracała „na ulicę”. Po dwóch miesiącach od jej ostatniej ucieczki znalazł ją na miejscu wykonywania zawodu - na Rue Richelieu, zabił ją uderzeniem w plecy (zmarła po dwóch dniach). Później zamordował inną prostytutkę - na uliczce w Faubourg St. Germain. Trzy dni później znaleziono kolejną, wykrwawiającą się prostytutkę - tym razem w Quartier Mouffetarde. W ciągu następnych dwóch tygodni znaleziono jeszcze pięć podobnych ofiar w okolicach Pantheonu, pomiędzy Boulevard St. Michel i Boulevard de l'Hôpital. Przy każdej znaleziono ich biżuterie i pieniądze. Złapano go z zakrwawionymi rękoma, kiedy próbował zabić przechodnia na Rue de Lyon. W sądzie uznano go za psychicznie chorego, dlatego został osadzony w prywatnej klinice w Bayonne. Wysoki, przystojny, silny, blady, jak wszyscy kastraci tłustawy, płonące czarne oczy. Został wypisany ze szpitala jako wyleczony 1 stycznia 1888 roku. III Oddział twierdzi, że Wasiliew jest anarchista, a po wyjściu ze szpitala ukrył się

u swoich kolegów w Szwajcarii lub w Belgii. Od wypisania ze szpitala nic pewnego nie wiadomo o jego losach. 5 listopada 1888 roku petersburskie „Novosti” opublikowały krótką informację o zamordowaniu Mary Kelly i pewne spekulacje na temat identyfikacji domniemanego zabójcy - określając go imiennie właśnie jako Nikołaja Wasiliewa.

(Sprawdzić - skąd i kto!)

– **Aleksander Pedaczenko**, vel książę Luiskow. Urodzony w 1857 roku. Doktor medycyny. Podejrzany, że jako agent III Oddziału został wysłany z misją sprowokowania angielskiej policji do akcji odwetowej na rosyjskich anarchistach żyjących na emigracji w Londynie.

Wiadomo tylko, że przez jakiś czas przebywał w domu dla psychicznie chorych w Londynie, jako psychopata wrażliwy na wpływy faz księżyca. Sprawdzić w III Oddziale!

– **Michał Ostrog** (Ostróg?), vel Bertrand Ashley, Claude Clayton (Cayton), Dr Grant, Max Grief Gosslar, Ashley Nabokoff, Orloff, książę Sobieski, Max Sobieski i około dwudziestu innych pseudonimów. Urodzony w 1833. Używając pseudonimu Max Grief Gosslar, Ostrog okradał w 1863 Oxford College, złapany - został skazany na 19 miesięcy więzienia. Później w latach 1864 – 1873 wielokrotnie dokonywał kradzieży, kilkakrotnie siedział w więzieniu. Przy ostatniej próbie aresztowania go przez nadintendenta Oswella i jego agentów w Burton-on-Trent o mało nie wystrzelał swoich prześladowców. W roku 1874 skazany na dziesięć lat więzienia, wyszedł w 1883 roku. Cztery lata później złapany na kradzieży - został skazany na ciężkie roboty, gdzie lekarze stwierdzili u niego manię prześladowczą. W 1888 roku został wypuszczony jako wyleczony. Od 18 listopada 1888 znajduje się w więzieniu w Paryżu, skazany za kradzież na dwa lata.

Znany jako szalony rosyjski doktor, maniak, mizoginista, wysoki, ciemnowłosy, szare oczy, chodzi ubrany w surdut kroju klerykalnego, blizna na prawej dłoni, ślady po biczowaniu na plecach, opisywany jako Rosjanin, Polak z Rosji i polski Żyd. Wykształcony, zna siedem języków, ma stosowne maniere.

Pozostali podejrzani:

– **Charles Lutwidge Dodgson**, vel Lewis Carroll. Urodzony 27 stycznia 1832 roku. W wieku lat 14 wysłany do Rugby School. Cierpiał wtedy na jakieś dziwne dolegliwości związane z nocą (księżyc?) (molestowania seksualne?) - nie można określić ich natury - rodzina usunęła dokumenty (listy, świadectwa badań lekarskich). Od 1850 studiował w Oxfordzie, w Christ Church. Mieszkał później tam, jako wykładowca do 1881 roku. Wybitny matematyk. Wzrost sześć stóp, szczupły, zadbany i elegancki, ciemnobrązowe włosy, niebieskie oczy. Od 1856 zajął się fotografią. Centrum zainteresowań - nagie ludzkie ciało, szczególnie nieletnich. W 1856 roku publikuje pierwszy utwór literacki - poemat romantyczny (pod pseudonimem Lewis Carroll). Wtedy rozpoczęły się jego podejrzane stosunki z żoną Henry’ego Liddella i ich dziećmi (szczególnie z trzema córkami - Loriną, Alicją i Edith). W 1862 roku pisze, a w 1865 roku publikuje swoją pierwszą książkę o „Alicji” - Alicję w Krainie Czarów. W 1872 roku publikuje drugą książkę o Alicji, Alicja po tamtej stronie lustra. W 1867 zwiedza Europę, w tym Rosję. Kawaler, utrzymuje bliskie stosunki z licznymi kobietami (w tym - mężatkami). Prawdopodobnie dewiant, jego jedyną pasją jest Alice Liddell. Wiele obsesji, jąka się, odludek, prawdopodobnie źle zdiagnozowany epileptyk, źle słyszy na lewe ucho, wydaje się, że zażywa halucynogenne alkaloidy sporyszu. Wiele czasu spędza w londyńskich teatrach - tych, gdzie występują dzieci. Kolekcjoner fotografii (*także - pornograficznych*).

– **Walter R. Sickert**. Urodzony w 1860 roku, malarz impresjonista, przyjaciel Paula Degasa, często maluje prostytutki z East Endu. Żonaty ze starszą o 12 lat kobietą. Psychopata z zaburzeniami seksualnymi. Jego

matka była nieślubną córką prostytutki. Na jego obrazie przedstawiającym jedną z zamordowanych prostitutek, widać, że został on namalowany z innej perspektywy, niż zostało zrobione zdjęcie policyjne - uderza podobieństwo wielu szczegółów z miejsca zbrodni. Podobno nigdy tam nie był. Jego charakter pisma także jest bardzo podobny do pisma Jacka The Rippera z listu. Podejrzany jest także jego syn - Joseph Sickert, który podówczas mieszkał w East Endzie i jest bliskim przyjacielem rodziny królewskiej, (*domniemany współlnik zbrodni księcia Eddy'ego*).

– **Montague John DrUITT**. Prawnik pochodzący z arystokratycznej rodziny lekarzy, członek elitarnego Klubu Apostołów. Jego ciało wyłowiono z Tamizy tuż po ostatnim zabójstwie, w grudniu 1888 r. Czuł awersję do kobiet. Często przechodził przez Whitechapel. Dorabiał jako nauczyciel gimnastyki w szkole dla chłopców - 30 listopada 1888 roku został z niej natychmiastowo zwolniony - utajniono przyczynę. Już w październiku jego brat, William zaczął dostrzegać u niego oznaki nienormalnego zachowania. Prawdopodobnie został zmuszony do popełnienia samobójstwa albo nawet zamordowano go, aby uniknąć kompromitacji high society (Klubu Apostołów).

Pytanie - za homoseksualizm, czy za zbrodnie?

– **Robert Donston Stephenson**, vel Dr Roslyn D'Onston Stephenson. Urodzony w 1841 roku w Czechach, znany ze swojego maniackiego zainteresowania nekromanią i morderstwami. Zajmuje się praktycznie czarną magią i okultyzmem. Produkuje kosmetyki piękności ze „specjalnych składników”. Z zawodu lekarz, ale nie wykonuje zawodu - służył swego czasu jako felczer w armii Garibaldi'ego. Nienawidził kobiet (według zeznań jego żony). Podejrzewany o zabójstwa rytualne.

– **Albert Wiktor Christian Edward**, książę, wnuk królowej Wiktorii, zwany pieszczotliwie Eddy. Urodzony w 1864 roku. Cierpi na zaburzenia psychiczne. Uznany także za opóźnionego w rozwoju. Liczne związki z biednymi prostytutkami z East Endu. Został zamknięty w szpitalu dla obłąkanych w grudniu 1888 roku - zaraz potem skończyły się morderstwa. Ma niezwykle długą i cienką szyję. Podobno cierpi na syfilis, którego nabawił się podczas swojego krótkiego pobytu w Indiach Zachodnich - stąd zmiany w jego mózgu. Wiele wskazuje na skłonności homoseksualne.

Należy sprawdzić jego alibi - nie zgadzają się daty z protokołem dworskim - był w Danby Lodge, w Yorkshire, kiedy zamordowano Nichols (31 sierpnia), w Yorku, kiedy zginęła Chapman (8 września), w Abergeldie, w Szkocji, kiedy zginęły Stride i Eddowes (30 września) i do 12 listopada był w Sandringham (Kelly zamordowano 9 listopada).

– **James Kenneth Stephen**. Syn niesławnego sędziego Sir Jamesa Fitzjamesa Stephena, kuzyn Vanessy Bell i Virginii Woolf. Bliski znajomy Księcia Alberta - jego opiekun naukowy w Cambridge. Podejrzewany z powodu swych homoseksualnych skłonności i patologicznej nienawiści do kobiet. W 1887 miał tajemniczy wypadek, podczas którego doznał ciężkich obrażeń głowy, od tego czasu stopniowo popada w szaleństwo. Jest pacjentem Sir Williama Gulla, choroba nasila się w piorunującym tempie.

Napisał ostatnio dwa tomy poezji pełnych scen ekstremalnej przemocy, gwałtów, nienawiści do kobiet.

– **William Gull**, sir. Emerytowany lekarz Rodziny Królewskiej, hipnotyzer i satanista. Podejrzewany o masońskie mordy rytualne, według jednej z hipotez mógł zahipnotyzować księcia Eddy'ego.

Brak danych o: Alfredzie Napier Blanchardzie (!), Davidzie Cohenie, Fredericku Deeming, George'u Hutchinsonie (Br.), Jacobie Levy'm, Francisu Thompsonie, Francisu Tumbletym.

Uwagi:

- wszystkie ofiary bywały (i upijały się) w pubie „Dziesięć Dzwonów”
- możliwe, że mordercą może być kobieta, albo mężczyzna przebierający się za kobietę
- po dziewiątym listopada zabójstwa ustały - zmarł (zginął), wyjechał, został zamknięty (więzienie, szpital, kostnica itp. - sprawdzić), popełnił samobójstwo?}

1890

[1]. Większość danych pochodzi ze strony internetowej CASEBOOK: <http://www.casebook.org/>, jednak nie wszystkie zostały podane dokładnie – skorygowano je o inne źródła, a część potraktowano jako źródło do stworzenia fikcji literackiej.

Przypisy

[1] Michaił Lermontow

[2] Tabela rang urzędników carskich: 1 Kanclerz, 2 Reczywisty Tajny Radca, 3 Tajny Radca, 4 Reczywisty Radca Stanu, 5 Radca Stanu, 6 Radca Nadworny, 7 Radca Kolegialny, 8 Asesor Kolegialny, 9 Radca Tytularny, 10 Sekretarz Kolegialny, 11 Sekretarz Okręgowy, 12 Sekretarz Gubernialny, 13 Sekretarz Prowincjonalny, 14 Pisarz Kolegialny.

[3] jeden z sygnałów służących uprawie polowania

[4] „Kurier Warszawski” 1841, nr 343.

[5] Arthur Conan-Doyle

[6] Trankwiliusz Maksimus

[7] Tytuł akwaforty Francisca Goi należącej do cyklu grafik *Kaprysy (Los Caprichos)*.

[8] Jontek z Pyzdrowic

[9] „Kurier Warszawski” 1906, nr 355, s. 4

[10] „Kraj” 1897, nr 2, s. 15-16

[11] Karp

[12] Ksantypa

[13] Celestyn Konfiteor

[14] Lao-bo

[15] „Kurier Warszawski”, w maju i czerwcu 1849

[16] porzekadło z warszawskiej ballady ulicznej

[17] Św. Hubert *Dziennik myśliwego*

[18] za: A. Czechow *Córka Albionu*

[19] Melchior Medard *Aforyzmy i powiedzonka krotochwilne, czasem sprośne wielce*

[20] Porzekadło gruzińskie

[21] Wiaziemskij Piotr *Rosyjski Bóg* (przeł. F. Nieuważny).

[22] Wiersz Matthiasa Claudiusa

[23] brydżowe

[24] Anastazja

[25] gruzińskie